WŁADYSŁAW LUDWIK ANCZYC

WŁADYSŁAW LUDWIK ANCZYC: ŻYCIE I PISMA

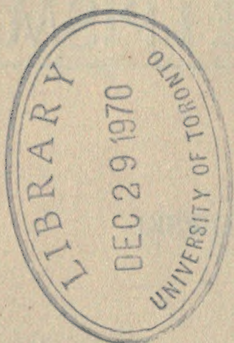
OPRACOWAŁ
DR. MARYAN SZYJKOWSKI

Szedł naprzód drogą zacną i jasną
W pełnieniu zadań swego zawodu,
Przenosił zawsze nad sprawę własną,
Nad własne dobro — dobro narodu.
Wł. L. Anczyc.

TOM I.

MONOGRAFIA

KRAKÓW · MCMVIII · NAKŁADEM RODZINY
KSIĘGARNIA G. GEBETHNERA I SPÓŁKI



CAŁY DOCHÓD ZE SPRZEDAŻY PRZEZNACZONY NA FUNDACYĘ KONKURSOWĄ IMIENIA WŁADYSŁAWA LUDWIKA ANCZYCA.

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI

OD AUTORA.

Kiedy przed dwoma bez mała laty stanęliśmy przed opracowaniem wydawnictwa, które niniejszem na widok publiczny wychodzi, znaleźliśmy się w konieczności poczynania roboty od podstaw i prowadzenia jej niemal w całości w kolejnych jej fazach o własnej sile — od wstępnego okresu gromadzenia i systematyki materyału począwszy, poprzez analizę poszczególnych momentów, aż po syntezę ogólnego ujęcia. Z nietkniętego siekierą krytyczną zagajnika splątanych faktów i zatajonych szczegółów potrzeba było wyrąbać odpowiedni budulec, któryby mógł posłużyć za podwalinę pod zrąb prawdziwego przedstawienia i objektywnego sądu.

Bądźmy szczerzy: przeciętny przedstawiciel naszych sfer t. zw. inteligencyi, rozprawiający chętnie o pracy społecznej, członek nawet któregoś z oświatowych towarzystw ludowych, nie zawsze dosyć ściśle potrafi odróżnić Anczyca od... Asnyka, a częściej jeszcze W. A. Lasotę, autora »Kościuszki pod Racławicami«, nie jest w stanie utożsamić z W. L. Anczycem, którego bodaj wierszyk »Jedziesz na wieś, na wieś Stachu, Na wieś, skacząc woła Ceś« — z pewnością w latach dziecięcych deklamował.

I trudno się temu zbytnio dziwić: podręcznik historyi literatury w miejsce faktycznego objaśnienia i sprawiedliwego sądu wykręci się — z konieczności — nic nie mówiącym komunałem, lub, co gorsza, wręcz nieprawdą, nie znajdując oparcia o gotowe opracowanie krytyczne.

Co bowiem napisano u nas o Władysławie Anczycu? — W roku śmierci nie było niemal pisma na ziemiach polskich, któreby nie podało nekrologu autora »Tyrteusza« (w szególności obszerne wspomnienie w »Czasie«, nr. 171, »Nowej Reformie« nr. 171 i 2, »Przeglądzie polskim« str. 508—13, »Tygodniku powszechnym« str. 481, »Kłosach« str. 81, »Tygodniku illustrowanym« t. II, str. 65, »Bibliotece warszawskiej« str. 471 i i.); artykuły te oczywiście nie roszczą sobie pretensyi do ścisłości i wcale pod tym względem nie ustępują współczesnemu fejletonowi.

Specyalne opracowania monograficzne, w których Kazimierz Góralczyk powinien był zająć poczesne miejsce, zbywają rzecz ogólnikowem, wcale nie zadawalającem omówieniem (Chmielowski »Nasza literatura dramatyczna« na str. 404—5, Stanisław Zdziarski »Pierwiastek ludowy w poezyi polskiej XIX w.« na str. 468—72). O twórczości dramatycznej Anczyca, zwłaszcza o »Emigracyi«, pisał obszerniej Stanisław Koźmian (»Przegląd polski« 1876 i 83 rok — przedrukowano w »Rzeczach teatralnych« na str. 244—85, 303—10, 318—20); ładne »*essais*« Koźmiana, choć nie wolne od pewnej jednostronności oświetlenia i tendencyjnego naginania myśli omawianego utworu, stanowią pierwszą i — rzec można — jedyną opinię fachową, na której w ocenie dramatycznego talentu Anczyca oprzeć się można. Jakkolwiek bowiem Jan

Magiera zamierzył sprecyzować ogólne stanowisko Anczyca jako dramaturga ludowego (»W. L. Anczyc jako dramaturg ludowy« — Sprawozdanie c. k. Gimnazyum św. Jacka w Krakowie za r. 1903) — to jednak w ocenie ludowej produkcyi dramatycznej autora »Chłopów arystokratów« głębiej nie sięgnął a w części biograficznej rozprawki padł ofiarą licznych omyłek i nieporozumień.

Cenną usługę w pracy oddał nam »Poczet prac literackich W. L. Anczyca« zestawiony za lata 1848—84 przez Maurycego Stankiewicza (»Upominek z uroczystości odsłonięcia i poświęcenia tablicy pamiątkowej ś. p. W. L. Anczyca« — Kraków 1886, na str. 35 i n.) — jak również, jako materyał biograficzny, kilka »Listów rymowanych« Anczyca, ogłoszonych w »Tygodniku illustrowanym« (1905, str. 72 i 91).

Tak mniejwięcej przedstawia się »literatura« krytyczna o Władysławie Anczycu; pozostał drukowany materyał »*in crudo*«: artykuły i fejletony, wiersze drobne i większe utwory rymowane, a nawet utwory dramatyczne oryginalne i tłumaczone, porozrzucane w wielkiej liczbie po różnych czasopismach i wydawnictwach zbiorowych, drukowane często anonimowo, domagające się rewindykacyi z pod pokrywającej je pleśni zapomnienia.

Wreszcie, najważniejsze, materyał rękopiśmienny, bardzo zasobny ilościowo i jakościowo, łaskawie nam przez rodzinę użyczony: papiery rodzinne, notatki podręczne Anczyca, fragment pamiętnika, autografy utworów drukowanych — i zgoła nieznanych, w szkicach kompozycyjnych, kolejnych redakcyach i ostatecznem wykończeniu.

Również rozporządzaliśmy bogatą koresponden-

cyą: kilkaset listów, pisanych pomiędzy rokiem 1858 a 1883 do pp. Gustawa Gebethnera i Roberta Wolffa, udzielonych nam z całą uprzejmością do rozporządzenia, pozwoliło ustalić daty i nakreślić ścisły zarys biograficzny, dostarczając ponadto wiele pierwszorzędnych szczegółów dla poznania ewolucyi talentu; nie mniej ważne pod tymi względami szczegóły zawiera kilkanaście listów, pisanych pomiędzy 1859—68 rokiem do ś. p. Karola Estreichera, który pozatem pozwolił na zużytkowanie materyałów rękopiśmiennych do historyi sceny krakowskiej i dzielił się chętnie bogatym zasobem wspomnień z własnego życia. Niestety, los nie pozwolił mu doczekać się ukończenia pracy nad wydawnictwem, którem zawsze żywo się interesował, nigdy chętnej pomocy a doświadczonej rady nie szczędząc.

Również niech nam będzie wolno wyrazić publicznie podziękowanie zarządom archiwum aktów ziemskich i grodzkich we Lwowie, archiwum Wszechnicy Jagiellońskiej i gremium aptekarzy krakowskich — które, pozwalając na wszelkie ułatwienia w pracy, umożliwiły wydobycie kilku cennych szczegółów biograficznych.

Nadewszystko jednak winniśmy wdzięczność panu Wacławowi Anczycowi, synowi Władysława. Pan Wacław Anczyc współdziałał przez cały ciąg pracy niezmordowanie, nie szczędząc ni czasu, ni kosztów, byleby pomnik synowskiego pietyzmu wypadł jak najokazalej. Że wydanie wyboru pism Władysława Anczyca doszło do skutku — lwia część w tem zasługi pana Wacława Anczyca. Jest w tem, jak mniemamy, nie tylko piękny przykład czci i miłości synowskiej,

ale zarazem godna naśladowania zasługa obywatelska, którą uznać się godzi.

Wydaje nam się bowiem, że wydanie utworów Władysława Anczyca jest rzeczą pożądaną i społecznie pożyteczną. I bynajmniej nie tylko ze stanowiska historycznego: Anczyc nie umarł cały, nie przestał do dziś działać z poza grobu, z czego sobie nie zdajemy dostatecznie sprawy. Wszakże wpływ utworów Kazimierza Góralczyka na szerokie masy trwa niezmiennie. Roczniki teatru polskiego nie notują nigdzie takiej ilości przedstawień, jakiej doczekał się »Kościuszko pod Racławicami«.

Lat 27 minęło od pierwszego wystawienia tej sztuki — a i dziś trwa ona i działa z deski scenicznej. Idealne korzyści, które dla społeczeństwa przyniosła sztuka W. A. Lasoty nie dadzą ująć się w cyfry. Przypatrzmy się owym roboczym masom miejskiego proletaryatu, które z zapartym oddechem śledzą akcyę patryotycznych tłumów na krakowskim rynku — lub wzruszonym twarzom siermiężnych widzów, którzy tak żywo okłaskują braci z Rzędowic, łączących się pod wodzą Bartosza z Naczelnikiem! — Kulturalne i wychowawcze znaczenie sceny nigdy może nie ujawniło się w tej mierze; sztuka Anczyca budzi i podnosi świadomość narodową w tym samym stopniu dziś, jak to czyniła przed laty 27-miu. Stała się ona nieomal stałym punktem każdego narodowego obchodu — w znacznych wyjątkach grywa ją młoda scena ludowa, która ma wobec autora »Chłopów arystokratów« specyalne długi wdzięczności. Wszakże Anczyc jest tej sceny ludowej duchowym twórcą — on bodaj pierwszy w latach 60-tych o stworzeniu teatru włościańskiego marzył, pisząc dla tej sceny

przyszłości, która prawie w pół wieku później w realne kształty przyoblec się miała: »Gorzałkę, próbkę przedstawienia teatralnego dla włościan«.

Ludowe sztuki Władysława Anczyca obeszły wszystkie sceny polskie, doczekały się niebywałej liczby przedstawień — i dziś przeniosły się z wielkich scen miejskich na grunt najwłaściwszy: na wiejską scenkę.

A wszakże popularne dziełka Anczyca dla dzieci i kmiotków rozeszły się w setkach tysięcy (dosłownie) egzemplarzy, niosąc wszędzie dobrą nowinę: zdrową myśl, ukochanie sprawy i niepowszednie znawstwo duszy kmiecej i dziecięcej.

Anczyc należy do tych nielicznych działaczy oświatowych, którzy ulegli absorpcyi przez grunt, użyźniany potem i znojem całego życia — Anczyc stał się zjawiskiem bezosobowem, wsiąknął w karczowaną glebę, zagubił się jako indywiduum w książeczkę, którą niósł maluczkim, a która trwa dzisiaj i działa, jako bezimienna emanacya twórczości kollektywnej na równi z ludową piosenką, jako pęd, zielonem pokryty listowiem, którego korzeń przykryła ziemia niepamięci.

A wreszcie — Anczyc jest również twórcą »Tyrteusza«, o czem chyba najmniej pamiętamy — »Tyrteusza«, w którym tętni nieskazitelne echo wielkiej naszej romantyki, bije czyste źródło farysowej pieśni, na której należytą ocenę dotąd nie potrafiliśmy się zdobyć.

Sądzimy przeto, że wydawnictwo pism Władysława Anczyca — które z natury rzeczy nie mogąc objąć artykułów dziennikarskich, wywołanych potrzebą chwili oraz popularnych pisemek dla ludu i młodzieży,

może być tylko wyborem, dającym możliwie najwszechstronniejsze odbicie najbardziej znamiennych pojawów różnorodnej działalności pisarskiej Anczyca — że wydawnictwo to jest rzeczą potrzebną i pożądaną.

Że społeczeństwo potrzebę tę odczuwa, świadczą nie tylko głosy publiczne z lat, w których pamięć twórcy »Kościuszki pod Racławicami« żyła jeszcze świeża i wszystkim obecna — a więc nekrologi w roku śmierci oraz głosy prasy z czasów uroczystości wmurowania tablicy pamiątkowej w kościółku św. Salwatora na Zwierzyńcu (12 czerwca 1886) — ale znacznie świeższej daty, bo z 1904 roku pochodzący artykuł »Wisły«.

Owóż w omówieniu rozprawy Jana Magiery o Anczycu czytamy tamże (na str. 242): »...zdaje się być niewątpliwem, że ten niepospolity pisarz do dziś dnia jest niedoceniony, że przyszłość dopiero, może nawet przyszłość dość odległa, przyniesie właściwą ocenę jego niezwykłego talentu poetyckiego, jak jego niestrudzonej energii. Gdy to nastąpi, zajmie Anczyc w naszym panteonie wysokie miejsce. Dotąd wszakże dotkliwie daje się odczuwać brak w naszem piśmiennictwie krytycznem pracy syntetycznej, rzucającej właściwe światło na tę wybitną i piękną postać«.

Niniejszem wydawnictwem, z którego cały dochód przeznaczają nakładcy na utworzenie fundacyi konkursowej im. Wł. L. Anczyca dla nagród za najlepsze sztuki ludowe, staraliśmy się tę lukę — w miarę sił — wypełnić.

Maryan Szyjkowski.

W Krakowie 1 kwietnia 1909.

I.

1: RODZINA — DOM — SZKOŁA.

Już się miało ku zachodowi słońca niepodległej Polski. Nad krajem zaległo ciężkie brzemię politycznego bezładu, społecznej dezorganizacyi, umysłowej ciemnoty, ogólnej apatyi życia bez jutra. Naród rozbity na partye, okrzykujące królem to »piasta« Leszczyńskiego, to saskiego Augusta, postradał wszelaki zmysł oryentowania się w konstellacyi politycznej i stał się bez mała manekinem, potrącanym to ręką Karola szwedzkiego, to rosyjskiego władcy. Pojęcie władzy królewskiej zeszło w kraju, jednocześnie aż dwu królów mającym, do rzędu określeń czczych, żadnej treści nie zawierających.

August II. jednak był ambitny, nie podobała mu się rola króla malowanego. Miewał plany rozległe, na szerokie mety zakreślone. A do przeprowadzenia ich trzeba mu było przedewszystkiem władzy silnej, karności i posłuchu podwładnych, trzymania w garści i tych, którzy do Sasa, jak i owych, co do Lasa. Toteż siedząc na tronie, jeszcze nie bardzo pewnym, przemyślać począł nad reorganizacyą państwa, nad ugruntowaniem i wzmocnieniem władzy królewskiej. Czuł jednak i rozumiał, że nie z woli narodu usiadł

na stolcu Chrobrych i Jagiellonów, doświadczył, że w kraju »gminowładzy szlacheckiej« nie wielu znajdziesz zwolenników absolutnej monarchii — przeto zamierzył przy pomocy wojsk swoich, z Saksonii przywołanych, siłą plany swoje w czyn wprowadzić.

Szczęścia jednak nie miał: był ktoś, który mu zawsze psuł szyki i w zakryte karty zaglądać umiał. Ten sam, który go z ciężkim trudem na polski tron podsadzał — z pewnością nie z wielkiego ku niemu afektu — ten sam ujął się teraz za wolnością zagrożoną, jak ujmą się za nią zawsze wspaniałomyślni jego następcy. Sąsiad rosyjski poparł żądania konfederacyi tarnogrodzkiej, żądającej ewakuacyi wojsk saskich z krajów polskich. A ponieważ na poparcie swoje miał na granicy gotową i karną armię — przeto August na żądania skonfederowanych się zgodził i traktatem warszawskim (1716) rozpuścić wojska saskie obiecał.

Nie wszyscy jednak Sasi opuścili Polskę; część oficerów saskich pozostała, przyjąwszy indigenat. Między nimi pozostał i na stałe w Polsce osiadł Jan von Anschütz, augsburskiej konfessyi chorąży wojsk saskich, pieczętujący się herbem Ancuta, podówczas piastujący już urząd skarbnika brzeskiego. Syn, Jan Zygmunt, przeniósł się w województwo wileńskie i ożenił z Polką, Zofią Borkowską, z którą miał dwu synów, Zygmunta (ur. 1783. 15. września) i Karola (ur. 1789. 5. lutego) — obaj wpisani w księgi kościoła ewangelickiego w Wilnie.

Starszy Zygmunt, podpisujący się już »Anczyc«, odbywszy studya w Wrocławiu, zdezerterował po dwuletniej służbie w Zamościu z szeregów austryackich i przybył do Wilna; tutaj począł grywać na scenach amatorskich, potem zaś potajemnie zaciągnął się w sze-

regi trupy Emilii Deschner (grywającej w Grodnie, Mińsku, Połocku, Witebsku i innych miastach litewskich), narażając się na długoletni gniew rodziców; ze szczególnem zamiłowaniem i niemałem powodzeniem grywał role kontuszowe i charakterystyczne. W 1810 r. przyjął posadę rządcy w dobrach starościny Brzozowskiej — ale już w 6 lat później zaciągnął się w szeregi trupy Każyńskiego, grywającej w Wilnie.

Tutaj, w kościele OO. Franciszkanów, zawarł związki małżeńskie 1819 roku 19 stycznia z Barbarą Hrehorowiczówną, ulubioną artystką sceniczną; tutaj też urodził mu się dnia 12 grudnia 1823 roku syn, prawdopodobnie w domu przy ulicy Dominikańskiej pod l. 429, któremu na chrzcie, dokonanym w kościele ewangelickim augsburskiej konfessyi w Wilnie dnia 29 marca 1824 roku, nadano imiona: Władysław, Ludwik.

Nie wiele posiadamy wiadomości o pierwszych latach życia Władysława Anczyca. Dochował się w papierach pośmiertnych fragment pamiętnika, pisanego na krótko przed śmiercią.

Pamiętnik, w intencyi autora na szeroką zakreślony skalę, miał objąć wszystkie koleje pracowitego żywota i stanowić dla pozostałych dzieci moralne »*vademecum*« w życiu, skarbiec praktycznych wskazań i pouczeń, wysnutych z bogatego zasobu przeżyć i doświadczeń.

Niestety »Pamiątka po Ojcu« — tak nazwał autor pamiętnik — dochowała się tylko w postaci fragmentarycznej, opowiadając ledwie o paru najwcześniejszych latach dzieciństwa, więcej moralizując i katechyzując, nie wiele podając realnych reminiscencyj autobiograficznych. I te jednak, jakie są, przy zupełnym

niemal braku wiadomości o tej najwcześniejszej epoce życia Władysława Anczyca, posiadają wartość bezcenną, rzucając nieco światła na środowisko, w którem się poczęła urabiać psychiczna organizacya autora »Kościuszki«.

Dat nie podaje »Pamiątka« żadnych; w tem uzupełnia ją podręczna notatka, w której autor, między innemi, dla biografa nieocenionej wartości zapiskami, podał spis odbytych podróży, z dokładnem oznaczeniem roku a gdzieniegdzie i miesiąca.

Wedle tego spisu pierwszą podróż odbył Anczyc w roku 1825 w miesiącu marcu, z Wilna do Warszawy, dokąd przenieśli się rodzice i gdzie ojciec grywał na deskach teatru Rozmaitości. »Z pobytu w tem mieście« — opowiada w »Pamiątce« — »pozostały mi jakieś zamglone wspomnienia: jedno utkwiło mi w pamięci, że raz jakiś tęgi wiarus z żółtym kołnierzem niósł mię na ręku ze spaceru, a ja bawiłem się z jego ogromnemi wąsami. Zapamiętałem także melodyę, wygrywaną przy zaciąganiu warty i biciu w bębny. Przypomnienie melodyi tej w kilkunastu latach do łez mię rozrzewniło«.

Po półtorarocznym pobycie w Warszawie, we wrześniu 1826. r., wedle »Spisu odbytych podróży«, przeniósł się Zygmunt Anczyc wraz z rodziną do Krakowa; tu w wolnym, »ściśle neutralnym« grodzie podwawelskim, u stóp świeżo wzniesionej mogiły Kościuszki, miał się rozwijać ten, który zwycięzcy z pod Racławic miał wznieść piórem swoim drugi, nie mniej niepożyty kurhan.

Do piątego roku życia był młodziutki Anczyc bardzo słabowity i często zapadał na zdrowiu. »Większą część tych lat spędziłem w łóżku« — opowiada

w pamiętniku — »i tylko nadzwyczajne starania rodziców i lekarzy, a łaska Boska, utrzymały mię przy życiu. Rodzice zatrwożeni ofiarowali mię Najświętszej Pannie na Jasnej Górze, gdzie, skoro odzyskałem zdrowie, udaliśmy się dla dopełnienia ślubu«.

We wrześniu 1828 roku wyjechali w trójkę do Częstochowy, celem dopełnienia ślubu.

O ślubowaniu w klasztorze jasnogórskim i wrażeniu, jakie na młodym umyśle uroczystość ta wywarła — opowiada »Pamiątka«, co następuje: »Podróż do Częstochowy... niezmiernie mię zajmowała. Przybywszy na miejsce, ojciec natychmiast udał się do klasztoru zamówić nabożeństwo. Nazajutrz, przy rzęsistem oświetleniu i towarzyszeniu muzyki kościelnej, odbyła się uroczysta wotywa przed Matką Boską, po skończeniu której obleczono mię w maleńki habit pauliński, umyślnie dla mnie zrobiony, z zachowaniem wszelkich ceremonii, jakie się odbywają przy obłóczynach prawdziwych. Kapłan celebrujący odczytał nademną błogosławieństwo i polecił mię opiece Najświętszej Panny. Kiedy po skończonem nabożeństwie wyprowadzono mię z kościoła, klęczące niewiasty miejskie i wiejskie całowały szkaplerz mojego habitu, obsypując mię błogosławieństwami: pamiętam, że szedłem z wielką powagą, krok za krokiem, przejęty okazywanemi mi oznakami uszanowania, a zdawało mi się, że jestem prawdziwym księdzem«.

Tak to potomek przybyszów saskich, sam jeszcze w ewangelickim chrzczony kościele, już w zaraniu życia pasowanym został na rycerza Jasnogórskiej Pani. »Od czasu owych obłóczyn« — opowiada w »Pamiątce« — »stan zdrowia mego zupełnie się odmienił: odzyskałem rzeźkość i zdrowie i do dnia dzisiejszego,

prócz pomniejszych słabości, nigdy cięższej nie uległem chorobie; co większa« — mówi dalej, mając na myśli pewien epizod z 1846 roku — »raz w strasznem niebezpieczeństwie, zagrożony nieuchronną śmiercią, wspomniałem sobie ofiarowanie mnie i serdecznie westchnąłem do mojej Opiekunki: z piętnastu moich towarzyszy sam tylko pozostałem nietknięty — trzynastu ich straciło życie: czternasty, po czteromiesięcznej chorobie, odzyskał zdrowie«.

Rodzice lękali się ciągle o zdrowie jedynego syna; przy najmniejszej zmianie powietrza nie było mu wolno opuszczać pokoju. Zimą ubierano go od stóp do głów w flanelę, pakowano czapkę ciepłą na uszy, papucie na nogi i nieraz całe dni przepędzał siedząc na sofie z kamionką, napełnioną wodą gorącą.

»Do siódmego roku życia nie znałem co to mróz, deszcz i śnieg« — mówi w pamiętniku — »i całą zimę spędzałem w ciepłej izbie. Takie wychowanie bardzo źle wpłynęło na moje dalsze życie, bo i dzisiaj na zmiany powietrza, na słoty i mrozy nie jestem wytrwały i łatwo ulegam zaziębieniu«.

Przy wielkiej troskliwości o zdrowie chłopca, trzymano go jednak w ścisłym rygorze. Ojciec, oddany wyczerpującej pracy scenicznej, próbując pozatem pióra w przekładach utworów scenicznych drugorzędnych autorów niemieckich, nie znosił w domu nieporządków i hałasu, któryby mu przeszkadzał w pracy. »Ojciec mój« — opowiada pamiętnik — »starym obyczajem chowany surowo przez swoich rodziców, podobnież i mnie wychowywał. Był on bardzo dobrym i o mnie troskliwym, pamiętał o najmniejszej mojej potrzebie; jednakże pomimo tej troskli-

wości nigdy mi jawnie nie okazywał swojego przywiązania i nigdy, wyjąwszy gdy byłem bardzo chory, nie pocałował mię ani popieścił. Kiedy był w domu, musiałem się zachowywać jak najciszej, bawić najspokojniej, bo najmniejszy hałas niecierpliwił go i gniewał. Wprawdzie nie bił mnie, jak inni rodzice — ale dosyć było jednego groźnego spojrzenia, ażeby mi potężnego napędzić strachu. Czasami, kiedy w istocie coś zawiniłem, wpadał w gniew i zaczynał mię strofować. W takim razie starałem się zejść mu jak najprędzej z oczu. Wciśnięty w kąt drżałem ze strachu, ażeby mię nie dostrzegł i całemi godzinami nie śmiałem opuścić mej kryjówki. Jeżeli wyszedł z domu, oddychałem swobodniej, a matka zachęcała mię, ażebym za powrotem, upatrzywszy lepszy humor, upadł mu do nóg i starał się przeprosić; kiedy mi powiedziano, że ojciec już śpi, wysuwałem się z kąta i skradając się ostrożnie na palcach, dostawałem się wreszcie z bijącem sercem do mojego łóżeczka, które stało tuż obok łóżka ojca. Przeprosiny szły bardzo trudno, nieraz i godzinę namyślałem się, zanim nabrałem odwagi upaść ojcu do nóg: z rzewnym płaczem oblewałem je łzami i całowałem, obiecując poprawę. Kończyło się na tem, że ojciec, zrazu niby nieubłagany, wkońcu dawał się przebłagać, podnosił z ziemi i całował w głowę na znak przebaczenia, wówczas doznawałem nieopisanej radości i z wilgotnemi jeszcze od płaczu oczyma dzieliłem się z matką i Brzozosią tą wesołą nowiną«.

Bywały jednak chwile, w których ojciec był w dobrym humorze; przyzywał wtedy syna do siebie i opowiadał rozmaite ciekawe rzeczy, to o zjawiskach natury, o trzęsieniach ziemi, wybuchach wulkanów,

to historyę dawną kraju rodzinnego, to znowu przygody różnych podróżników. »Obok historyi« — mówi autor pamiętnika — »która mię tak mocno zajmowała, że mając zaledwie lat pięć potrafiłem wyliczyć wszystkich naszych królów w porządku, jak po sobie następowali, i opowiedzieć najważniejsze zdarzenia, najbardziej mię zajmowały opowiadania z Iliady, którą ojciec bardzo lubił, i z historyi starożytnej Grecyi«. Mały Władzio marzył, że kiedy dorośnie, zaćmi sławą czynów rycerskich Achillesa, Ajaxa, Milcyadesa i Leonidasa.

Inną stronę intellektu chłopca rozwijała matka, z natury mniej surowa, bardziej chłopca ku sobie garnąca, występująca zawsze w roli pośrednika między rozgniewanym ojcem a przerażonym i »w kąt wciśniętym« synem. Matka wpajała w chłopięcy umysł zasady wiary; codzień rano i wieczór odmawiała wspólnie z synem modlitwy, opowiadała historyę biblijną lub żywot Chrystusa. Wrażliwy chłopiec płakał nad losem nieszczęśliwego Abla, a opowiadanie o męce Chrystusowej wywierało na nim ogromne wrażenie; »drażliwy niezmiernie z powodu tylu przebytych chorób« — opowiada — »ze drżeniem słuchałem opowiadania o boleściach i ranach Pana Jezusa, czułem każdą nieomal ranę Jego, a gdy sam zostałem w pokoju, padałem na kolana przed wizerunkiem Ukrzyżowanego i z płaczem wpatrywałem się w święte oblicze«.

Na imaginacyę chłopca oddziaływała wspomniana Brzozosia. Wdowa po szlachcicu czynszowym w gubernii witebskiej, urodzona w głębokiej Litwie, wychowana na Białorusi, aż do swojej śmierci przez lat ośm przebywająca w charakterze mamki a potem niańki w domu

Anczyców — całem sercem przywiązała się do rodziny, której jakby członkiem była, a zwłaszcza do swego mlecznego syna; jak symbol ludowej bajdy stała nad kolebką twórcy dramatu ludowego, kołysząc go do snu klechdą o zaklętej księżniczce, o królewicach, zaczarowanych w skórę węża, o złośliwych czarnoksiężnikach i potężnych czarownicach, o żmijach, ogniem ziejących, o rozbójnikach i okropnych straszydłach. Chłopak przemieniał się cały w słuch; szedł z młodzieńcem oswobadzać królewnę, porał się ze strzegącym wrót straszliwym smokiem — a równocześnie z trwogą oglądał się po kątach, czy naprawdę nie wysuwa się jakiś okropny stwór.

Ojciec, wychowanek wieku oświecenia, gniewał się na ten romantyzm, który pod postacią piastunki wtargnął do domu i nad kołyską syna przystanął; ale romantyzm, który tam, na świecie, buchnął już odą do młodości, rozśpiewał się w balladach i zadumał nad zbiorami klechd ludowych — wyżenić się nie dał, a tylko korzystał z nieobecności w domu starego klasyka lub podpatrywał chwile, w których pracował przy biurku. I kiedy wyznawca Boileau'a z spokojnym, klasycznym gestem recytował miarowe spadki monologu Boratyńskiego — Brzozosia wkradała się potajemnie do pokoju i pełznąc na czworakach kryła się poza łóżeczkiem dziecka, szepcąc mu do ucha cichuteńko swoje dziwne historye.

W takiej atmosferze upływały pierwsze lata dzieciństwa Władysława Anczyca; chowany w domu arcykatolickim, w którym ojciec surowo przestrzegał klasztornego niemal obserwowania wszystkich praktyk religijnych, od dzieciństwa oddany w opiekę Matce Bożej, ugruntował w sobie silnie zasady wiary, za-

chwiane potem w latach zwykłego skeptycyzmu religijnego pod wpływem prądów chwili, ale tem silniejsze później, po przebyciu ogniowej próby wątpień.

Chowany w ścisłym rygorze, strofowany za najmniejsze przewinienie — przyczem i bez rózgi się nie obeszło — pędząc najmłodsze lata samotnie, bez towarzystwa rówieśników, z którymi z obawy przed zepsuciem nie pozwalano mu się bawić — wyrobił w sobie pewną skrytość, lęk przed gwarniejszem towarzystwem i hałaśliwą zabawą, ulubienie ciszy i samotności. Ojciec, matka i piastunka — to były trzy źródła, z których pierwsze wrażenia płynęły: ojciec rozwijał myśl w kierunku historyi ojczystej, starożytnej i elementarnych zasad nauk przyrodniczych — matka oddziaływała na serce modlitwą i życiem Chrystusa — piastunka budziła i rozwijała »*Lust zu fabulieren*«.

Czwarte źródło — to nauka i lektura pierwszych książek.

*
* *

Naukę elementarza rozpoczął młody Anczyc po ukończeniu lat czterech. Po trzech miesiącach żmudnego sylabizowania odczytał wreszcie pierwszy w życiu wierszyk, groźny treścią, majestatyczny kombinacyą Ducha św. z narzędziem kary dla młodocianych przestępców, doradzający starą metodę edukacyjną, powszechnie w owych latach w praktyce aplikowaną. Był to wierszyk: *Różczką Duch święty dziateczki bić radzi — Różczka bynajmniej zdrowiu nie zawadzi — Różczka popędza rozumu do głowy* i t. d.

Pierwszą książką, jaka dostała się w ręce chłopca, były — snać nie bez wpływu ojca na wybór — bajki

Krasickiego. O nich mówi w »Pamiątce«: — »Nieocenione te bajki bardzo polubiłem: każda z nich tworzyła mi świat odrębny. Każde zdarzenie żywo sobie wyobrażałem, czy to chłopców, bijących żaby kamieniami, czy myszy, radzące nad pozbyciem się kota, czy szczura na ołtarzu podczas nabożeństwa, lub biednego psa, którego za wszystko bito. I nieraz, kiedy się wydarzyło, że niezasłużenie oberwałem burę, porównywałem się z ową biedną psiną i płakałem nad wspólnym naszym losem«.

Do lektury miał pociąg wielki i wrodzony; niczem tak się nie ucieszył, jak Robinzonem, którego mu ojciec na imieniny podarował. Porając się jeszcze z trudnościami, które mu czytanie sprawiało, kilka razy odsylabizował książkę od deski do deski. W kąt poszli teraz wszyscy bohaterowie bajek Brzozosi: ulubieńcem chłopca został Robinzon. Idąc spać, kładł książkę pod poduszkę, wstając, sięgał ręką, celem przekonania się, czy jest przy nim.

»Nie pamiętam« — mówi — »ażeby kiedykolwiek później jaka książka tak silne na mnie wywarła wrażenie«.

Po Robinzonie przyszła kolej na »małego Henrysia« — potem »odkrycie Ameryki«, podróże Gulliwera, podróż kapitana Behrensa na Spitzberg i t. d. Wszystko to rozbudzało fantazyę chłopięcą; jak niegdyś pod wpływem opowiadań ojca roił o czynach rycerskich na wzór herosów Homerowych — tak teraz marzył sobie, że zostanie sławnym podróżnikiem, odkrywcą nieznanych krain.

Któż z nas nie pamięta owych dziecięcych snów o potędze, owej przebogatej krynicy impulsów, jakie biją o wyobraźnię z pierwszej książki? — Kogóż z nas

nie zaprowadziły one w podzwrotnikowe puszcze do walki z dzikim czerwonoskórcem, lub nie cisnęły w kuli armatniej na lodowe płaszczyzny księżyca? Wspomnienie, budzące półuśmiech, ale i pewną tęsknotę za sielskim wiekiem mydlanych baniek, rozbitych bezpowrotnie o twardy próg życia.

Pierwsze nauki odbywał mały Anczyc w domu, robiąc latem wycieczki w okolice Krakowa: do Węgrzec, Bielan, mogiły Krakusa, Górki, Krzeszowic, Rudawy i innych miejscowości. Egzamin z klasy pierwszej zdawał 27 lipca 1836 r., w liceum św. Anny i zdał go z postępem dobrym, jak świadczy dochowane świadectwo. W miesiącach sierpniu i wrześniu roku następnego odbył dłuższą podróż do Kalisza i Opatówka. Nauka postępowała regularnie; w roku 1839 ukończył klasę IV-tą liceum św. Anny z postępem dobrym (wedle dochowanego odpisu świadectwa).

Tymczasem dom nawiedzać zaczęły coraz częstsze troski materyalne; rodzina zwiększała się z każdym rokiem niemal o nowego potomka a ojciec, wyczerpany niewdzięczną w owych czasach rolą aktora, zapragnął najstarszemu synowi zapewnić byt znośny. Młody Anczyc, mimo otrzymanej promocyi, do piątej klasy nie wszedł; posłuszny woli ojca rozpoczął 1 lutego 1840 r. praktykę farmaceutyczną w aptece Adolfa Aleksandrowicza i Wojciecha Like.

Nieprzebrane zapasy pilności i pracowitości posiadać musiał młody farmaceuta; za ladą aptekarską nie zaniedbuje przerwanej, systematycznej nauki: mając lat 18 składa w liceum św. Anny egzamin dojrzałości z bardzo dobrym wynikiem; po 4-ro letniej praktyce aptekarskiej, ukończonej u Augusta Reddyka »pod

Lwem« przyjętym zostaje do gremium aptekarzy (3 lutego 1844 r.) — w tymże roku zapisuje się do uniwersytetu jagiellońskiego jako słuchacz farmaceutyki i dnia 24 lipca 1845 roku składa z odznaczeniem egzamin.

W rzadkich chwilach, wolnych od ciężkiej pracy zawodowej, odbywa piesze ekskursye do Bielan, Krzeszowic, Czulic, Mnikowa, jeździ do Buska, Ojcowa i Solca; z ogromnem zamiłowaniem podpatruje życie ludu, wsłuchuje się w piosenki na zagonie, zapoznaje z psychologią i logiką chłopskiego mózgu, przyswaja sobie cały ten nieobszerny horyzont kmiecej myśli, z jej biedami i troską, uciechą i weselem. Tam, na tle zielonej przestrzeni pól i lasów, wśród wolnych przestworów powietrza, chłonie w siebie bujny siew wrażeń twórczych, z których kiedyś przebogate plony wzejdą; tam poczynają o mózg wysuszony refleksyą, uderzać gdzieś na dnie duszy ukryte moce, poczyna budzić się krzepkość i werwa młodzieńcza, rozwijać i wyostrzać wrodzony dowcip. Jednocześnie na bruku miejskim zapoznaje się bliżej z teatrem, z życiem kulis i kinkietów; tłumaczy na zlecenia dyrektorów sztuki sceniczne, zasilając w ten sposób chudy worek.

A tymczasem o myśl, uwikłaną w nową przędzę codziennego bytowania, obijać się jęły odgłosy jakiejś potężnej burzy, wyczuwać się dały wstrząsy podziemne, grożące jakimś ogromnym kataklizmem społecznym. I oto zdziwiona myśl młodego aptekarza stanęła u wrót nowego świata i z młodzieńczą skwapliwością rzuciła się w odmęty — życia.

2: ROK 1846. ANCZYC REWOLUCYONISTĄ.

Wiosna ludów. — Pierwsze utwory Władysława Anczyca. — Upadek rewolucyi. — Walka na pióra. — »Dodatek do Świstka«. — Wiersze ulotne.

Wolne, ściśle neutralne miasto Kraków, stworzone na mocy traktatu dodatkowego z dnia 3 maja 1815 roku, było tworem efemerycznym, liczącym żywot swój na chwile, przedłużające się jedynie miarą apetytów trzech ościennych opiekunów. Każdy z tych opiekunów miał w Krakowie swojego rezydenta, baczącego pilnie, iżby senat, naczelna władza »niepodległego« miasta, zbyt dosłownie owej niepodległości nie rozumiał. Mimo to jednak hasła reakcyi, budzącej się w Europie przeciw żelaznym dłoniom despotyzmu, znalazły w autonomicznym Krakowie grunt podatny a nieporządki studenckie w uniwersytecie jagiellońskim w roku 1820, współczesne spiskowi Łukasińskiego w Warszawie, były odbiciem fali, która szeroko rozlała się w zmowach po wszechnicach niemieckich.

Powstanie listopadowe w Królestwie, tworzące zrazu wodę na młyn polityki Metternicha, roznieciło w »wolnym« Krakowie żywe poczucie narodowej sprawy, a szeregi emigrantów, szukających w Galicyi i Krakowie przytułku, stały się palnym materyałem dla »*liberum conspiro*«. Po 1831 roku mnożą się w Krakowie i sąsiedniej Galicyi związki tajne, jak grzyby po deszczu. Kraków staje się głównem ogniskiem konspiracyi a sprawa narodowa coraz bardziej przekształca się w sprawę społeczną pod wpływem ogólnego nastroju w Europie i ręki kierującej z Paryża.

Dlaczegoż bowiem upadliśmy? Dlaczego pod

tak szczęśliwemi auspicyami poczęty ruch w listopadzie 1830 roku, zakończył się przegraną? Oto pytanie, które zadawał sobie kwiat emigracyi polskiej w Paryżu, kwestya, rzucona jak kość niezgody na arenę życia publicznego, od której trzęsły się ściany sal Taranu i Vauban'u, zaród niewczesnych żalów i oskarżeń, »źródło potępieńczych swarów«. Gdzież winowajca? Większość widziała go w dyktatorze, władzach wojskowych, w sejmie wreszcie; wszystkie te magistratury składały się ze szlachty, były jej emanacyą — więc: heureka! Winę za klęskę w roku 1831 ponosi — szlachta polska, szlachta, jako kasta uprzywilejowana, zatwardziała w swej wyłączności stanowej, w swoim małodusznym egotyzmie — więc, jako taka, do dzieła odrodzenia nie sposobna, jemu na wspak stająca. Więc hasło, nad Sekwaną urodzone: przez rewolucyę społeczną do bytu — któremu obóz przeciwny przeciwstawiał: przez byt do reform społecznych. Chłopa brakowało pod sztandarami roku 1831, — dlatego przegraliśmy; chłopa powołać trzeba pod nowe sztandary — a wygramy. Ale ażeby ów chłop stanął, ażeby sprawę pojął i ją ukochał, trzeba go powołać do wspólnego stołu przywilejów, do którego przez wieki przystęp miał zamknięty, trzeba mu dać ziemię i równouprawnienie w Galicyi i Królestwie, a uczynić to samemu, z własnej inicyatywy, nie dając się ubiedz rządowi zaborczemu, jak to się stało w Poznańskiem. »Bóg dał ziemię dla wszystkich ludzi« — poucza odezwa Towarzystwa demokratycznego do obywateli-żołnierzy, z dnia 12 września 1832 roku — »chłopom należy się prawem własności ta ziemia, którą uprawiają. — Nie odezwiemy się do szlachty, tylko chłopom powiemy: powinnością jest waszą domagać się

tego, co wam wydarte zostało i co wam się należy, a wybuchnie narodowa wojna«.

Uświadomienie w tym kierunku propagują w Krakowskiem i Galicyi emisaryusze emigracyi, w imię tych myśli ponoszą śmierć bohaterską w zaborze rosyjskim Zawisza, Wołłowicz, Konarski. W imię haseł Towarzystwa demokratycznego zakłada Seweryn Goszczyński i Lesław Łukasiewicz w Krakowie »Zjednoczenie ludu polskiego« i do »głównego zboru« powołuje reprezentanta włościan; w sąsiedniej Galicyi powstaje sprzysiężenie demokratów polskich, związek terrorystyczny, zwany »mazurskim«, młoda Sarmacya, związek synów ojczyzny, kosynierów, socyalistyczne stowarzyszenie plebejuszów w Tarnowie. W tymże Tarnowie wiąże się »Związek Bezimienny«, który miał podnieść oręż z chwilą wtargnięcia Zaliwskiego w ziemie Rzeczypospolitej. Równocześnie Karol Borkowski organizuje w Galicyi związki węglarskie pod nazwą »Przyjaciół ludu«, pozdrawiające się zawołaniem: śmierć tyranom! Związki, którymi kierują bracia Wiśniowscy i Smolka, mają za cel oświatę ludową, przygotowanie szlachty do uwłaszczenia chłopów. Gęsto rozsiane »Kółka czytelniane«, nie tyle zajmują się lekturą, ile konspiracyą. Mianowani przez Zaliwskiego dowódcy mają nakaz propagowania między ludem nauki o prawie do ziemi.

Lud staje się celem pracy — gorączkowej, bez programu, nawet bez znajomości duszy chłopskiej, jej pragnień, zamiłowań — a więc pracy nie pedagogicznej, nie budującej, a destrukcyjnej i w skutkach fatalnej.

Kraków działał, ile mógł, dla polepszenia doli chłopa.

Deputacya, zajęta opracowaniem konstytucyi dla »wolnego miasta«, utworzyła w łonie swojem osobny komitet, mający zająć się urządzeniem stosunków włościańskich, zwany komisyą włościańską.

Hr. Spork, komisarz austryacki, przy uroczystem proklamowaniu konstytucyi »wolnego« miasta Krakowa dnia 11 września 1818 roku nie mało słów poświęcił sprawie chłopskiej. Oto »rolnik« — mówił — »główna część tutejszej ludności, złożył zardzewiałe kajdany poddaństwa, zaprzestał doznawać niewoli teraźniejszych wieków; ani się więcej syci chlebem, który łzy niedoli skrapiały. Odtąd staje on się obywatelem kraju, dzierżawcą uprawianej przez siebie ziemi, niepodległym człowiekiem, lub równym swemu dziedzicowi. Wolno mu jest, przy wyjściu kontraktu, nową z właścicielem i pod innymi warunkami zawierać umowę; wolno mu z nim rozłączyć się, w innem osiąść miejscu, albo do obcego wywędrować kraju. Rodzina jego może mu towarzyszyć, gdyż nie należy do gruntu i wyjęta jest z przeznaczenia nikczemnej płonki, która w jednem stanowisku okwita i więdnie«.

Gdyby zaś krzywda chłopu się stała ze strony dziedzica — »prawo mu ratunek oraz sprawiedliwość przeciw wszelkim gwałtom podaje i zabezpiecza«.

Komisya włościańska pracowała w istocie szczerze: powiększono liczbę szkółek wiejskich, utrudniono żydom dostęp do »szynków karczemnych, w których szerzyli opilstwo, wykorzeniali pracowitość a lichwę swoją i zawisłość włościanina niedościgłymi zabiegami uwieczniać starali się«. Komisya zniosła dziesięcinę snopową dla plebanów, widząc w niej przeszkodę w gospodarstwie i »ziarno zwaśniające pasterza z owieczkami«.

W sprawie zasadniczej stosunku włościanina do dziedzica orzekał artykuł III. konstytucyi, co następuje: »Każdemu wieśniakowi wolno jest przenieść osobę swoją, równie jak swoją własność, wedle form ustawami przepisanych. Stosunki włościanina względem właściciela gruntu stanowi umowa, bądź domniemana, bądź wyraźna. Względnie (sic) ziemi onemu do uprawienia użyczonej, uważać go należy jak dzierżawcę, opłacającego dzierżawę swoją, bądź to pieniądzmi, bądź ziemiopłodami, bądź też posługami osobistemi. Każdy rolnik ma niezaprzeczoną zdolność używania wszelkich praw cywilnych i politycznych, bądź czynnych (actifs) bądź biernych (passifs), jeżeli posiada własności przez konstytucyę żądane. W obliczu prawa wszyscy obywatele są równi i wszyscy zostają pod równą onegoż opieką, bez żadnej różnicy stanów lub kondycyi«.

Te ostatnie atrybucye miały znaczenie czysto illuzoryczne; w zgromadzeniu reprezentantów władzy legislatywnej »wolnego miasta«, zbierającej się raz do roku na czterotygodniową sesyę, zasiadali wprawdzie delegaci gmin, ale jednym z warunków biernego prawa wyborczego było ukończenie studyum akademickiego; stanowisko zaś prawne chłopa, jako dzierżawcy, było bardzo niezupełnem zrównouprawnieniem, zwłaszcza wobec faktu, że rząd pruski już 27 lipca 1808 roku nadał osiadłym chłopom grunta na własność, bez konieczności wkupna.

W każdym jednak razie chłop w Krakowskiem miał się pod każdym względem lepiej, aniżeli jego sąsiad galicyjski. Tam wszelka robota jawna pełzła na niczem; rokrocznie uchwalane wnioski sejmu stanowego we Lwowie, domagające się zniesienia pań-

szczyzny, rządu centralnego nie dochodziły, lub dochodziły go skoszlawione, w sfałszowanem oświetleniu. Był ktoś, komu chodziło o *status quo,* o niedopuszczenie do kompromisu stanów, o judzenie chłopa i budzenie w nim nieufności i zawiści. Byli tacy, którzy pod opiekuńczem skrzydłem ciemnoty umysłów prowadzili krecią robotę i mącili wodę, bo z mętów wyszli i w mętach się paśli; ci, o których współczesna popularna piosenka śpiewa:

Przyszli Niemcy do kraju
Podług swego zwyczaju
Z cielęcemi torbami —
A dzisiaj są panami.

*

Niemcy piszą a piszą,
Użalić się nie dadzą,
Pióra im się kołyszą
A pieniążki gromadzą.

Biurokracya galicyjska owych lat! Niech o niej mówi Dr. Hammer słowami wyrzeczonemi do młodzieży wiedeńskiej w r. 1848: »Przez więcej jak 70 lat była biedna Galicya w całej swej objętości kloaką, gdzie wymiatano śmiecie klasy urzędników całej Austryi, rok każdy sprowadzał nowe kupy podłego motłochu wygnanych z innych części Austryi z dekretami na urzęda w kieszeni do biednej Polski; ci usuwali i uciskali krajowców, plątali sieć nieszczęść i szkaradnych zdrad po całym kraju, siali niezgodę we wszystkich klasach ludu. Ta czereda synów ciemności i niewolników absolutyzmu przedstawiała Galicyę w gazetach naszych raz jako klub jakobiński, drugi raz, w sprzeczności sama z sobą, jako arystokracyę

bez serca i sumienia, niszczącą w samym zawiązku każdą myśl naprawy społecznego położenia naszego, porządku w stosunkach poddańczych i oświaty ludu«. Od 10 lat właściciele dóbr przedkładali przez sejm tronowi życzenia o zniesienie pańszczyzny i innych urbaryalnych ciężarów; sprzeciwiała się temu — galicyjska biurokracya.

»Kto bałamucił chłopka, wmawiając mu, że panowie to jego tyrani, a ssał przytem krew panów i chłopów? Galicyjska biurokracya«. Kto tamował zaprowadzenie szkółek ludowych, »komu piekło podało myśl haniebnej rzezi w roku 1846, kto ją dokonał? Galicyjska biurokracya. Po chłopsku poubierani urzędnicy dowodzili bandami zbałamuconych chłopów. Kazali — o zgrozo! — przy okrzyku: niech żyje Cesarz, tak Cesarz każe — bezbronnych mężów, zgrzybiałych starców i — dzieci w łonie matki jeszcze, okrutnie mordować«.

I nie masz przesady w tym strasznym akcie oskarżenia; o materyał dowodowy — nie trudno. Poddaństwo było dla biurokracyi prawdziwie złotą kopalnią, utrzymując wieczny zaród niezgody między właścicielem i poddanym, a dziedzica i jego dochody oddając w ręce urzędników cyrkularnych. Z reguły cyrkuł podburzał gromadę do t. zw. skargi pregrawencyjnej; proces ciągnął się miesiącami, chłopi tymczasem pańszczyzny nie odrabiali, więc plon niszczał, kraj pogrążał się w ruinie ekonomicznej. Dzieje rzezi roku 46 dostarczają aż nadto dowodów na poparcie słów Hammera: taki Breinl, utrzymujący stałe konszachty z Jakubem Szelą, taki Berndt, starosta bocheński, obiecujący każdemu chłopu za udział w wyprawie na powstańców cetnar soli, a za dostarczenie żywcem

buntownika po 5 zł. od głowy, taki hofrat Milbacher, starosta lwowski, doradzający gubernatorowi zaprowadzenie chłopskiej jurysdykcyi, ustanawiający w okólniku, wydanym we 2 tygodnie po wybuchu tarnowskim, policyę wiejską z obietnicą wypłaty 10 złr. m. k. za dostarczenie do cyrkułu powstańca — to były twory przegniłej atmosfery, wyrosłe z cuchnącego bagna depravacyi moralnej, w jakiej od szeregu lat tonęła ówczesna biurokracya w Galicyi.

W mroki duszy chłopskiej padało słowo agitatora: bierz chłopie ziemię, ona twoja — a za to stań, gdy znak damy i wal z kłonicą na cesarskich — a równocześnie, zwłaszcza po upadku Zaliwskiego, po nastaniu epoki prześladowań, aresztowań, wydawań Rosyi emigrantów etc. — sączono w dusze chłopskie jady korrupcyi, delatorstwa, schlebiano im celem pozyskania oskarżeń na panów, łudzono obietnicami rychłego uwłaszczenia. Chłop, nie dorosły do odczucia ideałów patryotyzmu, obywatelskiej służby, dziejowej krzywdy zaboru — tyle jeno rozumiał, że mu się ziemia należy, że mu ją sam cesarz siłą wziąć każe — a owym kryjącym się, tajemniczym panom nie ufał, ziemi z rąk ich nie chciał, bojąc się Danajowego daru.

I w duszy owego chłopka, który nagle stał się celem tylu zabiegów i wysiłków, pełnych nieraz najlepszej woli, ale w taktyce nieopatrznych, w zasadzie już zatrutych jadem nienawiści społecznej — a z drugiej strony szereg lat narażonej na deprawacyę ze strony różnych mandataryuszy, komisarzy cyrkułowych, starostów, Breinlów i Precliczków — w duszy tej poczęła się, i rosła, i na czyn gotowała — myśl kainowa.

*

* *

Tymczasem szybkiem tempem zbliżały się wypadki; po kraju krążyły manifesty Towarzystwa demokratycznego, głoszące »zniesienie przywilejów, przesądów i przywłaszczeń, panowanie równości«.

»Ziemia nie należy do nikogo, płody ziemi do wszystkich« — pisał Z. Mierosławski w Paryżu — wszystko zrobi się bez hałasów i mordów, a jeśli przyjdzie do rzezi, będzie ona krótką i skuteczną«.

Szły pierwsze wici nadciągającej burzy, dojrzewały owoce kommunistycznej propagandy. W r. 1844 podniósł ksiądz Ściegienny ruch w Krakowskiem pod hasłem wyrznięcia szlachty i rozdania gruntu chłopom. Na czele 13 chłopów uderzył na Kielce — ujęci, wysłani zostali na Sybir. Mimo tych ostrzegawczych znaków propaganda rosła niewstrzymanym pędem. Mnożyli się wyznawcy »katechizmu demokratycznego«, najpopularniejszej broszury w owych latach. Nowy katechizm nauczał, że miłość ojczyzny, to miłość ludzkości, uciskanej przez despotów; że winę upadku Polski ponosi szlachta, jej kastowość, ucisk ludu, że przez lud wiedzie droga do niepodległej, ludowej Polski, przez rewolucyę społeczną do wolności. Jeśliby szlachta stawiła rewolucyi społecznej, uwłaszczeniu ludu opór — biada jej! a bez terroryzmu nie może udać się rewolucyjne powstanie. »Patryoci, podejmujący powstanie i rewolucyę społeczną, powinni sobie prawo terroryzmu wymierzać, do nikogo się nie odwołując, skoro objawi się przestępstwo. Kiedy wznoszą rewolucyę i powstanie, mają prawo rozkazywać w imieniu ojczyzny i karać nieposłusznych«.

Równocześnie, w miarę wzrostu represyi rządowych, wzmogła się demoralizacya chłopa ze strony biurokracyi, na której czele stali osławieni Franciszek

hr. Krieg von Hochfelden, prezydent gubernialny, Leopold Sacher Masoch von Kronenthal, Maurycy Wittmann, radca sądu karnego we Lwowie, Józef Pressen, prezes sądu karnego we Lwowie.

Franciszek Kratter, hofrat z Czerniowiec, miał pierwszy poddać myśl użycia chłopów do ścigania emigrantów za wynagrodzeniem 10 zł. od głowy. Wypełniają się więzienia po brzegi, a w nich głód, rózgi i trud wymuszają zeznania. Związki tajne, pozostające w ciągłym kontakcie z centralizacyą, pragną przyspieszyć powstanie. Malinowski, założyciel »Powszechnej konfederacyi narodu polskiego« (zwanej także »Związkiem mazurskim«) wydaje 25 sierpnia 1837 roku manifest, wzywający do powstania; szlachta, celem zjednania ludu dla sprawy, brata się z chłopem, jeździ w drabiniastych wozach, sadza poddanych na sofach i krzesłach. Chłop, skutkiem zabiegów biurokracyi nieufny, posądza panów o ukryte zamiary. Podczas dożynek we wsi Szczepanowicach szlachta brata się z chłopem przy stole i tańcu, rozprawia o wypędzeniu Niemców z kraju; ano, kiedy równość, to równość: więc pewien urlopnik puszcza się w amory do swojej tancerki — szlachcianki, aż wreszcie całuje ją siarczyście, jakby uczynił z Jagną czy Kasią; ale równocześnie otrzymuje policzek od brata pocałowanej, który wprawdzie równość apostołował, ale całus, złożony przez chłopskie usta na szlacheckim policzku, uważał za obelgę. Miał ów urlopnik donieść władzom o istnieniu i działalności »Konfederacyi narodu polskiego«, a w procesie chłopi stanęli jako świadkowie dowodowi.

W roku 1837. powstał w Bocheńskiem pierwszy związek chłopski pod nazwą »Towarzystwa pomocy«,

a propagował powszechną, absolutną równość, choćby ją siłą zdobywać trzeba.

Agitacya wtargnęła i w szeregi wojskowe: związek wojskowy w Przemyślu przygotowywał wybuch na wiosnę 1840 roku; sprawę wykryto wczas, członków aresztowano, a w Przemyślu zaprowadzono stan oblężenia.

Siła wypadków przeszła ponad głową centralizacyi; wybuchu odwlec było niepodobna; dzień 21 lutego oznaczono jako dzień insurrekcyi. Nad Wisłą i Wartą zatknięto chorągiew powstania, a wypisano na niej nie tylko »niepodległość«, ale i »Rzeczpospolita polska«.

Na 10 dni przed wybuchem Mierosławski, uwięziony wraz z całym sztabem, zamknięty został w Moabicie. Dnia 18 lutego wojska austryackie zajęły Kraków. I nie po raz pierwszy. Los »wolnego miasta« był dawno przesądzony; współudział w konspiratorskich robotach, osłanianie politycznych przestępców opłacał Kraków traceniem co roku prerogatyw »wolnego miasta«: władza przechodziła w ręce rezydentów, wojska wkraczały do miasta, nie troszcząc się o konstytucyę. We wrześniu 1833 roku stanęło między Austryą a Rosyą porozumienie w sprawie polskiej; jeden artykuł dopuszczał w razie potrzeby okupacyę miasta. W roku 1835 zawarły trzy mocarstwa w Teplitz i Pradze konwencyę, postanawiającą wcielenie Krakowa do Austryi; dzięki Prusom, które miały same apetyt na Kraków, sprawa poszła w odwłokę.

Teraz, kiedy w Poznańskiem zapłonęły wici wojenne, porwał się i stary Kraków. W nocy z 20 na 21 lutego 1846 (w piątek) uderzyły kupki powstańców na miasto od strony Zwierzyńca, Kleparza, We-

sołej i Stradomia; rychło odparto ich a w mieście zaprowadzono stan oblężenia. Ale już dnia 23 lutego jenerał Collin, zaniepokojony fałszywą wieścią o nadciągających z Galicyi powstańcach, cofnął się na Podgórze wraz z załogą, liczącą 1300 piechoty, kilka szwadronów kawaleryi i 6 dział; za wojskiem pociągnął prezes senatu ks. Schindler, rezydenci i władze.

Po niespodzianej ewakuacyi wojsk na czele ruchu rewolucyjnego stanęli Tyssowski, Gorzkowski, Grzegorzewski i Rogawski a rewolucya przybrała odrazu barwę ruchu społecznego. Z »szarej kamienicy« szły manifesty, do których wzory czerpano z dziejów wielkiej rewolucyi i ruchów socyalnych we Francyi. »Będzie nam wolność« — pisał w manifeście Tyssowski — »jakiej dotąd nie było na ziemi. Wywalczymy sobie skład społeczeństwa, w którem każdy według zasług i zdolności z dóbr ziemskich będzie mógł użytkować, a przywilej żaden i pod żadnym kształtem mieć nie będzie miejsca — w którem ziemia, dziś przez włościan warunkowo tylko posiadana, stanie się ich bezwarunkową własnością; ustaną czynsze, pańszczyzny i wszelkie podobne należytości, bez żadnego wynagrodzenia«. Dyktator (Tyssowski) groził karą śmierci tym, którzyby do pańszczyzny zmuszali. Dnia 24 lutego ogłasza »Dzienik rządowy Rzeczypospolitej Polskiej« zniesienie »ceł, mytów i tym podobnych nadużyć« — wkrótce cofnięto to zarządzenie.

Dnia 25 i 26 lutego nakazuje dyktator założenie warsztatów wyrobniczych narodowych (ateliers nationaux) i stanowi w nich podwójną zapłatę. Dnia 26 tegoż miesiąca rozlepiono na rogach Krakowa ogłoszenie, zredagowane przez Edwarda Dembowskiego, a podpisane przez dyktatora, w którem, w razie zmu-

szania poddanych do robocizn, egzekucyę na dziedzicach oddawano samym chłopom; potem, na przedstawienie obywateli, dyktator cofnął to ogłoszenie, a w odezwie 1 marca tłumaczył, że zaszła pomyłka.

W nowo kreowanej Rzeczypospolitej Polskiej, której los był więcej, aniżeli problematyczny, rozpoczęto od reform społecznych niewolniczo i bezmyślnie czerpanych z wzorów francuskich. Jednocześnie zaś władza naczelna przechodziła z rąk do rąk niemal co godzinę: dwie godziny piastował ją Lissowski, wysłannik centralizacyi paryskiej, potem, za kilkoma nawrotami, stał u steru Tyssowski, zepchnięty zamachem stanu na kilka godzin przez profesora Wiszniewskiego, przedstawiciela umiarkowanego »Komitetu bezpieczeństwa«. W 10-dniowej Rzeczypospolitej Polskiej trzeba było się spieszyć i zmieniać naczelników jak najczęściej.

Wkrótce z cyrkułu tarnowskiego, bocheńskiego i jasielskiego nadciągnęły hiobowe wieści: rozpłonęły krwawe łuny bratobójczej zbrodni, buchnęła purpurowa żagiew rzezi, a na zgorzeliskach popalonych dworów, wśród jęków mordowanych, — których pamięć zagłuszyć nie zdoła odosobniony ruch chochołowskich chłopów, — w smugach dymów i pożarów, rozpoczęły tan piekielny upiory historyczne: Szele i Breinle.

A gdy nadeszła wiadomość o gdowskiej porażce, groza wionęła na stary gród królewski i nieutulony, straszny żal i zawód rozsiadły się na rumowisku zdruzgotanego gmachu nadziei.

Tedy uradzono 27 lutego wyruszyć z krzyżem i monstrancyą naprzeciw zbliżającej się czerni; zastęp, liczący przeszło 40 księży, bractwa kościelne z cho-

rągwiami, tłum publiczności z tyłu — wszyscy pociągnęli na Podgórze, opuszczone przez Austryaków przed trzema dniami i pozostające w rękach powstańców. Procesya, śpiewając suplikacye, zbliżyła się o zmierzchu ku cmentarzowi, gdy nagle rozległy się się strzały i doszła wieść, że Austryacy idą; tłum skręcił w ulicę Rękawka, kierując się w stronę kościoła; na rogu ulicy wojsko austryackie otoczyło procesyę i tu odegrał się ostatni akt strasznej tragedyi: od dział, zatoczonych na wzgórza Krzemionek, skierowanych na bezbronną masę, zginęło kilkadziesiąt osób, w ich liczbie inicyator procesyi Edward Dembowski. Wielu odniosło rany, a przeszło 100 ludzi, którzy zdołali ukryć się, wyciągnięto z kryjówek i osadzono pod kluczem na odwachu, w kościele i w izbach magistratu.

Wedle raportu, dochowanego w aktach ziemskich i grodzkich we Lwowie (L. 61), uwięziono pomiędzy innymi i osadzono w aresztach magistratu podgórskiego pod zarzutem zbrodni stanu Władysława Anczyca.

*
* *

Bliższe szczegóły udziału Władysława Anczyca w rewolucyi krakowskiej znane nam są jedynie z relacyi pana Wacława Anczyca, któremu ojciec chętnie o roku 1846 opowiadał. Za zaoszczędzony z przepisywań sztuk teatralnych grosz zakupił Władysław Anczyc skałkową strzelbę i szczęśliwym trafem przyszedł w posiadanie znakomitej klingi, batorówki, którą za bezcen w składzie starego żelaziwa nabył. Tak uzbrojony, poprowadził z Kleparza, gdzie miał wyznaczony posterunek, gromadkę powstańców w stronę

rynku, na którym jednak po wystrzale z armaty austryackiej oddział rozprószył się. Po cofnięciu się wojska austryackiego na Podgórz, ostrzeliwał wraz z innymi podgórski brzeg Wisły, potem zaś brał udział w tragicznej procesyi. Wraz z piętnastu towarzyszami zdołał schronić się za podgórskim kościołem w stodole, pełnej siana, w której przez dwa dni się ukrywali. Po dwóch dniach spostrzegł ich gospodarz i sprowadził patrol: zmuszeni opuścić schronienie wychodzili jeden po drugim i ginęli w ciasnem przejściu pod razami bagnetów; tylko Anczyc zakopał się głęboko w siano i w ten sposób ocalił życie. Zmuszony wreszcie głodem do wyjścia z ukrycia, został aresztowany i zamknięty w magistracie podgórskim, skąd dnia 7 maja o godz. 11 zrana przeprowadzono go do klasztoru OO. Bernardynów w Krakowie, wreszcie do więzienia przy ul. Kanonicznej. To swoje cudowne ocalenie ma na myśli, kiedy opowiada w »Pamiątce«: »raz, w strasznem niebezpieczeństwie, zagrożony nieuchronną śmiercią, wspomniałem sobie ofiarowanie mnie i serdecznie westchnąłem do mojej Opiekunki: z piętnastu moich towarzyszy sam tylko pozostałem nietknięty — trzynastu ich straciło życie: czternasty po czteromiesięcznej chorobie odzyskał zdrowie«.

Pobyt w więzieniu podgórskiem był nad wyraz przykry: utworzona »komisya kryminalna«, inaczej »sądem excepcyonalnym« zwana, obradująca pod kierownictwem osławionego Ignacego Zajączkowskiego, radcy apelacyjnego, przedłużała badania w nieskończoność, dopatrując się coraz nowych nici spisku. Śledztwo postępowało naprzód żółwim krokiem, nie zważając na rozporządzenie cesarskie z dnia 16 gru-

dnia 1846 roku nakazujące, ażeby sądy »roztropnie i umiarkowanie« tylko przeciw głównym przewódcom rewolucyi z oskarżeniem występowały. W ciągu dwuletniego śledztwa Mateusz Janikowski i Augustyn Margasiński zmarli, Fr. Bytomski dostał pomieszania zmysłów, kilku zdołało zemknąć. Życie wlokło się ciężko, urozmaicone indagacyą lub konfrontacyą więźni. Z początkiem kwietnia wyprowadzono Anczyca wraz z 30 towarzyszami o świcie i poprowadzono drogą ku Wieliczce. Chodziło o agnoskowanie trupa Edwarda Dembowskiego, na którego głowę nałożono nagrodę w kwocie zł. 1000 m. k. a o którym chodziły wieści, że nie zginął, lecz ukrywa się w Karpatach. Scenę tę opisuje Anczyc i Ludwik Bogacki w sposób następujący: »Na początku kwietnia 1846 r. wczas rano wyprowadzono nas w liczbie około 30, w aresztach magistratu podgórskiego od czasu onej nieszczęśliwej procesyi zamkniętych na podworzec i oddano pod straż wojskową. Audytor pułkowy odczytał nasze nazwiska, przeliczył, ustawił w szeregi i poprowadził na drogę ku Wieliczce. Nikt nie wiedział i nie domyślał się celu naszej podróży. Naraz ktoś podszepnął, że jesteśmy skazani na śmierć i mamy być rozstrzelani. W tem mniemaniu podtrzymywały nas głosy mieszkańców Podgórza, obrzucających nas na ulicy przekleństwami z dodatkiem: Dobrze wam tak, będziecie krzyczeć jeszcze wiwat?

Wszystkich owładnął niepokój, przechodzący w rozpacz, gdy nasz orszak skierował się ku bramie cmentarza. Jeden z towarzyszów upadł ze strachu i dla nagłej potrzeby na ziemię i nie chciał wstać, mówiąc: Mnie już wszystko jedno, skoro i tak za chwilę umierać muszę.

Na cmentarzu przedstawił się naszym oczom iście przerażający widok, a powietrze zatrute zgnilizną, wywołując mdłości, odpychało od miejsca, przed którem nas ustawiono. Wzrok padał na rozkopaną mogiłę poległych, z której grabarze wydobywali zwłoki osób, zabitych podczas procesyi. Obracano je na wszystkie strony, oglądano, stawiano na nogi, i audytor zapytywał nieustanne: czy nie poznajemy zwłok Dembowskiego. Wszystkie trupy, z wyjątkiem krawca Kominkowskiego były obdarte do naga, krwią zbroczone, zwalane ziemią, połamane i pogniłe do niepoznania. Na jednym z nich wisiał kawał sukiennego rękawa z mosiężną tabliczką T. D. więc z tego wnoszono, że był dziadkiem z Tow. Dobr. w Krakowie. Nikogo też więcej nie poznano. Trupy posypano niegaszonem wapnem, zagrzebano napowrót we wspólnym grobie, a nas wzruszonych i przelęknionych odprowadzono z powrotem do aresztów«.

Ta wstrząsająca scena — to jedno z bolesnych ogniw martyrologii, jaką przechodził przyszły autor »Tyrteusza«. W przesmutnej tragedyi 46 roku hartował duszę na stal i w samotnych dumaniach na pryczy więziennej urabiał i pogłębiał smój pogląd na świat. Dziwnie rzewne wrażenie robi dochowane powinszowanie dla ojca, pisane w więzieniu dnia 2 maja. Na ćwiartce papieru, ozdobionej u góry wymalowaną wiązanką róż, pisze ołówkiem:

Drogi Ojcze!

Nie mogąc w Dniu tak Świętym dla mnie wraz z siostrami wynurzyć życzeń moich, proszę tylko Wszechmocnego Boga, ażeby zesłał na Ciebie, Drogi Ojcze, wszystkie swoje błogosławieństwa i dozwolił

Ci za lat kilkanaście na łonie kochających cię dzieci w cichem ustroniu wspominać minione nieszczęścia i dzieci twe cieszyć widokiem Swego szacownego oblicza.

Wdzięczny za wszystkie dobrodziejstwa
i kochający Cię
wiecznie syn
Władysław.

U dołu: Podgórze 2 Maja
1846.

Tymczasem badanie, mimo zanoszonych próśb matek, żon i dzieci, posuwało się niesłychanie powoli naprzód. Dopiero skarga 20 pań krakowskich, złożona u stóp tronu, poskutkowała: w maju 1847 roku uwolniono kilkadziesiąt osób mniej skompromitowanych. Po 14-sto miesięcznem więzieniu, dnia 3 maja 1847 roku Anczyc »dla braku poszlaków z pod inkwizycyi uwolnionym został« — jak opiewa »świadectwo konduity«, wystawione przez krakowską dyrekcyę policyi dnia 9 paźdz. 1848 roku.

Opuszczał Kraków wolny, buchający ogniem rewolucyi, zuchwale wygrażający pięścią w stronę trzech zaborczych rządów, Kraków, który od 1830 roku »nieprzerwanie służył jako ognisko wrogiej akcyi przeciw trzem opiekuńczym potęgom« (słowa manifestu Ferdynanda I. z 11 listopada 1846 roku) — wracał do miasta skutego, srogo opłacającego niewczesne wolnościowe porywy; wracał po 14-sto miesięcznej kaźni nie złamany, nie upadły na duchu — a przeciwnie, zrewolucyonizowany, z płomieniem nienawiści do wrażej ręki.

Rok 1847, — rok krwawego odwetu, zbieranie gorzkich owoców posiewu roku ubiegłego: w Poznań-

skiem głośny proces berliński absorbuje uwagę całego społeczeństwa, w Królestwie despotyzm zdwaja energię; w Galicyi, na tle spalonych dworów, dymiących pogorzelisk, wśród których tli jeszcze i tai się obawa nowej rzezi, słychać dźwięk kośby śmiertelnej, padają głowy Wiśniowskiego i Kapuścińskiego, lecą gęsto wyroki śmierci, którym rok następny wydarł moc egzekucyjną, wypełnia się Kufstein i Spielberg setkami więźniów galicyjskich. Nad krajem zawisa widmo ruiny ekonomicznej: patent cesarski z dnia 13 kwietnia znosił dalekie podwody i dni pomocne, zarządzenie z dnia 12 listopada 1846 roku darowywało chłopom połowę gruntów uprawianych wraz z prawem kredytu do $^2/_3$ części wartości gruntu — dworom, nietkniętym rzezią, nakazano wypłacić chłopom ogromne zapomogi: zarządzenia te, w pół roku po rzezi wydane, były w zasadzie niemoralne, bo nosiły cechy jakoby nagrody za współudział w stłumieniu powstania.

Szlachta mimo ogromnego zubożenia, z rzadką ofiarnością domaga się w sierpniu 1847 roku od gubernatora Stadiona zupełnego zniesienia pańszczyzny, w miejsce ulg z patentu 12 listopada 1846 r. Lud, sowicie wynagrodzony za kainową zbrodnię, porzuca — wedle relacyi Helcla — wszelką robotę, cały tydzień chodzi w świątecznej odzieży, niszczy lasy, wypasa pola i łąki, nie płaci podatków, grozi nową rzezią — to wszystko, w połączeniu z nieurodzajem, sprowadza głód i nieodstępny tyfus głodowy, który w strasznych rozmiarach szerzy się w zachodnich powiatach.

»W tych stronach« — pisze Helcel do Wielopolskiego — »pomór i bez cholery tak jest ogromny, jak nigdy nie był w czasie jej grasowania w 1831 r. Jak przyjdzie cholera, to nie będzie już miała wiele

do roboty; tego majstra zniszczenia już wyprzedzili czeladnicy: Szela i głód«.

Najstraszniejsze klęski: wojna, głód i mór — podały sobie ręce, pastwiąc się nad nieszczęśliwym krajem: jedyna ucieczka i ratunek, to chyba błagalna prośba, która darła się ze zbolałych piersi Jeremiego i łkała u stóp ołtarzy Pańskich, przesłoniętych dymem pożarów i kurzem krwi bratniej.

Ale wnet po obumarłym, zda się, kraju przebiegać poczęły iskry galwanizujące: wichrem przeleciała wieść o wypędzeniu Ludwika Filipa i proklamowaniu Rzeczypospolitej, o ruchach w Neapolu, Rzymie, Berlinie i Wiedniu. Z królestwa lombardzko-weneckiego płyną wiadomości o wrzeniu rewolucyjnem, potem o wybuchu powstania w południowych Włoszech i na Sycylii — we Francyi, na czele nowej Republiki staje Lamartine, w Niemczech ponawiają się, rosną, grożą wybuchem zebrania i zbiegowiska, żądające konstytucyi, wolności druku i stowarzyszeń, zjednoczenia Niemiec, w Anglii wzmaga się ruch chartystów i Irlandczyków, w Wiedniu wybucha 12 marca rewolucya i powoduje dymisyę Metternicha, zniesienie cenzury, obietnicę konstytucyi — w tydzień potem Berlin idzie za przykładem Wiednia. Stara Europa rozpręża się w jakiś olbrzymi, żywiołowy rzut, podnosi hasło: »za naszą i waszą wolność« — grzmi okrzykiem na barykadach paryskich w lutym, wiedeńskich i berlińskich w marcu: niech żyje Polska, niech żyją Włochy. Ideał wszechludzkości, powszechnego zbratania ogarnia rewolucyjne tłumy i rzuca w zwycięską walkę o prawa człowieka...

W krwawej purpurze świtu wschodzi nad Europą, aż po rosyjskie kordony, wspaniałe słońce

wszechmiłości i wszechwolności, rozkwita wiosna ludów.

Te wszystkie, niesłychanie doniosłe wypadki obudziły ducha w obumarłej niedawno Galicyi; cofanie się rządu przed zwycięską rewolucyą we Wiedniu podniosło odrazu zwątpiałe społeczeństwo na nogi i skłoniło do energicznej akcyi. Dnia 18 marca 1848 r. zredagowano do rządu centralnego petycyę w energicznym tonie, która stwierdzając upadek autokratyzmu i »gwałt rozbioru popełniony na narodzie naszym« — i powołując się na patent cesarski z 15 marca tegoż roku, domaga się: zniesienia pańszczyzny, zastąpienia sejmu zgromadzeniem narodowem, zastąpienia urzędników obcych krajowymi — ponieważ ci obcy »są po większej części wewnętrznymi nieprzyjaciółmi naszymi, nieprzyjaciółmi przyrzeczonej konstytucyi. Oni stoją jako wstawieni podżegacze niezgody i nienawiści pomiędzy narodem i monarchą« — wreszcie żąda petycya wojska narodowego, wprowadzenia języka polskiego do szkół, sądów i innych publicznych instytucyj, zwołania sejmu konstytucyjnego, w którymby zasiedli reprezentanci wszystkich klas, powszechnej amnestyi, równouprawnienia wszystkich stanów, autonomii miejskiej i gminnej, usunięcia ohydnego systemu policyjnego. Postulaty były bardzo daleko idące, w tonie energicznie sformułowane, grożące w razie odmówienia sankcyi; »burzą bowiem brzemienne chmury wiszą nad nami — kraj cały jest w największem wzburzeniu umysłów — gdyby w której prowincyi polskiej wybuchła wojna, powstanie w Galicyi nieuniknione«.

I nie czekając na sankcyę, poczęto krzątać się około zwołania Zgromadzenia Narodowego, któreby ukonstytuowało się w miejsce sejmu postulatowego,

wedle dawnych norm na 26 kwietnia do Lwowa zwołanego. Równocześnie liczne broszury objaśniają lud w sposób popularny o tem, »co to się stało we Lwowie«, »co to jest konstytucya« — lub prowadzą »pogadankę chłopską czyli rozmowę wójta ze swymi sąsiadami o dzisiejszych zdarzeniach«.

Z Poznańskiego dochodzą wieści o deputacyi, żądającej w Berlinie jak najszerszej autonomii dla Księstwa, o uwolnieniu więźniów z Moabitu i tryumfalnym ich pochodzie. W Krakowie i Lwowie formują się komitety narodowe, na wzór poznańskiego, które miały wesprzeć Mierosławskiego, zakładającego zbrojne obozy w Księstwie, w chwili wtargnięcia do Królestwa i Galicyi, planowanego na koniec kwietnia. Wszędzie wre gorączkowy ruch, który napróżno usiłuje zgnieść w Galicyi biurokracya, uciekająca się do wypróbowanego sposobu wywołania nowej rzezi. Nowa, tym razem potężniejsza i bliższa zjawa wolności rozpala wszystkie dusze; jutrzenka swobody rozpłomienia widnokrąg, zwiastując niechybny zda się i niedaleki wschód słońca — wolności. Nie dziw, że starzy emigranci po 17-tu latach żegnają gościnną ziemię francuską i ciągną na Wschód z dumnym okrzykiem »*nous allons combattre pour la liberté de notre Patrie!*«

* * *

Anczyc, po opuszczeniu więzienia, wziął się ze zdwojoną gorliwością do przerwanych studyów i w dniach 19 października i 15 listopada 1847 roku złożył w uniwersytecie jagiellońskim egzamin na magistra farmacyi — równocześnie zaś dziejowe wypadki, jakich widownią w owych czasach było W. Księstwo

Krakowskie, wstrząsnęły nim do głębi i znalazły swój wyraz w rymowanych utworach, krążących w licznych odpisach, ogłoszonych dopiero później po zniesieniu cenzury na luźnych ćwiartkach, opatrzonych tylko — i to nie wszystkie — inicyałami imienia i nazwiska. Nie były to dziewicze płody rodzącej się muzy: rymować rozpoczął autor »Tyrteusza« bardzo wcześnie, a pierwsze dochowane wiersze pochodzą z czasów, kiedy autor miał lat ledwie 15.

Był uczniem trzeciej klasy liceum św. Anny, kiedy niespodzianie nawiedziła go Muza, nie owa poważna i łzawa pieśniarka smutnych trenów, ni ta w tragicznej masce, na koturnach — ale muza-śmieszka, jakby rozbawiona w gonitwie z faunem i satyrycznym śmiechem buchająca. Był w klasie wyrosły nad wiek i fizycznie doskonale rozwinięty, ale tępych zdolności syn majstra kominiarskiego, Olek, cel żartów i kpin kolegów. Pewnego razu ulepił Władek kominiarza z wosku i przymocował figurkę do profesorskiej katedry. Smutno skończyła się cała historya: obaj dostali w skórę.

Ten smutny epilog skończył się najniespodziewaniej — rymowanym wyskokiem humoru u młodego Władka, noszącym napis »Goście u Olka«. Oto ów kolega Olek ożenił się z Maryną i przyjmuje gości u siebie; chce ich poczęstować kawą, ale Maryna, podpiwszy sobie, częstuje ich wódką z mlekiem, zamiast kawy. To daje powód do ogólnej bójki — z komina zeskakują na izbę kominiarze i sprawiają zaproszonym tęgą łaźnię.

Jest w tym wierszyku — poza zadziwiającą łatwością rymowania u 15-to letniego chłopca i poza szczerym, choć niewybrednym humorem — kilka rysów, godnych szczególnej uwagi. Przedewszystkiem myśl za-

sadnicza: satyra na niższe sfery społeczne, chcące niewolniczo małpować zwyczaje »panów«. Tę myśl podkreśla autor najwyraźniej: kominiarz zaprasza do siebie krupników »na kawę«; »A do milion kroć tysięcy, Krzyknął Olek zasapany, Trza pieniędzy jak najwięcej, By udawać wielkie pany«.

I choć szklanki trzeba aż w szynku pożyczać, choć »szpencer się podarł w szmaty« — to i tak »będzie klawo, Bo pomyślą, żem bogaty, Jak ich poczęstuję kawą«.

A więc motyw pozowania, zewnętrznego blichtru i szychu, poważna przywara pewnych klas społecznych — i w tę godzi młodociany autor satyrą. Widać to w doskonałej scenie powitań:

Olek drzwi otwiera Krupie,
Jego żonę smokcze w łapę:
»Witam państwa w mej chałupie!
Proszę siadać na kanapę«.
»A gdzież pani, w domu niema?«
»Jest za interesem w rynku...«

Musiał Olek doskonale podpatrzeć zwyczaje, panujące »na salonach«, skoro je tak znakomicie potrafił naśladować. Po wcale niepańskiej bójce przysięga sobie: »odtąd jakem demokrata, nie zaproszę nigdy gości!«

Już samo skonstatowanie poważnej i wyraźnej tendencyi w dziewiczym utworze Anczyca zasługuje na uwagę — a uwagę tę nieskończenie spotęguje zjawisko bardzo bliskiego pokrewieństwa tej myśli z zasadniczą ideą o 10 przeszło lat późniejszych — »Chłopów arystokratów«.

Drugim znamiennym rysem satyry — to język,

znakomicie władający gwarą podmiejskich andrusów, zmieszaną z dyalektem krakowskich chłopów. Jest tu spora wiązanka wyrażeń, podsłuchanych gdzieś na Zwierzyńcu lub we wsi okolicznej — takich jak: »dziecka« (nom. plur.), »ciewy«, »hybajno«, »szklanków« (gen. plur.), »pociarane«, »hara« (sc. wódka), »despet«, »klawy«, »chepać« (odbijać się), »naści«, »Jancychryst«, »kajżeś« i t. p.; nie brak oczywiście i zarogatkowych przekleństw — takich jak: »a ty złodziejski portrecie«, »a ty synu Lucypera« — jest i alluzya polityczna — nie wiem, czy również za rogatką podchwycona — w zawołaniu Brandyski na Olka »a ty synu Metternicha«, tuż obok »złodziejskiego portretu«, jakby »pendant« do »syna Lucypera«.

I w treści więc i we formie jest ten pierwiastkowy utwór Władysława Anczyca ciekawy — i dla późniejszej ewolucyi talentu pod niejednym względem — znamienny.

*
* *

Milkną muzy tam, gdzie szczęk mieczów słychać — a jeżeli nie milkną, to nie w groteskowe tony dzwonią i nie do humoresek nastrajają.

Minęły lata od tego pierwszego utworu — i niewiadomo nam, czy w czasie tym wyszło co z pod pióra Anczyca.

Dopiero rok 46 i 48 wstrząsnął do głębi wrażliwe dusze i dobył z nich bojowe nuty. Zasypał kraj cały deszcz biały ulotnych kartek z wierszami o treści patryotycznej, autorów zwykle bezimiennych, wierszów, po ponownem wprowadzeniu cenzury niszczonych zawzięcie, że ledwie unikaty się dochowały. A między nimi i wiersze Anczyca, ogłoszone wszystkie w r. 1848,

niektóre z nich powstałe pewnie wcześniej. Do powstałych przed rokiem 1848 zaliczam — trzymając się treści — dwa wiersze: pierwszy z nich p. t. »Emisaryusz« bez podpisu — drugi p. t. »Zbój galicyjski« z podpisem W. A.

Do późniejszych należą wiersze już dokładną datą oznaczone, a mianowicie: »Wiersz do króla pruskiego napisany przy zdobyciu arsenału dnia 14 Czerwca 1848 w Berlinie« — oraz »Śmierć republikanów d. 24 Czerwca 1848 r.«. O tych ostatnich pomówimy później.

»Emisaryusz« (8-vo, str. nlb. 3.) opiewa niezwykle sprytną agitacyę znanego rewolucyonisty z 46 roku, Edwarda Dembowskiego. Dembowski, syn kasztelana Leona Dembowskiego, urodzony (1816) i wychowany w Warszawie, człowiek niezwykłych zdolności, wydawca poważnego »Przeglądu naukowego«, brał żywy udział w tajnych spiskach i był zmuszony uciec w r. 1843 do Poznania, gdzie wydawał czasopismo komunistyczne »Rok«.

Po krókim pobycie w Brukseli i Paryżu przybył do Galicyi jako agent centralizacyi wersalskiej i prowadził tu agitacyę z niezwykłą odwagą i przebiegłością. Rozrzucał po kraju proklamacye w przebraniu kobiety, księdza, chłopa, żyda lub Węgra, sprzedającego płótno. W lutowej rewolucyi krakowskiej był sekretarzem dyktatora, a autorstwo wszystkich radykalniejszych rozporządzeń jemu przypisywano.

Od dnia procesyi podgórskiej ślad wszelki po Dembowskim zaginął — przypuszczano, że zdołał umknąć; zdaje się jednak, że zginął od kuli, szukając umyślnie śmierci.

Z Dembowskim musiał stykać się Anczyc w czasie powstania krakowskiego — nasłuchał się mnóstwa opowiadań o jego niebywałych przygodach, a krążące fantastyczne wieści, że Dembowski skrył się w Tatrach, że pod coraz inną postacią zjawia się w różnych okolicach i dalej prowadzi propagandę za powstaniem — to wszystko znakomicie działało na fantazyę i stało się genezą wiersza p. t. »Emisaryusz«. Czytamy więc, jak bohater, w przebraniu górala, kryje się w górskich ostępach, to znów na Kalwaryi, w łachmanach żebraczych, modli się do Królowej Polski i Jej umęczonego Syna, iżby przebaczył polskiemu ludowi bratobójczą zbrodnię, a lud ten zmaże winę gotowością czynu w dniu zmartwychwstania; to znowu jako Morawiec-przekupień krąży po Krakowie lub w karczmie wiejskiej przygotowuje sprawę, dla której poświęcił dom, rodzinę, szczęście osobiste.

Wiersz młody, przejęty gorącym entuzyazmem dla emisaryusza; — ta młodzieńcza zapalność wynagradza w części niewyszukane i ubogie rymy.

Zaledwo pod pewnym względem łączy się »Emisaryusz« ze »Zbójem galicyjskim« — tylko podczas gdy w »Emisaryuszu« wiara w dobre popędy ludu każe wybaczyć winę roku 46, podając jako środek ekspiacyjny udział w walce o wolność — »Zbój galicyjski«, pisany może bardziej bezpośrednio pod wrażeniem rzezi, jest wypływem rozgoryczenia i zawodu, jaki przyniósł rok 46 tym, którzy na ludzie przyszłość budowali. Oto po spełnionej winie — następuje kara: chłop, który brał udział w rzezi, kona; a kona w śniegową zadymkę, na pustej drodze, sam jeden, opuszczony przez wszystkich. Zbrodnia zostawiła ślady na pomarszczonej, bladej twarzy, na blizną przekreślonem

czole, na przedwczesnej siwiźnie. Snadź wyrzuty sumienia przeżarły mu duszę do cna i wszelką wiarę w zbawienie zabrały, skoro zatyka uszy przed słowem pociechy księdza, spieszącego do łoża śmierci — wołając z rozpaczą: »Morderca bliźnich nie ma już pociechy, Ja zatraciłem i ciało i duszę...« Zjawy zamordowanych nawiedzają go w tej przedśmiertnej godzinie krwawym korowodem; jakoby widmo Szeli z »Wesela«, czego się dotknie, krwią spływa. I straszne biegną słowa z ust konających w stronę właściwych sprawców mordu:

»Wy to starosty! jegry, urzędniki,
Coście do mordów zagrzewali wściekle,
Czekam was, czekam potępieńcy w piekle,
Do mnie!... do mnie!... rozbójniki«.

Wiersz ten te same nosi cechy, co poprzedni: myśl gorąca, energiczna, pod wpływem wrażeń strasznej tragedyi urodzona i gromem ku sprawcom się ciskająca — ubrana w formę mało wyrobioną, rymy oklepane, rytm tu i ówdzie kulawy. Nie było pewno czasu wygładzać formy — myśl z duszy leciała bystro i łamała się w słowach niedobieranych, ażeby jak najrychlej wylecieć białą ćwiartką na rozpalony grunt.

Bo też na widowni dziejów rozgrywały się wypadki z szybkością pioruna, surmy grały coraz głośniej pobudkę na bój o wszechwolność a strwożone cienie dawnego porządku bladły i zdawały się znikać. Królewski Kraków, odmłodzony i energią czynu buchający, z niecierpliwością czekał hasła. Tysiące ludu, zgromadzonego 17 marca w ulicy Świętojańskiej pod oknami komisarza nadwornego, hrabiego Deyma, domagały się niemilknącym okrzykiem wolności dla więźniów

politycznych, trzymanych od dwu lat w inkwizycie, choć osławiony inkwizytor Zajączkowski już dawno padł ofiarą zamachu na plantach krakowskich. I ustąpił przed wolą tłumu Deym, uwalniając na własną rękę uwięzionych, których 10.000-czna masa w tryumfie, w morzu świateł illuminowanego miasta oprowadzała.

Nazajutrz padła cenzura, ogłoszono wolność druku, obietnicę nadania konstytucyi, amnestyę — a wraz nadbiegły wieści o zwycięskim pochodzie rewolucyi w Berlinie w dniach 18 i 19 marca. Kraków szalał z radości: po kościołach odprawiano dziękczynne nabożeństwa, tłumy witają z entuzyazmem nadciągające oddziały więźniów ze Spielbergu i Berna, emigrantów z Francyi — oświecone miasto rozbrzmiewa noce całe śpiewami patryotycznymi — nadzieja rychłej i — zda się — niezawodnej wolności umaja i uwesela dusze ludzkie. Spontanicznie zawiązuje się komitet obywatelski, jakby władza autonomiczna, pośrednicząca między ludem a rządem — i gwardya narodowa, której rząd przyznaje ostrożnie nazwę »straży bezpieczeństwa«. Do Wiednia wybiera się deputacya z żądaniem konstytucyi, odprowadzona przez tłumy z chorągwiami na dworzec. Komitet obywatelski kooptuje nowych członków z miasta i emigracyi, przybierając nazwę »Komitetu Narodowego«. Krieg, zastępca nieobecnego Deyma, usiłuje zapomocą *coup d'etat* rozwiązać Komitet — ale cofa się wobec groźnej postawy tłumów. Pogłoski alarmujące, z nieznanych źródeł rozpuszczane, przebiegają miasto, jak iskry — młodzież zbroi się, oficerowie wysyłają rodziny swoje z miasta. Więźniowie, wracający z Kufsteinu, stają się bohaterami dnia.

Tymczasem mnożyły się zwiastuny nowego wybuchu: formowano oddziały ochotników, wbrew wyraźnym zakazom Kriega, który ze spóźnioną energią zabrał się do tłumienia ruchu. Zatrzymanie 56 emigrantów na granicy dało powód do nowych, groźnych zaburzeń. Tłum wpada na pokoje nadwornego komisaryatu, dopuszcza się gwałtów, żąda zwrotu broni, wywiezionej w r. 46 do Ołomuńca. Po przepuszczeniu emigrantów w Szczakowej i chwilowem zajęciu rynku przez wojsko, następuje pozorne uspokojenie; ale już popołudniu 26 kwietnia skonfiskowanie kos i pik, wyrabianych w kuźni Millera na Stradomiu, wywołuje zbiegowiska i rozruchy. Z dział na Wawelu słychać alarmowe strzały — w mieście wyrastają barykady — wojsko wpada trzema kolumnami do miasta — z ulicy Floryańskiej słychać rotowy ogień — na gwardyę, ustawioną pod pałacem Potockich, padają kule. Z więzień, ogołoconych ze straży, zbiega na miasto 300 złoczyńców — wreszcie rozpoczyna się 2-godzinne bombardowanie miasta: dwie godziny trwogi, rozpaczy, pożaru i śmierci. O godzinie $8^1/_2$ wieczór miasto kapituluje. 27 kwietnia komitet i gwardya narodowa rozwiązują się — emigranci opuszczają miasto, nad którem zawisa stan oblężenia. Generał Moltke wysyła do Michałowic, do generała rosyjskiego depeszę z doniesieniem, że »na ten raz nie zachodzi potrzeba pomocy rosyjskiej«.

Tak kończy się ten powtórny poryw miasta: krótkie, momentalne wyciągnięcie okutych rąk ku wolnościowej zorzy — i ręce opadły, a na bruku zostało w rezultacie kilkanaście trupów i parę dymiących pogorzelisk. We Lwowie skończyło się na ulicznych burdach — w Poznańskiem, gdzie najwięcej łudzono

się, po potyczkach pod Książem, Miłosławiem i Wrześnią ruch upadł.

Na długie lata pochowano miecze do pochew — rząd obmyślił sprytne stawidła na rozhukane myśli: kwestyę indemnizacyi i serwitutów przeciw szlachcie, kwestyę ruską przeciw myśli o oderwaniu się od monarchii habsburskiej; ryze trzymało wojsko i — chłopi. Nadszedł czas wyciągania smutnych konsekwencyi z dziejowych doświadczeń: społeczeństwo zróżnicowało się i oddzieliło ścisłą demarkacyjną linią na dwa obozy: jeden — korzystając z wolności druku — kontynuuje wytrwale dalszą walkę na pióra; gdy szczęk szabel zamilkł, śledzi bacznie dalszy rozwój wypadków na Zachodzie, losy zboru praskiego, dyskusyę wrocławskiego sejmu, przyklaskuje nowym ruchom w Wiedniu i Berlinie — i to skrzydło, uorganizowane w Radzie Narodowej Centralnej, na gruzach lwowskiego sejmu, pod hasłem »Wolność, Równość, Braterstwo« — i obóz przeciwny, grupujący się pod niewinną firmą »Stowarzyszenia ziemiańskiego« (od 3 maja 1848 r.), założonego dla »strzeżenia interesu wszystkich posiadaczy i praw własności«, ale przytem szukający »wyjścia z gubiącego kraj zamętu i nieporządku«, przyjmując za godło postępowania: »szanowanie miejscowego rządu, wspieranie go w dziele konsolidacyi i rozwinięcia swobód«. I dzięki dwom wielkim zdobyczom konstytucyi z 25 kwietnia: wolności druku i assocyacyi — zakwita jawne zrzeszanie się i w dwójnasób wzrasta ilościowo prasa — ale równocześnie roznamiętnia się polemika stronnictw. Nieszczęśliwa »Polska« — organ wyklętego przez Radę narodową »Stowarzyszenia ziemian« — wyrzucona bojkotem zecerów z oficyn lwowskich, musiała odci-

nać się i bronić przed atakami prasy przeciwnej, od »Gazety narodowej«, urzędowego głosu Rady począwszy — aż do skrajnie socyalistycznego »Postępu«. A poza tą akademicką jakby polemiką — było wiele zjawisk w życiu socyalnem i politycznem, wiele fermentów w klarującym się nowym stanie rzeczy, które znakomicie nadawały się do satyrycznego natarcia. I tu działała cała sfora pisemek, drobnych, podpisywanych fikcyjnym esem z księżyca lub Marsa, rodzących się bez pomocy akuszerskich nożyc cenzury w niedobrze wiadomy moment i ginących równie niewiadomo kiedy. Wychodziły te rozmaite »Osy« i »Sikory«, »Bociany« i »Świstki« w nieregularnych terminach, jak Bóg dał i kieszeń redaktorska pozwalała, »czyszcząc obyczaje« i prażąc gęsto strzałą satyry z tak zakrytych przykopów kryptomanii, że dziś z trudem wielkim i mozołem bardzo niewiele z tego enigmatycznego chaosu alluzyj odcyfrować można.

Taka forma peryodycznej satyry była nie nową: pojawiła się ona u nas już w literaturze Królestwa Kongresowego. Stworzył ją bezimienny paszkwil francuski z r. 1815 p. t. »Le Nain jaune« (Karzeł żółty), a na grunt polski przeszczepił i upowszechnił Stanisław Potocki w szeregu artykułów, pojawiających się w »Pamiętniku warszawskim« pod stałą rubryką »Świstek krytyczny« — oraz w książce swojej »Podróż do Ciemnogrodu« (Warszawa 1820.). Był to szczególny sposób satyrycznych ucinków, które pod sfingowanemi mianami, o sensie łatwo zrozumiałym, występowały niby w obronie tego, co było właściwym celem satyry. Potocki znalazł wielu naśladowców i dał w swoim czasie początek oryginalnej »literatury świstków«.

Teraz wskrzesił tę formę Konstanty Majeranow-

ski, dobrze jeszcze pamiętający tradycye Kongresówki. Ten nielitościwy cenzor Rzeczypospolitej Krakowskiej, nadworny dostawca historycznych dram na krakowską scenkę, niezmordowany redaktor 13-tu z kolei czasopism — umyślił teraz, przy wolności drukowanego słowa, wydawać pisemko na wzór dawnych »Świstków« — »Świstkiem« nazwane. Puszczając pierwszy numer dnia 17 maja, zawiadamia we wstępnych słowach, że będzie »podawać do wiadomości i szydzić ze wszystkich karlich środków, przedsiębranych do wielkich rzeczy«. Wyszło tego pisemka ogółem numerów 7 (ostatni 23 lipca).

Redaktor, podpisujący się »*Incognito*«, wydawał je to z wieży maryackiej, to z księżyca, obierając sobie za cel satyrycznych pocisków arystokracyę, jezuitów, starego Metternicha; — czasem udał mu się dowcip, kiedy np. wyprowadzał etymologię wyrazu »biurokracya« od: brać i kraść (w nrze 2.) — lub gdy zamieszczał takie wiadomości, jak: »pewien jegomość tak ma sny rewolucyjne, iż musiano zamiast poduszki policyanta mu pod głowę podłożyć«; — poza tem werwy satyrycznej niewiele.

W tym kierunku stanowczo przewyższył go »Dodatek do Świstka«, wydawany przez Władysława Anczyca. Anczyc miał dowcip wrodzony, talent satyryczny już w pierwszym utworze widoczny.

Pobudzony »Świstkiem« Majeranowskiego, rozpoczął wydawnictwo »Dodatku« do każdego numeru »Świstka« i wypełniał go wyłącznie swoimi artykułami. Te »Dodatki« i »Nadzwyczajne dodatki«, znakomicie reklamowane przy pomocy oryginalnych, wierszowanych afiszów, miały pokup nie mały; wyszło ogółem 18 numerów — dziś białe kruki.

Charakter nosi »Dodatek« ten sam, co »Świstek«. W »Dodatku do Nru 1. Świstka« zawiadamia redaktor, że »korzystając z wolności chodzenia bez *passierscheinów,* Dodatek do Świstka wychodzić będzie, kiedy mu się podoba«. Redaktor, kryjąc się pod oryginalnym kryptonimem »Sokołka pod nazwiskiem Gwoździka«, rzuca pociski satyryczne z ptasiej perspektywy, bo z kopuły św. Piotra na księżycu. Pisemko swoje poświęca od Nru 4. »obskurantyzmowi, mądrości uważanej z przeciwnej strony i Reakcyi«. Głównie obserwuje rozwój politycznych wydarzeń, ośmieszając ustępujący przed wolą tłumów absolutyzm; więc celem pocisków najgrubszego kalibru autokratyzm rosyjski, Metternich i dyplomaci z jego szkoły, organ byłego komitetu krakowskiego »Jutrzenka«, umiarkowany »Dziennik Narodowy« (nazwany »Nocnikiem narodowym«), czasopisma »Bocian«, »Orzeł biały«, »Sikora«. Zamieszcza liczne alluzye do niedawnego bombardowania Krakowa, zwanego Chuchurunem, stolicą księżyca, propaguje bezwzględny demokratyzm, kruszy kopie z przeciwnikami uwłaszczenia chłopa, prażąc gęsto satyrą obóz zachowawczy, zajmuje się wyborami 108 deputowanych z Galicyi na sejm wiedeński — jednem słowem jest pisemkiem radykalnem, bardzo wszechstronnem, obejmującem wszystkie ważniejsze bieżące zagadnienia polityczne i społeczne. A przytem dowcip i ciętość miejscami niezrównana. Posłuchajmy n. p. słów »Okólnika do braci Szlachty«, pysznego formą i treścią oracyi, jakby gdzieś u pana brata w Pipidówce podsłuchanej: »Nie jestem ja skrzydłoruchy jak Pegazus, abym wzniósłszy się nad Parnassus, twarz w twarz Zodyakowi niebieskiemu się przypatrował, i od niego *lumina* mądrości nadpowietrznej

czerpał. — Owóż ja Simplak, *ex Antiquissimis antenatis nobilitatis Radvanoviensis* pochodzący, w te i owe wyrazy rzekam: Precz z nowotorami, ha! Farmazony, Demokraty!! francuskie duchy!!! — Owóż kto nie jest Szlachcic to wraz, jakby ów *Olophagus*, ową zarazę łyka. Ale jakem *Sodalis Marianus* krzyknę: *Veto!* Wśród inwazyi różnych gazeciarskich uzurpacyi *nec unam sententiam inveni*, coby splendor naszego klejnotu uestymowała; wszyscy krzyczą równość — skąd równość — poco równość? Alboż to P. Bóg ludzi równymi stworzył — dla czegoż proszę ów *Gigas Goliathus* z stanu rycerskiego był większym od Dawida, co barany pasał? — Dlaczegóż żaby uciekają przed bocianem, kiedy na jednej nodze stoi? Owóż patrzmy na drzewa leśne, a dlaczegóż proszę kamienie nie odłupują się równo? — hę? — Stąd widać, że i między nimi są potentaty. — *Sutor ne ultra crepidam:* a zasię chamie — owóż pańszczyznę skasowali... *horrendum! brevi tempore* ta równość do tego doprowadzi, że chamy szlachtę do pługa *quasi pecora* pozaprzęgają. — Protestujemy więc i miłych panów braci *ad hanc nostram protestationem* z powinną submisyą i rewerencyą zapraszamy«.

Podpis:	Bonifacy Sadełko	herbu	Ogończyk
	Grzegórz Zapałka	»	Starykoń
	Protazy Kiełbik	»	Ślepowron
	Makary Kozicz	»	Tromba.

Jest pewien anachronizm w argumentacyi: Stowarzyszenie ziemiańskie protestowało w istocie, ale nie przeciw uwłaszczeniu, tylko przeciw jego formie bez indemnizacyi, przeciw ruinie finansowej ziemian — a argumenty podobne porodzić mogła chyba głowa

pana Bonifacego Sadełki, gdzieś w jakimś bardzo zapadłym kącie kraju, kędy nie zawiał prąd demokratyczny.

Są w »Dodatku do Świstka« i wiersze, dostrojone do ogólnego tonu, a więc niemal wszystkie satyryczne. Tutaj był autor w swoim żywiole: to też w treści dowcipu i werwy nie brak, pomysł wiersza często ciekawy, forma przeważnie gładka i potoczysta. A więc wiersz, umieszczony na czele Nr. 4., pt. »Wstęp«, trawestacya znanej bajki Krasickiego; pomysł naturalny u autora, który na bajkach księcia biskupa warmińskiego uczył się czytać. Wiersz opowiada o carze rosyjskim, który Polaków w Sybir nie pędził, o Napoleonie, który oszczędzał w walkach krew francuską, o uczciwym Szeli i rzetelnym Metternichu — kończy, jak pierwowzór »...wszystko to być może, Jednakże ja to między bajki włożę«. Jest inny wiersz o pomyśle niemniej ciekawym: trawestacya Konrada Wallenroda (u wstępu Nru 6 i 7). Treścią: rozdział społeczny w mieście Chuchurun; z jednej strony ubogi tłum bezimienny, »hołota« — z drugiej »zakon bankowy«, tłum »przechrztów, pisarzy, dandych, redaktorów«; pełno aluzyj do niedawnych wypadków, trudnych do odczytania. Kończy strofa silna w tonie i ekspresyi:

»O Ciemni! wkrótce runą w wasze gmachy
Tłumy mścicieli, zerwawszy okowy
I wasze w górę wyniesione głowy
Topór o ziemię rżnie razem z głowami,
Pożoga w popiół zmieni wasze dachy,
Wiatr w pył rozniesie spodlonego wroga,
Wszystko zagrzebie sąd ludu surowy,
Wszystko zniszczeje... lecz biedni z panami
Znowu się złączą na sądzie u Boga«

Jest wiersz p. t. Apostrofa ze stanowiska Absolutnego (Nr 8.) — z humorem witający ogłoszone prawo o druku, o formie znakomicie wzorowanej znowu na bajkach Krasickiego — jest i komiczno-patetyczny nekrolog na macierzysty »Świstek«, który »ujrzawszy prawo o druku, straciwszy równowagę skręcił kark na bruku« (»Do Świstka« Nr 9). Jest i satyryczna bajeczka p. t. Zwierzęta (Nr 10), również na Krasickim wzorowana, ośmieszająca matactwa zwierząt-dyplomatów. Jest wreszcie poważne »Pożegnanie Dodatku« w ostatnim numerze; »Dodatek« wzywa »Świstka« »starszego brata«, ażeby go zastąpił w »tropieniu łajdaków i krytyce króli«. Z pierwszem łajdactwem reakcyonistów obiecuje powrócić i wpaść na nich, jak piorun.

Jest pozatem w »Dodatku« mnóstwo aluzyj, odnoszących się bądź do wypadków chwili, bądź do poszczególnych osobników, a tak poprzesłanianych w fikcyjne nazwy i miana, że ich dziś zrozumieć niepodobna. I tak jednak nad rozwiązaniem tych enigmatów silić się nie warto: zbyt są one aktualne, ażeby przedstawiały jakiś interes, a do charakterystyki pisemka nic nie dodadzą.

»Dodatek do Świstka« jest dowodem radykalnego nastroju myśli redaktora: przebyte wrażenia krwawych lat zrewolucyonizowały myśl Anczyca i u progu karyery pisarskiej postawiły go na lewem skrzydle. Pozatem jest »Dodatek« dowodem rozwoju talentu w kierunku satyrycznym — a wiersze w nim pomieszczone wskazują i wyrobienie formy.

Anczyc, tak żywo interesujący się w swojem pisemku ruchem rewolucyjnym na zachodzie, poświęcał każdemu ważniejszemu epizodowi satyryczny ucinek

w »Dodatku« — a prócz tego na osobnej ćwiartce opiewał go poważnym rymem. Dochowały się dwa takie okolicznościowe wiersze, na luźnych ćwiartkach drukowane; pierwszy z nich, bez podpisu, pt. »Wiersz do króla pruskiego« napisany był z okazyi zdobycia arsenału w Berlinie dnia 14 czerwca 1848 r. i masakry tłumu przez wojska królewskie. Wiersz ten — to jedno silne przekleństwo, ciśnięte na głowę pruskiego władcy, który koronę obryzgał krwią własnego ludu, »dzikością mordów przewyższył tygrysy, obłudą — jezuity, podstępami — lisy«. Poeta wierzy usilnie w zwycięstwo ludu, bo sprawa ludu — to sprawa święta, sprawa Boża.

Wiersz wtóry, z podpisem W. A., z wyraźną datą u spodu: 6 lipca 1848 — nosi napis »Śmierć republikanów« i opiewa pamięć poległych na ulicach Paryża dnia 24 czerwca; i w tym wierszu poeta wierzy silnie w ostateczne zwycięstwo Wolności.

Najpiękniejszy jednak wiersz z tego czasu pozostał w rękopisie. Dwie pożółkłe i posklejane ćwiartki papieru o zniszczonych rogach i grzbiecie, mieszczą dwa wiersze: pierwsza ćwiartka wiersz Anczyca p. t. »Do autora Golgoty« — druga »Odpowiedź na wiersz do autora Golgoty«. Wiersz Anczyca złożony jest z dziesięciu zwrotek, z których ostatnia napisana została w Krakowie w 1864 roku, jak świadczy napis u dołu. Przed ostatnią zwrotką jest ćwiartka sklejona, zaś po oddarciu nalepki zupełnie czytelny napis: Kr. 1848. Nastrój wielkiego roku wyzwolenia narodów bije z każdej z owych 9-ciu strof; forma, niemal wzorowa, wyróżnia się na pierwszy rzut oka od innych wierszy Anczyca z tego czasu wysokiem napięciem myśli, wiarą w »ogień pieśni«, który »świat

spopielić zdolny« i »stopić go w płomiennym żarze«, zbliża się do wyżyn, na których stanął poeta w »Tyrteuszu«.

W owych latach krążyły gęsto w odpisach wiersze, nastrojone na wysoki dyapazon ideałów narodowych i ogólnoludzkich. Jednym z wielu był wiersz p. t. Golgota, który drukiem nigdy nie wyszedł a tylko w odpisach godził »śmiertelnemi groty w ludożercę«, posłował wolność i padał na omdlałe serca krzepiąco, jak »pustyń manna«. Anczyc nie znał autora »Golgoty« osobiście — nazywa go tylko po imieniu Stanisławem i z entuzyazmem, dla którego młode serce zawsze otworem stoi, dziękuje mu za jego męski okrzyk, nie wahając się równać autora »Golgoty« z — Mickiewiczem. Porównanie ryzykowne, jeżeli o anonimowym autorze sądzić wolno z dochowanej na drugiej ćwiartce odpowiedzi, która — snać godząc się na porównanie — niedołężnie naśladuje w tonie wielką improwizacyę a częstochowskim rymem i kulawą rytmiką wcale nie może iść w paragon z wierszem tego, który mowy poetyckiej nie umorzył. Odpowiedź, którą jako ciekawy i nieznany »dwugłos« poetycki z 48 r. w przypisach załączamy, ustępuje pod każdym względem wierszowi »Do autora Golgoty«. I chyba przez kurtuazyę dopisał Anczyc w 16 lat potem:

Taką przed laty snułem ci piosenkę,
Kiedy Cię jeszcze nie znałem.
Dziś znam Cię — zacną ściskam twoją rękę,
Pieśń sercem powtarzam całem.

W tym czasie jednak młody, zrywający się do lotu poeta, łatwo zapalał się do wszystkiego, co występowało w imię wolności.

Wiara w zwycięstwo wolnościowej sprawy była tak silna, że zapłodniła duszę Anczyca-poety w pierwsze bojowe rymy, że i Anczyca-publicystę skierowała na pole satyrycznego dziennikarstwa; ta sama wiara też zrodziła Anczyca-dramaturga.

3: ANCZYC DRAMATURGIEM.

Pierwsze próby sceniczne. — »Chłopi arystokraci«. — Polski dramat ludowy. — Nieznane utwory dramatyczne Władysława Anczyca.

Zamiłowanie do sceny odziedziczył Anczyc po rodzicach-aktorach; nie obce mu były tajemnice sztuki aktorskiej, bo ją w jego oczach rozwijał stary weteran sceny, pamiętający czasy Bogusławskiego — znał dobrze królestwo szminki, bo od bardzo młodych lat pozostawał w stosunkach z dyrekcyą sceny krakowskiej, przepisując dla niej teatralne sztuki. Pod wpływem wrażeń 48 roku powstały pierwsze próby sceniczne Władysława Anczyca.

W roku tym scena krakowska przechodziła kryzys; dyrektor Mączyński, pozbawiony artystycznego poczucia, o teatr nie dbał — właściwym dyrektorem był Pfeifer. Zespół aktorów był szczupły i lichy, repertuar nad wyraz nędzny przypominał czasy najgłębszego upadku sceny przed 1843 r., kiedy grywano takie np. sztuki, jak »Szynka lekarstwem na wszystkie choroby« lub »Indyk nadziewany dukatami«. Poza tem i wypadki polityczne odwróciły uwagę publiczności od sceny — więc też widownia wiała przeważnie przeraźliwą pustką. Przy takim upadku sceny związało się

w lipcu stowarzyszenie amatorów, które przez kilka miesięcy z niemałem powodzeniem dawało przedstawienia na dochód emigrantów. Jak z rogu obfitości posypały się — korzystając z wolności druku i reprezentacyi — patryotyczne utwory sceniczne, pisane bez talentu przeważnie, »płaskie farsy z szumnymi patryotycznymi tytułami« — jak je określa »Czas«.

I stary Zygmunt Anczyc uległ tej ogólnej fali, tworząc aż dwie »oryginalne« sztuki p. t. »Bóg z nami czyli powrót niewolników polskich« — oraz »Republikanin«, oczywiście mający i drugi tytuł: »Wolność, równość, braterstwo«.

Teraz i syn czuł się w obowiązku popróbowania dramatycznego pióra i zaprodukował publiczności »Biurokracyę czyli młockarnię wiedeńską« — oraz na spółkę z Napol. Ekielskim pisanego »Wygnańca«.

Nie musiały te utwory o głowę przerastać szarej pospolitości, kiedy pochłonęła je szybko fala niepamięci — i dziś prócz tytułów — dających niejakie pojęcie o treści a zaczerpniętych z łaskawie nam udzielonych materyałów ś. p. Karola Estreichera — bliższych szczegółów co do treści nie znamy. Wyrosły one — jak widać — z bieżących wrażeń, wypłynęły z nastroju chwili.

A chwila ta miała się ku końcowi; państwo rakuskie przeszło ciężką chorobę przedzierżgania się z monarchii absolutnej w organizm federacyjny — teraz następował odpływ rewolucyjnej fali. Na wybrzeżu pozostały muszle: zniesienie pańszczyzny, konstytucya. Po 8 miesiącach wrzenia — zaprowadzenie zwątlonego »porządku« — po akcyi — reakcya. Formują się partye »porządku«: we Lwowie pojawia się »Polska«, w Krakowie — »Czas«. We Lwowie Hammer-

stein rozmawia z ludnością bombą i kartaczem — poczem rozwiązuje Radę centralną, zawiesza nad miastem stan oblężenia.

31 października wojska cesarskie zdobywają Wiedeń — sejm przenosi się do Kromieryża, władza przechodzi w inne, młode ręce.

Ciągną przez Galicyę na Węgry szeregi rosyjskich sprzymierzeńców z państwa trwogi i silnych, niezmożonych zda się, karbów.

W Prusiech sejm rozwiązany, bo zakazem płacenia podatków »chciał wzniecić anarchię«.

Polski duch, wieczny rewolucyonista, urzędowy »Revolutionsmacher« — jak go wówczas nazywano — na Węgry idzie, pod znaki generała Bema. W kraju znowu cisza, depresya, pognębienie ducha pod znakiem stanu oblężenia, wznowionej cenzury. W Krakowie ciszej, niż gdzieindziej — to, co stanowiło w nim kipiący ferment, częścią opuścić musiało miasto, częścią przystosowało się do nowej wegetacyi. »Ciężkie, duszne powietrze zaległo nad waszem miastem« — pisze o Krakowie Wielkopolanin, który go widział w kwietniu 1849 r. — »żaden wiatr go nie ruszy, żaden podmuch nie rozwieje. Sen letargiczny owionął wszystkie głowy, a nie myślałem nigdy, aby ludzie śpiący mogli jeść, pić, chodzić i żyjących udawać. — Kiedyś żyły te wielkie duchy, których kamienne nagrobki więcej mają ognia, niźli wy, żyjący! Kiedyś to jaśniały te słońca, na które patrząc, ociemnieliście. — O wy ludzie dzisiejsi, formy minionego ducha, czemuż z tym duchem forma nie przepadła!«

Zmieniły się warunki — zmienił duch. Ludzie ucichli, ostygli — zaczęła się robota »trzeźwa«, bezgłośna; ostatecznie zajęć było wiele: wybory na sejm,

udział w nich wieśniaków — skupiły powszechną uwagę — zniesienie pańszczyzny sprowadziło cały szereg zawiłych kwestyj ekonomicznych, które trzeba było koniecznie i jak najrychlej rozwiązać. Przesilenie ekonomiczne wzmogło się skutkiem upadku — wraz z »wolnem« miastem — wolnego handlu.

I Władysław Anczyc jął się zaniedbanej pracy; w rewolucyjnych latach wygorzał i wytlał — teraz począł patrzeć na świat spokojniej i krytyczniej. Od 1 października 1848 roku objął posadę adjunkta przy katedrze chemii i farmacyi profesora Floryana Sawiczewskiego i pozostawał na niej do 30 września 1849 roku. Nie zaprzestał jednak zajmować się żywo sprawą ludową. Z kraju szły niewesołe wieści; potwierdzało się to, co Helcel do Wielopolskiego pisał: uwłaszczony chłop rozleniwił się i rozpił, pracować mu się nie chciało. A tu kraj powinien był zdwoić produkcyę: »sprzymierzeniec« przeciągał przez niego tam i z powrotem, trzeba go było wyżywić — a potrzebował niemało. Okólniki hr. Gołuchowskiego prosiły i groziły — chłop stał kamieniem, na pańskiem robić nie chciał, chyba w ostatecznej potrzebie głodu. Czas trawił w karczmie lub na pieniactwie — i nie jego w tem wyłącznie wina.

Po zniesieniu pańszczyzny stosunki prawne w kmiecej rzeszy były nad wyraz anormalne. Patent z 7 września znosił pańszczyznę — ale zachowały moc swoją patenty z 10 maja 1787 r. i 25 czerwca 1789 r., ustanawiające majoraty i zasadę niepodzielności gruntów włościańskich; dlatego przeważna część włościan wegetowała, przyczepiona do posesyonatów w charakterze komorników, pracujących dla nich i od nich utrzymywanych. Utworzyły się jakby dwa stany:

beati possidentes, gospodarze — i rzesza czeladzi, odrabiających dla nich po staremu jakby pańszczyznę. Przy klęskach elementarnych, nieurodzajach, wylewach, epidemiach, przy braku kredytu wskutek nieurządzenia ksiąg hipotecznych — i stąd panującej lichwie — przy rozwielmożniającem się pieniactwie o wypłatę schedy i, co za tem idzie, rozwoju pokątnego pisarstwa — nędza stała się stałym gościem pod strzechą »wolnego« chłopa. Stosunek gospodarza do komornika wyrodził się tu i ówdzie w śmieszności. Oto czytamy w 218 Nr. »Czasu« (z 15 listopada 49 r.) następującą korespondencyę z Jasielskiego: »Rok bieżący był obfity w plony, lecz niechęć ludu połowę prawie zmarnowała, nie chciano w żaden sposób wychodzić do pracy, pomimo stosownego wynagrodzenia. Dali sobie słowo i dotrzymali go. — Chłop, gdzie może, robi uszczerbek swemu dawnemu panu a dzisiaj sąsiadowi — wypasa mu łąki i pola, wycina lasy, a wszystko mu uchodzi; żyjemy w najzupełniejszej anarchii, prawo własności wcale nie jest szanowane. Usposobienie ludu jest jak najgorsze. Niema u nich nic świętego, nie szanują religii, drwią sobie z księży, zgoła że stan okropności jest nie do opisania. — Nie wspominam już o rozbojach, o demoralizacyi, ale za to napomknę wam cokolwiek o arystokracyi chłopskiej, bo jestem przekonany, iż was to niepomału zdziwi. Kto powiedział, że arystokracya jest tylko w klasach wyższych społeczeństwa, ten się wielce myli; bo teraz przybyła nam nowa, którą nasze radykały wytępiać będą musiały pomimo tego, iż jest ich rodzonem dzieckiem. Na wielkiem zebraniu w karczmie we wsi Z... jeden z obywateli chłopów zabrał głos i w ten sposób się odezwał: »My kmiecie przyszliśmy dzisiaj do

pewnego znaczenia, trudno, aby reszta chłopów t. j. komorników z nami się bratała. Powinniśmy się od nich odróżniać, a odróżnienie to w ten sposób ustanowimy, aby nam mówili Jegomość a naszym żonom Imość«. Wniosek ten przyjęto z wielkiem uniesieniem i natychmiast w wykonanie wprowadzono, o czem przekonałem się przed kilku dniami. Kiedy bowiem rozmawiałem z pewnym kmieciem, nadszedł komornik, który po przywitaniu mnie dawnym obyczajem, kłaniając do nóg czapką, obrócił się do stojącego za mną kmiecia i ten sam ukłon mu oddał, tytułując go: Jegomość«.

Ależ znamy, znamy osnowę tej notatki — wykrzykujemy — toć to — »Chłopi arystokraci«, których akcya — jak zaznaczył autor — rozgrywa się w Jasielskiem w zimie 1849 roku. Tożto Marysia mówi do Jędrzejowej (akt I. sc. 1): »Ale wiecie wy, co se wcora gospodarze uradzili: zeby im kumornicy mówili Jegomość a gospodyni Imość«. Ukochany Marysi Marcinek błyszczy wśród gromady, jak brylant na śmietnisku: — »teraz kiej wszyscy nic nie robią, on tak pracuje jak wtedy, kiej pańscyzna była; pracuje, kiej insi lezą albo w karcmisku piją«. Inni nie robią nic: »Wojciech bez cały dzień w karcmie siedzi, do połednia śpi, Katarzyna pije, a cały dorobek Mosiek zabiera« (sc. 1). Ale jakoś to już nie uchodzi po dawnemu wołać »Marcinku«, więc Marysia, witając się, mówi: »Panie Marcinie«, »bo matka przykazała, żebyśmy wam mówili Panie Marcinie« — a Jędrzejowa dodaje w formie objaśnienia: »Toć przecie wiecie, ze od wcorajsa my biedacy nie to co oni — bo są panami ślachtą — a my nie mamy nic. Otóż skoro jes-

teście pańskie dziecko, nalezy wam się mówić panie«. Marcinek ma swoją starą, pańszczyźnianą filozofię. »Ano się starym we łbie zapaliło« — charakteryzuje krótko a dosadnie — »ja zawdy ten sam Marcinek« — odpowiada — »kocham was, to mi nie róbcie despetu i nie przezywajcie mie panem«. On nie chce być »panem« — on dumny jest ze swojej czystej, chłopskiej krwi — nie chce, by go »przezywano panem«; był u księdza proboszcza, ażeby odmienił jakoś ojców — ale wszystko nadarmo: »onić ta zwazają na księdza, kiedy Boga znać nie chcą — prędzejbyś wskórał, zebyś posed do harendaza« (sc. 2).

I jeszcze jeden szczegół, powtórzony żywcem za jasielską notatką. Katarzyna mówi do swego męża Wojciecha (sc. 6): »Kiedyś już raz dostąpił ślacheckiej dystynkcye, to ci się trudno do komornictwa wrócić. Źle ci to, że każdy komornik, każdy charłak sięga ci kapelusem do butów, że ci mówi jegomość?«

Oto i geneza pomysłu »Chłopów«. — Autor, który już w dziecięcym utworze wyszydził kominiarza, chcącego udawać »pana«, po przeczytaniu notatki z Jasielskiego, która była charakterystycznym wyrazem wieści, oddawna z prowincyi nadchodzących — powziął pomysł napisania »szkicu dramatycznego«. Do podstawowego pomysłu »arystokracyi chłopskiej« dorobił fabułę. Powtórzmy ją w krótkości: Gospodarz Bartłomiej, wzięty w rekruty, poszedł na wojnę do »Italii« i słuch o nim zaginął. Gospodarstwo i córkę, jedynaczkę, Marysię, pozostawił w opiece pary komorników, Wojciecha i Katarzyny. Podczas trzynastoletniej jego nieobecności (— służba wojskowa trwała wówczas 12 lat—) wiele się zmieniło: chłop dostał grunt, zależ-

ność od dworu upadła. Wojciech i Katarzyna, sądząc, że Bartłomiej przepadł gdzieś na szerokim świecie, rozgłosili, że grunt i chałupę im odsprzedał — a kiedy rozeszła się wieść, że Bartłomiej do kraju powrócił i we wsi rychło się zjawi, uradzili, za podszeptem Mośka arendarza, wysłać Marysię do Brodów na żydowską służbę, na przepadłe; Bartkowi się powie, że córka uciekła z jakimś wojakiem na Węgry — pójdzie jej szukać i zginie, a oni zostaną na gruncie. W porę jednak jawi się Bartłomiej, który nabrał ogłady i dosłużył się rangi feldfebla; Marysia uratowana wychodzi za mąż za uczciwego i kochającego ją Marcinka, komornikom darowuje się wspaniałomyślnie wina; żyd, twórca niegodziwego planu, dostaje plagi.

Wracamy do zasadniczego pomysłu — »chłopskiej arystokracyi«: ona stanowi nerw sztuki, ją chłosta i wyśmiewa autor całą werwą doskonałej satyry. Od chwili, kiedy »jakiś pan Rajkstag ślachtę skasował«, potworzyły się w gromadzie chłopskiej kasty, na wzór dawniej istniejących, jakby dla zadokumentowania, że absolutna równość da się tylko teoretycznie pomyśleć. Rozróżnia autor takich kast w chłopskiej społeczności trzy: gospodarze — jakby magnaci, posesyonaci — zagrodnicy, niby szlachta zagonowa — i komornicy, niewłasnowolni chłopi. Przejdźmy po kolei przedstawicieli tego nowego społeczeństwa w społeczeństwie. Więc naprzód gospodarze: Wojciech i Katarzyna. Wojciech, bezwolne narzędzie w ręku żony, słucha jej, czyni, co mu każe, dumny z jej rozumu i »pańskich« manier. »Uważacie wy Stanisławie« — mówi — »jaka moja kobieta mądra«. »A co Stanisławie, prawda« — pyta — »ze moja Kaśka na wielką panią stworzona?« Ma »śkrypuły«, kiedy

Mosiek żąda wydania Marysi: po chłopsku spluwa, w głowę się drapie i na żonę spogląda — ale ta ma w zapasie nieodparty argument: »jak ją wygnamy, to i Bartka biesi wezmą, a ja ci pozwolę bez cały dzień siedzieć u Mośka«. To skutkuje natychmiast: Wojciech gorzałkę lubi pasyami — żony boi się i słucha — i dobrze mu z tem: śpi, ile chce, »pije, co strzyma, je, ledwie nie pęknie«. Kiedy mu Szczepanek opowiada o Italii niestworzone rzeczy, że »tam wino ze źródeł bije, a każdemu wolno pić siła chce« — wtedy nawet budzi się w nim jakaś inicyatywa, rwie się do czynu, zbiera go »oskumina na tę Talią« — pragnie zwołać gromadę i podać suplikę do cyrkułu, »zeby ją (Italię) mogli nasym gospodarzom oddać«. Nie jest z gruntu zły; tylko go gorzałka i zła baba w mocy trzymają — więc kiedy zjawia się Bartłomiej, prosi go o przebaczenie, że mu córkę chciał zmarnować: »ale wiecie — tłómaczy się — »ze kaj dyabeł nie moze, tam babe pośle, awo tez i na mnie dyabeł moją Kaśkę nasłał«.

Ta Kaśka — to najlepiej postawiona figura w sztuce; »chłopska arystokratka« w każdym calu, od chwili, kiedy przestali odrabiać pańszczyznę i zostali »galant ślachcicami«, już nie Kaśka Koguciak — ale »Jaśnie Wielmożna Katorzyna Kogucińska«, boć »zaden ślachcic nie moze się nazywać Koguciokiem, ale Kogutkiewiczem albo Kogucińskim«. O splendor »domu« dba wielce i uchybiać mu nie da; gniewa się bardzo, gdy kto nie nazwie jej »Imością«, męża »Jegomościem« a synów »panami«.

Ona już taka od maleńkości: nigdy nie lubiła roboty, codzień się upijała, od »Frajcuza« kamerdynera uczyła się po »frajcusku«, »okomuna uważała najbardziej tego, co miał bat największy«. Jest pewna,

że do wiosny dziedzica z dworu wygnają — wtedy sprowadzi się do dworu, do którego przyzwyczaiła się, będąc jeszcze »panną do trzody«.

»Kiej człek pańskie grunta złapie,
Przeniesiewa się do dwora,
Będę siedzieć na kanapie,
Będę sobie zawdy chora.
Bez cały dzień będę piła,
Na obiad codzień gęsina,
Arakiem się będę myła,
Wiwat pani Kogucina!«

Ten chłop, naśladujący »pana«, imituje go w tem, co mu najwięcej w oko wpadło — a przedewszystkiem w pańskiem bezrobociu. On, to umęczone bydlę robocze, widział często owo »*dolce far niente*« dziedzica, wzdychał do takiej bezpracy — a poczuwszy się »panem«, od zupełnego zaniedbania pracy rozpoczął; tu oczywiście satyra ma dwa końce.

Katarzyna umyśliła starszego syna, urlopnika Sceponka ożenić z córką Stanisława, Franką; »my teraz musimy wsyćko robić wedle pańskiej maniery« — tłómaczy synowi — »a ze u panów, jak ojcowie ułozą, to się dzieci musą zenić: więc i ty musis się ozenić z panną Franciską«.

A do »partyi« tej zmusza panią Kogucińską nie wzgląd na »koligacyę« — Stanisław zna historyę z gruntem, to mu trzeba gębę zatkać, więc Katarzyna rzuca na ofiarę syna i godzi się na jego »mezalians». Tak — bo Stanisław, choć nie »*profanum vulgus*«, komornik, zawszeć tylko — zagrodnik; w najlepszym razie mógłby zostać u państwa Kogucińskich »okomunem«, boć jako zagrodnik jest »daleko nizsej kondycyje« od Wojciechów.

Broni się, jak umie, od tego stawiania na niższym szczeblu »hierarchii« Stanisław, nie mniej od Katarzyny ambitny.

Chłop ponury — wykrochmalony kołnierzyk sprawił sobie, cygaro wsadził w gębę; nie obce mu tradycye 46 roku — kiedy mu na wódkę pieniędzy braknie, wie, »kaj ich sukać«, a gdy go oszukaństwa arendarza zniecierpliwią, wie, »co z żydem zrobić«. W rozumieniu swojem jest taki sam dobry »ślachcic«, jak i Kogucińscy — mógłby powiedzieć »szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie«; a przytem może poszczycić się »ujkiem«, który był »deputokiem we Widniu a jesce jakim, mądrzejsym od wsyćkich, bo bez cały cas gęby nie otwar«. Wie przytem, że »szlachectwo« Kogucińskich na niezbyt silnych spoczywa nogach; nużby Bartłomiej wrócił! — musiałby wtedy »rad nie rad France innego spekulować męża, boby się nierad z chłopami krewniać«.

Figurą epizodyczną — to Sceponek, wyborny urlopnik, sportretowany z obserwacyi podczas przebywania w więzieniu podgórskiem. Ma on swoje osobne poczucie godności — z rodzicami i bratem wita się chłodno, protekcyonalnie, nie daje się im spoufalać z sobą, boć on jest (a przynajmniej udaje, że jest) kapral — a oni nie są nawet »gemajnami«.

To także arystokrata — wojskowy...

Opowiada o Italii i swojem męstwie arabskie historye — a w gruncie rzeczy tchórz nad tchórze. O ożenku z chłopską córką zrazu ani słyszeć nie chce, nie wie, że to już nie chłopi, tylko szlachta, a przytem zakochała się w nim pewna »grefina italiańska, co u niej stał na kwatirungu w Majlandzie«.

Nad wszystkimi unosi się jak czarne widmo, z flaszką gorzałki w ręku — Mośko arendarz.

Bez porównania słabiej zarysowywują się postaci dodatnie: więc świat komorników, stara Jędrzejowa i nieszczęśliwa Marysia, Marcin, choć nie komornik, jednak »arystokracyi« ojców nie pojmujący — i feldfebel Bartłomiej, zjawiający się trochę zbyt w porę, jak »*deus ex machina*«, dla rozwikłania naiwnie nieco splątanego węzła intrygi.

Jakiż będzie nasz ogólny sąd o tym pierwszym, znanym utworze scenicznym Władysława Anczyca? Oczywiście musimy popatrzeć nań, jako na próbę dramatu ludowego — a więc ze stanowiska metody porównawczej.

Pozwólmy sobie najpierw zauważyć, że dramatem ludowym w ścisłem słowa tego znaczeniu jest dramat treścią i formą ludowy. Sztuka, którejby widz chłopski niewiele zrozumiał, jest tylko sztuką o ludzie, na temat ludu. Tedy dramatem ludowym jest utwór sceniczny, czerpiący temat z życia ludowego i ubierający go w formę ludowi zrozumiałą — więc w ludowym języku napisany.

Im więcej obejmie całokształtu tego życia, im subtelniej podpatrzy charakterystyczne jego cechy, im bardziej jednolity i wierny typ chłopa, z jego specyalnym poglądem na świat utworzy — im z drugiej strony więcej opanuje jego język, dyalekt, gwarę — tem bliżej staje ideału dramatu ludowego. Żąda się tedy tutaj realizmu w treści i formie — ale nie tego realizmu, który jest sam sobie celem (o haśle »sztuka dla sztuki« nie może tu być mowy); tu celem winien być — jeżeli mówimy o dramacie dla ludu — utylitaryzm, pedagogia, pouczenie.

Dusza chłopska, nie znająca wyrafinowanej gurmanderyi estetycznej, nie będzie rozkoszowała się subtelną perypetyą sztuki; ona raduje się, kiedy na desce scenicznej ujrzy, jak we zwierciadle, własne odbicie; z natężeniem śledzić będzie akcyę, jeśli ją autor podpatrzył z przyzby wiejskiej chałupy i na scenę podał. W tej akcyi autor ludowy, świadom swojego posłannictwa, dobitnie skarcić musi przywarę, pochwalić przymiot, iżby dramat był dla wrażliwej, dziecięcej duszy chłopskiego widza słowem z kazalnicy, pouczeniem mądrego nauczyciela w szkółce wiejskiej, imperatywem dobra, potępieniem zła. Wtedy ludowy dramat będzie dobry, zasługa oświatowa, czyn obywatelski — spełniony.

Z takich założeń wychodząc metaforycznie chyba można nazwać Franciszka Dyonizego Kniaźnina praojcem polskiego ludowego dramatu. Jego wielka, szanowna zasługa, to wprowadzenie chłopa na scenę; ale jakże ten chłop daleko odbiega od przeciętnego typu, jak bardzo on — stylizowany!

A potem... brak zasadniczego warunku: brak formy, brak języka ludowego. Nie dla chłopskich widzów pisał autor »Cyganów« swoje »opery« i »sielanki«: dostojne towarzystwo aktorów odgrywało je przed dostojnem gronem widzów na theatrum Siedleckiem — to samo grono, które w pięknem i modnem wówczas przebraniu pasterzy i pasterek pasało sobie poprawnie sprawujące się bydełko, przygrywając na fletni miłosne trele.

Niesłusznie uważa się »Cyganów« za sztukę najwięcej ludową ze sztuk Kniaźnina: już w zasadzie cyganie dzierżą tu ster akcyi; temat, porwanie dzieci — nie łączy się z codziennem życiem ludu. Chłopskiemi

są tu imiona: a więc nie Filon, Laura i t. p. — tylko: Bartek, Stach, Szymon, Jewa i t. d. Słyszymy o małomiasteczkowym jarmarku — pijana gromada chłopów idzie do starej cyganki po wróżby; gdzieś w dali widać karczmę, chłopską radość i niedolę; za szynkwasem uśmiecha się Herszko, Sora i Esterka.

Tę karczmę widzimy i w »Chłopach«; tylko tutaj ona działa bujnie, znieprawia i demoralizuje — tam ledwie jej zarys widny. Ostatecznie w obu utworach wszystko kończy się dobrze: hymen rozpala swoją pochodnię. Analogon tkwi w wiejskiej karczmie, w pijanym chłopie.

Daleko więcej pierwiastków ludowych upatruję w »Trzech godach«, 5-aktowej »sielance« Kniaźnina. U wstępu już spotykamy się tutaj z tak naturalną w ustach chłopskich skargą — ze skargą na pańszczyznę. Maryna żali się, że już o świcie wezwał włodarz jej męża Grzelę na »pańskie« — choć w polu żniwa.

»A wyrozumieć ubóstwa
Panowie u nas nie zawsze umieją«.

Jest i typowy ekonom z nahajką — »czarny charakter« — i skarga na »przywiązanie do gleby«:

»A w Polszcze z całego świata
Woli pan ludzi do siebie zgromadzić,
Niż jedną duszę ze wsi swey wypuścić,
Chyba za wielkim okupem«.

Toć to wszystko najciekawsze strony chłopskiej doli w czasach pańszczyźnianych! Są i pomniejsze, gospodarskie troski: więc trzoda wlazła w zboże, kury rozgrzebały grzędy w ogrodzie, wróble »wypijają« proso, jastrząb porywa »jarzębatą« kokoszkę-faworytkę.

A kiedy się weselą — śpiewają i tańczą: nie »balet«, jak dzieci wiejskie w »Cyganach«, tylko krakowiaka, mazurka, góralskiego .Jest i Zacharenko kozak — zawadyaka, wcale udatnie skreślony: z bandurem włóczy się po wsi, dziewczętom w oczy zagląda i śpiewa dumki ruskie, »trefne« żarty po rusku koncypując — już więc w tej postaci autor indywidualizuje język. A z piosenek niektóre żywo treścią i formą przypominają ludowe śpiewki: taka np. piosenka Zosi:

»Wiewióreczka w lesie
Gdzieś orzeszki niesie;
Niesie, niesie wianek
Dla mnie mój kochanek«
i t. d.

Lub owo Bartkowe śpiewanie:

»Kukaweczka kuka
Nad zieloną gruszką,
A moje serduszko
Tobie Basiu puka
Puk, puk, puk«.

Odpalonego Bartka gromada wodzi po wsi z wieńcem grochowym na głowie; Maryna, wydając wszystkie trzy córy za mąż, wieńczy je »starym obyczajem« rozmarynem — a całość kończy huczny krakowiak z podkówkami, z przyśpiewkami.

W tej dramatycznej sielance jest już znacznie więcej ludowego życia, aniżeli w »Cyganach« — i daleko słuszniej może ona uchodzić za prototyp ludowej sztuki.

Dodajmy dla uzupełnienia, że w innej dramatycznej sielance, w »Josinach«, skreślił Kniaźnin dwie wcale udatne postaci wiecznie swarzących się i prze-

rywających sobie kum: Grzegorzowej i Piotrowej — i naprawdę znakomity typ wiejskiej dewotki, Szymonowej, co to była i u świętego Jana z Dukli i w Częstochowie, zna wszystkie tabliczki na cudownym ołtarzu, cały dzień w kościele siedzi, klepiąc pacierz i zażywając tabaczki, którą jej doradził ks. Gabryel na oczy — a przytem i gorzałką nie gardzi. Ta jednak postać równie dobrze mogłaby się znaleźć na bruku miejskim — jak na wsi.

Oto w zarysie wszystko, co ludowego wniósł Kniaźnin do dramatu — brak mu, powtarzamy, zasadniczego warunku, brak — z wyjątkiem kilku śpiewek — formy ludowej.

Temu brakowi zaradził Wojciech Bogusławski; jego krakowiacy już mówią swoim językiem a naśladują ich górale, którzy swój własny dyalekt pozostawili — ze szkodą dla sztuki — w Tatrach. Widzimy na scenie krakowskiego chłopa z krwi i kości — ale widzimy go tylko w jasnem świetle tańca i weselnych zabaw — nie widzimy go w twardej, codziennej pracy na roli, nie widzimy go w posępnych dniach przednowku, kiedy ostatnią krowinę zabiera żyd-lichwiarz, a dzieci mrą na tyfus głodowy.

Widać już wyraźnie pośród chałup wiejskich karczmę — ale nie działa ona tu jeszcze destrukcyjnie. Przeciwnie: radość w niej i uciecha, roztańczyło się w niej krakowskie weselisko z przyśpiewką i przytupaniem. Oto grzmi dwuśpiew drużbów i druchen: przyszli parobcy po młodą w rucianym wianku i przekomarzają się w śpiewie z dziewczętami, co ją otoczyły kołem i niby to zawodzą nad nią i wydać nie chcą. Na czoło wysunął się organista Miechodmuch — znakomity nabytek dla ludowego dramatu — tchórz

i przechera, pijak i obżartuch; pod boki się ujął i szepleniąc wali weselną oracyę, pełną kwiecistych metafor, barwnych antytez i porównań. Na chwilę widnokrąg się zachmurza — sprawcą: *das ewig Weibliche*. Oto Dorota, młoda żona starego młynarza, którego za nos wodzi i pod pantoflem trzyma (coś jak pani Kogucińska) — zakochała się w Stachu i pasierbicy mu dać za żonę nie chce. Jej chłopska, prosta etyka burzy się przeciw wiarołomstwu — ale tu działa przykład z góry: napatrzyła się w mieście, jak to »mąż koło kuchni chodził, a ona w pokoju lezała na kanapie w cieniusieńkim stroju, ze ją ledwie nie nago widzieć mozna było, dwóch młodych oficerów psy niej się kręciło, takze jakiś kanonik...« Ona w tym kierunku naśladuje »panów« — zgniły wyziew cywilizacyi odbił się brudną plamą na jej duszy; a ma to aby kogo, coby jej ze złej drogi sprowadził — widziała w mieście kanonika koło nagiej pani — do proboszcza, co ma być duchownym ojcem i czystym pasterzem trzódki, nie pójdzie: dyć koperczaki sam do niej palił, kiedy wej chusty prała, że go aż kijanką przemierzyć musiała.

Ostatecznie wszystko kończy się dobrze — oczywiście weselem, szkoda tylko, że to jakoś nie wypłynęło z samej akcyi, z psychologii osób działających, jeno Dorotę z niewczesnych »jamorów« wyleczyła codowna wierzba, górali zaś od porywania cudzego bydła oduczył Bardos, »*pauper studiosus*« przy pomocy elektrycznego drutu. Z tem wszystkiem jednak przyświecał autorowi cel naczelny: pouczenie i umoralnienie. Pouczyć chłopka o działaniu elektryczności i wbić mu w głowę dwa przykazania: nie kradnij i nie cudzołóż. Język zaś, wesele — i Miechodmuch, to trwałe

nabytki w dziedzinie dramatu ludowego, które sprawiają, że jak z entuzyazmem przyjęto sztukę pod wpływem racławickiej wiktoryi — tak i dziś ochotnie na nią patrzeć można i teatrom włościańskim do grania polecić.

»Uszczknięty« wątek »Cudu« usiłował prowadzić dalej Jan Nepomucyn Kamiński, zniewolony do tego »niedostatkiem dzieł dramatycznych szczerze narodowych« — jak pisze w przedmowie do »Zabobonu«. A pisał to w czasie, kiedy zajęcie się twórczością ludową niepomiernie wzrosło, kiedy strupieszały organizm literatury »pięknej« odmłodzić chciano motywami ludowych pieśni, w czasie działalności Czerwińskich i Czarnockich, w dobie narodzin polskiego folkloru. W »Zabobonie czyli Krakowiakach i Góralach« opisał okrężne, wspomniał o jednym ze skutków niewoli chłopskiej: o zakazie dworu pobrania się kochającej pary — przemienił ubogiego Bardosa we wspaniałomyślnego dziedzica Cnotliwskiego, który swoich chłopków obdarowuje wolnością, wzbogacił galeryę typów postacią »wokomuna«, tchórza i złodzieja — (uczynił to już w skromniejszym zarysie Kniaźnin) — zresztą powtórzył treść za Bogusławskim i — snać w imię zasady »*non bis in idem*« — powtórzył gorzej.

Romantyzm polski, tak bujny w swojej spuściźnie, zbyt obfitował w prometejskie wzloty, zbyt pełen był ossyanicznych i byronicznych uśmiechów; ludowego dramatu nie stworzył.

Pozostały omówione próby — a w nich chłop oświetlony zbyt jednostronnie, z mało wyrobioną specyficzną psychologią, mazurzący i operujący kilku formami ludowemi u Bogusławskiego i Kamińskiego — ale w mierze dość ograniczonej.

Nigdy może przedtem zajęcie się ludem nie przybrało tak wielkich rozmiarów, jak po r. 1821. Świadczy o tem litania nazwisk zbieraczy ludowych pieśni, jak Wacława z Oleska, Żegoty Paulego, Wójcickiego, Chrapowickiego, Czeczota, Bielowskiego, Siemieńskiego, Goszczyńskiego, Pola i innych — świadczy bogata literatura, omawiająca zniesienie pańszczyzny. Od chwili, kiedy sobie zdano wreszcie sprawę, że na pomoc obcą w walce o wolność rachować nie można, powszechna uwaga społeczeństwa zwróciła się na lud; on miał być tym, którego imię 44, on stał się celem zabiegów emigracyi i bohaterem dnia — jak był bohaterem ludowych powieści Kraszewskiego, pisanych między 1840—50 rokiem, jak stał się bohaterem »Karpackich górali«, napisanych w 1840, a wydanych w 1843 roku.

Czy jednak »Karpaccy Górale« to naprawdę dramat ludowy? Czy odpowiada postulatom, któreśmy sztuce ludowej postawili?

Już Goszczyński w »Nowej epoce literatury polskiej« osądził, że pierwsze próby dramatyczne Korzeniowskiego »nie rokują pisarza, który ma stworzyć dramat naszemu ludowi właściwy«. ! powiedzmy — nie omylił się tym razem. Sztuka Korzeniowskiego, mimo miejscowego kolorytu, mimo motywu branki w rekruty, postaci mandataryusza: wilka w baraniej skórze opiekuna ludu w ostatnich latach poddaństwa — nie jest dramatem ludowym. Nie jest, bo brak mu zasadniczego warunku: języka, bo nie daje obrazu codziennego życia ludu, bo wreszcie Antoś Rewizorczuk wybiega poglądem na świat daleko poza horyzont chłopskiej myśli i nie jest typem chłopa, bo zbyt wiele rysów zapożyczył od Karola Moora. Odmawiając sztuce

Korzeniowskiego miana ludowego dramatu, nie zmazujemy rozumie się wielkich zalet tego ludowego utworu: artystycznego prowadzenia akcyi, psychologicznie umotywowanego konfliktu i rozwiązania. Sądzimy tylko, że »Karpaccy górale« nie są ogniwem w ewolucyi polskiego dramatu ludowego, bo »ludowości« w nich doza minimalna.

Rok 46 przyniósł straszny zawód; miejsce idealnego kmiotka Bogusławskich i Kamińskich zajęło krwawe widmo Szeli. Wstrząśnienie musiało być nad wyraz potężne, kiedy wczorajsi, skrajni rewolucyoniści, Kalinkowie i Siemieńscy, przeobrazili się w dzisiejszych legitymistów i ugodowców.

Potężnemu działaniu chwili uległ i autor «Chłopów« — podchwycił tu i ówdzie zdarzające się w niewyklarowanym jeszcze stanie rzeczy śmiesznostki i stworzył po raz pierwszy chłopa w oświetleniu niesympatycznem: jego Kogucińscy i Stanisław są nieuczciwi, opilcy, złe strony życia »panów« karykaturalnie naśladujący — a w tej ostatniej przywarze trwają konsekwentnie do końca: Stanisław nie chce córki wydać za Szczepanka, bo »on nie jest chłopski przyjaciel«, a Katarzyna pociesza się, że choć skutkiem przybycia Bartłomieja skończyło się ich szlachectwo, to jednak nie spadli do stanu chłopskiego: »ja i Wojtek tośma niby suspendowani oficyaliści na retrycie abo na ameryturze« — powiada.

Czy jednak autor, nadając — może mimowoli — swojemu utworowi tendencyę społeczną, wykazując na przykładzie arystokracyi chłopskiej illuzoryczność bezwzględnego zrównania stanów — nie ograniczył tem samem »ludowości« swojego utworu? Czy wyrywając moment z doby przejściowej, wypadek spora-

dyczny, nie popadł w jednostronność? Czy jednem słowem stworzył przeciętny typ chłopa i dał obrazek codziennego jego życia? Odpowiadamy — nie, i w tem powód, że »Chłopi arystokraci« doskonałym dramatem ludowym nie są. Są jednak bezwarunkowo dalszem ogniwem rozwojowem, są lepsze od tych prób ludowej sztuki, które były przed nimi. Nie idealizują chłopa, tylko wyraźnie podkreślają ciemne strony jego duszy: więc poza małpowaniem »panów« — wadzie spotykanej i w innych warstwach społecznych — wytykają chciwość, opilstwo, lenistwo, ciemnotę i lekkomyślność, z czego korzystać potrafi Mośko arendarz. On jest tym, który podsyca złe narowy, ponosi lwią odpowiedzialność za to, co złego robią chłopi i chroni autora od zarzutu, że po idealizowaniu chłopa przed 46 r. popadł w przeciwną krańcowość. Ten karczmarz Mośko, wprowadzony na scenę jako siewca złego, wyzyskujący chłopa i wiodący go na manowce błędu — to nowa postać z wielkim realizmem przez autora skreślona. Drugą nową figurą, po raz pierwszy na scenie ludowej się pojawiającą — to urlopnik Sceponek, zręcznie scharakteryzowany w swojej pyszałkowatości i tchórzostwie.

Bladość postaci dodatnich, niezręczne rozwiązanie konfliktu — te wszystkie wady i usterki utworu okupuje język, wyjęty z ust ludu, język, którym autor włada z całą perfekcyą i swobodą. Przyswoił go sobie autor i znakomicie opanował dzięki częstym rozmowom i obcowaniu z ludem wiejskim. Już w pierwszym wierszyku spotkaliśmy formy ludowe. W 48 r. był trzy razy w Krzeszowicach, raz w Sierszy, dwa razy w Michałowicach, raz jeździł do Rzeszowa, dwa razy do Tarnowa; w 49 roku odwiedził znowu trzy

razy Krzeszowice, był w Sierszy i Mnikowie. Niezliczone razy przeszedł pieszo cały powiat krakowski wzdłuż i wszerz, znał wszystkie niemal drogi i ścieżki. Podczas tych wycieczek poznał lud krakowski, jego zewnętrzne i wewnętrzne właściwości, jak mało kto, a etnograficznym spostrzeżeniom w tym kierunku dał znakomity wyraz w »Obrazach krakowskich«, ogłoszonych w »Tygodniku illustrowanym« w 1862 r. Toteż w »Chłopach« włada gwarą mazurską tak znakomicie i z taką swobodą, jakby nigdy innego języka nie używał. Poprzednicy jego poprzestawali na mazurzeniu i pewnej ograniczonej liczbie konwencyonalnych właściwości głosowni i stylistyki — pozatem poświęcali wiele dla rymu; Anczyc w swojej prozie operuje całem bogactwem charakterystycznych znamion narzecza. Co więcej — on indywidualizuje język: chłopi rozmawiają własną gwarą, feldfebel nauczył się podczas 13-letniej służby języka »inteligentów«, Mojsiek używa właściwej prawowiernym synom Izraela polszczyzny a z synem porozumiewa się żargonem, a Sceponek... proszę posłuchać urlopnika, co to wsadziwszy »wirdżinię« w usta zjawia się wprost z »regimentu« we wsi ojczystej, ażeby spojrzeć z wysokości swojej bluzy wojskowej na »landsmanów«, poszczypać dziewuchy, »potz tauzend panienki« i opowiedzieć niestworzone rzeczy o »landach, feśtungach i śtatach«, które się widziało.

* * *

Z bijącem sercem zaniósł Anczyc swój utwór dyrektorowi Chełchowskiemu, który lubiał z góry traktować młodych autorów. Chełchowski po prze-

czytaniu obiecał wystawić a jako honoraryum wręczył autorowi — dwa bilety na parter. Nie mógł zagrać synowi ojciec w jego sztuce, bo już od kilku miesięcy opuścił scenę i objął — w nagrodę półwiekowej pracy — przez urząd miejski mu powierzoną posadę pisarza akcyzowego na rogatce. Mógł więc tylko z widowni cieszyć się sukcesem, jaki premiera 20. grudnia odniosła. Nowa sztuka ludowa nie była częstem zjawiskiem na scenie, a zwłaszcza napisana po 46 r., po zniesieniu pańszczyzny, kiedy zainteresowanie chłopem wzmogło się niepomiernie, wyobrażenie jego psychiki zróżnicowało i przybrało zabarwienia, nieznane przed 46 rokiem — musiała stać się wypadkiem dnia. Pozatem rozeszła się pogłoska, że starostwo grodzkie zrazu reprezentacyi sztuki wzbroniło. To wszystko były powody, że dnia 20. grudnia teatr wypełnił się po brzegi.

Sztuka zyskała poklask; dwukrotnie wystawił ją Chełchowski jeszcze przed nowym rokiem, wręczając autorowi po drugiem przedstawieniu 100 złotych, czwarty raz 17. stycznia »na żądanie wielu osób«, szósty raz »na żądanie« 26. lutego — sztuka utrzymała się w repertuarze i doczekała jubileuszów. 100 złotych, otrzymanych od Chełchowskiego, to było jedyne honoraryum, jakie autor otrzymał za utwór, który przez kilkadziesiąt lat utrzymał się na wszystkich scenach polskich.

Z głosów krytyki nie mógł być autor bardzo zadowolony; 1. stycznia 1850 r. zamieścił »Czas« w dodatku krótką recenzyę: »Arystokracya Chłopska, w której kilka scen niezłych, układ nawet niezgorszy, ale brak komiki, wypływającej z akcyi — zupełny«. W dalszym ciągu wytyka recenzent sztuce liczne powtarzania się tych samych myśli.

Bez porównania ostrzej obszedł się krytyk lwowski, zdając sprawę w »Tygodniku lwowskim« (1850 r. nr. 14) z przedstawienia »Chłopów« na scenie we Lwowie (6 kwietnia). Zalicza sztukę do *»comédies larmoyantes«*, o których Szyller wyrzekł: *wenn sich das Laster erbricht, setzt sich die Tugend zu Tisch.* Stwierdza, że sztuka ma społeczne znaczenie »może mimo woli i wiedzy autora« — zaprzecza wszelkiej poetycznej wartości formie — a co do wyboru tematu, któremu przyznaje prawdziwy tragizm, mówi: »żałować musimy, że się żaden z poetów naszych nie spotkał z podobnym przedmiotem«. — Ta ostatnia uwaga musiała być szczególnie dla młodego autora przyjemna!

Zato po wyjściu drukiem »Chłopów« (1850, Kraków, w drukarni Józefa Czecha, w 16-ce, str. 80) bardzo pochlebnie wyraził się o nich Wł. Wójcicki w »Bibliotece warszawskiej« (1850, tom III. str 540). Pisał, że nowy utwór daje »wierny obraz naszych włościan, żydów i żołnierzy w wojsku austryackiem« — że wprawdzie »w ogólnym układzie brak znajomości pierwszych warunków sztuki, za to szczegóły wyborne, a charaktery nacechowane prawdą i doskonale oddane... język wyjęty z ust ludu, a nawet mowa żołnierzy austryackich, co z chłopów wziętych z Galicyi wracają do domów, wybornie naśladowana, nadają temu szkicowi wartość literacką«.

Nie mniejszem powodzeniem cieszyła się sztuka i w trzeciej dzielnicy Polski — w W. Księstwie Poznańskiem. W korespondencyi z Poznania do »Czasu« (1852, nr. 137 z 18. czerwca) czytamy, że »najwięcej lubuje nasza publiczność, szczególnie wiejska, w Chłopach Arystokratach, która to sztuczka wielki tu sukces

miała«. To powodzenie sceniczne sprawiło, że w marcu 1852 roku odegrano utwór Anczyca po czesku w Pradze, pod nazwą: Sédlaci pani. Nadto ukazało się i ruskie tłómaczenie p. t. Mużyki arystokraty.

Już 24 marca 1850 roku wystawił teatr krakowski »Paupra krakowskiego« W. L. Anczyca. Niektóre szczegóły o sztuce i przedstawieniu zanotował K. Estreicher w książce swojej: »Teatra w Polsce«, Kraków 1876, tom II. str. 339 i n. Owóż wedle tych notatek przedstawienie wyprzedziła korzystna dla teatralnej kasy pogłoska, że »Pauper«, to karykatura znanej i popularnej postaci pierwszego »szlifibruka« krakowskiego, który przehulawszy grosze i uwikławszy się w romans z pewną niemłodą hrabiną, ustąpić wreszcie musiał poza miasto i przyjąć dzierżawę młyna. Pogłoska była tak powszechną, że doszła nawet uszu bohatera tragifarsy, który przybył do miasta i czynił starania, iżby władze wzbroniły przedstawienia, czego jednak uzyskać nie zdołał.

Któż nie zna potęgi plotki — wprawne języki fachowców, zwłaszcza płci nadobnej, omielą ją na wszystkie boki, ustroją w pstre gałganki niedopowiedzianych słówek — i puszczą na świat szeroki; dojdzie ona w najciemniejszy kątek, urośnie i napęcznieje, zwłaszcza jeśli się ją podsypie pieprzem skandaliku i podleje — byle nie za dużo — sosem dyskretnej pornografii.

Wędą skandalu zwabiona publiczność zajęła widownię tłumnie 24. marca; przygotowali pewien zapas pruderyi, trochę skromnych rumieńców, przyciemnili nawet w oczach błysk szalonej ciekawości i — zawiedli się. Pogłoska okazała się fałszywą, a sztuka

tylko przeróbką starej farsy niemieckiej. »Każdy się cieszył, że zobaczy na scenie ten typ nasz rodzimy« — donosi skromnie »Czas« w nr. 71. — »ale zawiódł się, bo zamiast Paupra, jest to jakiś awanturnik i oszust, figura stara jak świat i jak komedya niemiecka, z której ta farsa przerobioną została. Mimo tego dla pociesznych niekiedy, lubo zbyt powtarzających się konceptów, śmiała się publiczność, a więc sztuka znalazła powodzenie«.

Powtórnie wystawiono »Paupra« z »poprawkami« dnia 28. kwietnia; poprawki nie zdołały zastąpić plotki: publiczność zawiodła. O drugiej reprezentacyi donosi »Czas« w nr. 99: »nie można zaprzeczyć, że w całej tej sztuce pełno jest miejsc śmieszących — ale niema ani jednej sytuacyi, jednego dowcipu, któryby cię do serdecznego śmiechu pobudził — wszystko to stąd pochodzi, iż autor chcąc być ciągle dowcipnym i zabawnym, przesycił sztukę płaskim dowcipem, charaktery skarykaturował, interes akcyi osłabił«.

Po tych dwóch spektaklach sztuka z repertuaru zeszła; autor musiał uznać swoją przeróbkę za chybioną próbę: drukiem jej nie ogłosił.

Nie czując się na razie na siłach do samodzielnej koncepcyi, nauczony pewnie smutnem doświadczeniem z »Pauprem« — rozglądnął się Anczyc po współczesnej belletrystyce polskiej, która pod wodzą Kraszewskiego i Korzeniowskiego tak świetnie się rozwijała; wybrał poczytną wówczas bardzo »Kollokacyę« Korzeniowskiego i przerobił ją na scenę pod nazwą »Rzeczpospolita«, która w tymże roku — bliższej daty podać nie umiem — ujrzała światło kinkietów na scenie krakowskiej. Sztukę spotkał zwykły los powieściowych przeróbek: »grzeszyła zbytniem rozstrzeleniem akcyi,

podzieleniem jej między drobnych działaczów i zbytnim tychże napływem« (Estreicher, Op. c. str. 342). Po dwu przedstawieniach sztuka zeszła ze sceny. Autor zamierzał ogłosić ją drukiem; — »Biblioteka warszawska« (r. 1851 t. I. str. 388) podaje wiadomość w rubryce »Doniesienia literackie« iż »Władysław Anczyc w Krakowie, po wydaniu krotochwili »Chłopi arystokraci« przygotował do druku Kollokacyę, dramat w 3 aktach z epilogiem, z powieści Korzeniowskiego ułożony« — ale zamiaru tego w czyn nie wprowadził.

Po tych dwu nieudanych próbach postanowił Anczyc zaniechać przerabiań i tworzyć oryginalnie. W lipcu 1850 roku pamiętny pożar w Krakowie, obrócił $^{1}/_{3}$ miasta w perzynę; z tej klęski, jaka spadła na miasto, zaczerpnął Anczyc wątku do nowej, oryginalnej sztuki. Nie pisał jej jednak pod bezpośredniem wrażeniem; dochowany rękopis nosi datę 4 grudnia 1850 roku. Prawdopodobnie w jesieni odbywał dłuższą podróż do Lwowa, Winnik i Żółkwi. Wróciwszy, zabrał się do pisania; dochowana w rękopisie sztuka nosi napis: »Dziesiąty dzień pożaru — obrazek dramatyczny (tu przekreślony wyraz: tegoczesny) z czasów pożaru krakowskiego w 2 aktach ze śpiewami oryginalnie napisane przez Władysława Ludwika Anczyca«.

Przedstawił autor z takim sukcesem »arystokracyę chłopską« — więc chciał dać teraz konterfekt »arystokracyi Kleparskiej«. Środowisko nie było mu obce — wszak z niego wyrósł dziewiczy utwór »Goście u Olka«.

Rzecz dzieje się na Kleparzu w trzy dni po pożarze dnia 28 lipca 1850 r. Bohaterami akcyi: — przedmiejska kołtunerya, pełna przesądów i uprzedzeń, przerażona klęską pożaru, chwytająca łatwowiernie każdą

pogłoskę o podpalaczach, o nowym zamachu na miasto — a przy tem wszystkiem już w mętnej wodzie ryby łowi, deklaruje przed ratunkowym komitetem szkody, których nie było, spekulując ciasnym, ograniczonym mózgiem, nieuczciwą myślą, jakby na strasznem nieszczęściu interes zrobić, jakby przy wielkim pożarze miasta własną pieczeń usmażyć.

Kalemba, właściciel domu, Zembaczyński, handlarz drobiu i łat i jego żona, Śliwka, sadownik — to ludzie nie tyle nawet źli, co bardzo na grosz zachłanni i niesłychanie głupi. A przytem to — arystokracya przedmieścia. Kalemba woli dać córkę Józię łajdaczynie Frankowi, co się za policyjnego urzędnika podaje a w rzeczywistości jest pisarzem u dozorcy aresztów — niźli zacnemu i kochającemu się z Józią Smolikowi, majstrowi szewskiemu; na szczęście zjawia się Julian, student medycyny, kolega szkolny Smolika, coś jakby Bardos z Bogusławskiego »Krakowiaków« — ten wyzyskując głupotę »arystokracyi« i niezwykle szczęśliwe zbiegi okoliczności, wymusza na Kalembie, iż tenże na mariaż córki ze Smolikiem się godzi. Pozatem wpleciono w akcyę wiele współcześnie na temat pożaru kursujących plotek, wiele dziwolągów, zrodzonych w ciemnych mózgownicach tłumu — jest nawet alluzya do głośnych w owym czasie »Listów o Krakowie« (przez Pęcławskiego, Poznań 1850), w których autor nie szczędził gorzkich wyrzutów mieszkańcom miasta. Śpiewa o tem Zembaczyński:

Dość nam bieda co się zowie,
Dość niszczą pożary,
Jeszcze listy o Krakowie
Czernią nas bez miary.

Zasadniczą myśl wyraża najjaśniej pod koniec sztuczki Julian — mówiąc: »byłbym jeszcze szczęśliwszy, gdybym mógł zniszczyć uprzedzenia przeciwko stanowi rzemieślniczemu, które tak się zakorzeniły w naszem mieście«.

We formie naśladuje autor szczęśliwie gwarę krakowskiego przedmieścia.

Jest w całej tej nieznanej dotąd ogółowi sztuczce oczywiste powtórzenie myśli »Chłopów arystokratów«, przeprowadzonej tym razem — powiedzmy odrazu — bez porównania słabiej.

Akcya rozwlekła, pełna niemożliwie ponaciąganych sytuacyj, w miejsce charakterów — grubo ciosane sylwety. Na szczęście utwór pozostał w tece — na scenie się nie pojawił.

W 20 lat potem dojrzały autor »Tyrteusza« wziął tę chybioną próbę do ręki — z pobłażliwym uśmiechem musiał ją odczytywać, ale wraz wspomnienia stare napływać poczęły; więc skończywszy, dopisał na ostatniej karcie rękopisu: »czytałem d. 3 Lutego 1870 — mój Boże, gdzież tych 20 lat?...«

W 1856 roku autor wrócił do swojego pomysłu i przerobił go znacznie; o tem pomówimy na swojem miejscu.

Równocześnie zajmował się Anczyc pracami, które stały w ścisłym związku z zawodem farmaceuty. «Biblioteka warszawska« z r. 1851 (t. I. str. 388) donosi: »Pisarz ten (sc. Anczyc), magister farmacyi i adjunkt przy gabinecie chemicznym przy uniwersytecie jagiellońskim, wypracował: »Chemię rolniczą dla ludu wiejskiego w rozmowach, według najnowszych chemików ułożoną« oraz »Farbiarstwo domowe, wywabianie plam i pranie wszelkich materyj dla gospo-

darzy i gospodyń z praktycznych doświadczeń ułożone«.

Obok tych ogromnie użytecznych robót przygotował do druku drugie wydanie »Chłopów arystokratów« (Kraków 1851, w 16-ce, str. 67).

W tejże samej notatce »Biblioteki warszawskiej« z 1851 roku znajdujemy wzmiankę o dramacie historycznym z czasów wojen szwedzkich z roku 1705 p. t. »Zemsta szlachcica polskiego«. Jest to pierwsza próba dramatu historycznego, jaka z pod pióra Anczyca wyszła — niestety poza wymienioną notatką nic bliższego o niej powiedzieć nie umiemy. Ani na scenie, ani w druku się nie ukazała.

W tym samym roku Anczyc — zachęcony może przykładem Majeranowskiego, który w wielkiej ilości dostarczał krakowskiej scenie sztuk historycznych — napisał wierszem wtóry dramat historyczny p. t. »Swaty królewskie«.

Dochowały się w posiadaniu rodziny dwa rękopisy tej sztuki, w których wyśledzić można trzy jej redakcye, jakby kolejno na sobie poukładane pokłady kruszcu. Rękopis pierwszy, sporządzony ręką autora, zawiera pierwsze opracowanie sztuki i dwie kategorye waryantów: pierwsza kategorya jest zarazem wtórą redakcyą i z niej sporządził ktoś nieudolny odpis (rękopis drugi) — druga kategorya jest trzeciem i ostatecznem opracowaniem, wedle którego rzecz była wystawiona na scenie krakowskiej, jak tego dowodzi spis osób w rękopisie pierwszym, obok których są inicyały i pierwsze zgłoski nazwisk (przekreślone potem) aktorów, grających sztukę (tak naprzykład zupełnie wyraźnie odczytać można, że bohatera, Jana Boguckiego, grał Benda). W tymże rękopisie pierwszym —

którego trzymać się będziemy — są waryanty drugiej redakcyi grubo kreślone i mało czytelne; tutaj znakomicie posłuży nam rękopis drugi (kopia), który właśnie — jak powiedziano — zawiera odpis drugiej redakcyi.

Zasadniczo ponadto różnią się oba rękopisy kartą tytułową: karta tytułowa rkp. I. opiewa: Swaty Królewskie — obraz dramatyczny w 4 aktach, Kraków 1851.

Karta tytułowa rkp. II. opiewa: Jan III-ci pod Żurawnem czyli Swaty Królewskie — Dramat osnuty na powieści Kosińskiego.

Nadto rkp. I. zawiera na ostatniej stronicy u dołu datę: w czerwcu 1851 w Krakowie — około więc tego czasu wystawiono sztukę pod nazwą, jaką nosi rękopis II. Ponieważ jednak ten podwójny nagłówek był wywołany panującą modą, może na naleganie dyrekcyi teatru, która sądziła, że Jan III. bardziej pociągnie publiczność, aniżeli same »Swaty królewskie«, ponieważ ten podtytuł daleko lepiej odpowiada — jak zobaczymy — treści utworu, niźli dodany tytuł główny — a wreszcie ponieważ w miarodajnym pierwszym rękopisie sztuka nosi tytuł »Swaty królewskie« — przeto pod tą nazwą będziemy o niej mówili.

Odrazu niech nam wolno będzie wyrazić zdziwienie, że autor nie opublikował utworu, który z wielu względów na to zasługiwał; może zraziło go niepowodzenie sceniczne sztuki, która po dwu przedstawieniach zeszła ze sceny. A i to niepowodzenie gotowiśmy przypisać raczej scenie, niźli utworowi. Sztuka wymagała wielkiej i bogatej wystawy, częstych zmian dekoracyi — tym zadaniom z trudem chyba sprostać mógł ówczesny teatr w Krakowie, niezasobny w rekwizyta; o sprawieniu nowych kulis mowy nie było

przy braku pieniędzy — i zmysłu dla sztuki w ówczesnej dyrekcyi.

Pozatem sztuka wymagała licznej obsady: 15 ról męskich, dwu kobiecych, statystów w kostyumach panów polskich, halickiej szlachty, janczarów, spachów, żołnierzy polskich. Wiadomo, że dyrektor radził sobie w takich razach, jak umiał: jeden aktor odgrywał naraz dwie, albo nawet trzy role. Te wszystkie zaś niedostatki obniżały, lub zgoła przesądzały o sukcesie sztuki.

Przypatrzmyż się bliżej utworowi, który przez pół przeszło wieku pozostawał w ukryciu, choć na to bynajmniej nie zasłużył. Sztukę rozłożył autor na trzy akta (karta tytułowa pierwszego rękopisu podaje — chyba przez pomyłkę — liczbę: 4 akta) — a mówiąc dokładniej, na 5 odsłon. Rzecz dzieje się na Podolu w jesieni 1676 roku. Odsłona pierwsza wyobraża komnatę w dworcu Katarzyny Jackowskiej, cześnikowej halickiej, młodej i pięknej wdówki, o której rękę zabiega dwu konkurentów: stary, łysy, tchórzliwy, bogaty kutwa Maciej Skaliński, podkomorzy halicki, którego szlachectwo i prowieniencyę herbu »Stary Koń« (przypominamy »Dodatek do Świstka«!) autor w ostatecznej (trzeciej) redakcyi podaje w wątpliwość (pierwotnie rysu tego nie zaznaczył) — i młody, przystojny, dzielny, potomek starego rodu, choć ubogi, Jan Bogucki, komornik. Cześnikowa kocha Boguckiego — ale poświęca swoją miłość i krasę dla wykupu rodzica, starego stolnika, który od wielu lat jęczy w tatarskiej niewoli. Ofiarowuje więc rękę swoją podkomorzemu pod warunkiem, że ten złoży żądany okup za ojca. W sprawie tego maryażu pośredniczy para sług: Hanna, pokojowa cześnikowej, i Jacenty, hajduk pod-

komorzego — para przypominająca żywo sługi z komedyi Moliera i jego polskiego »*alter ego*« — Zabłockiego.

Odpalony Bogucki, nie znając motywów odkosza, opuszcza dom cześnikowej z żalem, że dla bogactw podkomorzego wzgardziła nim wdówka. Na placu pozostaje sam podkomorzy: ale zanim cel osiągnie, ma wypełnić warunek: wykupić teścia *in spe* — warunek twardy, bo choć podkomorzy bogacz, nie lubi otwierać kabzy — więc i on na razie rezygnuje z żony.

W drugiej odsłonie autor wiedzie nas do izby Boguckiego — bohater chodzi po izbie smutny i gniewny na niestałość kobiecą — pukają dwaj podróżni, prosząc o schron przed plutą. Przy winie rozwiązuje się gospodarzowi język: opowiada o swoich miłosnych niedolach nieznajomym. Pocieszają go — a jako *remedium* na robaka proponują, żeby z nimi na wojnę jechał, na której o zawodzie miłosnym zapomni a dobić się może grosza i dostojeństw. Zwłaszcza jeśli z nimi pojedzie — wszak jeden z nich, to Marcin Kątski, generał armaty koronnej. A drugi? — pyta zmieszany i zdziwiony Bogucki — na co Kątski z głębokim ukłonem: *Joannes III. Dei gratia Rex Poloniae, Magnus dux Lithuaniae — Russiae — Prussiae — Masoviae — Volhyniae — Kijoviae* — etc.

Podczas wymieniania tytułów Bogucki klęka w zachwycie: wszak oto mściciel Żółkiewskiego nawiedził jego ubogą izbę — zasłona spada powoli — koniec aktu pierwszego.

Akt pierwszy, doskonale obmyślana ekspozycya sztuki, toczy się żywo i barwnie — postaci zarysowują się wyraźnie — żyją i poruszają się naturalnie, wyposażone przez autora w plastycznie ujawniającą się charakterystykę, w żywy gest i słowo o archaicznym,

właściwym XVII wiekowi kolorycie. Wiersz 13-zgłoskowy, biegnie w żywym, naturalnym, fredrowskim dyalogu. Jednostajność 13-zgłoskową przerywa czterostopowy wiersz trochaiczny, dobrze oddający wzruszenie cześnikowej na myśl o niewoli ojca.

W akcie drugim (odsłona trzecia) prowadzi nas autor do obozu polskiego nad Świecą; po prawej stronie widać część żórawińskiego zamku, gdzieniegdzie czaty — w oddaleniu lśnią mnogie ognie tureckich obozowisk. Oblężonemu w okopach wojsku polskiemu grozi katastrofa; armia zdziesiątkowana od kul wrogów i głodu; zapasów żywności brakło, a odsieczy, którą miał przyprowadzić hetman Sieniawski, nie można się doczekać. Król i jego przyboczna rada naradza się nad położeniem; król żali się na hetmanów: zarzuca im, że z umysłu zwlekają z posiłkami (ustępy najwięcej przez autora kreślone i poprawiane) — skarży się, że dla prywaty poświęcają dobro ojczyzny — radziby, by »im równy a wybrany król« zginął, bo każdy ma nadzieję, że go nowa elekcya na tron wyniesie. Mimo wszystko król odrzuca projekt Kątskiego, ażeby z Turkiem wejść w układy a godzi się na Boguckiego myśl walki do ostatniej kropli krwi.

Ponure tło przerywa zjawienie się komicznej postaci Jacentego, hajduka podkomorzego, którego pan wyprawił z listem do oboźnego; oboźny zginął, a biedny Jacuś znalazł się wśród ludzi rycerskiego rzemiosła, którego nienawidził, narażony na głód, którego znieść nie mógł — duma biedaczysko słodko o bigosiku z wędzonką, jędorze z burą podlewą, barszczyku z rurą; a w obozie:

»...na śniadanie
Zamiast barszczu nic mosanie,

Na obiad nic, na wieczerzę
Znów nic...«

Więc już woli narazić się na największe niebezpieczeństwa, byle z obozu się wydostać; zdarł z zabitego Turka ubranie i zamierza w przebraniu przekraść się przez tureckie wojska, wpław przebyć rzekę — ale go czata polska zoczyła. Choć nietrafiony kulą, upadł na ziemię, udając nieboszczyka. Zbiegły się zaalarmowane straże a Bogucki wyjął wystający list z za pasa mniemanego trupa; i miłych tam rzeczy się podowiadywał. Pan podkomorzy, kabzy ruszać nie chcąc, wziął się na sposób; napisał do oboźnego list z prośbą, iżby ten przysłał mu: »*testimonium*, w któremby wyrażone było, jako stolnik halicki, przezemnie wykupiony z jassyru, rychłego *ad penates* oczekuje powrotu« — a zarazem w *post scriptum* pisał: »Jest tam w obozie *quidam* chłystek Jan Bogucki, a mój w affektach szczęśliwy adwersarz, który, gdyby się do jassyru dostał, za ten *favor*, w mocy mościwego pana będący, miałbym dozgonną wdzięczność«.

Po tym epizodzie, w którym dramat prywatny przerwał na chwilę toczący się dramat historyczny, podejmuje autor dalej rozpoczętą w akcie drugim akcyę. W odsłonie czwartej prowadzi nas do obozu tureckiego, w którym, padające od chwili ze strony oblężonych bomby, wznieciły popłoch. To Bogucki odnalazł szczęśliwym trafem w lochach zamkowych moździerz wielkiego kalibru a nieprzyjaciel sądzi, że wojsku polskiemu nadeszły posiłki. Chan tatarski, wielki aga janczarów i hospodar wołoski, posiłkujący Turków, zamyślają o zdradzie, o opuszczeniu tureckiego obozu. Myśl o posiłkach polskich potwierdza Bogucki, który wybrał się na zwiady z obozu pol-

skiego i wpadł w ręce janczarów. Chan tatarski i wódz janczarów obiecują opuścić tureckiego wodza, jeśli im król Jan po sto kies złota obieca.

Przed zebraną radą potwierdza Bogucki wieść o polskich posiłkach; naczelny wódz turecki Ibrahim Szajtan wie już o knowanej zdradzie: doniósł mu hospodar wołoski, że chan tatarski i dowódca janczarów gotowi go opuścić za sto kies złota. Mękami chce wydrzeć z Boguckiego potwierdzenie tego — ale Bogucki trzyma się twardo, zaprzecza, jakoby słyszał takie propozycye — od śmierci ratują go zbuntowani janczarowie, którzy do namiotu wpadają i wiążą Ibrahima. Tem kończy się akt drugi.

Akt ten luźno bardzo łączy się z aktem poprzednim; jest to jakby dramat w dramacie, wtręt historyczny, przerywający fabułę romansu. Z komnaty cześnikowej, z kawalerskiej izby Boguckiego — przenosi nas autor nagle na szerokie pole historycznych zapasów. To mało organiczne powiązanie psuje architektonikę sztuki. Sam akt drugi rozpada się znowu na dwie odsłony: obóz polski i obóz turecki. Punktem środkowym odsłony pierwszej jest postać króla Jana, którą autor z gorącym pietyzmem przybiera w szaty męstwa, poświęcenia, energii ducha, jemu w usta kładzie skargę na najcięższe narodowe wady: niezgodę, prywatę, egoizm magnatów — miejsca te kosztowały autora wiele pracy, jak świadczy gęsto na tych stronicach kreślony rękopis. Wszak chodziło tu o jak najdobitniejsze wskazanie tego, co wspomniany w tym akcie Skarga ogniście piętnował, co za Jana III. już poważnie zagroziło podstawom narodowego bytu — co ostatecznie sprowadziło sprawdzenie słów królewskich w tej scenie:

»Raczej dadzą, by kraj cały
Sąsiad chciwy rwał w kawały
I w sromotnej zmarniał doli,
Niźli nie szedł po ich woli«.

Inne postaci tej odsłony rysują się blado: powolny i rozważny Kątski jest figurą szablonową, gorący Bogucki za dużo i za patetycznie deklamuje. Dobry jest hajduk Jacenty, który osobą swoją i sceną, w której występuje, wiąże romans z historyą. Taki sposób jednak powiązania uważam za mało naturalny, zbyt sztuczny.

Słabszą jest scena druga tego aktu: obozowisko tureckie; oczywiście odmalowanie egzotycznych postaci synów półksiężyca już w zasadzie jest dla pisarza innej rasy trudne i niewdzięczne — romantyczny oryentalizm jest płodem wytwórczym, nie odtwórczym; daje z życia Wschodu dekoracye: pustynie, meczety, minarety — nie daje duszy mieszkańca. Cóż dopiero w dramacie i to historycznym, w którym indywiduum, odbite retrospektywnie na historycznym ekranie, powinno dać obraz prawdziwy i wszechstronny. Turcy Anczyca to na jednostronną modłę szablonu skrojone manekiny: przedajni, zdradliwi, okrutni, co wszystko rzucone na tło wschodniego namiotu, bogatych i malowniczych strojów i choćby tych czterech pół-nagich oprawców, dzierżących w ręku rozmaite narzędzia tortur. Dekoracye — nie dusze.

Nad formą aktu drugiego możnaby robić specyalne studya. Ze zmianą treści, zmienił się i 13-zgłoskowiec na krótki czterostopowy wiersz trochaiczny, w jakim już cześnikowa w akcie pierwszym wyrażała boleść swoją na myśl o niewoli ojca; czy taka forma odpowiada poważnej treści historycznej — mogłoby

być kwestyą sporną; może krótką i jędrną rytmiką pragnął autor wyrazić marsz wojska. W dwu pierwszych redakcyach wiersz był nierówny: trochaje przerywały często amfibrachy, psujące rytmiczność wiersza. W ostatecznej redakcyi autor usunął te nierówności, wprowadzając wszędzie jednolity rytm trochaiczny.

Korzystając z dochowania się kolejnych opracowań, które pozwalają nam wglądnąć w tajemnicę techniki twórczej, zestawmy wiersze pierwszej sceny tego aktu. Wszak nie często zdarza się sposobność śledzenia tajemnych dróg, któremi kroczyła myśl twórcza, zanim do celu doszła. Widzimy owoc — nie znamy kolejnych studyów, jakie musiał wypracować duch przyrody, zanim owocu nie stworzył, nie widzimy procesu zapylań i przeobrażeń.

Redakcya pierwotna:	**Redakcya ostateczna:**
KRÓL *(wpatrując się w obóz Turków).*	
Jakże liczne ich namioty	Jakże liczne ich namioty
–́ ⏑ | –́ ⏑ | –́ ⏑ | –́ ⏑ |	–́ ⏑ | –́ ⏑ | –́ ⏑ | –́ ⏑ |
Bieleją, jakby śnieg ziemię	Bielą wkoło. A gdy działa
⏑ –́ ⏑ | –́ ⏑ ⏑ | –́ ⏑ |	–́ ⏑ | –́ ⏑ | –́ ⏑ | –́ ⏑ |
Zasypał. A kiedy działa	Poczną sypać zgubne groty,
⏑ –́ ⏑ | ⏑ –́ ⏑ | –́ ⏑ |	–́ ⏑ | –́ ⏑ | –́ ⏑ | –́ ⏑ |
Zaryczą zgubnymi groty,	Drży od huku ziemia cała,
⏑ –́ ⏑ | ⏑ –́ ⏑ | –́ ⏑ |	–́ ⏑ | –́ ⏑ | –́ ⏑ | –́ ⏑ |
Od gromu drży ziemia cała,	Od ich ognisk łuną płonie
⏑ –́ ⏑ | ⏑ –́ ⏑ | –́ ⏑ |	–́ ⏑ | –́ ⏑ | –́ ⏑ | –́ ⏑ |
Od ich ognisk łuną płonie	Całe niebo...
–́ ⏑ | –́ ⏑ | –́ ⏑ | –́ ⏑ |	–́ ⏑ | –́ ⏑ |
Całe niebo...	
–́ ⏑ | –́ ⏑ |	

Inne poprawki spowodowała nie tylko chęć wyrównania wiersza, ale i zamiar nadania pewnym ustępom — które autor uważał za szczególnie ważne — lepszego wyrazu, silniejszej ekspressyi. Tutaj należą przedewszystkiem ustępy, w których król ciska gromy na oligarchię magnatów; w ustępach tych spotykamy już nie tylko różnice formalne — ale i zasadnicze zmiany treści: argument »*ad hominem*« zastępuje silniejsze podkreślenie argumentu: »*salus patriae*«.

Kątski do króla:

Chociaż silną jest prywata,
Lecz silniejsze przywiązanie
Do Polski.

(W ostatecznem opracowaniu: Do ojczyzny).

Na to król:

Redakcya pierwotna:

Panie Marcinie,
Krew poczciwa w tobie płynie,
Prawem sercem drugich mierzysz,
Że sam z cnoty szukasz chluby,
Więc i w drugich cnotę wierzysz:
O toż to właśnie prywata
Ojczyznę wiedzie do zguby.
O gdybyś przeniknął wszędzie,
Znał machinacye, sromoty,
Drżałbyś na upadek cnoty,
Drżał o przyszłość tego kraju,
Jeżeli tak dłużej będzie,
Quis scit, co się z Polską stanie.

Redakcya ostateczna:

Co, ojczyzna?!
Cóż ojczyzna ich obchodzi?
Gdy w niej dumny pan rej wodzi,
To mu miły kraj rodzinny,
Lecz gdy berło dzierży inny,

Niech się zwali nań pół świata!
Bo ojczyzną ich — prywata.
Spróbuj, jakby z lwiej paszczęki
Rządy Polski wziąć im z ręki,
Raczej dadzą, by kraj cały
Sąsiad chciwy rwał w kawały
I w sromotnej zmarniał doli,
Niźli nie szedł po ich woli.

W akcie trzecim wracamy do dworku cześnikowej. Przyjechał Jacenty i opowiada niebywałe historye o swoich przygodach: jak to jadąc z okupem opadnięty został przez Tatarów i ograbiony do grosza — dzięki tylko niezwykłemu męstwu zdołał dostać się do polskiego obozu. Dostał się z deszczu pod rynnę: w obozie głód niesłychany:

»Komornik piekąc w ogniu pochwę jaszczurową
Pożywał — inni trawę łykali surową,
Inni zaś z głodu własne zjadali wnętrzności«.

Aż tu pewnej nocy napadli nieprzyjaciele na obóz i wyrżnęli wszystkich. Ostatnią prośbą, jaką umierający komornik zwierzył Jacentemu, było, iżby cześnikowa poślubiła podkomorzego.

Jak cały Jacuś ma wiele rysów, pożyczonych od fredrowskiego Papkina — tak i cała ta scena powtórzy się kiedyś — w »Kościuszce pod Racławicami«.

Ostatecznie cześnikowa godzi się na ślub z podkomorzym, który ma się odbyć bezwłocznie, bo chodzą wieści, że Tatarzy niedaleko. Tymczasem zamiast Tatarów — zjawia się król z wojskiem, król-swat, on i konkurent, o którym sądzono, że zginął — Jan Bogucki, już nie chudopachołek-komornik, ale starosta żórawiński w nagrodę za zasługi na polu bitwy. Nadto przybywa goniec chana i przywozi z jassyru

starego stolnika w sam czas, ażeby pobłogosławił związek córki, cześnikowej, z Janem Boguckim, starostą żórawińskim. Drużbą — sam król Jan III.

W ostatnim akcie sztuki powrócił autor do 13-zgłoskowca — nad językiem musiał robić specyalne studya. Posłuchajmy oracyi drużby podkomorzego, pełnej makaronizmów, kwiecistych metafor, antycznych porównań, tak właściwych językowi XVII wieku:

»Mościa pani! affekta w sercu jegomości,
Żadnych od innych zmysłów nie chcąc ordonansów,
Radeby u was szukać pomyślnych wakansów:
Niechaj pędzą przez Alpów szczyty niebotyczne,
Niech brodzą przez potoki i strumienie liczne,
Przez wierzchołki Parnasu, Helikonu góry,
Dedalusowem skrzydłem rozbijając chmury,
Zawsze do celu mierzą, gdzie ich serce nęci.
Różnie się zalecali dawni konkurenci:
Jazon z Kolchis z za morza wiezie runo złote,
Hyppomenes pozyskał Atalanty cnotę,
Niech się tem aplikują. — Pan brat więcej czyni,
Nie szuka, jak Herkules, monstrów na pustyni,
Lecz powraca jejmości z jassyru rodzica.
Co więcej, od przyszłego przyjm nadobna pani,
Jak Tatar donatywę, te precyoza w dani,
Toż nawet Kleopatra, wymyślna strojnica,
Takich nie zażywała.

PODKOMORZY.

Przyjm je, supplikuję,
Toż taki wielki affekt ku aszmości czuję.
Niechaj Bellona innych wiktorye rozgłasza,
Mnie się tu w onym dworze spodobała pasza:
Serce moje goreje jak w ognistej hucie,
Chciej mię więc w sług życzliwych pomieścić kompucie«.

Pozostaje kwestya oryginalności utworu; na formie i charakterystyce osób w akcie pierwszym i trzecim widoczny wpływ wywarła komedya fredrowska.

Pozatem wspomina w drugim akcie pisma ks. Skargi (»Skarga pisze: Męczennicy pańscy święci więcej znieśli«) — lektura Skargi musiała wpłynąć na archaizmy językowe. Ale głównem źródłem — to wspomniana w karcie tytułowej drugiego rękopisu powieść Kosińskiego.

Adam Amilkar Kosiński oddawał się w latach 40 i 50 nałogowo powieścioróbstwu i mimo braku oryginalności, psychologii i fantazyi w opowiadaniu, cieszył się niemałą poczytnością. Anczyc w swoim utworze korzystał wiele z powieści Kosińskiego z czasów Jana III. p. t. »Zamek rakowiecki«, stanowiącej tom pierwszy cyklu »Powieści z dziejów polskich«, wydanego w Warszawie w r. 1845. Nie sądźmy jednak, ażeby sztuka była przeróbką powieści; dodatek na karcie tytułowej drugiego rękopisu: »dramat osnuty na powieści Kosińskiego« — mówi za wiele. O ileż korzystał Anczyc z powieści, której lektura dzisiaj wymaga pewnego poświęcenia?

Pan Olbrycht z Bieniewic Bieniewski, podczaszy halicki, właściciel rakowieckiego zamku, pragnie córkę, jedynaczkę Hannę wydać za majętnego niewieściucha kasztelanica Leona, nie zważając na szczery jej afekt dla ubogiego krewniaka, dzielnego Janusza Bolesty. Plany jego rozbija nagły najazd Tatarów, którzy oblegają zamek rakowiecki; nie ustąpiłaby przed chmurą barbarzyńców garstka oblężonej szlachty — ale w pomoc Tatarom przychodzi głód, z którym nie walczyć. Odrzucają myśl układów, postanawiając wraz z zamkiem wyrzucić się w powietrze; już miny podłożone, jeszcze jedną noc poczekają — może uda się Januszowi Boleście przedrzeć przez obóz tatarski i dostać do króla Jana, który niedaleko się rozłożył, nie mo-

gąc posiłków litewskich się doczekać. Przedziera się Bolesta szczęśliwie przez leże tatarskie i staje przed królem, przedstawiając straszne położenie oblężonych. Rada królewska waha się — wojsko polskie za szczupłe — hetman Jabłonowski ostrzega, że niezawsze szczęśliwa fortuna w pomoc zdąża, jak to było pod Żórawnem. Ale król, zagrzany gorącem słowem Bolesty, daje hasło do pochodu na odsiecz.

Rozgromione hordy tatarskie — król wstępuje do zamku w roli — swata. Już teraz dostatni, pewny fawórów królewskich Janusz Bolesta (co nie tyle gesta, ile czyny lubił) tentuje po wtóry raz o rękę podczaszanki. Kasztelanic ustępuje dobrowolnie. Król Jan w roli drużby powiódł pannę młodą przed ołtarz.

Taki jest suchy szkielet powieści Kosińskiego, w którym usiłowałem zaznaczyć jedynie te rysy, w których widoczna jest analogia z utworem Anczyca.

Powieść Kosińskiego odegrała zasadniczą rolę wobec sztuki Anczyca: jej lektura dała inspiracyę, z niej urodził się dramat. Ale motywy powieści autor przetworzył zasadniczo: z romansu usunął ojca, stworzył nową figurę podkomorzego, dodał motyw kierujący: niewolę stolnika, wprowadził na wzór Fredry hajduka Jacentego — akcyę historyczną przeniósł pod Żórawno (do czego mu może słowa Jabłonowskiego w powieści myśl poddały), wprowadził generała armaty Kątskiego, przedstawił, jak umiał, obóz turecki i historyczne postaci wschodnich wodzów, z tragicznego przedzierania się przez obóz tatarski Bolesty, zrobił tragifarsę odyssei Jacentego. To byłyby dyssymilacye. Zestawmy assymilacye, choć one z przedstawienia treści jasno wypłynąć winny: więc Bolesta = Bogucki, Jan III, lepiej i plastyczniej występujący

u Anczyca, głód w obozie polskim, wreszcie epilog: swaty królewskie.

Pomijając niewielką oryginalność sztuki, za błąd jej zasadniczy uważam: dwoistość akcyi, odpowiadającą dwu tytułom na rękopisie drugim. Akt II — to: Jan III. pod Żórawnem, dramat historyczny. Akt I i III — to: Swaty królewskie, komedya obyczajowa. Obie akcye można było w powieści łatwo powiązać — w utworze scenicznym rzecz była trudniejsza. Pozatem dramat historyczny Anczyca jest bez porównania słabszy, aniżeli komedya, tak pod względem tempa akcyi, jak i charakterystyki osób. Akcya komedyi toczy się żywo i zgrabnie, postaci zarysowują się wyraźnie, dyalog prowadzony jest zręcznie językiem o kolorycie epoki.

Nieznany utwór Anczyca uważam za rzecz poważnie przemyślaną i opracowaną, za dalszy krok w ewolucyi talentu z wielu względów wart publikacyi.

4: NA USŁUGACH TEATRU.

Powrót na niwę ludowego dramatu. — »Łobzowianie«, »Flisacy«, »Błażek opętany«. — »Człowiek trzechwieczny«, fantazya sceniczna. — Wyjazd z Krakowa.

Od połowy 1851 roku scena krakowska chyli się stale ku upadkowi. Ubyły wypróbowane siły, publiczność nie dopisywała coraz więcej. Częścią ponosiła winę dyrekcya, pozbawiona zmysłu artystycznego, częścią obniżała frekwencyę konkurencya ze strony opery niemieckiej, protegowanej przez sfery rządowe. Z jesienią 1853 roku doszedł upadek sceny

polskiej zenitu. Wedle rozpisanej oferty na teatr z dnia 26 września była dyrekcya zobowiązana utrzymywać — obok dramatu polskiego — operę, dramat i wodewil niemiecki. Warunki oferty faworyzowały jaskrawo przedstawienia niemieckie, wyznaczając polskim spektaklom ledwie dwa — i to najgorsze — dni w tygodniu.

Taki stan sprawy nie mógł zachęcać autorów polskich do produkcyi. I Anczyc — zrażony pozatem pewnie niepowodzeniem »Swatów królewskich« — umilkł. Złożyły się na to i inne okoliczności. Oto na drodze życia stanęła — kobieta; chleb literacki nie zaspokajał skromnych żądań kawalerskiego żołądka — jakżeż mógł stać się podstawą do założenia rodzinnego ogniska. Zamierzał Anczyc prawdopodobnie założyć aptekę, lub przynajmniej miał widoki uzyskania miejsca prowizora w aptece, bo 11 marca 1851 r. złożył wobec dziekana i sekretarza wydziału lekarskiego przysięgę aptekarską, jak świadczy dochowany dokument. Niewiadomo mi, o ile plany swoje w czyn wprowadził. Upatruję tylko związek przyczynowy pomiędzy tą przysięgą z dnia 11 marca 1851 roku — a inną, którą 25 listopada następnego roku w kościele św. Mikołaja w Krakowie złożył. Dnia tego ślubował wierność żonie swojej, 16-letniej panience Tekli Bryniarskiej, córce żołnierza polskiego z 31 roku, podówczas urzędnika przy miejskiej akcyzie.

Nie sprzyjają tak zwane »miodowe miesiące« literaturze, zwłaszcza jeżeli powodują konieczność zdwojenia pracy zarobkowej. Toteż dopiero przypadkowy impuls z zewnątrz włożył z powrotem pióro w rękę Anczyca.

Z objęciem dyrekcyi teatru krakowskiego przez

Pfeifra (27 kwietnia 1854) znaczy się zwrot ku lepszemu.

Do ról ojców i starców zaangażował Pfeifer sędziwego Anczyca, który nie długo jednak miał już służyć scenie.

Pragnąc na zakończenie roku wystawić jakąś oryginalną, ludową sztukę, zwrócił się nowy dyrektor 10 listopada do pana Karola Estreichera z propozycyą napisania takiego utworu. Ten odesłał go do Władysława Anczyca; następstwem tego było napisanie »Łobzowian«, w dniach kilku zaimprowizowanych. »Istna ta sielanka ludowa« — pisze Estreicher (op. c. str. 492) — »przyniósłszy autorowi honoraryum 30 złr., przyniosła teatrowi zysku więcej tysiąca reńskich«.

Trudno o trafniejszą nazwę dla »Łobzowian« jak: sielanka ludowa — sielanka pełna słońca i wesela, serc czystych, jak łza, prostych, nieskładanych uczuć i tego nieporównanego wiewu rodzimego, jaki przepaja cały utwór. Wielka miłość autora dla ludu, tłumiona w »Chłopach« niedawnem wspomnieniem 46 roku — teraz, kiedy zabliźniły się rany, promienieje pełnym blaskiem i wywodzi na widownię szereg postaci Łobzowian, uśmiechniętych a dobrych i czystych. Nie kazi im duszy wspomnienie 46 roku, bo nie jasielscy to chłopi, którzy w rzezi czynny udział brali — ale sympatyczni mieszkańce podkrakowskiej wsi Łobzowa. Nawet postać pokątnego pisarza Protazego jest jakby dla kontrastu wprowadzonym cieniem, ażeby tem jaśniej odznaczały się światła. Bo nie jest w gruncie rzeczy zły Tomek parobczak — tylko zbyt miękki, zbyt złym wpływom Protazego ulegający, zbyt do hulanek i zabawy skory. Cięży mu ojcowska opieka, chciałby wyłamać się z pod niej i na własną rękę

gospodarować; nie zdaje sobie pewnie sprawy z etycznie złej myśli Protazego, ażeby zgłosić do sądu śmierć od pięciu lat nieobecnego starszego brata Stanisława i zająć część spadku po nim. Podobnie proponował w »Chłopach« Mojsiek, tylko że dodawał ponadto zbrodniczą myśl usunięcia Marysi, córki nieobecnego, prawego właściciela gospodarstwa; od Mośka zmodyfikowany plan pożyczył w »Łobzowianach« Protazy. Wogóle ta nowo kreowana figura »*Winkelschreibera*« odgrywa w »Łobzowianach« rolę analogiczną do tej, którą w »Chłopach« piastował arendarz. Wspominaliśmy, że typ domorosłych, wiejskich adwokatów rozmnożył się przy sprzyjających po 48 r. warunkach w przerażającą ilość i stał się — obok innych bied — organiczną niemal plagą ludu, od której chłop do dziś uwolnić się nie zdołał; wszak i Reymont w swoich »Chłopach« postaci tej nie pominął.

Anczyc wprowadził ją po raz pierwszy do literatury i — mówiąc bez przesady — unieśmiertelnił. Protazy zdjęty jest z rzeczywistości z fotograficzną ścisłością i uposażony bogato w charakterystyczne rysy »*Winkelschreibera*«. Z lubością szerzy waśń i pieniactwo między zagrody chłopów, którym imponuje łacińską terminologią prawną i obdziera ze skóry za każdą poradę. Chciwy jest i »trunkowy«; najlepiej charakteryzuje się sam w scenie dziewiątej, kiedy oblicza koszta odszkodowania za pobicie, którymi ma się podzielić z pobitym na połowę; w rachunku nie pomija żadnego stempla, żadnego straconego kwadransa. Za wygraną sumę widzi w perspektywie całodzienne *menu:* więc »rano parę kieliszeczków araku u Waltera, potem barszczyk z wędzonką i pieprzykiem za rogatką Zwierzyniecką, potem obiadek na Syndykówce

u pani Tyrkalskiej: flaczki, gęsina, wieprzowina, kiełbasa. Na wieczerzę kiszka smażona u Florczyka i parę buteleczek prezydenta; potem u Robackiego cholewka szewczyka jedna i druga, a na dobranoc do poduszeczki kwartę ponczyku w domu u siebie na gruncie sfabrykowanego! Spiję się jak bela!...«

Oto jego ideały! W komedyi jest ciemną plamą na jasnem tle. On podsuwa Tomkowi myśl »wywłaszczenia« brata, on judzi go przeciw rodzicom, ojcu panny młodej, proboszczowi wreszcie.

Bo właśnie miało się odbyć wesele Tomka z Zosią; proboszcz jednak nie chce dać ślubu, bo po usunięciu kodeksu Napoleona nie pozwalają ustawy kościelne na śluby przed świętem Trzech Króli.

Zadowoloną z tej niespodziewanej zwłoki czuje się Zosia, która Tomka nie kocha, za Stachem tęskni. Zjawia się w porę ten Stach wytęskniony w towarzystwie hrabiego. Pięć lat bawił za granicą, nabrał poloru i cywilizacyi, podobnie jak Bartłomiej w »Chłopach«, ale chłopskiej duszy nie odmienił, za ojczystym zagonem tęsknił i Zosi nie zapomniał. Wypatrywali go też w chałupie wszyscy i rodzice i 80-letni Szymon, dziadek Zosi, i ta ostatnia przedewszystkiem. Więc kiedy wrócił, radość zapanowała powszechna — nawet Tomek rozczulił się i bez protestu odstąpił bratu narzeczonej, a pulares, zgubiony przez hrabiego, zwrócił właścicielowi, bo on »nie złodziej, żeby się cudzą pracą bogacił«.

Więc hrabia, widząc te wszystkie proste a uczciwe serca, zaniechał zamiaru wyjazdu za granicę, postanowił pozostać w kraju i pójść za radą sędziwego Szymona, który mówi: »Bywaj wielmozny pan częściej pomiędzy nami, a znajdzies więcej ucciwego serca

i prawdziwą scerość, anizeli po bogatych domach, gdzie często jeno i przyjaźń i poboznośćudają, a bokiem dusę ciągną«.

W tych słowach zawarł autor zasadniczą myśl komedyjki: stykać się częściej z ludem, w którym więcej szczerości i uczciwości, niż w »bogatych domach«. W imię tej myśli nastrój patryarchalny przenika cały utwór: rozdział pomiędzy plebanią, dworem a wsią w tym idealnym trochę Łobzowie nie istnieje. Stary Szymon chodzi do plebanii na wino, gawędzi z proboszczem po przyjacielsku o tem, »jakto nasi dziadowie królom sługiwali«; akcya mogłaby się doskonale obejść bez hrabiego. Postać dobrego, dbałego o wieś dziedzica, który chłopskie dziecko wykształcił i do przyjaźni dopuścił, podkreślała tylko nastrój i tendencyę. Dla tego celu wprowadza autor hrabiego w scenie 16-tej pod strzechę, gdzie go przyjmuje ludek ochotnie i uprzejmie a bez uniżoności. A kiedy spostrzegł, że brak mu pularesu, który zawierał cały jego majątek, wszyscy okazują szczere współczucie, służą ochotnie radą i pomocą. Proszą, ażeby pozostał między nimi: Szymon ofiarowuje własny domek, »wybielony jak słonecko« i ogródek i sad — Magdalena obiecuje z własnego ogródka »najpierwsze karafiołki, sparazki, grosek, sałatkę i rzodkiewkę« — Zosia codzień »bielusienką kukiełeckę« i »najlepsą śmietaneckę do kawusi« — Kasia na początek »seścioro kurcątek« — Paweł do dyspozycyi nowy wózek i »śtery kuniki«.

»Cała gromada« — mówi Kuba, drużba — »złozy się na tak uczciwego pana a ja na pocątek będę Wielmoznemu za darmo usługował«.

To już nie jasielscy chłopi-arystokraci, wypatru-

jący chwili, w której wyżenią pana z dworu, a sami w nim osiędą. Toteż hrabia postanawia pozostać i poprowadzić w charakterze drużby pannę młodą do ołtarza — przypomniał sobie pewnie, że tak czynił król Jan III w »Swatach królewskich«.

Nastrojem sielankowym — z pod którego zupełnie wyłamali się »Chłopi arystokraci« — łączą się »Łobzowianie« Anczyca z utworami poprzedników. Wszak już Kniaźnin nazywał swoje pseudo-ludowe próby »sielankami«. Rozpoczyna się utwór Anczyca dziewiczym wieczorem na wsi, w który druchny wianki plotą z rozmarynu, biegnie dalej w tempie krakowiaka nadchodzących drużbów — i kończy krakowskiem weselem. Motywy te spotkaliśmy już u Kniaźnina: w »Trzech godach« wieńczy matka przed ślubem trzy swoje córki rozmarynem, jak każe stary obyczaj, nie brak również i weselnego krakowiaka z podkówkami.

Motywy te rozwinął i uczynił osią akcyi Bogusławski: weselem krakowskiem rozpoczął i nim zakończył swój melodramat; wprowadził dwuśpiew druchn i drużbów, którzy po młodą w rucianym wianku przyszli i z dziewczętami w śpiewie się przekomarzają.

Nie inaczej rozpoczął akcyę swojej sielanki Anczyc; jakże jednak rozszerzył te wątki; jak usiłował im nadać etnograficzną ścisłość. Począwszy od »umeblowania« izby w chacie Szymona: po lewej stronie podwójna szafka kredensowa, od spodu drzwiczki, od góry krata a za nią widać półki — po prawej łóżko wysłane wysoko pierzynami, wzdłuż łóżka ława drewniana z poręczą wysoką, zwana zydlem — w nogach łóżka wielka skrzynia malowana żółto, w czerwone, zielone i białe kwiaty — nad łóżkiem poprzy-

bijane pochyło jak zwierciadła dwa obrazy: przed jednym pali się lampa, za obrazami zatknięte palmy, pod spodem wiszą wianki święcone, przez całą długość sceny żerdź a na niej kukurydze i woreczki z nasionami. Na przodzie stół, ławy i stołki. W szafie na półkach talerze cynowe połyskujące, u spodu w szafie kilkanaście butelek.

W »Chłopach« nie dał autor scenaryusza; w »Łobzowianach« przedstawił niemal fotografię wnętrza krakowskiej chałupy; tu widać odrazu, że autor w takich izbach często bywał, że znał je na wylot.

Trudno dla sprawdzenia prawdziwości ludowych rysów obyczajowych cytować Kolberga; bo oto ten mówiąc o ludzie okolic Krakowa (serya V, t I, str 73 i n.) a specyalnie o Ogrodnikach (mieszkańcy Łobzowa, Krowodrzy, Czarnej i Nowej Wsi — na str 93 i n.) odsyła do — Władysława Anczyca »Obrazów krakowskich« (Tygodnik illustrowany — 1862 w tomie V). Opis chaty wiejskiej w okolicy Krakowa i opis wesela podaje Kolberg za Anczycem. Studentem jeszcze będąc był Anczyc świadkiem krakowskiego wesela; widział je wtedy poraz pierwszy a wspomnienie było tak żywe, że przetrwało lata i posłużyło w części do pomysłu »Łobzowian«. Wesele to opisał Anczyc w »Obrazach krakowskich« (Tygodnik illustr. Warszawa 1862, nr 131, str 127) a zacytował je *in extenso* Kolberg (serya V, t II, str 73).

W Kłokoczynie dziadek wydawał wnuczkę za mąż — Anczyc trafił właśnie na chwilę wyjazdu weselnego orszaku do kościoła i przyjął zaproszenie na ucztę weselną. Przysłuchiwał się charakterystycznym śpiewkom, obserwował tradycyjny zwyczaj zakradania się pana młodego do komory i »sromania« się panny

młodej, był na ślubie w kościele a za powrotem, dzięki szczególnej łaskawości kum, widział nawet oczepiny, zwykle troskliwie chronione przed okiem mężczyzny. Nawet kiedy zuchowaty drużba z wyraźnym przytykiem do niego zaśpiewał w krakowiaku: A panowie z miasta nie wiele wartają, bo nózki cieniuśkie, jak patycki mają — odciął się przyśpiewką:

Umiecie wy tańczyć
i bić w podkóweczki
toć i u mnie także
nie z masła nóżeczki.

W »Łobzowianach« widać ślady tego wspomnienia z lat młodzieńczych. Na weselu słyszał łkanie panny młodej, która »leżała u nóg dziadka i na cały głos płakała«; w »Łobzowianach« również dziadek wydaje wnuczkę za mąż, chociaż ta opiera się z płaczem, bo przyszłego nie kocha. Trudno jednak cofać się w ostatniej chwili; wszak mogła była wybrać kogo innego z tych wszystkich śwarnych parobków, którzy się zbiegli, ledwie dziaduś drzwi wapnem wycentkowali. Panuje bowiem we wsiach krakowskich zwyczaj, że rodzice, u których córka na wydaniu, centkują drzwi wapnem (porównać proszę pod tym względem »Przyjaciela ludu« r. 1846, t I, str 46 i J. Mączyńskiego »Włościanie z okolic Krakowa« 1856, str 77).

Zebrały się tedy w izbie młodej druchny i plotą wianki z rozmarynu, śpiewając stosowne piosenki. Otwierają się drzwi: wchodzą drużbowie przy rzęsistych bukietach; na czele dwóch skrzypków i basista. Najstarszy drużba rozpoczyna stosowne śpiewy pozdrowieniem: Niech będzie pochwalony!

Wszystko to jest brane z rzeczywistości (Kolberg, serya V, t II, str 9—73).

Uderza różnica charakterów w »Chłopach« a »Łobzowianach«. Różnicę tę wyjaśnia przeniesienie akcyi ze wsi galicyjskiej do podkrakowskiej gminy. Pamiętać należy, że chłop krakowski od dawna pańszczyzny nie odrabiał, płacąc do 48 r. tylko czynsze — stąd stosunek wsi do dworu ułożył się odmienniej, aniżeli w Galicyi. Specyalnie zaś tak zwani Ogrodnicy, a więc i Łobzowianie przewyższają innych zamożnością i inteligencyą (Kolberg serya V, t I, str 93—104). Zajmując się racyonalną uprawą warzyw ciągną z tego poważne zyski; to też mają się dobrze, ubierają na pół z mieszczańska, wyróżniają uczciwością i wielką religijnością.

Stary Szymon Brzostek końmiby do kościoła nie jechał — uważałby to za grzech — od dwudziestu lat jest starszym w bractwie skaplerznem i dwa razy w każdą niedzielę piechotą idzie na Piasek do kościoła.

Te rysy wcale nie są przypadkowe. O szczególnej religijności Ogrodników donosi »Przyjaciel Ludu«: (Leszno 1846, nr 4 i 6) oni »zapełniają kościoły Krakowa podczas odpustów, a na procesyach Bożego Ciała, jako należący do różnych bractw kościelnych... niosą chorągwie...«

Językiem ludowym włada autor w »Łobzowianach« z całą perfekcyą; piosenki, jakby wprost z pod strzechy przyniesione, dopraszają się muzyki. Śpiewamy też wszyscy:

Oj skowronecek śpiewa,
Dzień się rozedniewa,
Zosieńka się stroi,
Męża się spodziewa.

albo:

Ślicne gwoździki, piękne tulipany,
Gdzieześ mój Stasiu, Stasiu mój kochany? —

a nie wszyscy pewnie wiemy, że je Władysław Anczyc dla swoich »Łobzowian« ułożył. Wdzięczne zadanie miał też Piotr Studziński, który już do śpiewek w »Chłopach« muzykę dorabiał — a i dla »Łobzowianów« z motywów ludowych piękną muzykę skomponował.

Jest w tym »obrazku ludowym« Anczyca wiele usterek w pomyśle i kompozycyi: zawiązanie intrygi, to ogólne »zabacenie«, że ślub aż po Trzech Królach może być dany — razi naiwnością: że też proboszcz, który tak dobrze żył z Szymonem, zapowiedzi wszystkie wygłosił i dopiero w sam dzień ślubu kościelny przepis przypomniał; jest hrabia, który jak Piłat w credo rozrywa akcyę i jego patetyczny wychowanek Stanisław — obaj zjawiają się jak »bogowie mechaniczni«; hrabia gubi w progu chaty pulares w tym celu, ażeby Stanisław mógł okazać swoje przywiązanie a rodzina jego szlachetność i współczucie — to były ofiary, które autor, ze szkodą dla obrazka złożył na ołtarzu tendencyi.

Pięć lat minęło od napisania »Chłopów arystokratów«. Okres ten nazwałbym okresem szukania właściwych dróg dla talentu; każdy prawie pisarz przechodzi takie lata błądzenia po omacku, zanim nie trafi na odpowiednie, jasne szlaki.

I Anczyc w tych pięciu latach szukał drogi; z wyjątkiem mało oryginalnych »Swatów« — były to próby chybione.

Dopiero kiedy powrócił do miejsca, z którego wyszedł — na scenę ludową — znalazł się w swoim żywiole i stworzył miłą dla widza i słuchacza sceniczną sielankę ludową.

»Łobzowianie, obrazek dramatyczny ze śpiewkami

w jednym akcie, napisany oryginalnie«, wyszedł w Warszawie przy końcu 1854 roku (w 8-ce, str. 55). Grano obrazek Anczyca w Krakowie w dzień św. Sylwestra tegoż roku, a grano w doborowem towarzystwie: w program składanego przedstawienia wchodziła—prócz »Łobzowian«—komedya Fredry »Pierwsza lepsza« i Korzeniowskiego »Qui pro quo«. Publiczność, pociągnięta programem, pragnąc przytem okazać swoją sympatyę dla uciskanej sceny polskiej, pospieszyła tłumnie, wywołując gorącym poklaskiem autora »Łobzowian«.

Po przedstawieniu krytyk »Czasu« poświęcił premierze kilka bezbarwnych frazesów (1855, nr 1). Przyznawał, że autor »schwycił dość zręcznie niektóre rysy obyczajów i życia« ludu — »a nawet kilka pojaw *(sic)* rozwijającej się w nim dzisiaj chorobliwej namiętności prawowania się i pieniania«. Zarzuty formułuje krótko zapomocą retorycznego pominięcia: gdyby kto wytykał brak działania, niedostatki formy (?), nienaturalność intrygi — zasłoniłby autora skromny tytuł: »obrazek wiejski«.

Na warszawskiej scenie zadebiutował autor »Łobzowianami« w lipcu 1856 roku. Temu przedstawieniu poświęcił Wacław Szymanowski obszerny rozbiór w odcinku »Kroniki wiadomości krajowych i zagranicznych« Warszawa 1856, nr. 105.

Krytyk wytyka ubóstwo intrygi i brak wprawy w prowadzeniu akcyi i obmyślaniu charakterów. Pochlebnie wyraża się o części pierwszej obrazka — mniej podoba mu się część druga, którą psują »bogowie z machiny«: hrabia i Stanisław.; hrabia, »figura niezrozumiała, słaba, niewydatna i żadną spójnią z życiem sztuki nie połączona« — i Stanisław »śmieszny

exaltat«. Podnosi powab miejscowości »przedstawionej w całej wierności i świeżości swojej, zręczne dyalogowanie, w którem autor ustrzegł się wszelkich dowcipków i dwuznaczników, rażących ucho«, wreszcie »poczciwą myśl — która istnieje i mamy ją autorowi za zasługę«. Nie zawsze można zgodzić się na wywody recenzenta, kiedy np. wmawia w autora, że chciał na przykładzie trzech pokoleń: dziadka, ojców i syna — przedstawić moralną degeneracyę: »im bardziej schodzi się na dół, tem gorzej się zastaje«. Do takiego wniosku treść utworu nie uprawnia; przeciwnie, mamy nawet za złe autorowi, że z wnuka Stanisława zrobił zbyt patetycznego altruistę. Podobnie podzielamy upodobanie estetyczne krytyka, jakiem napawa go postać Protazego »wybornie uchwycona i dokładnie uwydatniona«. Nie mamy jednak powodu wraz z recenzentem upatrywać w tej postaci jakby usymbolizowany »żywioł kłótni, który wdarł się pomiędzy lud nasz prosty i powoli podkopuje byt jego i spokojność«.

W Protazym upatrujemy z rzadkim realizmem schwycony okaz z życia, bez jakiegokolwiek pozatem podkładu symbolicznego.

Na ostateczną konkluzyę warszawskiej recenzyi można się zgodzić bez zastrzeżeń: »obrazek pana Anczyca pomimo licznych wad układu i wykonania jest bardzo wdzięcznym, mile się słucha i jako swojski dobre pozostawia wrażenie«.

Warszawska recenzya — to pierwszy krytyczny i rzeczowy rozbiór, poświęcony jednemu z utworów Anczyca; ta pierwsza poważna ocena musiała być dla początkującego autora milsza, aniżeli tuzin gołosłownych pochwał.

Na scenie lwowskiej ukazał się utwór Anczyca w dzień Nowego Roku 1858. Po drugiem przedstawieniu (6. stycznia) donosił »Dziennik literacki« (w nr 3), że utwór przyjęty został z powszechnem zadowoleniem; »nie odznacza się tyle nowością pomysłu i budową artystyczną« — pisze — »co zręcznem podchwyceniem niektórych charakterów ludowych, przy dokładnej znajomości ludu«.

»Żywcem z dzisiejszego życia wzięte są te postacie. Wszędzie widać znajomość wielką ludu i miłość dlań. Rysy drobne w charakterach są bardzo trafne. Autor studjował lud. Choć więc intryga nie bardzo mocna, sztuka cała czyni silne wrażenie«.

Budowę sztuki psuje zjawienie się dziedzica a i Protazy jest — zdaniem lwowskiego krytyka — zanadto karykaturalny.

* * *

»Flisaków« grano po raz pierwszy na scenie krakowskiej dnia 29 marca 1855 roku. O tem przedstawieniu donosił korespondent krakowski w »Nowinach« (1855 r. nr 45): »Flisacy, zgrabny obrazek jednoaktowy autora Chłopów arystokratów obudził entuzyastyczne oklaski i wywołania autora; przypisać to należy okolicznościowej treści wesołki, mieszczącej alluzyę do peryodycznej tułaczki sceny krakowskiej na lato i wiosnę, tudzież dowcipnym śpiewom i scenom, szczególnie przy przeciwstawieniu typów żyda cywilizowanego, niby eleganckiego handlarza zboża, z żydem nieucywilizowanym, wekslarzem, którzy obadwaj na różny sposób wysysają grosz ostatni z rodziny flisackiej«.

Z niemniejszym entuzyazmem witała publiczność krakowska drugie przedstawienie »Flisaków«, którem teatr polski dnia 20 września otwierał nowy sezon. W ten sposób dawała polska publiczność wyraz sympatyi dla autora rodzimego, ludowego obrazka — i dla tej biednej trupy polskich autorów, spychanych w polskiem mieście na szary koniec przez niemieckie przedsiębiorstwo teatralne. Czekali bo też mieszkańcy Krakowa pół roku niemal na powrót polskiego słowa na scenę — bez mała, jak owa Małgorzata na męża, flisaka, który do Gdańska na flis poszedł jesienią, a oto już przednowek i słych o nim zaginął.

A tu tymczasem potworne macki dwu polipów oplątały jej biedne, chore ciało i ostatek życia wyssać by chciały. Jeden — nie nowy, podobny wielce do Mośka z »Chłopów«, tylko dobitniej zarysowany, brutalniej na ciele chłopskiem grasujący — to Chaim, lichwiarz z Kaźmierza. Daleko, bo aż po wioskę Przegorzały sięgają jego zabójcze zagony. Pożyczył Małgorzacie na »jadwokata«, kiedy się z drugim lichwiarzem prawować chciała, piętnaście reńskich — a te po kilku miesiącach do pięćdziesięciu urosły; bo też Chaim 10 centów procentu od reńskiego na tydzień płacić sobie każe. Ot prosta, zwyczajna historya: niema z czego zapłacić procentu — podwaja się dług i przepisuje na nowy weksel — a kończy się wywłaszczeniem z chałupy i żebraczym kijem. Tak urządził tatusia Wojtkowego Icek »harendarz« z Przegorzał — a takich Icków niemal w każdej wsi nie brak.

Wstrętna to scena, kiedy Chaim z pod głowy chorej wieśniaczki poduszkę ciągnie — niepodobna jednakże zarzucić autorowi fałszu lub choćby przesady. Nie wiemy też, komu w pierwszej scenie przy-

znać racyę: Wojtkowi, który utrzymuje, że Chaim lepszy — czy Małgorzacie, która »Handleśtana« woli. Można tu ponoś zastosować przysłowie: wart Pac pałaca... W każdym razie groźniejszym dla opuszczonej przez męża flisaczki jest Edelstein. Mąż obiecał przez zimę robić mu galary i wziął nawet zadatek — i umowy nie dotrzymał. Szkody stąd wynikłe liczy sobie Edelstein na setki — więc gotów zlicytować nieszczęśliwą Małgorzatę, zwłaszcza, że grunt jej bardzoby się przydał na plac pod budowę galarów.

Ten Edelstein, to nowa postać, godna stanąć obok Mośka i Protazego.

Równie nie przebierający w środkach gromadzenia majątku, choćby z krzywdą ludzką, jak Chaim — różni się od niego już wyglądem zewnętrznym: Chaim, żydek-hałatowiec, jakich wielu — Edelstein ubrany z przesadzoną elegancyą, w białym jedwabnym cylindrze na głowie, z grubym złotym łańcuchem od zegarka, z opierścienioną łapą, dumny pewnie z owego złotego *pince-nez,* jaki mu autor na piersiach powiesił. Stykanie się z »chamami« — to wielkie poświęcenie dla jego delikatnej i subtelnej natury. Te »chamy«, te »grubelaki«, to »*verfluchtes Vieh*« — nie chce uznać jego państwa i inteligencyi.

Bo też ma się za bardzo rozumną głowę; wszak nawet po francusku mówi »*trez parfajtman*«. To też »człowiek z kompletne inteligencyą jest bardzo żenirt jak ma do czinienia z takiego bydło« — »ten podły gmin to taka komparacya do ludzi wiższego żanru, jak kawałek szkło od stłuczonej butelki do szlifowane dyament«.

Pociesznie naśladując salonowe maniery przyznaje się i do pewnych artystycznych aspiracyi. Wszak

uczył się grać »na violin od jednego Musiklehrera«, chodził do »kunstvereinu«, zna »różnych operów od Mayerbeera, od Halevy« — a nawet bawi się w mecenasa: »biedny violinist« — opowiada — »co uczy mojego Arthura, dostaje odemnie za godzinę dwadzieścia centów i co sobota ein Glas Caffee«. Ideałem jego — »zostać baronem, albo chociaż Adeligiem« i przenieść się do Wiednia. »*Wien für mich* — mówi — »*ist so, wie Mekka für einen Muhamedaner*. Wolę w Wiedniu zostać kulissyerem, jak w te barbaryjskie Galicye bić bankierem«. Oczywiście jest bezwyznaniowy i gardzi »ordynarnymi żydami w jupicach«; »wiare? co to jest wiare« — pyta Resi — »ja jestem bezwyznaniowy kosmopolit«.

Jest jeszcze jeden rys, który uzupełnia jego »*bon ton*«: — kobietki — »ach te kobietki« — wzdycha — »jaki oni wpliw mają na mnie... Jak idę do theater, albo do cyrk, to sobie szadam w pierwsze rząd fotelów, żebi tak z bliska przypatrować. Cordebałe z Neues Opernhaus to już ich znam i klaniam z ręką od gębe delikatne komplement. Ach jakie one fein! jakie fein!« Zupełnie jak oryginalny hrabia. Ma wprawdzie żonę, o której mówi, że ją kocha, dla której kupuje »drogie jedwabne suknie i kapeluszów od pierwsze modystki« — ale w jego sercu »jest dużo plac do kochania« — więc też ma »kochanki z różnych stanów, trzech modniarków, szwaczków dwie«.

Nie uważam za zbyt śmiałe posądzanie Edelsteina o duchową proweniencyę pod pewnym względem od — Geldhaba. Obaj stoją na wspólnej podstawie pyszałkowatej nadętości dorobkiewiczów — a nawet w rysach szczegółowych nie brak analogii. Kiedy Edelstein marzy o tem, ażeby mógł kiedyś podpisać

się na wekslu: Albert Maurice Ritter von Edelstein de Edelsteinburg — przypomina Geldhaba, układającego artykuł dla gazety, rozpoczynający się szumną intytulacyą: Jaśnie Wielmożny Geldhab, dziedzic Samochwały, Przybyszowic, Grypsowa, Łówki et cetera. Obaj kształcą swoje dzieci i zachwycają się ich artystycznemi zdolnościami: Arturek, rzępolący na skrzypcach, znajduje swój odpowiednik we Florze Geldhabównie, układającej odę »na czarny stolik lub komodę«

Brak Geldhabowi — kochanek; zbyt imponuje mu jego własne bogactwo, zbyt pociąga tytuł książęcego księcia i fabrykowana przez pana Piórkę genealogia — iżby pociągał go powab zakazanego owocu. A do takich owoców ma Edelstein szczególny pociąg.

Erotomania Edelsteina psuje prosty deseń jego filozofii. Bo i on ma swoją filozofię, oczywiście taką, jaka przystoi bogatemu handlarzowi zboża. »Dzisz już minęły romanse i filantropie. Dzisz panuje na szwiecze realnoszcz. To jest nowa metoda, walka o byt. Jak mnie kto zawadza, a ja mocniejszy od niego i mam większe szyłę, to mnie musi ustępowacz — u mnie pozytywnoszcz jest *die Hauptsache!* reszta głuposzcz!«

Któżby nie upatrywał w tem filozoficznem wyznaniu Edelsteina satyry na panujący wówczas pozytywizm?

Odstępstwo od »grundzatzów pozytywnoszci« przyprawia Edelsteina w komedyjce o klęskę. Zachciało mu się romansu z Resią, córką Małgorzaty i dla zdobycia jej nie zawahał się wystawić pisemnego zobowiązania, że zrzeknie się swoich pieniężnych pretensyi, jeżeli go kochać będzie »i powie mu tego wyraźnie«.

Ten krok bierzemy mu za złe nie tylko ze stanowiska pozytywizmu — ale i naturalności akcyi, uważając go za mało zręczny sposób, jakiego się autor chwycił celem ostatecznego rozwikłania kolizyi. Bo oczywiście wszystko kończy się jak najpomyślniej: Chaima spłaca poczciwy Wojtek, zamknąwszy go w szabasowy wieczór w komorze i nie puszczając go pierwej, aż zgodził się na przyjęcie sprawiedliwie mu się należącej sumy — do usunięcia Edelsteina posłużył ów apozytywny cyrograf i zjawienie się tak niecierpliwie oczekiwanego flisaka; — Wojtek poślubia Resię.

Trudno mówić o charakterystyce ludowych postaci w tym obrazku Anczyca: żadna z nich nie odznacza się wyraźnym profilem, wszystkie są blade i pełnią bierną rolę tła, na którem tem wyraźniej zarysowują się dwa typy, stanowiące oś akcyi: Chaim i Edelstein. Taka konstrukcya wynikała z zasadniczej myśli autora: bierna i bezbronna pozycya ludu, wobec nie mniej dzisiaj jak wtedy strasznej w swojej agresywności demolacyi, uprawianej po wsiach przez żydowską lichwę. To — czego z lekka i ubocznie dotknął w »Chłopach arystokratach« — przed tem głośno i dobitnie przestrzega w »Flisakach«. Pod zewnętrznymi pozorami wesołki — tai się groźne widmo ogromnej klęski społecznej: wywłaszczenia chłopa.

Wyraźnie wypowiada to Baltazarowe napomnienie przez usta Wojtka (w scenie piątej): »Toć skaranie boskie z tymi harendazami, w kuzdej wsi siedzi jeden na karcmie, kieby pająk catujący na muchy; wie on dobze nie tyla, co który pan choćby i dworski warta, ale co kuzdy chłop ma w skrzynce, somsieku i stodole. Rad ci pozycy pieniędzy, ale jak mu jeden palec das, to cię chyci za całą rękę i juz po tobie. Bez niego

nic nie kupis, ani nie sprzedas. Panów juz na dobre oskubali, ze się ledwie plątają po wsiach, a teraz wzięli się do chłopów; skoro któremu zabiorą grunt, to go ostawiają w chałupie i dadzą mu mieszkanie i pożywioł, ale za to musi im robić wedle gruntu az do śmierci. Tak ustała pańscyzna ślachecka, a nastała zydowska; wkońcu wsyćkie chłopy powychodzą na dziadów, a jedynie bez przeklętą gorzałkę i harendazy, co ją synkują, a nam dusę wyciągają«.

A w serdecznej trosce o lud, zwracając uwagę ogółu na grożącą klęskę — nie popada autor w jednostronność i zastrzega się przeciw posądzeniu go o płaski antysemityzm: słyszymy jako o antytezie Edelsteina o uczciwym żydzie »Sianberku«, który jest »lepsy jak niejeden katolik« i »nikogo nie krzywdzi«, a flisaka Jakóba, który w Gdańsku zaniemógł, poratował zacny starozakonny, bo »tam ludzie nie patrzają, jakiej kto wiary, ale cy ucciwy i godny poratunku. I ratuje zyd katolika, a katolik zyda«.

Czy wskazuje autor środki zaradcze? Kwestya to zawiła, połączona ściśle z poprawą ekonomicznego bytu chłopa, z akcyą przeciw analfabetyzmowi i alkoholizmowi — tymi problemami zajmie się ludowy pisarz gorąco w przyszłości; na razie we »Flisakach« wskazał jedno z najgroźniejszych niebezpieczeństw — a ubrawszy to zagadnienie w formę doskonałego obrazka ludowego dał skuteczny środek walki ze złem: jak najczęstsze wystawianie »Flisaków« na teatrach ludowych. Sprawa, przedstawiona w nieskomplikowanej formie obrazka, pisanego ludowym językiem, stawiona »*ad oculos*« chłopskiego audytoryum — nie może pozostać bez wrażenia i skutków.

* * *

W lecie tegoż roku dotknął autora »Flisaków« bolesny cios: dnia 5 czerwca zmarł na grasującą cholerę Zygmunt Anczyc. W r. 1849 opuścił scenę i objął powierzoną mu przez Radę miejską posadę pisarza na rogatce z płacą 20 zł. miesięcznie. Pobyt za miastem zdala od rodziny, wśród dotkliwie dających się odczuwać zmian atmosferycznych, zrujnował do reszty zdrowie starca. Za dyrekcyi Pfeifra, z którym pozostawał w przyjaznych stosunkach, powrócił na scenę — ale wiek podeszły i słabnąca pamięć nie pozwalały mu często występować, powierzono mu więc funkcye bibliotekarza teatralnego; jeszcze w 1853 roku odwiózł sam córkę do teatrów warszawskich. Kiedy wybuchła zaraza, wycieńczony starością i niedostatkiem organizm, uległ jej zabójczym tchnieniom. Po długim żywocie, obfitym w kolce i ciernie, przeniósł się do lepszej wieczności jeden z ostatnich aktorów z pod sztandaru Wojciecha Bogusławskiego.

* * *

Pierwszego stycznia 1856 roku wystawił teatr krakowski »Błażka opętanego«, krotochwilę w jednym akcie ze śpiewami. Motyw przemienienia — stary niemal jak świat; wprowadził go u nas do komedyi Piotr Baryka, nieobcy był Szekspirowi a niedawno użył go Fredro w »Jowialskim« i komedyi »Nikt mnie nie zna«. Pozatem wątek ten gęsto rozpowszechniony jest między ludem — tu przybiera on zwykle postać »opętania« przez dyabła, który włażąc w danego osobnika przemienia jego postać. Tak też sobie komentuje swoją przemianę z parobka od koni na »jaśnie wielmożnego pana dziedzica« Błażek Anczyca, zwłaszcza że poprzed-

niego dnia podpił sobie tęgo, nawydziwiał mnogo na panów, »ze bez calusieńki dzień nic nie robią, jeno jedzą, piją i cygary kuzą« a nawet oświadczył, że »kiejby wiedział jako dyabła wywołać, toby mu i dusę przepisał, zeby go jeno zrobił panem wsiowym«. Nie dziwota więc, że kiedy na drugi dzień rankiem ujrzał siebie »w pańskiem obleceniu na kanapie lezącym« a swojego dziedzica w sukmanie chłopskiej, kłaniającego mu się do pasa — uznał, że to sprawa dyabła. I wnet zatęsknił za swoim dawnym stanem: bo to i kawa mu nie smakowała i tytoń pański za słaby a na domiar dziewczynę, którą kochał jako Błażek — zabiera mu teraz jego dawny pan, a obecnie Błażek, parobek od koni — a jemu rają jakąś tam pannę Klementynę, coby ta »z gęby obleciała, jeno ze okrutnie cieniuśka i rącki maluśkie nie do roboty, ani tez nózecki nie obstoją«,

Odetchnął też z pełnej piersi jak po śnie przykrym, kiedy się dowiedział, że to tylko zabawka młodego dziedzica dla zabicia nudów — i kiedy się poczuł znowu Błażkiem-fornalem. Zabawka — i nauka a zarazem sens moralny krotochwili, który Błażek-*redivivus*, nadziawszy z fantazyą czapkę na ucho, wyśpiewuje na końcu:

»Chciałci Błazek ostać panem
Wpadł do własnej sieci,
Kto pogardza swoim stanem,
Zawdy w biedę leci«.

Musimy zarzucić młodemu dziedzicowi, że w koncepcie swoim nie był oryginalny. Słyszał coś może o widowisku Baryki »Z chłopa król« — a widział pewnie na scenie »Pana Jowialskiego« i »Nikt mnie

nie zna«. Zabawił się tedy u siebie na wsi w Jowialskiego, pożyczył imię Czesław z komedyi »Nikt mnie nie zna«, przecharakteryzował z tejże komedyi służącego Kaspra na parobka Walka, z którym ma wiele kłopotu, bo ten do tak uciesznej metamorfozy przyzwyczaić się nie umie i psuje sytuacyę wybuchami nie dającego się stłumić śmiechu — a nawet podobnie jak fredrowski Czesław chciał w ten sposób wyleczyć zazdrosnego i podejrzliwego męża — tak i Czesław Anczyca pragnie wyzwolić parobka od pańskich zachcianek. Ludowym wątkiem jest — jak powiedzieliśmy — opętanie przez dyabła w wyobrażeniu Błażka, którego w złą godzinę wymówione przekleństwo zostało podchwycone przez »bezpiętego«.

I Czesław, chcąc Walka powstrzymać od śmiechu, straszy go tem, że dyabeł gotów go w starą babę przemienić, jeśli nie zaprzestanie śmiechu.

Dyabła, sprawcę nieszczęśliwej transformacyi, upatruje Błażek w kuzynie dziedzica Celestynie; — mówi mu też to prosto z mostu:

»Na łbie kudły mas baranie,
Jakaś smata na syisku,
Otóz ty wyglądas panie,
Kiejby dyablik na bagnisku«.

Zgodnie też z wyobrażeniami ludowemi potrafi Błażek dać sobie radę z dyabłem: byle mieć tęgi dębczak wysmarowany kredą święconą. W każdym razie wie, że sprawa niełatwa: więc kiedy zdeterminowany rzuca nieszczęśliwego Celestyna na kanapę, woła Walka, ażeby mu przyniósł święconej wody i sznurów od dzwonów kościelnych: skrępują wtedy kuternogę i »hala do stawu« (Por. O. Kolberg »Lud« ser. VII, str. 55).

Poza wskazanymi wątkami ludowymi oraz językiem ludowym — zwracają uwagę piosenki, które śmiało mogłyby zająć miejsce w zbiorku pieśni ludowych. Taka np. piosenka Walka w scenie drugiej, przez swoją specyficznie ludową rytmikę mogłaby być uważana za produkt ludowego pieśniarstwa:

Jaworowe kółka,
Olsowa ozwórka,
Trzebaby ją okować, okować.
Spodobała mi się
Sołtysowa córka,
Ale mi jej nie chcą dać, nie chcą dać
i t. d.

Albo tegoż Walka śpiewka w scenie szóstej, taka jędrna i zamaszysta, że się w niej od pierwszych słów huk podkówek i brzęk blaszek krakowskiego pasa słyszy.

Hajze ino, dana ino,
Capka na bok! hej dziewcyno,
Nie róbze mi juz mitręgi,
Pojźryj jeno, jakim tęgi.

I owa wreszcie rymowana odpowiedź Salusi, tak charakterystyczna ze względu na zakres wyobrażeń chłopskich:

Choćbyś ty miał seść koni w karecie,
Chodził cały w żółtym jaksamicie,
Tobyś mi się i tak nie spodobał.

Choćbyś ty spał na złocistym łózku
I wciąz do mnie gadał po frajcusku,
Tobyś mi się i t. d.

Choćbyś ty mi pieceń z cukrem dawał
I co rano przyniósł synki kawał,
Tobyś mi się i t. d.

Choćbyś mię ty kąpał w słodkiem winie,
Dukatami palił na kominie,
Tobyś mi się i t. d.

Możnaby posądzać autora, że on te piosenki gdzieś w karczmie wiejskiej posłyszał i żywcem reprodukuje.

Ludowy charakter obrazka stanowi też jego wartość.

Zarzuciwszy autorowi brak oryginalności w pomyśle — musimy z drugiej strony stwierdzić, że przeprowadził go zręcznie i lekko, utrzymując się aż do końca w tonie zabawnej krotochwili. Rozwija naturalnie, we właściwem tempie i z wielkim humorem jedną sytuacyę z drugiej; *vis comica* dochodzi szczytu z nieoczekiwanem zjawieniem się ciotki Anastazyi z córką i kuzynem. Przyjechała, ażeby zapoznać córkę swoją z siostrzeńcem i doprowadzić do skutku dawno ułożony plan małżeństwa młodych. Widziała swego krewniaka jeszcze dzieckiem w Dajkieliszkach u pani Pociulewiczowej — i widzi go teraz w przebranym Błażku, co sprowadza cały szereg śmiesznych kolizyj, zwłaszcza że Anastazya jest znakomicie zaobserwowanym typem. »Anastazya, urodzona Oślewiczówna, z pierwszego męża Puciatowiczowa, z drugiego Śnieżkowa« — przybywa z Litwy, »bywszy takoż« pewien czas w Warszawie — i nie może się wydziwić brakowi ogłady i mrukliwości siostrzeńca, zwłaszcza że sama mówi wiele, przeskakując z przedmiotu na przedmiot, wspominając co chwila męża (pierwszego czy drugiego?) »nieboszczyka Ferdusia, świętej pamięci, wieczne odpocznienie«, co to był bardzo brzydki »a taki zły, że bywało, jak mu co nie do gustu, to talerz o ziemię rozbiwszy«, a raz to nawet »kucharce buraczkami gębę wysmarował, że

ich przesoliła«. Nie może się wydziwić, co też to z tego Czesławeńka się zrobiło — wszak był to taki »mileńki chłopczynka«, kiedy go rodzice nieboszczykowie w Krakowskie wywozili — (»Klimusia jeszcze była, za pozwoleniem, przy piersi«) — przecie pamięta dobrze, jak to »ekspedyte umiał wokabuły francuskie«. A toż to jakieś »awantury arabskie« dzieją się u tego Czesława: parobcy całują się z dziewczętami i mieszają do rozmowy — a toż to »wcale nie przystawszy jest, żeby w szlacheckim domu cham chamkę w giębę całował«. U siebie, na Litwie, kazałaby zaraz wlepić »sto oblewanych bizunów za taką nieczystość«.

Próbuje jej to wyjaśnić kuzynek Celestyn: »czy to nie przypadkiem mania demagogiczna, która niestety dzisiaj jeszcze tyle ofiar zabiera, że dla chwilowego obłędu sakryfikuje się stanowisko«.

»Błażek opętany« jest ciekawą kombinacyą obrazka ludowego z charakterystyczną komedyą, rozgrywającą się w szlacheckim dworku. Element ludowy przeważa — postaci dziedzica, Klementyny i Celestyna są bezbarwne. Zato typ starej szlachcianki litewskiej jest postawiony barwnie i plastycznie — autor opuścił wprawdzie Litwę jeszcze niemowlęciem, ale oboje rodzice byli pochodzenia litewskiego, pozostawali pewnie w korespondencyi z rodziną pozostałą na Litwie — mógł więc autor opierać się na obserwacyi.

Stworzeniem postaci ciotki Anastazyi w »Błażku opętanym«, złożył autor dowód, że nie tylko w zakresie ludowego dramatu posiada talent.

*

* *

Osobliwością w swoim rodzaju było wystawienie na scenie krakowskiej 6 stycznia tegoż roku dramatu historycznego »Andrzej Batory«. Dyrekcya teatralna poczyniła do tej reprezentacyi szczególne przygotowania — sprawiono nowe kostyumy i podwyższono ceny. Afisz teatralny opiewał: »Andrzej Batory, książę siedmiogrodzki, dramat w 3 aktach i 4 obrazach z prologiem z oryginału J. Korzeniowskiego, zastosowany do sceny tutejszej przez W. L. Anczyca«. Nie była to zwyczajna przeróbka inscenizacyjna — zmiany sięgały głębiej w treść utworu. O charakterze tych zmian daje niejakie pojęcie sprawozdanie, umieszczone w »Czasie« (nr. z 9 stycznia). Sprawozdanie podaje, że trudno oznaczyć, kto jest właściwie autorem przedstawionej sztuki: »P. Władysław Anczyc« — czytamy — »pragnąc utwór Korzeniowskiego zastosować do wymagań miejscowych i warunków teatru miejscowego, zmieniwszy sceny i całe akty, dawszy zdarzeniom inny ciąg i obrót, wprowadziwszy nawet nowe, główne osoby — przekształcił go w inną zupełnie sztukę«. Dowiadujemy się, że przerabiacz wprowadził nową zupełnie postać i powierzył jej główną rolę w sztuce: mianowicie mściwą Małgorzatę Mailath — wyrzucił z dramatu Korzeniowskiego kilka historycznych osób: Jana Gezzi, kanclerza, hrabinę Belgiojoso i i. — przedstawił charakter Andrzeja i Zygmunta Batorych w innem świetle — zmienił wreszcie ciąg zdarzeń w 3 i 4 akcie.

Sprawozdawca nie uważa tych zasadniczych przekształceń za odpowiednie i konieczne; niestety, nie rozporządzając rękopisem, nie możemy wyrobić sobie o tem zdania. Porównanie przeróbki z oryginałem byłoby pouczające.

W pierwszem półroczu 1856 r. rozwija Anczyc ruchliwą czynność pisarską na usługach krakowskiej sceny. Po »Błażku opętanym« (1 stycznia) i przeróbce dramatu Korzeniowskiego — wyciąga spoczywający w tece od lat sześciu »Dziesiąty dzień pożaru« i stara się rzecz poprawić i przetworzyć.

Rzadko udaje się takie przerabianie utworu, od podstaw chybionego; — o ile utwór nie nosi już w pierwszym szkicu ziarn żywotnych, (dla przykładu: dwie redakcye »Mazepy« Słowackiego) przeróbka nie potrafi go natchnąć życiem. Zwłaszcza w tym wypadku, kiedy chodziło o aktualność: w 1856 roku wspomnienie strasznego pożaru miasta z przed sześciu laty zbladło i zasunęło się w cień. Rozumiał to autor i dał temu wyraz już w zmianie napisu dochowanej przeróbki, którą nazwał »Arystokracyą na Kleparzu«. Musimy stwierdzić, że zmiany, dokonane rozumnie, świadczą o wyrobieniu smaku estetycznego autora w ciągu lat sześciu. Autor starał się poprawić budowę sztuczki, łącząc dwie odsłony aktu drugiego w pierwotnem opracowaniu w jeden akt — skreślił zbyt rażące brakiem naturalności sytuacye w akcyi — pousuwał nie wiążące się z akcyą komedyjki postaci, tak, że w miejsce 15 osób — występuje 9 — a nawet usiłował nadać utworowi myśl poważniejszą przez wprowadzenie nowej figury, Sebastyana, majstra szewskiego »starego typu« — którego przeciwstawieniem ma być syn jego, Stanisław Smolikowski, szewc »postępowy« i ogładzony w wędrówkach za granicę.

Rękopis »Arystokracyi na Kleparzu« nosi datę: 21 marca 1856 — około też tego czasu grano komedyjkę w Krakowie; powodzenia nie miała, bo w zapiskach dziennikarskich nie napotykamy żadnej o niej wzmianki.

7 kwietnia obchodził teatr krakowski 50-tą rocznicę ponownego — po 11-letniej przerwie — otwarcia polskiego teatru w Krakowie przez Jacka Kluszewskiego, starostę brzegowskiego, wielce zasłużonego dla sceny polskiej mecenasa. Grano »Krakowiaków i górali« — na zakończenie ostatniego aktu ułożył Anczyc kilka okolicznościowych piosenek — poczem dyrektor Pfeifer odczytał wiersz Anczyca na cześć Kluszewskiego (»Czas« nr. 82).

Dnia 21 kwietnia grano na benefis Józefy Radzyńskiej »Drugą żonę« Korzeniowskiego — a na zakończenie »Pepitę w Słomnikach«, fraszkę w 1 akcie przez Anczyca, dla beneficyantki umyślnie ułożoną (»Czas« nr. 88). Treści fraszki nie znamy; jak wskazuje tytuł, tematu dostarczyła sławna wówczas w całej Europie tancerka z teatru Infante w Madrycie, Pepita Oliwa, która w grudniu 1854 roku zjechała na gościnne występy do teatru niemieckiego w Krakowie. Przyjazd jej narobił w mieście wiele wrzawy, a przyjęcie, które jej na dworcu zgotowano, obfitowało w wiele komicznych epizodów, mogących dostarczyć bogatej treści dla uciesznej krotochwili.

O popularności, jaką potrafił sobie zjednać w szerokich kołach krakowskiej publiczności autor »Chłopów arystokratów« świadczy fakt, iż i w tym roku odegrano na zamknięcie sezonu utwory Anczyca. W program pożegnalnego widowiska dnia 15 maja — »na podziękowanie i pożegnanie publiczności« — wchodziła fraszka w 1 akcie »oryginalnie przez Wł. Anczyca napisana« p. t. »Jarmark w Krakowie« — oraz, jak w roku ubiegłym, »Flisacy« z »nowemi śpiewkami« (»Czas« nr. 109).

Zamykało towarzystwo aktorów krakowskich

oczny okres mozolnej pracy na ojczystej scenie, trwając wytrwale na posterunku, mimo nieprzyjaznych warunków. Zamykał i autor »Łobzowian« okres pisarskich czynności, wyłącznie temu posterunkowi poświęconych; pokłosie było liczebnie obfite — jakościowo jednak — niebogate. Liczba nie szła w parze — jak często — z jakością; były to rzeczy przeważnie okolicznościowe, pisane jakby na zamówienie dyrekcyi teatralnej, z główną pewnie myślą zarobkowania celem zwiększenia dochodów w miarę zwiększania się — rodziny. Autor sam pewnie utworów tych nie uważał za plusy w swym dorobku literackim, bo tylko »Błażka opętanego« ogłosił drukiem w 1873 w swych »Obrazkach ludowych«.

Przypuszczamy, że autor pozostawał w stałym stosunku literackiego doradcy, czy sekretarza teatru: przerabiał sztuki, układał okolicznościowe wiersze i śpiewki, pisał z bieżącą chwilą związane, jakby na »kasę« teatralną obliczone fraszki, a wreszcie — co upewnia nas w naszem przypuszczeniu — wraz z trupą krakowską opuścił Kraków.

Powziął był dyrektor Pfeifer śmiałą myśl skierowania tym razem dorocznej wędrówki kompanii krakowskiej do Wiednia; myśl była szczęśliwa, bo przedstawienia polskie w Wiedniu cieszyły się liczną frekwencyą i uznaniem dzienników wiedeńskich.

W podręcznej notatce Władysława Anczyca czytamy, że 18 maja wybrał się w podróż do Wiednia i Badenu — najprawdopodobniej jako sekretarz trupy krakowskich aktorów. Nie wiemy jak długo przebywał poza granicami Galicyi; prawdopodobnie *tournée* artystyczne przerwała śmierć pierworodnego synka, dwuletniego Władzia, dnia 24 sierpnia. Obok

daty śmierci dopisał zbolały ojciec w notatniku: »anioł mój kochany osierocił nas nieszczęsnych«.

Cios był wielki, równowaga ducha zachwiana potężnie; — nie zawsze boleść ojcowska znachodzi wyraz w żałobnych trenach — a często łamie pióro, zwłaszcza kiedy do kreślenia »wesołek« przywykło.

Do końca roku 1856 i przez cały rok następny czynność pisarska Władysława Anczyca była obumarłą.

Z kolei życia Władysława Anczyca w owym czasie nie wiele umiemy zanotować. Ze »Spisu podróży« w notatniku dowiadujemy się, że we wrześniu (26) tegoż roku był we Lwowie i Krasiczynie, z początkiem 1857 roku był dwukrotnie w Kalwaryi, zaś 14 marca wybrał się po raz pierwszy do Wielkopolski i zwiedził Poznań, poczem pojechał do Głogowa i Leszna. Dnia 10 kwietnia był znowu w Wiedniu, skąd wróciwszy zastał zwiększoną rodzinę o drugą córeczkę.

Z początkiem 1858 roku powziął Anczyc oryginalny pomysł przedstawienia w scenicznej formie zmian, jakim uległo w Polsce życie obyczajowe w przeciągu trzech epok. Wynikiem tego pomysłu jest dochowany w papierach utwór, któremu na imię: »Człowiek trzechwieczny«. Mocno kreślony, w wielkim bezładzie pozostający rękopis, zawiera kilka kolejnych redakcyi, zasadniczo nieraz różniących się tokiem i treścią akcyi poszczególnych scen (— zwłaszcza w akcie I. —); po uporządkowaniu luźnych i porozrzucanych kartek otrzymujemy dwa pełne akty — i cztery karty aktu trzeciego. Prawdopodobnie całość była skończona: jest początek odpisu »na czysto« wedle ostatecznej postaci, poprzedzony kompletnym spisem osób, występujących we wszystkich trzech częściach, które autor

nazywał kolejno: pory, akty — i ostatecznie: przeszłość, teraźniejszość i — prawdopodobnie (tej ostatniej nazwy nie naznaczył) — przyszłość.

Psychologiczną podwaliną akcyi jest ulubiony przez Anczyca motyw prawdziwego szlachectwa duszy, nie wdzierania się w tak zwane wyższe sfery społeczne, poprzestania na własnem środowisku.

Przedstawicielem tej idei jest Jacek Brożek, (w pierwotnej redakcyi nazwany: Jacek Głuszek) »człowiek trzechwieczny«. W akcie pierwszym, którego akcya rozgrywa się w 1758 roku, jest on zamożnym kupcem krakowskim, potomkiem starego i zasłużonego krajowi rodu mieszczańskiego. Choć spokrewniony przez żonę ze szlachtą, chełpi się swojem mieszczańskiem pochodzeniem i odrzuca patent szlachecki, jaki mu syn od króla za patryotyczne zasługi przywozi. Odrzuca, bo nie wstydzi się swego pochodzenia i nie chce, ażeby dzieci jego, jako »ludzie nowi«, »w przedsionkach dworskich kości ogryzali«. Lepszym jest Jacek ten szlachcicem w znaczeniu moralnem, aniżeli ów Paweł Zawierucha (pierwotnie nazwany Sulatyckim), który samą myśl maryażu córki Jadwigi z wnukiem Jacka, Stanisławem, za afront sobie ma i dotkniętą pychą szlachecką prycha, nie bacząc, iż przyrodniego brata przed sześciu laty w Warszawie jako infamisa ścięto. Wogóle przewyższa Jacek o głowę cały ten tłum szlachecki, który się w jego domu na wesele wnuczki Marysieńki zeszedł i podochocony wznosi toast na cześć *liberum veto* i szlacheckiej wolności. W smutnych czasach upływa ta pierwsza »pora« Jacka: w dobie rozpasania i ekskluzywności szlacheckiego żywiołu, nie dochodzenia sejmów, tych wszystkich moralnych pasożytów, toczących zamiera-

jący organizm Rzeczypospolitej — to wszystko Jacek widzi i rozumie i boleje nad tem i *memento* księdza Skargi przypomina i podochoconej szlachcie w oczy piosenkę ciska:

Hej hasa, za króla Sasa
Jedz, pij i popuszczaj pasa.
Cóż tam, że kraj w przepaść leci —
Wszak nam grają — tańczmy dzieci.

Pozatem i na prywatną niedolę ma pan Jacek czułe serce: ubogich wspiera, niezamożnym kredytuje a nawet — w czem już chyba egzaltuje — żebraczkę z dzieckiem, która o jałmużnę prosi, na wesele wnuczki zaprasza i między gośćmi sadza, czem nawet ogólne niezadowolenie na siebie ściąga. Ale zato spełnia się jego fantastyczne życzenie, jakie w scenie trzeciej wypowiedział: »grzeszna ciekawość trapi mą duszę, iż radbym za sto lub dwieście lat przyszłość tej ziemi obaczyć — a przypatrzeć się moim potomkom — przekonać się, czy też kiedy wrócą na ścieżkę cnót, jaką niegdyś nasi ojcowie postępowali«. Wysłuchanem zostało jego życzenie: oto pod koniec aktu uboga niewiasta przemienia się w geniusza i poczyna odgrywać się — wedle określenia autora — »melodrama«. Przy wtórze harmonijnej muzyki deklamuje geniusz:

»Cel życzeń spełniony,
Rozdarte przyszłości cienie.
Za sto lat ujrzysz te strony,
Ujrzysz twoje pokolenie.
    Wtedy, patrząc na ich czyny,
    Policz cnoty, policz winy.

I znów wpadniesz w sen głęboki
I znowu w rodzinnem mieście

Odsłonią tajne wyroki
Życie ziomków za lat dwieście.
  Wtedy, patrząc na ich czyny,
  Policz cnoty, policz winy.

Nakoniec porównaj wieki:
A w którym przeważy cnota,
Wśród wnucząt, od trosk daleki,
Przepędź w nim zachód żywota«.

Sam autor najlepiej scharakteryzował ten epilog »przeszłości« nazywając go »melodramą«. W istocie »melodramą« jest zakończenie aktu, melodramatyczny bohater, »człowiek trzechwieczny«. To co stanowiło jądro tej przeszłości, co mogło dać temat do tragedyi historycznej — o tem słyszymy ubocznie z ust Jacka, którego uśpił na sto lat geniusz, jak ongiś — analogię tylko pomysłu wskazuję — usnął Irydion pod tchnieniem Masynissy. Na scenie został melodramat bez porównania słabszy w przeprowadzeniu, aniżeli akcya »Swatów królewskich«, o bladej charakterystyce osób, z których na pierwszy plan wysuwa się idealny Jacek Brożek i Paweł »Zawierucha«. Na uwagę zasługuje obraz wesela z oracyą Studenta (pierwotnie *Pauper Studiosus)*, której początek przytaczam:

STUDENT
(kłania się niezgrabnie, chrząka i peroruje).

Wkradłszy się *cantissime* na brzuchu czołgając
I *paulatim* z kastalskich źródeł popijając,
Kędy się pasł *Pegazos,* jedząc wonne kwiecie,
Skoczywszy *insperate* siadłem mu na grzbiecie
I chociaż *lentus erat,* lecz miałem *baculus,*
A gdym mu *in* .....*) wepchnął *aculeus,*

---

*) Wyraz nieczytelny.

Mój *Pegazos iratus*, w górę się wybiwszy,
Niósł na Parnas. Więc w chmurach lutnię nastroiwszy
Incipio:

Nie brak i starożytnej pieśni, do dziś po weselach chłopskich śpiewanej, którą goście społem intonują:

Ażebyś ty chmielu na tyczki nie lazł,
Ażebyś z panienek nie robił niewiast.
Hej chmielu — hej nieboże
Niech ci Pan Bóg dopomoże.

Zresztą forma nie nosi na sobie kolorytu epoki. Akt pierwszy ukończył autor 25 lutego 1858 r., jak stwierdza data, na ostatniej stronicy zanotowana.

Mocno musiał zdziwić się Jacek Brożek, kiedy po ostatnim letargu obudził się w domu Kazimierza Brożeckiego, krakowskiego bankiera. Zachował pamięć tego, co przed stu laty przeżywał, ażeby móc w myśl obietnicy geniusza porównać »cnoty i winy« teraźniejszości z przeszłością. Przybywa niby po długoletniem wygnaniu z Sybiru pod dach ojczysty, jako dawno niewidziany brat Kazimierza. Zawiele obiecywał mu geniusz, kiedy zapewniał, że po stu latach będzie mógł »policzyć cnoty i winy« swojego pokolenia: bo akcya odsłania właściwie tylko jeden rys i to nie specyalnie polski — a i to sprawę, która po stu latach nie postarzała się, nie zmieniła się w istocie, a tylko odmienne przybrała pozory.

Bankier Brożecki, wielce z rysów podobny do Geldhaba, pragnie wydać córkę za zrujnowanego hrabiego Zawieruszyńskiego, pragnie kupić jedynaczce tytuł hrabiny. W istocie rzeczy nie zmienił się pan Paweł Zawierucha: proponując ożenek syna Rafała z bogatą bankierówną, uważa to za smutną koniecz-

ność, za ofiarę poniesioną celem uniknięcia ruiny finansowej. Poddaje się też tej konieczności z rezygnacyą hrabia Prot Zawieruszyński i wraz z żoną nakłania do tego kroku syna, zadłużonego i zblazowanego paniczyka. Bo pan Paweł Zawierucha stracił w stuletniej wędrówce to, od czego jego nazwisko poszło: szlachecki animusz, krwistą impulsywność sejmikowego rębacza, sposób rozcinania komplikacyi życiowych ostrzem korda. Pan Paweł Zawierucha nie byłby z pewnością wydobywał się z kłopotów finansowych za cenę mezaliansu — lecz byłby zapewne splunął i pocieszył się poczciwem a takiem niestety polskiem: jakoś to będzie. Ale stuletnie doświadczenie, zgoła inne warunki życia, zmieniły Zawieruchę na »hrabiego« Zawieruszyńskiego (galicyjskiej proweniencyi) — a jeszcze wyraźniej odbiły się one na młodym Rafale. Ze zdjęciem kontusza i przyobleczeniem międzynarodowego tużurka, odpadł szlachecki animusz — a rodowa pycha zogniskowała się na punkcie utrzymania splendoru domu i utrzymania szerokiej stopy życia — choćby za cenę ofiar na rzecz »Geldhabów«.

Toteż Jacek nie poznaje w Zawieruszyńskich potomków Piotra Zawieruchy, który w 1758 roku wznosił na tem samem miejscu toast na cześć »*liberum veto*« — zwłaszcza że miejsce ojczystego języka zajął żargon francusko-polski, miejsce szerokich gestów, głośnych śmiechów, puszystych oracyj z muskaniem sumiastego wąsa — zastąpiły dyskretne ruchy, blady półuśmiech, spłowiały, ogładzony frazes. Toteż dziwuje się pan Jacek, dziwuje owym przemianom i przyznać musi w duchu — bo głośno nie porównywa — że teraźniejszość od przeszłości nie lepsza.

Córkę swojego brata ratuje Jacek od niemiłego zamęścia, zmyśliwszy wobec konkurenta — pomysł nie nowy — wiadomość o bankructwie bankiera. Oczywiście konkurent wycofuje się co prędzej. Ale Boguni grozi drugi, równie niemiły ożenek. Matka swata ją z »przyjacielem« swoim Spirydyonem. Nie należy fałszywie rozumieć tej przyjaźni. Spirydyon jest tylko »moralnym« doradcą i opiekunem pani Zofii. Zofia, Spirydyon i jego »*alter ego*«, w ostatecznej redakcyi dodana Balbina — nie mają swoich antenatów w akcie pierwszym. Zofia, mająca żyłkę do dewocyi i filantropii, rzucona jest na pastwę dwu obłudnych figur, które pod hasłem humanitaryzmu wyzyskują bezwstydnie panią bankierową.

Spirydyon ma czułe serce dla biedy — pisze nawet »moralną książeczkę« dla ludu i 200 egzemplarzy odstępuje po połowie ceny pani Zofii. Przytem jednak ma on plan znacznie obszerniejszy: zagiął parol na posag Boguni i wmawia w jej matkę, że Boguni potrzeba zacnego i statecznego męża, któryby pieniądze potrafił obrócić na szlachetne cele, na rozszerzanie zakładów dobroczynnych, założenie »czysto moralnego« dziennika (którego redakcyę mogłaby objąć pani Zofia), propagowanie »zbawiennych maksym«. Pani Zofia jest tym programem olśniona, zwłaszcza że w skład jego wchodzą kwesty, loterye, bale, których ona byłaby gospodynią. A jeżeli idzie o zacnego i rozumnego męża, to któż szlachetniejszy, aniżeli Spirydyon, który całego siebie zda się dla dobra ogółu poświęca, któż bezinteresowniejszy, aniżeli on, który belki w oku bliźniego nie dostrzega. Bo jakże on naprzykład nie szczędzi pochwał Rafałowi: »złoty chłopiec — mówi po francusku, po angielsku — jaki ba-

łamut — jak gra w karty — jak wino pije — rzadko teraz chłopca z takimi przymiotami«.

Nawet kiedy pani Zofia otwarcie przyznaje się Spirydyonowi, że chciałaby, iżby mąż jej był jemu podobny, on, miasto dać unieść się pogłaskanej ambicyi, broni, jak potrafi, pana domu: »Mąż pani« — powiada — »jest człowiekiem tak zacnym jak rzadko; że jest cokolwiek pysznym, to słabość ludzka — że nieco skąpym i łakomym na tytuły — to wada tegoczesna, że trochę zazdrosnym, to ułomność, że gniewliwy, to wada krwi, że leniwy w pełnieniu dobrych uczynków — bo sam nie zna, co potrzeba«.

O obżarstwie i pijaństwie nie wspomniał zacny Spirydyon — bo nie leżało w jego naturze oczernianie bliźnich. Toteż pani Zofia bez wahania oddałaby rękę Boguni Spirydyonowi — zwłaszcza że dla charakteru Spirydyona nie ma dość słów uwielbienia Balbina.

Część tę dorobił autor w ostatecznej redakcyi, a epizodyczna figura Balbiny jest może najlepszą z osób tego aktu. Spirydyon w spodnicy, o pewnych rysach plastyczniej podkreślonych, zadowala się drobniejszym zyskiem i urabia swoją »przyjaciółkę« dla Spirydyona, który za pomoc jej obiecał niezgorszą zapomogę. Ubiera się wyłącznie czarno, słucha kilku mszy dziennie i należy pewnie do wielu bractw — no i ma ubogą, sześciorgiem dziatek obarczoną szewcowę na Zwierzyńcu, której zanosi wsparcia od bankierowej.

»Wielkie to szczęście« — mówi złośliwie Spirydyon do Balbiny, kiedy się sami znaleźli — »że nasze panie są skromnemi i nie chcą być znanemi od tych, których wspierają — bo w cóżby się obróciły owe

kawki z ploteczkami i rozmaite wygódki, jakie sobie panna Balbina za ich pieniądze wyprawia«.

O tak — kawki — tych szkodaby było. Panna Balbina lubi kawki — i choć ich trzy po drodze do państwa Brożeckich wypiła — nie odmawia zaproszeniu i chłonie chciwie czwartą, pakując niezjedzone sucharki do torebki na zapas i rozczulając się równocześnie nad tymi, których nędza niszczy i którym głód doskwiera. Nie gardzi też mantylką, którą jej pani Zofia ofiarowuje — zwłaszcza, że mantylka czarna, a ona tylko czarno się nosi.

Nie zbyt też zbudowanym być musiał Jacek tem otoczeniem swojej bratowej. Ale i od drugiego konkurenta udało mu się uwolnić bratanicę. Bo kiedy Spirydyon zwrócił się do Jacka z prośbą o poparcie swojej sprawy u opierającego się brata, Jacek żąda w zamian procentu od posagu. Po krótkim targu Spirydyon daje żądane pisemne zobowiązanie — a to służy Jackowi do zdemaskowania drugiego łowcy posagu. Koroną dzieła Jacka jest nakłonienie rodziców Boguni do pójścia za głosem serca córki i oddania jej ręki dalekiemu krewniakowi. Kończy się akt »melodramą« — ukazuje się geniusz i kołysze Jacka do powtórnego stuletniego snu pieśnią:

Jeszcze nie koniec, przyszłość daleka
I sen stuletni na ciebie czeka,
A więc dopełnij nadziemskiej woli,
Nim ci wybierać pobyt dozwoli.

Akt ten ukończył autor pisać 6 lutego tegoż roku (wedle daty na przedostatniej stronicy).

Interesującem byłoby wiedzieć, jak sobie wyobrażał autor tę przyszłość, od której pół wieku jeszcze nas dzieli.

Niestety w zdefektowanym rękopisie dochowały się tylko cztery kartki — pierwsza z tych stronic jest oznaczona dwójką, więc zdaje się brakuje od początku tylko dwu stronic, co i wątek treści w dochowanych kartkach wskazuje. Wedle zapowiedzi geniusza z epilogu aktu I. miał w tym akcie »człowiek trzechwieczny« porównać wieki i przeżyć »zachód żywota« w tym z nich, w którym cnota przeważa.

Słowa te niewiele informują nas o treści zaginionego aktu. Więcej objaśnia nas w tym względzie zachowany spis osób tego aktu. Podaję *in extenso:*

Jacek Brożek.
Phagoniusz, fabrykant pokarmów.
Cephalia, jego żona, główna redaktorka dziennika.
Orthos, władnik gminy.
Oryon, geolog sideralny.
Panthologos, uczony kosmoglotta.
Orfeon, przewodnik towarzystwa gędziebniczego.
Kallista, wytwornica kosmetyków.
Marantha, aklimatorka.
Astrea, fizyk miasta.
Żebrak.
Gminni.
Lud.

(Scena w ogrodzie gminy, w sąsiedztwie domu Phagoniusza).

W akcie II. zdziwionego Jacka przywiózł do Krakowa parowóz — w 1958 r. spada Jacek z powietrza. Domyślamy się tego z początku dochowanego fragmentu. Opowiada Oryon, »geolog sideralny«, że właśnie siedział w górach, »zatopiony w śledzeniach geologii księżyca«, kiedy nagle »szarpnęło coś gwałtownie selenometr i ujrzał wzlot zaczepiony przez śrubę refrakcyjną«.

To właśnie Jacek spadł z obłoków — a Oryon, jakby czytywał gdzieś w starej bibliotece dzieła Trentowskiego, wygłasza sentencyę: »tak ginie każdy, co się wdziera poza granice, przez *rodoć* naznaczone«. Przebudzenie Jacka po wtórym letargu bez porównania większem napawa go zdumieniem. Znalazł się w jakimś obcym świecie, między ludźmi, którzy go nie rozumieją i za półgłówka poczytują. Wspomina kolej żelazną, której od 50 lat nie używają, latając swobodnie po przestworzu — tylko towary przewożą po zwykłych drogach przy pomocy »magnotermotransferów«. Powiadają, że znajduje się w Krakowie, a on nie może poznać ojczystego miasta, które w 1958 roku liczy 300.000 mieszkańców a wygląd zewnętrzny przemieniło zupełnie. Jacek pojąć również nie może praw i ustroju tego państwa przyszłości. Nie darmo mówi mu Oryon, że jest »niezmiernie głupi i ciemny« — a kiedy Jacek się obruszył, perswaduje Marantha: »Dlaczegóż się gniewasz — wszak on ci mówi prawdę« — a Kallista dodaje: »Kłamstwo u nas uważa się za zbrodnię równą zabójstwu — na prawdzie spoczywa kredyt i bogactwo«.

Dziwi się Jacek powietrznej komunikacyi, bo nie potrafi pojąć, w jaki sposób odbywa się w obłokach kontrola paszportów. Więc Oryon mu tłómaczy, że »odkąd rozum wziął górę nad przewrotnością charakterów, odkąd każdy z głębokiego przekonania szanuje prawa i władze i jest im posłuszny — zniesiono podobne formalności i paszporta liczymy do zabytków archeologicznych«. Pod tym względem trochę zawcześnie ponoś obudził autor swojego bohatera.

Na rozumie i materyaliźmie opiera się świat w 1958 roku. Ideały precz wygnano; Jacek nie poznaje

Krakowa, bo pamiątkowe budowle zburzono jako bezpożyteczne stare graty a w ich miejsce wzniesiono giełdy, fabryki i warsztaty. Ludzie przyszłości nie pojmują żalu Jacka na tę wiadomość — wszak »wspominki złota nie dadzą« — więc pocóż ich żałować? Ale widząc wzruszenie oryginalnego przybysza, podaje mu Marantha bańkę z »hilarionem«.

Toż samo jednocześnie czyni Kallista — inni upominają Jacka, ażeby nie pił, bo wedle istniejących ustaw żenić się musi z tą, od której »gaz podniecająco toniczny« przyjmie. Ale Jacek przestrogi nie słucha i podaną bańkę przyjmuje — ile że nie dobrze odróżnia damy od panów, gdyż wszyscy jednako w spodnice przyodziani i w skrzydła ustrojeni.

W państwie przyszłości tytuły wyszły z użycia — ale wraz zarzucono i pojęcia, które ongiś czczono i szanowano. W Phagoniuszu poznaje Jacek brata, ale z nim się dogadać nie potrafi: bo kiedy go zapytuje, czy nie pochodzi z rodziny Brożeckich, Phagoniusz nie rozumie nazwy »rodzina« — a również nie pojmuje, co to jest »krewny«, »przyjaciel« — a nawet już nie długo będzie potrzebował używać tego »zastarzałego narzecza« polskiego, bo »dzięki uczonym naszym kosmoglottom wkrótce będziemy mieć nową mowę, całemu światu wspólną«.

Tyle fragment aktu trzeciego; jeżeli pod koniec przyszło Jackowi wybierać, w którym z trzech wieków ma dni swoich dożyć — to zaiste wybór był trudny. Przypuszczamy, że wybrał z konieczności pierwszą epokę długowiecznego swego żywota — a może i wogóle pożałował, że zapragnął dwukrotnych przebudzeń. Zwłaszcza owo drugie przebudzenie w lat dwieście, kiedy potomków swoich ujrzał zlewających

się w bezkształtną internacyonalną masę — musiało nielada goryczą przejąć jego wiekowe, polskie serce. Możeby wolał, ażeby z kości jego ni śladu nie zostało — aniżeli powtórnie zostać człowiekiem trzechwiecznym.

* * *

W lecie tegoż roku objął Anczyc funkcye sekretarza trupy prowincyonalnej, zorganizowanej na wielką skalę przez sędziego, Antoniego Gubarzewskiego, a pozostającej pod artystycznem kierownictwem Ładnowskiego (ojca). Z trupą ową odwiedził Anczyc kilkakrotnie Tarnów, Sącz i Rzeszów.

W marcu 1858 roku wystawił teatr krakowski dwuaktową komedyę »z węgierskiego« p. t. »Rozsa Szandor, naczelnik rozbójników«. Przeróbka ta Anczyca, dokonana prawdopodobnie z drugiej ręki, z tłumaczenia niemieckiego, należy — jak świadczy dochowany rękopis — do kategoryi wesołych bomb scenicznych; wywołana była koniecznością zarobkowania, której autor tak często niestety musiał ulegać. 14-go kwietnia przyszła na świat trzecia z rzędu córeczka, Wanda — a to obfite błogosławieństwo Boże pociągało za sobą wzrost domowych potrzeb. Anczyc chwytał się przemysłowych przedsiębiorstw: założył w Sukiennicach fabrykę octu, która jednak nie szła; postanowił tedy zmienić grunt i przenieść się do Warszawy, gdzie spodziewał się większych i pewniejszych zarobków piórem. Druga połowa 1858 roku zeszła na żmudnych przygotowaniach translokacyjnych. Wyjechał naprzód sam 15 sierpnia do Warszawy, zaopatrzywszy się w listy polecające od Ambrożego Grabowskiego do drukarza Bergera, do Wójcickiego

i innych wpływowych dziennikarzy w Warszawie; w miesiąc potem powrócił i załatwiwszy formalności celne i paszportowe, wyruszył w grudniu wraz z domem do stolicy mazowieckiej.

W trudnościach i kłopotach, jakie pociągało za sobą owo przesiedlanie się z całem gospodarstwem, radził się przyjaciela z lat młodych, Maksymiliana Trzcienieckiego, z którym wspólnie pracował w składzie »kolonialnym i drogueryjnym« J. N. Waltera w Krakowie, między rokiem 1845—50; Trzcieniecki ożeniwszy się, porzucił niewdzięczny zawód aptekarski i założył w Granicy »Dom ekspedycyjny«. W liście do przyjaciela kreśli Anczyc w rymach z właściwym sobie humorem niebogate »urządzenie« domowe, które przez granicę przewieźć zamierzał:

Pomoc kolei — jest to rzecz nie mała,
Lecz druga trudność jeszcze pozostała,
Spać mi nie daje, dręczy na humorze
Myśl o komorze.

Więc proszę Maksiu, daj mi objaśnienie,
Jakie w tym względzie moje przeznaczenie,
A ja ci teraz po szczególe skréślę,
Co zabrać myślę:

A naprzód paka, a w tej pace szklanki,
Łyżki, widelce, noże, filiżanki,
Tacka, stołeczki i lichtarzów parę,
Lecz wszystko stare.

Potem dwa łóżka stare, jesionowe,
Szafeczka nocna, trzy stołki olchowe,
Kilka talerzy, zresztą *et caetera*,
Co się pozbiera.

A oprócz tego już nic niema prawie,
Cobym rad z sobą przewieźć ku Warszawie.

Przestępował granicę polityczną i granicę — w życiu. Minął wiek młodzieńczy i poczynał się wiek męski, wiek ciężkich obowiązków ojca rodziny, któremu nie było danem rozbić namiotu na silnych, ustalonych podwalinach — a tylko niepewną, chimeryczną, od tylu względów zawisłą pracą piórem wywalczać musiał chleb codzienny dla siebie i swoich. Zakończył się okres pierwszy, w którym naturalnemu rozwojowi talentu stawiał los ciężkie i trudne — jak mało komu — przeszkody. Teraz — wstępował w inny okres: okres dojrzałości męskiej, na innej glebie, wśród innego środowiska.

Szedł na nowe życie — ale ze starego brał, krom ubożuchnych statków literata i to, co było klęską dla swobodnej ewolucyi twórczej: konieczność walki o byt.

II.

1: NOWE ŻYCIE.

Pierwsze występy w dziennikarstwie warszawskiem. — Wewnętrzna rozterka. — Na wyżynach »Tyrteusza«. — Nieznany poemat. — Rok 1863 w pieśni.

Anczyc, znalazłszy się na bruku warszawskim, nielada ciężkie obowiązki dźwigał na barkach. Musiał myśleć o zaspokajaniu potrzeb własnej, ciągle rosnącej rodziny, o matce, staruszce, o dwóch siostrach — a w kilka lat i ociemniały teść pomnożył szeregi gromadki, straciwszy z porzuceniem Galicyi prawa do pensyi, która wynosiła rocznie sumę około 80 reńskich. I na to wszystko starczyć miały zarobki, zdobywane piórem. Toteż Anczyc rzucił się na pole dziennikarskie i niebawem zdołał uzyskać wzięcie.

W owych latach, wyprzedzających wypadki styczniowe, rozwijało się dziennikarstwo w Warszawie o wiele pomyślniej, aniżeli pod zaborem austryackim. Pomijając »Kronikę«, której godziny życia były policzone — trzymała się silnie stara »Gazeta warszawska«, rozwijała »Codzienna«, niebawem w »Gazetę polską« pod redakcyą Kraszewskiego przemieniona, zyskiwał prenumeratorów brukowy »Kuryer« i Gregorowicza

»Magazyn Mód« — coraz więcej garnęło się robotników do »Czytelni niedzielnej«, dla nich przeznaczonej i umiejętnie przez panią Aleksandrę Petrowową redagowanej — nie mówiąc już o poważnej »Bibliotece warszawskiej«, ktorej byt był zapewniony. Warszawa miała wówczas ludzi przedsiębiorczych, rozporządzających kapitałem, którzy nie wahali się organizować peryodycznych wydawnictw, choć one wielkich widoków zysku nie dawały: dość wspomnieć »Encyklopedyę« Orgelbranda. Stąd też i zapotrzebowanie sił pisarskich wzrastało.

W dziennikarstwie warszawskiem zadebiutował Anczyc artykułem, wydrukowanym w październiku 1858 r. w humorystycznem pisemku »Wolne żarty« — w tymże piśmie pojawił się i drugi z rzędu jego artykulik p. t. »Stypa« (styczeń 1859).

Artykuły w »Wolnych żartach« drukowano anonimowo — stąd też, o ile autor sam nie zapisał nazwy artykułu w budżecie dochodów i rozchodów, jaki od 1859—67 r. skrupulatnie prowadził, nie możemy dziś wskazać wszystkich artykułów, jakie w »Wolnych żartach« drukował; ponieważ zaś nie podpisał również znacznej części artykułów, pomieszczanych po innych czasopismach warszawskich, niepodobna więc podać choćby cyfrowo tej całej masy dziennikarskiej bibuły, którą wypełnił, zajmując stanowisko warszawskiego dziennikarza. We wspomnianym notatniku, który ogromnie ułatwia robotę, wylicza szczegółowo pozycye dochodu i rozchodu w każdym miesiącu, notując najdrobniejsze wydatki, nawet na garderobę »dla Teklusi« (żony), jazdę omnibusem lub żydowi-nosiwodzie. Najważniejszą pozycyę w dochodach stanowią honorarya dziennikarskie — ale tu zaznacza tylko ogólnikowo

»artykuł« oraz nazwę pisma, w którem się pojawił — a tylko wyjątkowo podaje nazwę artykułu.

O współpracownictwie w »Wolnych żartach« donosił przyjacielowi w liście bez daty, bez wątpienia pisanym w drugiej połowie 1858 roku; pisze w nim:

Dalej wyciśnij całus ognisty na czole
Tego, co do wyjazdu wstrzymywał mą wolę,
I napisz, jeśli zechce mieć serce powolne,
Czy przyjmie w podarunku oto »Żarty wolne«,
To mu przyszlę, jak tylko *Gelegenheit* będzie,
Niech mię raczy policzyć w swych przyjaciół rzędzie.

Do drukowania w »Wolnych żartach« skłonił Anczyca bez wątpienia charakter pisma. »Wolne żarty, świstki humorystyczno-artystyczne, zebrane przez bocianów polskich« (od 15 kwietnia 1858 roku do połowy stycznia 1859 roku, razem 18 zeszytów, zebranych w III serye) były dalszym ciągiem owej satyrycznej »literatury świstków«, zainicyowanej przez Stanisława Potockiego na początku stulecia pod wpływem francuskiego pamfletu. Anczyc, jako były redaktor »Dodatku do Świstka«, obdarzony wrodzoną zdolnością satyryczną i ciętym humorem — skierował w Warszawie pierwsze kroki do redakcyi »świstków humorystycznych«.

Artykuliku pod napisem »Stypa« nie udało nam się odnaleźć — natomiast natrafiliśmy na inny, zanotowany pod datą 8 lipca: »Nimfa Chaosu« (do »Szpargałów«). Zrazu utożsamialiśmy »szpargały« z koszem, w który autor wrzucał poronione płody. Wywiodła nas z błędu bibliografia, która zanotowała pod nazwiskiem F. W. Lewestama (XIX w. t. II, s. 590): »Szpargały wiosenne, humorystyczno-artystyczne, zebrane przez bocianów polskich« (Warszawa 1859, str. 70 in folio).

Rzadki ten druk (jeden egzemplarz w posiadaniu Akademii Umiejętności w Krakowie), był zbiorowem wydawnictwem współpracowników »Wolnych żartów«, które po niedługiem istnieniu przestały wychodzić; na stronie 47 czytamy: »Nimfa Chaosu — tragedya w 5 aktach z prologiem i epilogiem przez Oxygeniusza d'Azote napisana, z muzyką maestra Berselio«.

Niezbyt obszerna to »tragedya«, jakby z treści nagłówka wypadało: mieści się cała na 10 stronicach. Po prologu zawierającym cztery sceny następuje akt I — »dotąd nieukończony« — akt II, który »musi uledz licznym zmianom, zanim będzie wydrukowany« — akt III i IV, które »nie są wcale zajmujące, więc też ich nie napisano, nie chcąc zbytecznem przeciąganiem nudzić szanownej publiczności, a zresztą, zostawiają się fantazyi i imaginacyi łaskawych czytelników«; — »gdy więc tych czterech aktów niema, a zatem — akt V, z sześciu scen się składający, oraz epilog«.

W prologu występują: Kwasoród, pan na zamku Żelaznej Rury, Niedokwas, jego syn, Niedokwasek, bratanek Kwasoroda, Koperwas, stary marszałek dworu, Trąba Powietrzna; — w akcie V: Terminologia, Nimfa Chaosu, Tlen, Kwasor i Żywień — synowie jej i Kwasoroda; Tlenek i Okwas — synowie jej i Niedokwasu; Tlennik i Okis — synowie jej i Niedokwasku; Tyt i Lit — dwaj rycerze błędni; trzech nieznajomych, Koperwas, stary sługa zamku; w króciutkim wreszcie epilogu: Chór Grobowców i... Wieża Babilońska.

Żaden teatr na świecie nie byłby w stanie wystawić tej wesołej »tragedyi«; fantazya ponosi autora w krainy, w których przestała działać moc prawa czasu i przestrzeni. Fantazya, której próbkę dał już autor w swojej »utopii« (III część »Człowieka trzech-

wiecznego«) — stworzyła tutaj naprawdę chaos, w którym gubi się wszelki cień wątku i tępi ostrze zamierzonej satyry.

W prologu scena przemieniona w wielką salę na zamku Żelaznej Rury; na dworze burza — pioruny przebiegają scenę (dosłownie jako personifikacye) — uragan zrywa dachy i wali baszty — przez wielkie okno w głębi widać przechadzającą się poważnie Trąbę Powietrzną.

Wstępny monolog pana zamku, Kwasoroda, pisany płynnym i zgrabnym wierszem, przerywa walenie się sklepienia i wbiegający piorun, który Kwasoród zatrzymuje w biegu, ażeby odpalić zgasłe cygaro. Marszałek dworu donosi, że trzęsienie ziemi pochłonęło cztery wioski, ale Kwasoród gromi go:

Błaźnie! jak możesz nudzić mię głupstwami?
Siądź raczej na koń — i pędź co sił stanie.

Kwasoród jest zakochany w — Trąbie Powietrznej i zaprasza ją w gościnę. Chciałby się jej wydać młodym i pięknym — a tu spostrzega włos siwy na głowie. Na dobitek syn i bratanek zapałali również miłością ku pięknej Trąbie — choć Niedokwas umizgał się do niedawna do Cyny, która jednak wolała Chlora.

Wszyscy trzej oświadczają swoje afekty Trąbie, przecudnej Nimfie Chaosu — choć ta ostrzega ich:

Kto mnie raz ujrzy — nieuk, czy uczony,
Takiej umysłu wraz doznaje spieki,
Że po bezdrożach tuła się na wieki
Jako żyd wieczny...

— i dla illustracyi tych słów żyd wieczny przechodzi przez scenę a groby otwierają się. Mimo to wszyscy

trzej gotowi iść za Nimfą — która przemieniwszy się z kolei w Terminologię (?), obejmuje wszystkich tumanem wichru, równocześnie zaś na czarnych obłokach olbrzymia ręka wypisuje słowo »Tlen«; nimfa ulatuje w górę — reszta zapada się w ziemię.

W akcie V. zamek odrestaurowany: okna pozalepiane papierem — główna baszta podparta tyczką od grochu, część sklepienia ściągnięta »aptekarskim szpagatem« — przez okno widać słońce, księżyc, gwiazdy, tęcze, zorzę północną, fata morgana, meteory etc. — na scenie Koperwas przygrywa na harmonice z rurek probierczych tęskną dumkę i czeka przybycia panów.

Zjawiają się spadkobiercy Kwasoroda, zrodzeni z Nimfy Chaosu: Tlen, we fraku i rękawiczkach — Kwasor, wpadający na angielskim rumaku — i Żywień, piechotą, z kosturem w ręku — rychło przybywają inni: Okis i Okwas, spadają z obłoków ze spadochronem w ręku — Tlen i Tlennik, na lokomotywie. Wszystko to potomkowie Nimfy Chaosu, zrodzeni z jej połączeń z trzema adoratorami z prologu. Każdy chciałby jak największą część schedy posiąść — zjawiają się i dwaj błędni rycerze Tyt i Lit, również z pretensyą do spadku, a sytuacyę pogarsza jeszcze przybycie zmartwychwstałych dawnych właścicieli. Rozpoczyna się »straszliwa i zajadła walka — zamieszanie bez pamięci — lecą głowy, tułowy i t. p. rzeczy — krew potokami zalewa orkiestrę — muzykanci chronią się na baryery — damy w lożach płaczą — światła gasną«.

Kres walce kładzie »Terminologia«, Nimfa Chaosu, która czyni sprawiedliwość, obdzielając wszystkich.

W epilogu rzecz dzieje się »wszędzie i nigdzie« — na scenie wieża babilońska a wokół niej nagrobki

osób z poprzedniego aktu — »Chór grobowców« śpiewa o zgodzie, w jakiej wszyscy pospólnie spoczywają — a »Wieża Babilońska« kończy ogromnym głosem:

In aeterno risibundi
Sic transit gloria mundi.

Całość pisana zgrabnym wierszem, dyalog żywy i dowcipny — myśl jednak tak autor zamazał, że ją objaśnić — nie sposób. Nazwy »osób« wskazują personifikacye pierwiastków chemicznych, które łączą się w związki lub wypierają wzajemnie na łonie »chaosu«. »Nimfa Chaosu« przemienia się w dalszym ciągu w »Terminologię« — pewnie autor, który był niegdyś »adjunktem« przy katedrze chemii, utożsamiał naukową terminologię z chaosem, jaki do chemii wprowadziła; w akcie pierwszym tej »tragedyi«, rozgrywającej się w »żelaznej rurze« — nimfa chaosu przedstawia się, jak następuje:

Nimfa Chaosu, zowie się Termino-
Logia, mem dziełem Chaos nieskończony,
Kto mnie raz ujrzy — nieuk, czy uczony,
Takiej umysłu wraz doznaje spieki,
Że po bezdrożach tuła się na wieki
Jako żyd wieczny...

następnie zaś oznajmia trzem adoratorom:

Wszystkich trzech razem wirem mym opaszę,
Zrodzą się z tego liczne syny nasze,
Co szydząc zamku waszego ruinom,
Wszystkich trzech nazwy rzucą na łup drwinom.

W akcie V. zapytuje Tlen Koperwasa:

Słuchaj, jak ci na imię, bałwanie?

KOPERWAS.

Koperwas.

TLEN *(plując z obrzydzenia).*

Tfu! — jestem twoim panem,
Zmieniam imię i zwę cię siarczanem.

Sens się wyjaśni, jeśli zauważymy, że siarczan żelazny ($Fe\,O_1\,SO_3 + 7\,aq$) zowie się w handlu pospolicie »koperwasem«.

Kończąca rzecz całą »wieża babilońska« zdaje się również wskazywać, że celem satyry było wyśmianie terminologii, która wprowadzając obce nazwy w miejsce swojskich, utrudnia tylko przyswojenie wiedzy, sprawiając z pomieszaniem języków, pomieszanie pojęć. Przypuszczamy, że myśl tej jedynej w swoim rodzaju »chemicznej tragedyi« wyjaśniłaby się w zupełności, gdyby ją poddano nie tyle krytycznej, ile — chemicznej analizie.

*
* *

Równocześnie prowadził Anczyc korrektę pierwszego tomu drukującej się »Encyklopedyi«, w którym ponadto umieścił 28 własnych artykułów (wedle dochowanego spisu — głównie artykuły pod Al, Am, Ar, Aś, At, Au — oraz część rozdziału: Grecya, w tomie X, traktująca o dziejach Grecyi). 26 lutego otrzymał propozycyę objęcia posady dyetaryusza w Towarzystwie Rolniczem z pensyą 30 rubli miesięcznie a z obowiązkiem »ułożenia katalogu Biblioteki Towarzystwa Rolniczego, trudnienia się korrektą roczników i niesienia pomocy w czynnościach redakcyi tychże«. Posadę przyjął i od 1 marca 1859 r. wszedł w urzędowanie.

Pierwszego października tegoż roku ukazał się pierwszy numer »Tygodnika illustrowanego«; Anczyc

wchodzi w skład redakcyi w charakterze sekretarza i na długie lata pozostaje współpracownikiem »Tygodnika«. Żywo zajmuje się rozwojem nowego pisma. W liście do Karola Estreichera z 29 października 1859 roku prosi o poparcie »Tygodnika« we Lwowie (ś. p. Estreicher przebywał wówczas we Lwowie jako urzędnik sądowy), o nadesłanie krótkiej charakterystycznej lub humorystycznej powiastki — zapytuje o Kornela Ujejskiego, »gdyż chcielibyśmy otrzymać od niego jaką krótką a piękną poezyjkę« — donosi wreszcie o swojem współpracownictwie w Encyklopedyi.

Mozolne streszczanie wszystkich po kolei artykułów Anczyca, które pojawiły się w owych latach na łamach »Tygodnika«, znużyłoby tylko czytelnika a nie prowadziło do celu. Pisał niemal o wszystkiem, jak na wytrawnego dziennikarza przystało, lecz nie zawsze podpisywał artykuły własnem nazwiskiem.

W kwietniu 1860 roku wybierał się do Krakowa. Donosi o tem przyjacielowi w rymach:

Jutro sznelcugiem wyjeżdżam z Warszawy, —
Częścią interes a częścią zabawy
Wiodą mię w mury krakowskiej stolicy.
Wreszcie Maksiuniu w swojej wspaniałości
Przyjmij dzieło o własności
I przewodnik moralności,
Które otrzymałem w darze,
Na pamiątkę chciej odemnie
Przyjąć, proszę cię i każę!
A niech nie proszę daremnie,
Wszak czytujesz *Tygodnika*,
W nim me pióro czasem bryka,
Więc nim ujrzę chwilę słodką,
Bym swe hołdy złożył tobie,
Racz obznajmić się z ramotką
W *Teatralnej Garderobie*.

»Okropną noc w garderobie teatralnej (ramotka bez pretensyi)« — drukował »Tygodnik« w nr. z 16 i 28 kwietnia. Autor skrył się poza pseudonimem »Makary« i z pogodnym humorem opowiedział facecyjkę, jak to z przyjacielem skryli się w nocy w garderobie teatralnej i wywoływali ducha, któryby napełnił ich ubogie kabzy.

Już to humor rzadko kiedy opuszczał autora »Błażka opętanego« — niefrasobliwym śmiechem zwykł był przyjmować ciężkie tarapaty, jakich mu życie nie szczędziło.

W tymże roku napisał do Trzcienieckiego list po niemiecku, podpisawszy się: L. v. Anschütz — i dodał w formie objaśnienia:

Dziwisz się niepomału kochany Maksieczku,
Że ci taki list głupi palę po niemiecku,
Lecz musisz o tem wiedzieć, że gdym był w Krakowie,
Tak się tam wyćwiczyłem w cudzoziemskiej mowie,
Że po niemiecku jadam, piję, kréślę,
I choć sam o tem nie wiem, po niemiecku myślę.

W istocie Anczyc znał język niemiecki doskonale, w tym stopniu, że nawet udatne rymy potrafił tym językiem wiązać.

Obok zaś wesołych »ramotek bez pretensyi« — komponował również prozą i wierszem satyryczne ucinki, w których miał już wprawę od czasów redagowania »Dodatku do Świstka«.

Nie jest to zgryźliwa satyra ciężkiego kalibru *à la* Naruszewicz — ale raczej lekkie smaganie biczykiem w guście satyr Księcia Biskupa Warmińskiego, z którym zapoznał się już w dziecinnych latach. Więc pod nagłówkiem »Rozmaite gatunki szarańczy« (»Tyg.

illust.« t. II, na str. 520, 528, 540) daje niby zoologiczny opis różnej »szarańczy«, która zwykła kraj nasz nawiedzać i obfity żer w nim znajduje: więc mody, przylatujące z ponad Sekwany, cyrki i widowiska różnych zagranicznych wykpigroszów, włoskie »dławidudy« i swojscy grafomani i »szarańcza niby uczona« *(acrydium pseudo-doctum)*, która »gdzie spocznie, wysysa z młodych latorośli soki rodzime — lubi przebywać szczególniej po domach pańskich, ucząc tam dziatki ćwierkania po swojemu — wytępić go może jedynie zdrowy rozsądek i zamiłowanie swojszczyzny«.

W »Domu rozmuzykalnionym« (t. II, str. 548 — 23 pażdz.) zgrabnym wierszem nakreślił obrazek »rozśpiewanej« i rozegranej od piwnic aż po poddasze kamienicy warszawskiej. Wierszyk godny przedruku nie tylko dla zgrabnej formy — ale i dla aktualnej treści w dobie, przybierającej zastraszające rozmiary piano- pianolo- i fonografomanii.

Ucinki te krasił odpowiednią illustracyą Kostrzewski — a tak doskonały humorysta piórem i ołówkiem połączyli się dla dostarczenia publiczności lekkiej a niepozbawionej poważniejszej myśli lektury.

Myśl poważną zaznaczył Anczyc wyraźnie w cyklu wierszy, ogłoszonych w owych latach w »Tygodniku« a opatrywanych również odpowiednią illustracyą. Wiersze te ukazywały się pod stałą rubryką »Wiek przeszły« i »Wiek teraźniejszy«. Szedł tu za panującym prądem, który we współczesnem pokoleniu upatrywał skarlenie i charłactwo ciała i ducha, czemu przeciwstawiał tężyznę »przeszłego wieku«. Użalała się na to poezya z pod znaków Pola, w powieści dał temu najwyraźniej wyraz Kaczkowski, kreśląc we »Wnuczętach« (1855) kolejną degeneracyę trzech po-

koleń — a i sam Anczyc na tym samym pomyśle zbudował swojego »Człowieka trzechwiecznego«.

Teraz więc zestawiał obok siebie »Taniec salonowy« w wieku teraźniejszym i »Taniec z Tatarami« minionych stuleci (t. III, str. 8); dawnej, przysłowiowej gościnności polskiej, co to gwałtem gościa wypuścić nie chce i koła z wozu zdejmuje — przeciwstawił gościnność teraźniejszą, która przez usta fagasa oznajmia gościom:

Pana niemasz od wczora,
Poszedł na polowanie,
A pani bardzo chora —

choć oboje gospodarze w domu i oboje cieszą się dobrem zdrowiem.

Na innem miejscu wyśmiewa stroje teraźniejsze, nad które przenosi dawne — lub oświadczynom dawnym przeciwstawia teraźniejsze — albo wreszcie kreśli obrazek »Gospodyni dawnej« i »Gospodyni teraźniejszej« (t. III, str. 32, 52).

Charakterystycznym objawem dla rodzaju talentu autora tych wierszy jest fakt, że w treści i formie »wiek teraźniejszy« wypada lepiej. Gdzie chodziło o satyryczne zacięcie, o ośmieszanie i ironię — tam czuł się autor swobodniejszy, bardziej w domu.

Nie brak i zupełnie poważnych artykułów; są to opisy miejscowości, zwyczajów i obrzędów ludowych, choć napotykamy również i dłuższy artykuł, podający szkic biograficzny Stanisława Staszica (t. II, str. 401, 415 i 467).

Opisy te dorabiał Anczyc zdaje się obowiązkowo do rycin, reprodukowanych w »Tygodniku«. Kiedy więc opisywał kościół św. Bernarda we Wrocławiu, »kaplicę królewską na Hradczynie« (t. I, str. 140) albo

»pomnik pod Hodowem« (t. III, str. 215) — nie mógł oprzeć się na własnych wspomnieniach. Opisy miejscowości i rzeczy widzianych w naturze wypadały lepiej. Zwłaszcza o Krakowie i jego zabytkach mówił *con amore*. Czy to kiedy kreślił historyę i wygląd Sukiennic (t. I, str. 140), lub kiedy opisywał kryptę i kaplicę Zygmuntowską na Wawelu — czuje się, że autor nie tylko znał dobrze przedmiot, ale i — miłował go. A tembardziej widać to w szeregu artykułów o »krakowskich wspominkach«. 7 maja 1860 r. wydrukował autor pierwszy artykuł z tej seryi, w którym dał opis »Rękawki«. Z artykułu bije wielka miłość i historyczne znawstwo — widok miasta ze szczytu mogiły Wandy skreślony żywo, widocznie odczuty. Na końcu zapowiedź: »Opisy zwyczajów starokrakowskich, nie wszędzie w kraju naszym znanych, postanowiliśmy podawać kolejno w naszem piśmie, spodziewając się uczynić tem czytelnikom rzetelną przysługę«. Autor dotrzymał zapowiedzi: przez szereg lat umieszczał w »Tygodniku« opisy zabytków krakowskich, dorocznych uroczystości ludowych (po »Rękawce« — »Konik zwierzyniecki« t. III, str. 206, »Obchód wianków w Krakowie« t. III, str. 235 i i.) — a za tymi przyszła kolej na szereg artykułów o chłopie krakowskim, najlepszych, jakie Anczyc w »Tygodniku« ogłosił.

Z wierszy, ogłoszonych w owym czasie w »Tygodniku«, jest tylko jeden — zresztą nie najlepszy z tych, które wyszły z pod pióra Anczyca — nastrojony na wyższy dyapazon. Wiersz, ogłoszony 6 maja 1861 r. (t. III, str. 86) p. t. »Oracz« — opowieść o dawnym rycerzu, który orząc wygrzebał z ziemi kawał starej zbroi i pogrążył się nad nim we wspomnieniach z lat młodych.

Nie tylko jednak »Tygodnik illustrowany« zasilał Anczyc w owych latach artykułami; z rachunków domowych widać, że współpracował również w »Gazecie codziennej«. Od października 1859 roku notuje niemal w każdym miesiącu honorarya za artykuły, pomieszczane w »Codziennej« (później »Gazecie polskiej«), które jednak pojawiały się bezimiennie, skazane wskutek tego na niepamięć. Od maja 1860 roku publikował również w »Magazynie mód«, redagowanym wówczas przez Gregorowicza.

Wogóle były redaktor »Dodatku do Świstka« zdołał rychło wyrobić sobie w dziennikarstwie warszawskiem poczesne miejsce, zatem i sumy w rubryce dochodów wzrastały. W liście do K. Estreichera z 12 maja 1860 roku kreśli charakterystykę warszawskich czasopism: »Oto« — pisze — »pisma peryodyczne warszawskie toczą ciągłą, choć przed publiką utajoną walkę. Chleb powszedni tu szkopułem, o który wszystkie sympatye się druzgoczą. »Gazeta warszawska« i »codzienna« walczą bez wytchnienia: pierwsza redagowaniem wybornych wiadomości politycznych przewyższa swoją starą antagonistkę, druga wyborną korrespondencyą ze wszystkich stolic świata mści się. Prenumerata obydwóch równoważy się i stoi pomiędzy 4 a 5.000. »Kronika« kona, żyje jeszcze, ale życiem nie moralnem, polując na kupca i to tylko istnienie jej przeciąga. »Kuryer«, jak zawsze »Kuryer«, bez treści, bez barwy, bez ducha, obrzydliwe zero, mogące tylko żyć na bruku warszawskim. Czytelnię niedzielną wzięło pod skrzydła swej opieki Towarz. Roln. — szkoda tylko, że zostaje w ręku eksploatorki, mającej na celu więcej swoje, jak pisma korzyści«.

W dalszym ciągu napotykamy pierwszą wzmiankę o »Kmiotku«. »Od 1 lipca zacznie wychodzić Kmiotek pod redakcyą Gregorowicza; jest to własność Glücksberga, czy Orgelbranda, ale nie wiem czy wytrzyma i walkę z »Czytelnią«, której włazi w drogę i czy nakładcy znajdą sympatyę«.

Nie przypuszczał pewnie, pisząc te słowa, że niedługo przyjdzie mu objąć ster redakcyi nowego pisma.

W dalszym ciągu listu wzmianka o »Magazynie mód«, który zrazu »obiecywał sobie wielkie powodzenie, lecz dziś chwieje się« — bo redaktor ma zbyt wiele innych zatrudnień (baczność redaktorowie!). Wreszcie wiadomość o nowo zakładających się czasopismach: »Dzienniku politechnicznym« — »oraz piśmie religijnem, wydawanem przez księży świętokrzyskich«. »Słowem« — kończy — »piśmiennictwo peryodyczne prosperuje. Zato powieść i poezye nie mają pokupu, bo je wypierają z obiegu Ekonomie polityczne i Książki gospodarcze«.

W listopadzie tegoż roku prosił o doniesienie »na czyje współpracownictwo do gazety politycznej można liczyć we Lwowie« — a zarazem objaśniał, czego wymaga od dobrego korrespondenta: »Kto może być dobrym korrespondentem« — zapytuje — »ma się rozumieć korrespondentem, rozumiejącym stan i potrzeby nasze, korrespondentem z wytrawnym rozsądkiem, duchem spostrzegawczym i wiarą w podniesienie się i odrodzenie moralne naszej ziemi«.

»Podniesienie« to i »odrodzenie« upatrywał w pracy nad rozwojem ekonomicznym i kulturalnym, przedewszystkiem w akcyi oświatowej, prowadzonej rozumnie i wytrwale, czemu dał wspaniały wyraz

w »Kmiotku«, arcytypie ludowego pisma, które redagować począł od stycznia 1861.

Praca w owym czasie pochłaniała Anczyca i naprawdę przenosiła siły jednego: obok współpracownictwa w »Tygodniku« i artykułów, ogłaszanych po innych pismach, obok wypełniania niemal wyłącznie własną pracą raz na tydzień szpalt »Kmiotka« — redagował kalendarze Ungra (od 1859 r. począwszy), opracował drugie wydanie »Abecadlnika z historyi polskiej« Adama Lerne (Warszawa 1861, w 16-ce str. 88 i 24 obrazków) — a na dobitek od 1 lipca 1861 r. pisywał »Kronikę tygodniową« do »Tygodnika«.

W liście bez daty, niezawodnie, jak z treści widać, w tym czasie pisanym, skarży się przyjacielowi:

Dziwisz się Maksiu, że ja nic nie piszę,
Lecz mi przebaczysz. Wiem, że mię to spotka,
Bo naprzód: w ciężkiej pracy ledwie dyszę,
Co tydzień muszę wyrżnąć numer Kmiotka.
Co tydzień muszę napisać Kronikę
Do Tygodnika i co tydzień jeszcze
Spisać przeróżnych artykułów plikę,
Że nieraz mózg mój przeszywają dreszcze.
Nie chodzę nigdzie, oprócz do redakcyi
I po dniach całych siedzę przy mem biurze,
Żadnych spacerów, najmniejszej rekreacyi,
I choć chęć pracy jest w mojej naturze,
Przyznam ci szczerze, nieraz klnę swe losy,
Że w tak straszliwe znurzałem się sosy.
A tu wydatki ciągle idą w górę,
A brak pieniędzy to rzecz niezabawna,
Bo choć zacięcie i szczerze pracuję,
To przy rozchodzie wciąż grosza brakuje.

I choć w tej rymowanej skardze przed przyjacielem — nie chcąc wypaść z tonu listów »*giocoso*« —

uśmiecha się przez łzy, to na dnie duszy musiało mu być w tym czasie bardzo smutno i bardzo boleśnie. Rozgrywała się tam cicha, niewidoma pewnie dla współczesnych tragedya poety — którą dziś, ogarniając całokształt obrazu, odczuć i zrozumieć można. Od lipca 1861 roku w kronice tygodniowej »Tygodnika« musiał dostarczać prenumeratorom lekkiej strawy tygodniowego fejletonu; musiał pisywać o tych codziennych, poczciwych, mydlarskich troskach, które jednak stanowią treść życia przeciętnego obywatela: więc jatki, kanalizacya, drożyzna mieszkań, bruki — i te wszystkie zagadnienia, które stanowią temat rozmów mieszczuchów i na targu przy straganie i na zebraniach »cioć kawowych« — a więc jako przedewszystkiem »żywotne« i nie starzejące się kwestye muszą wypełniać fejleton każdego szanującego się pisma (o ile ma pretensyę do »echa opinii publicznej«).

A równocześnie rozpalały się w piersiach dziennikarza ognie prawdziwej poezyi, rodziło wielkie, niebonośne natchnienie. W takiej chwili czuć musiał silniej, aniżeli kiedyindziej, całą niedolę »fałszywej pozycyi«, całe brzemię musu, który nakazywał poecie profanować pióro na kucharniane rozprawy o drożyźnie mięsa.

Z tej lub podobnej chwili wewnętrznej rozterki pochodzi wierszyk bez daty, na ulotnej ćwiartce spisany:

Głupi — kto w duszy młodej pieści ideały,
Bo pierwsze starcie z światem zburzy ich świątynie,
Głupi — kto pragnie wielkiej, nieśmiertelnej chwały,
Bo w oceanie wieków i największa zginie.
Głupi — kto za spełnieniem wzniosłych czynów goni,
Bo je zawiść i potwarz zbezcześci i skarli,
Głupi — kto chce mieć spokój w klasztornej ustroni,
Bo tam wiodą bój z sobą dla świata umarli.

Głupi — kto wrzącem sercem dla ludzkości płonie,
Bo ludzkość niewdzięcznością płaci poświęcenie.
Głupi — kto żyjąc, pragnie żyć jeszcze po zgonie,
Bo wszelkie życie — jedno męka i cierpienie.
. . . .

17 lipca 1861 r. poeta skończył »Tyrteusza« — jak świadczy data na autografie.

* * *

Skąd na podłożu ramotek bez pretensyi, po prostu kreślonych opisów historycznych miejsc i zabytków, rymowanych i nierymowanych »wolnych żartów« — zrodziła się prometejska pieśń o śpiewaku Tyrteuszu — skąd pióro, zaprawne do kreślenia pogodnych »obrazków ludowych«, popularnych pouczań gromady przez usta Kazimierza Góralczyka, nabrało naraz Konradowej siły i na szarem i płytkiem tle ogólnego obniżenia lotów buchnęło pieśnią, w której jest i siła i dzielność i nieśmiertelność, zahuczało huraganem, który dął ongiś na wyżynach wielkiej romantyki około głowy Farysowego rumaka? To już chyba pozostanie zagadką twórczego ducha, który lubi kroczyć po drogach, żadnym krytycznym miernikiem wykreślić się nie dających. Ani w dorobku literackim Władysława Anczyca po rok 1861 zgoła nie zapowiadało się na gigantyczny rozmach pieśni o potędze — ani powiązać ją ze spłaszczeniem myśli w reakcyjnej dobie pod hasłem powieścioróbstwa.

Fakt, że Anczyc pisał dla encyklopedyi Orgelbranda artykuł o dziejach Grecyi, dostarcza jedynie wskazówki, że w owym czasie ojczyzna Tyrteusza zajmowała umysł poety.

Czytając o dziejach drugiej wojny messeńskiej, oczarowanym być musiał przepiękną legendą o Tyrteuszu. Spartanie, pokonani kilkakrotnie przez messeńskiego wodza Arystomenesa, który nawet zdołał tajemnie dotrzeć do Sparty i na wrotach świątyni Ateny zawiesić, jakby na urągowisko, zdobyczną tarczę z napisem: »Arystomenes, zabrawszy wielką zdobycz Spartanom, poświęca tę tarczę bogini Atenie« — udają się do wyroczni delfickiej, z prośbą o pomoc. Kapłanka wieszczy, że ocalenie Sparty w ręku Aten. Ale Ateńczycy, odwieczną ku Sparcie powodowani zawiścią, cieszą się z pognębienia rywalki — i w miejsce odsiecznych hufców, posyłają Sparcie śpiewaka Tyrteusza, twórcę pieśni elegijnych i bojowych, który z taką mocą potrafił wołać:

»Wielkiś — gdyś dzielny, niewiast kochanku —
Pięknyś — gdy padniesz, o bohaterze!«
(Elegia X).

lub tak rycernie opiewać chwałę zgonu wojownika:

»...bo zgonu czarna
Chwila największa, chwila ofiarna«.
(Elegia II).

Tyrteusz pieśnią pobudza obumarłą odwagę Spartan i wiedzie ich w zwycięski bój na wroga. Dla harmonijnego zakończenia poematu kazał poeta polec swojemu bohaterowi: ciało »ateńskiego wieszcza«, spowite w laury i złożone na tarczach, wnoszą spartańscy bojownicy przy odgłosie surmy wojennej.

Zajęcie się poety starożytnością helleńską jest bardzo mało dostatecznem objaśnieniem genezy poematu; skutek w swoim ogromie nie odpowiada przyczynie: w jaki sposób poeta, który dotąd nie zdradzał

zdolności do prometejskich wzlotów — potrafił przejąć się potężnym symbolem legendy o Tyrteuszu, znalazł w sobie dość twórczego rozmachu dla wspaniałej koncepcyi pieśni o czynie, o potędze słowa, o poezyi, co głazy porusza i w istotnem znaczeniu — tworzy (ποίησις)?

Poemat o Tyrteuszu, którego śpiew był grzmiącym hejnałem bojowym, zdolnym zagrzać i porwać do walki nawet bez nadziei zwycięstwa, w imię ocalenia honoru narodowego, pod hasłem: umrzem... »lecz precz z niewolą! my do niej niezdolni!« — koncepcya taka stała w bliższym związku z bieżącą chwilą, aniżeliby to się na pozór zdawać mogło.

Wyrósł »Tyrteusz« niewątpliwie z podłoża współczesnych wypadków, rozgrywających się na bruku warszawskim, z rozgorączkowanej atmosfery, jaka opanowała umysły społeczeństwa wobec toczących się zdarzeń. Pod względem allegorycznego przesłonienia właściwej myśli fabułą, zaczerpniętą z epizodu wojny messeńskiej, ma »Tyrteusz« widoczne podobieństwo z »Konradem Wallenrodem« — oczywiście analogia, ograniczająca się jedynie na pomyśle przeprowadzenia kontrabandy literackiej poprzez komory cenzury rosyjskiej.

Skończył poeta »Tyrteusza« w lipcu 1861 r. — to jest w chwili, kiedy spętany i zduszony ciężką dłonią rządów mikołajowskich duch polski wybuchł i zaprotestował przeciw ich kontynuacyi pod hasłem: »*point de réveries*«. Na cyniczną obelgę Aleksandra III. odpowiedział pogrzebową manifestacyą dnia 11 czerwca 1860 roku — na zjazd zaborców w październiku tegoż roku, manifestacyjnym obchodem rocznicy bitwy grochowskiej 25 lutego 1861 roku. W dwa dni póź-

niej pierwsze ofiary na ołtarzu »marzeń«: pięć trupów na placu Zygmuntowskim i pierwszy wyłom w kamiennym murze ucisku: ukaz z 26 marca, wprowadzający pewne przywileje autonomiczne w kraju, który od upadku powstania listopadowego został wyjęty z pod wszelkich norm prawnych i rzucony na pastwę generał-gubernatorów ze szkoły cesarza Mikołaja.

Raz jednak wzburzona fala nie dała się powstrzymać — tem mniej nadawały się do tego rządy Aleksandra Wielopolskiego. Teoretyk najgorszego kalibru, bo wykluczający autokratycznie wszelką modyfikacyę czy rozszerzenie schematu, jaki był sobie urobił w wiejskiej rezydencyi swojej w Chrobrzu — pozostawał autor »Listu do Metternicha« od początku swojej karyery politycznej w stałem nieporozumieniu ze społeczeństwem. Najskrajniejszy przedstawiciel ugody, niesłychanie ciasny fanatyk realizmu w życiu publicznem, nie rozumiał i, co gorsza, nie umiał uszanować żadnej ideologii katechizmu narodowego. Stąd też nie potrafił, mimo usiłowań, znaleźć oparcia w społeczeństwie, pozostał zawsze odosobniony i nawzajem niezrozumiany. Biegiem wypadków pokierować nie umiał, dalszego ich rozwoju nie przewidział i zamiast odwlec, raczej przyspieszył styczniowy wybuch, mając szczególnie nieszczęśliwą rękę w wyborze środków zapobiegawczych, które go z dniem każdym czyniły coraz ogólniej znienawidzonym.

»Tyrteusz« nie był niczem innem, jak zaprotestowaniem przeciw ugodowej polityce Wielopolskiego, przeciw poniżającemu godność narodową wyżebrywaniu ochłapów konstytucyjnych ze stołu autokratyzmu; poemat tworzył się pośród coraz bardziej wzrastającego wrzenia rewolucyjnego, przy wtórzeokrzykó w manife-

stujących w dniach 7-go i 8-go kwietnia tłumów i huku strzałów karabinowych na ulicach Warszawy. Był ten poemat — zwłaszcza to, co stanowi jego jądro: Pieśń Tyrteusza — gorącą, na wskróś wybuchową, bez cienia refleksyi, proklamacyą bojową w dobie, kiedy widniejąca na niebie dla polskiego ducha jutrzenka swobody zdawała się zapowiadać zbliżanie słońca wolności.

Oto po wieloletnim ucisku zadławiona zda się polska myśl patryotyczna ożyła na podobieństwo laurowego krzewu, który:

»... gdy go dręczy spieka,
Opuszcza liście i, zda się, już ginie...
Lecz gdy wiatr spędzi nawał chmur zdaleka
I deszcz ożywczy potokami spłynie,
Laur nową siłą odżyje wspaniale,
Świeże listeczki gałęzie odmłodzą«.

Ożył duch-rewolucyonista, ale się jeszcze waży przed czynem, nie śmie: »wrogom z gardła Ojczyznę krwią wydrzeć, wolność i cześć«.

Przeciw temu wahaniu, przeciw brakowi wiary w siły własne i zwycięstwo w sferach zachowawczych, przeciw tym, którym »serca brakło«, grzmiał Tyrteusz w swej pieśni, stawiając przed oczy obraz rozbudzonej Sparty, która:

»Rzuca mdłe jęki i za oręż chwyta
I znowu silna, straszliwa, rozżarta,
Potężna, wielka i walki niesyta«.

Że taka była naczelna idea i tendencya poematu, wskazuje stanowisko, jakie zajął Władysław Anczyc wobec powstania styczniowego, którego, jak obaczymy, był pieśniarzem i gloryfikatorem.

Przypuszczamy pozatem, że poeta musiał świeżo odczytać poemat Ujejskiego »Maraton«, który nie tylko fabułą antyczną, nie tylko 11-zgłoskowym rytmem i budową strof — ale i pokrewieństwem motywów zdaje się wskazywać pewien wpływ poematu Ujejskiego na »Tyrteusza«.

Składa się poemat o Tyrteuszu z dwu części: z historycznego opowiadania o walce Spartan z Meseńczykami — i z »Pieśni Tyrteusza«, która stanowi jądro utworu, różni się od reszty nie tylko osobnym nadpisem, ale i odmienną formą (podobnie jak »Pieśń wajdeloty« w »Konradzie Wallenrodzie«) — jest jakby mistrzowską ręką namalowanym drobnym obrazkiem, w obszerne i bogate oprawnym ramy.

Nastrój pierwszej części jest jakby powtórzeniem nastroju, jaki zapanował w Atenach na wieść o zbliżaniu się nieprzeliczonych zastępów perskich: trwoga i popłoch szerzy się w Sparcie, »myśl niewoli serca lodem ścina«. Więc umyślili wysłać do Delf z zapytaniem, co czynić mają.

Nie czynią tego wprawdzie Ateńczycy w przeddzień maratońskich zapasów; i oni trwogą przejęci, ale »śród nich Milcyades jak zesłannik bogów, jak ona Pytya z delfickich trójnogów, słowem podźwiga zwątpiałego ducha«. Więc nie poddają się rozpaczy, a heroldów Daryusza, którzy śmieli żądać na znak poddaństwa ziemi i wody, obiecując w zamian, że może pan ich »da się pokorą przebłagać« — strącili w przepaść, wysyłając równocześnie gońców do Sparty i Platejczyków, iżby z pomocą spieszyli. Ale Sparta wymówiła się od natychmiastowej odsieczy — i nadciągnęła dopiero po stoczonej walce — »obaczyć ciekawa, gdzie się toczyła Aten walka krwawa«.

Tę rywalizacyę Sparty i Aten mocniej podkreślił twórca »Tyrteusza«; tutaj Spartanie, posłyszawszy z ust wyroczni, że mają błagać Aten o pomoc — wzdrygają się na myśl samą. »Błagać? o złowieszcze słowa! śmierć raczej z rąk mściwej Messeny! Sparta ma błagać? błagać?! Kogo jeszcze? Zazdrosne zawsze i wrogie Ateny?!«

Zresztą może Spartanie przeczuwali, że im Ateny nie pospieszą z pomocą i wykręcą się wymówką, że »młódź nasza stali w domu grotów ostrze przeciw Megarze«.

I w istocie — Ateńczycy w miejsce zbrojnej pomocy przysłali... pieśniarza. Ale ten pieśniarz, choć na pozór niezbrojny, przyniósł w piersiach niezłomne pociski mocy, życiodajne krynice natchnienia, słowoczyn. Więc naprzód śpiewa im słodką i upojną pieśń o ziemi ojczystej:

Znacież ten kraj, co mu stopy skaliste
Zmywa prąd mórz, a Olimp wieńczy skroń,
Kastalskich wód biją kryształy czyste,
Słowików śpiew i róż zachwyca woń.

Rytm znany: takim rytmem opiewał poeta kraj cytryn i pomarańcz, takież pytanie rzucał twórca »pieśni o ziemi naszej«. Cóż milszego i wdzięczniejszego dla poety nad opiewanie ziemi ojczystej?

A zwłaszcza dla poety, który tę ziemię tak serdecznie miłował, jak twórca »Tyrteusza«, który o tem uczuciu niedługo potem w jednym ze swoich artykułów (»Tygodnik illustr.« tom V, r. 1862, 22 marca) napisał: »Nad wszystkie uczucia, jakie wypełniają serce człowieka poczciwego, góruje przywiązanie do ojczystej ziemi. Silne i niepożyte, trwałe i wzniosłe, namię-

tne a szlachetne — jestże inne, któreby mu sprostało?« Nie trudno było »poczciwemu człowiekowi« utożsamiać się z Grekiem, kiedy miłość Ojczyzny śpiewa.

Więc kiedy w pierwszej zwrotce Tyrteusz złożył hołd »wodom i górom« Hellady, słowikom w ojczystych gajach i różom na rodzinnej niwie — uderzył w drugiej zwrotce w mocniejszy ton, przypomniał chwałę przodków, ich męstwo i waleczność. I poruszając coraz silniejsze akordy — zaśpiewał w następnej strofie: »Znacież ten kraj, co dostał z bogów ręki olbrzymią moc z harmonią cudną słów« — i w ten mistrzowsko lapidarny sposób określił dwie zasadnicze podwaliny, na których wspiera się narodowy organizm: moc ciała i moc ducha, tęgość fizyczną i duchową twórczość, Heraklesa i Homera.

A przypomniawszy, że nigdy »dziewiczych niw przemocą ani zdradą aż po dziś dzień nie zdeptał obcy wróg« — puścił akord fałszywy, jak syk węża: »Znacież ten kraj?! Nie znacie, nie! Hellado! Ja ciebie znam i Ares mężnych Bóg!«

I coraz takty nagli i tony natęża — i grzmi pieśnią »straszną — jak niewola«. I jakby mu w uszach zawiał wiatr z ponad grobu Agamemnona, ciska pieśniarz słuchaczom w oczy hańbę niewoli, pluje na nikczemność tchórzostwa, przeklina rezygnacyę i upadek ducha:

»Messeno pójdź — i lud ten podły wiąż!
W okowach wlecz aż do bram twego grodu,
Na wieczny wstyd męże do żarna kuj,
Lub sprzedaj ich, a dziewice ich rodu
Do twoich uczt niech wdzieją ślubny strój.
Wśród fletnych brzmień niechaj zatoczą koło
I z wrogiem pieśń na Sparty wznoszą skon,

A zdobiąc w kwiat Arystomena czoło,
Włochatą pierś do czystych tulą łon.

Bo w Sparcie już krew starych ojców zmarła,
Od Aten chcą, aby im pomoc nieść,
I grożą im, a nie śmią wrogom z gardła
Krwią wydrzeć swą ojczyznę, wolność, cześć!»

Wstyd, palący wstyd wybucha w straszne przekleństwa — niech światło zagaśnie, niech wieczny mrok »skryje ten wstyd, co podły hańbi lud« — niech kraj stanie pustką na wieki, »niech zatrze czas istnienia jego ślad«. Niechaj matki, co takich synów porodziły, Zeus pohańbi — niechaj im łona »poszarpią lwy w kawały« — niech runie Sparta, zanim ślad jej wielkości »naddziadów grób messeński zburzy młot« — »niech nie wie świat, że miecze były śród was — a serca brakło wam«.

Zaiste pieśń godną wieszcza zaśpiewał Tyrteusz-Anczyc w przeddzień styczniowego powstania.

W Tyrteuszowe tony uderza Ujejski w wstępie do »Maratonu«.

Poeta sam wdziewa na siebie chiton Tyrteusza i zapowiada pieśń, »co przypomni pobrzęk łańcucha« (por. »a pieśń wylata straszna — jak niewola«), pieśń, coby chciała »rozmiękłe dusze jak zbroję ostalić« i »zmężnić« karłów. W samym zaś poemacie roli Tyrteusza podjął się Milcyades, który pobudzając odwagę współziomków, również przedstawia hańbę i upodlenie niewolników i narodową dumę stara się rozpalić przypomnieniem sławnej przeszłości.

»Pieśń Tyrteusza« różni się formą od części opisowej poematu; tamta, pisana 11-zgłoskowym wier-

szem mieszanym, z rymem krzyżującym, prowadzi opowiadanie z epickim spokojem, przerywanym w pewnych miejscach szybszem tempem, kiedy np. maluje wzburzenie Spartan na myśl, że błagać mają Aten o pomoc. Natomiast »Pieśń Tyrteusza« jest na wskróś poezyą liryczną: 11-zgłoskowiec, ze średniówką po 4-tej zgłosce, z rymami na przemian żeńskimi i męskimi, doprasza się podkładu muzycznego. W liczbie figur poetyckich »Pieśni« przeważają personifikacye, których — w stosunku do ogólnej liczby wierszy — jest około 20%.

Dochowały się dwa autografy »Tyrteusza« — z tych drugi, liczący o 25 wierszy więcej, poddany był cenzurze (data cenzury: $\frac{15}{27}$ listopada 1861). To niewielkie rozszerzenie tekstu nie pociągnęło za sobą zmian istotnych; miejsca rozszerzone oraz waryanty zaznaczamy w wydaniu.

Po wydaniu »Tyrteusza« w książce zbiorowej, poświęconej uczczeniu zasług pisarskich K. Wł. Wójcickiego — pisał Wacław Szymanowski w kronice tygodniowej »Tyg. illustr.« (8 luty 1862): »Przywykliśmy nazwisko to (sc. Anczyca) czytać na afiszach, ponad tytułami komedyj ludowych, sztuczek wesołych, pełnych życia, ulubionych od publiczności, z których każda pod skromną i przystępną formą zawiera rozwinięcie jakiej dobrze obmyślanej prawdy społecznej. Znajdziecie to nazwisko pod utworami humorystycznymi, pod wesołymi i dowcipnymi wierszykami, w których przystępną i nęcącą formą nieraz gorżką naukę obwinięto. Przyzwyczailiście się czytelnicy, widząc to nazwisko zalecające jaki utwór, mówić do siebie: »trzeba czytać, to będzie zabawne, wesołe, rozerwę się choć trochę przynajmniej«.

Otóż na wielkie nasze zdziwienie powiem wam, że »Tyrteusz« nie jest wcale ani zabawny, ani wesoły. Jest to utwór prawdziwego poety, poety lirycznego, umiejętnie piękną władającego formą. »Tyrteusz«, to kilka celniejszych kart tego zbioru« (sc. Książki dla Wójcickiego).

A dalej zapytuje fejletonista »Tygodnika«: »Czemu ten, któremu Bóg zesłał taką siłę słowa, marnuje ten dar Boży na drobiazgi, na płoche igraszki umysłu, na grę zręczności i dowcipu?«

I odpowiada zupełnie trafnie: »Spytajcie siebie samych, spytajcie tego wszystkiego, co nas otacza, spytajcie tylu ludzi, zużywających się i zamierających nie na swojem miejscu, spytajcie tych wszystkich, którzy marnują się i giną w próżnej walce z życiem, nie wypowiedziawszy ani części nawet tego wszystkiego, co drży im w piersi«.

Słowa były ciepłe — w duszy autora »Tyrteusza« musiały odbić się echem. Po napisaniu »Tyrteusza« poeta poczuł się niewątpliwie na siłach do wielkich, twórczych koncepcyj a zarazem odczuł pewnie boleśniej, aniżeli kiedykolwiek, owo marnowanie talentu z łaski Bożej na drobiazgi, owo tłumienie iskry twórczej w szarym popiele dziennikarskiego wyrobnictwa »na akord«. Omawiając artykuły Anczyca z tego okresu, będziemy mieli sposobność wskazać niespodzianie z pomiędzy nich dobywające się tony o zgoła innem brzmieniu, jakieś porwane fragmenty pomysłów, które wyłamują się poza jednostajną linię publicystycznej prozy; — jest to ten drugi Anczyc, Anczyc-Tyrteusz, o którym dzisiaj tak niewiele wiemy. Tutaj niech nam wolno będzie przytoczyć jedną z takich notatek: — najzwyklejsze to objaśnienie do jednej z rycin, repro-

dukowanych w »Tygodniku illustrowanym«, jakich Anczyc wiele dostarczał. Jak ogromnie różni się ta notatka od innych, temu samemu celowi służących! Poeta objaśnia, a raczej snuje fantazyę na temat obrazu Dürera »Narodziny św. Jana Chrzciciela«, reprodukowanego w »Tyg. ill.« 21 czerwca 1862 roku. Od razu uderza wybitna rytmika artykułu, drukowanego w formie prozaicznej; z całą łatwością można mu nadać formę białego wiersza:

W bezdnach rozpusty, zbytku i niewoli
Wpółstrupieszały pogański świat tonie,
Upadła Hellas pod Metella mieczem,
Wolności matka i świątynia piękna.
Roma zastygła w objęciach Cezarów,
Niema Scewolów! umarł stary Kato!

Już też i dawne zużyły się bogi,
Ku Olimpowi nikt oka nie zwraca,
Stępiały gromy starego Zeusa,
Pierzchnął Apollo z nad kastalskich zdrojów,
Umilkły Delfy i dodońskie gaje
I z wróżb augurów szydzi lud niewierny.

Nawet wśród ludu Bożego
Niema Bożego już ducha,
Ni w gorejącym krzaku,
Ani w obłokach Synai
Jehowa się nie zjawia,
Ani szle swoich proroków.

W świątyni Salomona
Faryzeusze zasiedli.
Kapłani fałszu, obłudy,
Kłamią modlitwy przed ludem
I zarażają ciemnością
Lud wierny, nie wierząc sami

W bezmyślne, ciasne obrzędy
Chcą nieskończoność uwięzić.
Sromotne targi wiodą
I oszukują tłumy,
A klątwą grożą wybranym.

W ten sposób nie pisywał Anczyc-dziennikarz; tu mamy jakby fragment poematu, czerpiącego osnowę z tej tak płodnej dla wielkich natchnień doby dziejowej: z okresu upadającego starożytnego Rzymu.

Taki poemat w istocie Anczyc napisał; tytuł mu: »Uczta Wyzwoleńca«. Największy to na liczbę wierszy poemat — 1.000 ich przeszło — jaki Anczyc w całem życiu utworzył; a nie tylko rozmiarami wielki. Nieznany ten utwór Władysława Anczyca jest owocem szczerego natchnienia twórczego. Róg prawdziwej poezyi rozbił się nad głową Anczyca w tych latach ogólnej egzaltacyi ducha — płomienie, które z niego wyszły, nie wypaliły się do cna w poemacie o greckim śpiewaku, ale podsycone może słowami zachęty kolegi redakcyjnego, rozgorzały poraz wtóry boskim płomieniem w pieśni o wyzwoleńcu Filenie.

Niepodobna oznaczyć dokładnie czasu powstania »Uczty Wyzwoleńca«. Wedle ustnej tradycyi (śp. Karol Estreicher), czytano poemat na posiedzeniu redakcyi »Tygodn. illustr.« mniej więcej w pół roku po wydaniu »Tyrteusza« — czyli około połowy roku 1862 był poemat ukończony. Zważmy ponadto, że owo niepozorne objaśnienie reprodukcyi obrazu Dürera uderza nie tylko tym samym rytmem pierwszych zwrotek — ale również nastrojem i motywami treści tak dalece, że niemal skłonni jesteśmy uważać dwa pierwsze jego ustępy za niezużytkowany w poemacie waryant.

Przypuszczamy więc, że czas powstania »Uczty Wyzwoleńca« przypada na pierwszą połowę 1862 roku.

Na dochowanych aż trzech autografach (jeden autograf zawiera opracowanie zupełne, w dwu innych brak epilogu), dwu kopiach i fragmentach poematu brak wszelkiej daty — a i papier bez znaków wodnych nie pozwala na bliższe i pewniejsze określenie czasu powstania utworu.

Zasadniczym, pięknym motywem poematu, jego kośćcem duchowym, jest wzgarda dla upodlenia ducha tak w pojedynczem indywiduum, jak i zbiorowo w narodzie; Uczta Wyzwoleńca jest poetycką illustracyą tego motywu. Idea ta łączy bardzo silnym węzłem pokrewieństwa nieznany poemat z »pieśnią Tyrteusza« a tem samem wskazuje bliższy jego związek z coraz bardziej wzmagającym się ruchem rewolucyjnym, który w owym czasie przeszedł był w fazę tajnej konspiracyi i ujawnił się na zewnątrz zamachem na gen. Lüdersa (27 czerwca 1862 roku).

Rolę pogromiciela duchowej prostracyi w upadającym Rzymie podjął wyzwoleniec cezara Filen wobec patrycyuszów rzymskich, do swej cudnej willi na ucztę sproszonych — tylko konstrast tu bez porównania jaskrawszy, obelgi ciskane w oczy potomkom starych i dumnych jak bogi rodów rzymskich znacznie w tonie ohydniejsze, bo przez obcego przewłokę, syna etyopskiej niewolnicy, czynione. Oto ów mieszaniec, który »kędyś pod cyrku ulegnął się murem«, niezwykłą siłą z pośród gladyatorów na pierwszy plan się wybiwszy, obdarzony w nagrodę cyrkowych zwycięstw przez Nerona wolnością, zdołał się wkrótce wkraść w jego łaski i wszechwładnie nim zawładnąć. Ale w głębi serca jego tli zamiar dzikiej zemsty —

on pamięta owe długie lata ucisku i poniżenia, kiedy chlewy wymiatał lub na śmiecisku z psami wspólnie ogryzał gnaty a bicz mu plecy rozorywał. I teraz, kiedy stał się w Rzymie wszechwładnym panem życia i śmierci, na wspaniałą ucztę prosi senatorów, ażeby im tam hańbą w twarz plunąć, pod nogi ich cisnąć, z ich upodlenia i duchowego charłactwa do woli się naigrawać w odwet za owe lata niewoli.

Cały poemat wedle autografu, przygotowanego do druku, składa się z 11 rozdziałów, z których tylko pięć ostatnich opisowi uczty jest poświęconych. Sześć pierwszych rozdziałów tworzy wielki wstęp do krótszej stosunkowo właściwej części, od której utwór tytuł nosi. Rozdział pierwszy wylicza szereg ludów, które uległy światoburczej imperyi rzymskiej. Szczególny oddźwięk żalu obudza w poecie los Hellady, krainy męstwa, pieśni i myśli twórczej. Śpiewał niedawno o Tyrteuszu, który pieśnią Spartan od hańby ocalił — teraz ledwie legenda o pieśni-czynie się została a choćby śpiewak tyrtejski się znalazł — zabrakłoby pewnie słuchaczy.

I nie to najgorsze, że wolność Grecyi upadła — lecz to, że duch grecki spodlał i pozostali:

»Z Greków — *graeculi*, z tytanów — histryony,
Duch nawet oprzeć nie zdołał się klęsce,
Z wyżyn Parnassu w Rzym roznamiętniony
Zbiegł pieśnią jońską zabawiać zwycięzce«.

Więc kiedy ród tytanów w Grecyi w pigmejów się przedzierżgnął — poeta idzie szukać prawych jego potomków do Rzymu, stolicy światowładnej.

Wchodzimy w Rzym: u wstępu ogarnia nas rozhukana fala pędzących tłumów; do cyrku biegną,

gdzie konsul rzymski w wyścigach udział bierze i »o laury dobija się biczem«, gdzie zwierz dziki rozdziera ciała Nazarejczyków, wśród zachwytu zezwierzęconej czerni. Spodlenie przeżarło całe społeczeństwo, gmin i możnych, mężów i niewiasty.

Oto lektyka, w której możny patrycyusz spoczywa: nuda i przesyt na twarzy Marcella, ostatniego potomka zwycięzcy z pod Noli:

»Nie nęci go sława,
Ni czyste tchnienie miłości dziewiczej,
Nic go nie nęci — jeszcze walka krwawa,
Ryk dzikich bestyj, cyrkowej wrzask dziczy
Rozpala iskrę życia w nim przygasłą«.

Następujący opis willi Filena (rozdział V) jest barwny i plastyczny; jest to rzadka w twórczości literackiej Władysława Anczyca próba plastyki opisowej. Marmury, spiż koryncki i złoto złożyły się na ową przebogatą willę rzymską: w niszach greckie posągi, przez Mumiusa złupione, u stóp mozajkowe pawimenta, z drogich kamieni utkane, na ścianach cudne freski, czerpiące osnowę z przemian Owidyusza, za perystylem gaj, kryształowych kaskad pełny, szumiącymi strumieniami porżnięty, w których białe najady się kąpią; w krzewach posągi a wijące się bluszcze naturalne altany tworzą.

We willi uczta iście Trymalchiońska: przebogata zastawa, najwybredniejsze dania i napoje, śpiew, muzyka i deszcz róż ze sklepienia na głowy biesiadników spadający — wreszcie cudownej piękności niewolnica spartańska, to tło, na którem rozgrywa się tragedya. Bohaterami jej Filen, wyzwoleniec — i Marcellus, patrycyusz. Ten jedyny z biesiadników nie upadł tak

nisko, ażeby spokojnie znosić obelgi syna Etyopki. Innym usta lęk związał — więc milczą a nawet wesołość udają. I kiedy od stropu, wśród deszczu kwiatów, spłynęła na sznurach beczka złocistego falerna — rozpustny szał ogarnia biesiadników. Na wniosek starego Manliusa wlewają wino do kosztownej urny i proszą spartańskiej niewolnicy, ażeby w niem nogi umoczyła. I wtedy spotyka ich najohydniejsze upokorzenie, na jakie tylko barbarzyńska myśl wyzwoleńca zdobyć się mogła. Filen zrywa się od stołu z okrzykiem:

»Rzymianie!
Tu niewolnica skąpała swe ciało,
Ale na bogi! to dla was za mało,
Niech i niewolnik spragnionych nasyci«.

I biesiadników gwałtownie rozsunął,
Pchnął od naczynia i w złotą ciecz plunął,
»To dla was!« — woła — »wypijcież Kwiryci!«

Splugawioną cześć skarlałych potomków zwycięzców z pod Zamy uratował Marcellus, godząc ciężkim puharem w głowę barbarzyńskiego gospodarza — inni biesiadnicy nie zdobyli się na reagowanie a rozpoczęta gra w kości szybko zatarła przykre wrażenie.

W grze tej nieszczęśliwą ma rękę Marcellus: na rzecz Filena przegrywa »skarby, pałace i włości, sługi, klejnoty, winnice i pola — a wreszcie to, co miał najdroższego, najświętszą relikwię po przodku — złoty laur tryumfatora. Piękny to pomysł poety: w odmęt ostatecznego upodlenia, przy wtórze pijanych wrzasków bacchanalii — rzucić ten nieskalany symbol prastarej cnoty, męstwa i surowości obyczajów. Jest konsekwentne natężanie efektów w poemacie przez

dobieranie coraz jaskrawszych barw na odmalowanie upodlenia duchowego w upadającym Rzymie — w miarę posuwania się uczty w willi Filena coraz dobitniej występuje to znikczemnienie dusz u potomków starych rodów, równomiernie ze wzrostem coraz ordynarniejszych zniewag. »Wyzwoleniec« jakby chciał koniecznie dotrzeć do jakiejś w głębiach tlejącej iskierki wstydu, domacać się śladu poczucia godności osobistej, któraby przeciw obelgom zaprotestowała. Więc po obelgach słownych pod adresem »hołoty rzymskiej« — następuje owo plunięcie w naczynie z winem — a wreszcie piekielny pomysł ubrania w laur wygrany od Marcella... hetery.

To ubranie głowy hetery w symbol zwycięstwa jest nie tylko wyrazem wyrafinowanej zemsty Filena — ale zarazem ma ono wtóre, szersze znaczenie, wyraźnie w słowach Filena do niewolnicy zaznaczone:

»I czemuż« — mówi — »płonisz się rumieńcem?
Azaliż ci się wydaje zakałą
Nosić laur po tych, których duch i ciało
Znikczemniał? — Owszem, pysznij się tym wieńcem,
To znak tryumfu nad Romą przeklętą,
Znak, że ten olbrzym przedzierżgnął się w karła,
Że czego zemsta wszech ludów nie zdarła,
Wydziera dziewka rozpusty ponętą.«

To już jest coś więcej, aniżeli zemsta dawnego niewolnika, wywierana na panach w odwet za cierpienia, jakie od nich znosić musiał. W tych słowach maluje się zaciekła nienawiść ku Romie, wyraźnie irydyonowy motyw i dzika radość Massynissy na widok jej moralnego upadku.

Ostatnią obelgę Filena przyjmują biesiadnicy śmiechem:

»Czyż im rozmyślać nad marnych słów brzękiem,
Gdy widzą główkę prześliczną Greczynki,
Którą laur nowym opromienia wdziękiem«.

Oczywiście — w tym laurze nie potrafią oni nic więcej widzieć, jak tylko blaszkę złotą — więc tylko z wysubtelnioną estetyką Petroniuszów stwierdzają, że niewolnicy w wieńcu — do twarzy.

Ostatecznie jeden Marcellus zachował w duszy jakieś szczątki szlachetniejszych uczuć — ku niemu też zwraca się cała nienawiść Filena. Ugodzony z jego ręki puharem w czoło, opanowuje się, nie wybucha, rzecz w żart obraca — jemu nie o natychmiastową śmierć idzie: Marcellus jeden utrzymać zdołał głowę ponad powierzchnią bagna — więc mu ją wcisnąć pragnie w błoto wyzwoleniec, zniszczyć owe gniewające go resztki człowieczeństwa. Życzeniu jego staje się zadość. Ucztę kończą walki gladyatorów. Marcellus, straciwszy wszystko, cześć i majątek, umrzeć pragnie:

»I przed Filena przypadłszy wezgłowie,
Głosem tłumionej rozpaczy doń rzecze:

»Dałeś nam ucztę, ucztę co się zowie,
Lecz do świetności coś jeszcze jej braknie —
Wiem, że niewolnik szlachetnej krwi łaknie,
Starej krwi Romy — niech moja pociecze«.

Marcellus, szukając śmierci, pragnie wziąć udział w walce gladyatorów, czem spełnia najgorętsze pragnienie Filena, który jednak sam do walki staje — wołając:

»Precz zgrajo szermierzy!
Nie najemników ten wielki ród warta.
Niechaj tu równy w równego uderzy,
Bękart rozpusty w Marcellów bękarta«.

Ta ostatnia zniewaga, uczyniona przeciwnikowi przed walką, była ciężka, ale trudno odmówić jej słuszności. Marcellus za nisko upadł, ażeby mógł uchodzić za prawego syna i spadkobiercę wielkich cnót przodków.

W walce, z wielką epicką plastyką odmalowanej — padają obaj. Towarzysze Marcella nie okazują żadnych oznak żalu lub wzruszenia — zbyt znieczulone ich nerwy, zbyt wiele napatrzyli się na krwawe zapasy w cyrku Nerona — Aurora purpurowym płaszczem okryła szczyt Kapitolu — a z nią nuda, przesyt i znużenie owładło członkami patrycyuszów; — myślą jedynie o tem, kto teraz zastąpi Filena w łaskach u cezara, kto zagarnie po nim ogromny majątek — kto to wie? Może który z nich. Zresztą — walka trwała za długo, stąd urok straciła; Marcellus zaś zawiódł ich —

»...w szalonym zapale
Paść w malowniczej zapomniał postaci«.

Tak myśląc:

»Poszli w miasto, powtarzając »vale!«

Są w poemacie pewne momenta, rażące ucho dzisiejszego czytelnika; jest pewien sztuczny patos, pewna jaskrawość efektów i teatralność pozy; w opisie uczty może się niepodobać pewien zbyt kulinarny — rzekłbym — opis dań wnoszonych. Marcellus mógł oszczędzić Filenowi tej uciechy, jaką mu sprawił, oświadczając gotowość wzięcia udziału w walce gladyatorów — z życiem mógł się pożegnać wygodnie w domu, w ciepłej wannie, skoro już odczuł konieczność takiego kroku. Taki jednak ostateczny upadek Marcella był konieczny dla efektownego zakończenia

poematu — jakkolwiek psychologicznie poeta tego nie umotywował.

Pozatem jednak posiada utwór Anczyca wiele akcentów szczerej poezyi: jest podniosła idea przewodnia, jest poprawna budowa wierszy, jest wreszcie — czegoby się może najmniej można było spodziewać po autorze »Tyrteusza« — niepoślednia zdolność epicka. Taki opis willi Filena lub końcowego pojedynku, jes zrobiony z wielkim rozmachem epickim. Ten charakter epicki poematu podnoszą w Homerowym stylu utrzymane porównania. Na przykład Marcellus, kiedy posłyszy w cyrku ryk dzikich bestyj —

»...brew marszczy — rumieniec wytryska
Na blade lica — w źrenicach żar błyska,
Rozdęte nozdrza wietrzą bojów hasło...
Próżna nadzieja... to tylko w arenie
Popis... więc znowu wpada w odrętwienie.

Tak lew straszliwy libijskich król puszczy,
Gdy ciężka niemoc na piasek go zwali,
Zda się już kona... wtem słychać z oddali
Wrzawę... odgłosy... myśliwskiej gwar tłuszczy
I wnet się zrywa zwierz roznamiętniony,
Grzywę najeża... z paszczęki spienionej
Sterczą kły białe... ogonem wciąż bije
W żylaste lędźwie... wzrok krwawy i srogi,
Zajadle śledzi, skąd zjawią się wrogi...
I zagrzmiał rykiem, a lasy i skały
Od tego ryku dokoła zadrżały.
Nagle nikczemnych szakali gromada,
Wybiegłszy z gąszczu ze strachu zawyje.

Na widok lichej zgrai przeciwników
Lew umilkł, groźnych zaprzestaje ryków,
Z wstydu do ziemi łeb spuszcza kudłaty
I znów w niemocy na ziemię upada«.

Tej epickiej zdolności nie spotkaliśmy dotąd w tej mierze u poety — to jeden dowód więcej, że poza pisarzem ludowym krył się talent o szerokim zakroju, zdolność do wielkich koncepcyi — niestety różnorodność dziedzin, w których pracował, nie pozwoliła na jednolity rozwój w kierunku tyrtejskich pomysłów.

* * *

Nieznany poemat Władysława Anczyca przechodził różne stadya w okresie tworzenia, zanim mu autor nadał ostateczną postać. Dochowały się dwa zupełnie ukończone autografy i jeden, nie doprowadzony do końca — oraz luźne fragmenty — a wreszcie inną ręką spisane dwie kopie. Pomiędzy autografami są liczne i znaczne odmianki w tekście, jak i różnice w układzie. Jedna z kopii jest odpisem ostatecznej redakcyi — druga, najstarszej postaci poematu. To ułatwia nam skonstatowanie różnic zasadniczych.

Autor wahał się w wyborze tytułu: najpełniejszy autograf, przygotowany do druku, nosi napis »Uczta Wyzwoleńca«; także na jednej kopii słowo »Filena« przekreślone i zastąpione dopełniaczem »Wyzwoleńca«.

Pierwotne opracowanie jest znacznie krótsze: obejmuje tylko 684 wierszy (w ostatecznej postaci poemat liczy 1103 wierszy); z boku porobione uwagi ołówkiem przez kogoś, komu widocznie autor dawał utwór do oceny. Na szczęście nie wiele z tych uwag uwzględnił poeta, rozszerzając swój utwór. — Do zasadniczych zmian należy przerobienie układu w opisie

uczty: — pierwotnie rozpoczynało ucztę zjawienie się niewolnicy spartańskiej; z boku dopisał ów krytyk — nie bez słuszności — »pierwej jedli«; poeta uznał racyę uwagi i zmienił układ: w ostatecznem opracowaniu »pierwej jedzą« — a niewolnica zjawia się — na deser.

Całemu też epizodowi o owej niewolnicy nadał poeta zupełnie odmienny charakter. Pierwotnie była to rozpustna hetera, której rola była najzupełniej bierna, na równi z wyszukanymi smakołykami, którymi stół zastawiają. W ostatecznej postaci poematu — to niewinne i przestraszone dziewczę, które odrazu opanowało sercem Marcella i na odwrót zapłonęło ku niemu uczuciem. Na tle głównej akcyi toczy się niemy romans pomiędzy tą parą — uczynił to poeta dla podniesienia tragizmu sytuacyi. Filen dostrzegł ową nić, która się pomiędzy niewolnicą a młodym patrycyuszem zawiązała — i stara się także i tę okoliczność wyzyskać. Proponuje grę o niewolnicę i — wygrywa; przed walką zaś zabija Spartankę, ażeby powiększyć do ostatecznych granic rozpacz Marcella.

Te wszystkie momenta dodał poeta w ostatniej redakcyi — pierwotnie brak ich zupełnie. Pozatem są liczne waryanty w tekście, z których ważniejsze postaramy się uwzględnić w wydanie »Uczty Wyzwoleńca« po niemal półwiecznem ukryciu poematu.

Nie wiemy dzisiaj dokładnie, dlaczego »Uczta Wyzwoleńca« nie wyszła drukiem w całości. Autograf przygotowany zupełnie do druku; — u góry, na pierwszej stronie autor własnoręcznie podał liczbę wierszy i rozdziałów oraz zamieścił uwagę: »podzielić na 3 Numera po 4 szpalty«.

Trudności w opublikowaniu poematu robiła cenzura: — poeta gromił w nim upodlenie ducha, zatracenie poczucia czci i chwały narodowej i osobistej, pozwalające na plugawe zniewagi, padające z ust barbarzyńcy. To samo czynił zresztą i w »Tyrteuszu«, tylko tam bez porównania mniej jaskrawie; na skarlenie współczesnego sobie pokolenia skarżył się już dawniej w »Człowieku trzechwiecznym«, idąc w tem za ogólną panującą wtedy tendencyą. W przeddzień powstania styczniowego obawiano się zapewne ukrytych myśli, alluzyi do spraw bieżących — i takie ukryte cele miał niewątpliwie poeta, pisząc »Ucztę Wyzwoleńca«.

Z jakich powodów jednak nie wydał poematu w całości po przeniesieniu się do Krakowa — dzisiaj nie wiemy. Tylko dwa fragmenty wyszły drukiem. Jeden z nich, obejmujący 82 ww. (od wiersza:

Mrok zapada — od cyrku Nerona
Walą się tłumy w wrzaskliwej pogwarce

do wiersza:

Lepiej ci było na świat się nie rodzić,
Niż w brudnym kale dokończać żywota) —

ogłosiła krakowska »Kalina« w nr. z 15 kwietnia 1868 r. p. t. Ustęp z poematu »Uczta Filena« Wł. Lud. Anczyca (autora »Tyrteusza«).

Dodatek w nawiasie — »autora Tyrteusza« — charakterystyczny, ponieważ stwierdza »*ex offo*« genealogiczne pokrewieństwo obu utworów.

Fragment różni się w wielu miejscach od wszystkich rękopisów, jakie mamy w ręku, jakby wskazywał istnienie jeszcze jednego odmiennego tekstu, który

zaginął. Drugi ogłoszony fragment poematu obejmuje 97 ww. (od słów:

...A on znów powstał i rzekł: Patrycyusze!
Czyż w waszych sercach me słowa gniew niecą?

do:

Jak gniew szlachetnych gry koi pokusa
I godzi z hańbą oplwane te głowy.

Ten ustęp ogłosił autor w książce zbiorowej »Kłosy i kwiaty« w rok później (Kraków, 1869) — pod napisem: UCZTA WYZWOLEŃCA (ustęp) — na stronie 194—7.

*
* *

W nocy z 22 na 23 stycznia 1863 roku wybuchnął czyn, do którego zachęcał autor »Tyrteusza«. Jakież stanowisko wobec powstania styczniowego zajął Władysław Anczyc? Był konsekwentny: do salwowania godności narodowej z bronią w ręku nawoływał w »Tyrteuszu« i »Uczcie Wyzwoleńca« — a kiedy do rozprawy wojennej przyszło, stał się jej czynów i kolei pieśniarzem. Podobnie jak rewolucyjny rok 46-ty i 48-my znalazł w twórczości Anczyca poetycki wyraz — tak i, w znaczniejszej jeszcze mierze, powstanie 63-go roku uapoteozował w pieśni.

»Pieśni zbudzonych — przez au(tora) Ty(rteusza)« — taki tytuł tej nieznanej dzisiaj (z małymi wyjątkami) hymnologii ostatniej naszej wojny narodowej, tytuł znamienny, stwierdzający *ex post* właściwą tendencyę poematu o śpiewaku ateńskim, który zbudził uśpione męstwo spartańskich wojowników i do boju porwał — a teraz na walkę patrząc, chwałę »zbudzonych« głosi.

Te »śpiewy historyczne«, pisane niewątpliwie pod pierwszem gorącem wrażeniem epizodów rozgrywającej się walki, zebrał autor i ułożył w pewną organiczną całość, opatrzył wspólnym tytułem, poprzedził »spisem i porządkiem« a nawet obok ilość wierszy każdego wiersza zliczył — zamierzając zapewne, po wyjeździe do Krakował (który stał w bliższym związku przyczynowym z czynnym udziałem w organizacyi powstania styczniowego) — ogłosić »Pieśni zbudzonych« drukiem. Nie uczynił tego jednak, nie chcąc może zamykać sobie możliwości powrotu do Warszawy; a potem, kiedy już na stałe przeniósł się do Krakowa, zapał ochłódł, zapatrywania na rok 63-ci pod wpływem nowego otoczenia i stosunków uległy zasadniczej zmianie: »Pieśni zbudzonych«, z wyjątkiem paru, pozostały w rękopisie.

Jest ich 24. U wstępu dedykacya: »Rodakom« — silna w tonie, akcentująca zgodnie z tendencyą tyrtejskiej pieśni nieugięty hart narodowego ducha. Z dwu silnie przeciwstawionych sobie części składa się ten wiersz wstępny: w pierwszej piętnuje poeta pohańbienie narodowej idei we wszelkich przejawach, od zupełnego bezwstydu do karygodnej bezczynności — w drugiej »pieśń swą pod nogi kładzie« tym, »których duch silny jak z hartownej stali«.

Wiersz następny, apostrofa »Do Ojczyzny«, apoteozuje zapomocą szeregu porównań ideę patryotyzmu — wiersz trzeci z kolei: »Wstęp do pieśni«, kreśli przewrót duchowy, jaki dokonał się wśród murów Warszawy, do niedawna posłusznej i uległej niewolnicy cara — a dziś odrodzonej, na czele walki o wolność stojącej. Warto zwrócić bliższą uwagę na analogie w treści i formie pierwszej części »Wstępu do pieśni«

z »Ucztą Wyzwoleńca«. I tu i tam przedstawia autor upadek moralny w murach wielkiej stolicy. Rozpoczyna »Wstęp do pieśni« obraz tłumów, pędzących za poszóstnym rydwanem carskim i wznoszących okrzyki na cześć cara; obraz ten łatwo zestawić z początkiem pieśni III-ciej »Uczty Wyzwoleńca«, z obrazem owej fali rozhukanego plebsu rzymskiego, pragnącego przypatrzeć się wyścigom konsula, dobijającego się o łaski cezara — biczem.

Oczywiście analogia tkwi tylko w obrazie pędzących tłumów — przedmiot ich ciekawości jest zasadniczo różny, zaczem idzie bez porównania większe upodlenie warszawskiej ulicy, oklaskującej orszak cara-zaborcy.

Podobnie »najpierwszych domów córy, strojne w złoto, koronki i kwiatki« i ubiegające się o łaskawy uśmiech »mocarza Kamczatki« — wcale nielepsze są od owych żon i córek senatorskich, które »z licem, skalanem bielidłem i różą« mizdrzą się »do muskularnej czerni gladyatorów«.

Również ojcowie rodzin i poważni starce plugawią godność narodową — a młodzież? Obraz degeneracyi młodego pokolenia jest w »Uczcie Wyzwoleńca« znacznie szerzej rozprowadzony, z zasadniczą jednak myślą z »Wstępem do pieśni« zgodny a w portrecie zblazowanego młodzieńca w ogólnych rysach uderzająco podobny.

Wystarczy zestawić:

»WSTĘP DO PIEŚNI«.

Gdy młódź, marnując siły w bezecnych rozpustach,
W ą t ł a, z l a n a w o n i a m i, z u t r e f i o n y m w ł o s e m,
Z próżnią w sercu i głowie, bezwstydem na ustach,

Zajmowała się więcej baletnicy losem,
Niż Ojczyzny...

»UCZTA WYZWOLEŃCA«.

Patrz, stoi gromada
Wywiędłych gachów z wonnymi kędziory
. . . .
Czoła ich ściemione znużenia obłokiem,
Róż źle powleka oblicza ich sine,
Stoją na forum i błędnym swym wzrokiem
Ścigają chłopiąt powabnych drużynę
I wiodą spory...
O co? Czy się troszczą,
Że wolność Rzymu skonała już stara?
Nie — o nowego kochanka cezara,
O róż fenicki — o wschodnie wonności.
. . . .

Analogie w treści i obrazowaniu »Wstępu do pieśni« z »Ucztą Wyzwoleńca«, wskazują związek ideowy obu utworów i bliskie sąsiedztwo czasu ich powstania.

Następny wiersz »Pieśni zbudzonych« p. t. »Hymn« został napisany 30 lipca 1863-go roku (jak świadczy data u dołu). Powstał więc później, aniżeli pieśni, które następują w zbiorze po nim, a idą równolegle z tokiem bieżących wypadków. Prawdopodobnie ze względu na treść modlitewną »Hymnu« przeniósł go autor na początek zbioru, rozpoczynając błagalnem wezwaniem o pomoc do Boga Ojca.

Jak data wskazuje powstał wiersz ten, kiedy najbardziej optymistyczne zapatrywania w możliwość zwycięstwa ustąpić musiały wobec okrutnej rzeczywistości, która w tym miesiącu właśnie wcieliła się w ohydną postać Murawiewa-wieszatiela na Litwie i rozpoczęła bezlitosny, krwawy porachunek z poli-

tyką złudzeń. Toteż »Hymn« Anczyca, nabrzmiały bólem i patryotyczną rozpaczą, zwraca się do Tego, który sam jeden tylko mógł jeszcze rzeczom inny nadać obrót. W włosienniczym worze biegnie przed Trybunał Najwyższej Sprawiedliwości pieśń-pokutnica, świadoma popełnionych przewin i grzechów, ale też krew tysiącznych ofiar w obronie niosąc — i tożsamym rytmem, co pokrewne jej myślom błaganie do »Boga, co Polskę przez tak liczne wieki, otaczał wieńcem potęgi i sławy«, o rozsądzenie sprawiedliwe prosi i podobnież w refrenie Bożego ratunku wzywa.

Omówione cztery wiersze: »Rodakom«, »Do Ojczyzny«, »Wstęp do pieśni«, »Hymn« — tworzą słowo wstępne do następujących pieśni 20-tu, które stanowią właściwą illustracyę bojowego nastroju i ważniejszych wypadków 63-go roku, trzymając się mniej więcej ich chronologicznego następstwa. Pierwsza z tych 24-ech pieśni p. t. »Zorza wolności«, opiewa chwałę dnia dwudziestego trzeciego stycznia, jako chwili wybuchu walki o wolność — następne wiersze: »Burza« i »Pieśń bojowa«, to wezwanie do broni w obronie powstającej matki, porzucenia wszelkiej myśli o kompromisie i połączenia wszystkich stanów wobec wspólnego wroga. Z ogólną »pieśnią bojową« łączą się następujące pieśni strzelców, rzemieślników polskich i kmieci polskich. Wszystkich pragnął poeta zachęcić i porwać do walki i posłać w bój z pieśnią, którąby tężyła ramiona i krzepiła siły.

Do »Pieśni strzelców« skomponował sam melodyę i snać ugodził w ton właściwy:

»Hej strzelcy wraz! nad nami orzeł biały
A przeciw nam śmiertelny stoi wróg —

pieśń ta przeżyła autora i stała się prawdziwie nieśmiertelną tem rzadkiem przejściem na bezimienną własność całego narodu, który ją na owoc zbiorowej produkcyi poświęcił, nie zdając sobie dzisiaj zgoła sprawy z tego, kto był właściwie jej twórcą.

»Śpiew rzemieślników polskich« oparł autor na koncepcie, który kiedyś miał powtórnie zużytkować w rozmowie rzesz rzemieślniczych, zgromadzonych na rynku krakowskim w oczekiwaniu przysięgi Kościuszki (»Kościuszko pod Racławicami«) — i raz jeszcze, pod sam koniec życia, w nieznanej sztuce »Jan III. pod Wiedniem« (rozmowa rzemieślniczej milicyi w oblężonej stolicy). Ten ulubiony pomysł Anczyca polegał na dowcipnem zużytkowaniu czynności każdego rzemiosła do walki z wrogiem. Więc krawiec skroi Moskalowi kurtę, garbarz wygarbuje mu skórę, tokarz dziurę wywierci, murarz cegłą po łbie zwali i t. d. Ta niewybredność pomysłu miała na oku rozbudzenie wojennego animuszu sfer, którym niewątpliwie podobać się musiała zuchowatością tonu i rozbudzeniem ambicyi, przez powołanie się na przykład rzeźnika Sierakowskiego, szewca Kilińskiego — i współczesnego blacharza Marcina Borelowskiego, dzielnego naczelnika oddziału w powstaniu styczniowem, któremu Anczyc w dalszym ciągu osobną pieśń poświęcił.

»Śpiew kmieci polskich« (w ten sposób dla uniknięcia nieporozumień zmienił autor pierwotny tytuł wiersza: Śpiew ludu polskiego) — odznacza się również znakomitą argumentacyą do chłopskiego rozumu i serca, właściwą znawcy ludu tej miary, jakim był redaktor »Kmiotka«.

Chodziło o to, o co ostatecznie rozbijał się każdy nasz ruch powstańczy: o poruszenie szarej

masy kmiecej, rozbicie twardej skorupy nieufności chłopa do pana, w której zakrzepło serce włościańskie pod wpływem wiekowego ucisku i sprytnych intryg wrogiego obozu. Argumentacya »Śpiewu kmieci polskich« jest przepyszna: uderza w to, co dla chłopa najświętsze, wyzyskuje różnicę wyznania, tępe i niezręczne narzucanie obrządku wschodniego dla celów rusyfikatorskich przy pomocy jaskrawych nadużyć; stara się przekonać chłopów, że bez potrzeby boją się panów (»Toć pan jeden, was pół kopy«) i nie wierzą w ich dobre chęci; wszakże »Rząd narodowy« zniósł czynsze i uwłaszczył chłopa — a gdyby się nie udało pokonać Moskali, wróciłoby wszystko do dawnego stanu i chłopi musieliby odrabiać pańszczyznę »ruskim popom«, a przytem pozbywać się najlepszych sił roboczych, które Moskal w »rekruty« bierze i na Kaukaz posyła.

Od ruszenia się mas chopskich zależała możliwość powodzenia ruchu — rozumiał to doskonale autor »Pieśni zbudzonych« i kwestyi tej poświęcił następny wiersz zbioru, najdłuższy w całym cyklu (248 ww.), p. t. »W Świętokrzyskim lesie« Doniosłość i aktualność tendencyi tego wiersza musiał cenić ponad inne, skoro uznał za stosowne wiersz opublikować. Opuściwszy 20 wierszy początkowych i nadawszy całości żywą formę dyalogu, ogłosił Anczyc utwór ten bezimiennie pod zmienionym tytułem: »Trzech Moskali — opowiadanie Walentego Kurka, kosyniera z pod Bodzentyna« — spisał W. K. L. Kraków 1863. Z Wywiałkowski, 8-vo str. 16. Wiersz ukończył autor w Warszawie, 12 sierpnia 1863 roku.

Walek, kosynier, opowiada staremu Bartosowi o swoim udziale w bitwie pod Bodzentynem, w której

trzech nieprzyjaciół trupem położył. Stary Bartos, konserwatysta, jest wyrazem opinii tej przeważnej większości masy chłopskiej, która upatrywała w rewolucyi »sprawkę szlachty«. »O pańskie wojują, Chciałoćby się, jak przed wiekiem, Robić breweryją, Orać, włóczyć, radlić człekiem« — na co mu Walek, »chłop przyszłości«, taką dosadną odpowiada argumentacyą:

»Kiej ci świnia lezie w zboże,
Lub w ogrodzie ryje,
Toś zły?«
— »Juścić cłek kij chwyta
I co siły wali« —
«I ten stary osioł pyta
O co bić Moskali?!«

I w dalszym ciągu powtarza argumenty ze »Śpiewu kmieci polskich«: jak to Moskal bierze parobczaki

I kajś poniewiera —
Pędzi aż na Syberyją,
Gdzie ma miasta z lodu,
A tam ci ich męczą, biją
I mrą z zimna, głodu« —

jak »depcze świętą wiarę«:

»...Wzniósł na księży rękę,
Pogruchotał Częstochowską
Najświętszą Panienkę,
Rąbie w trzaski, odpuść Boże,
Krzyże Zbawiciela...«

Nie wszystkie wiersze »Pieśni Zbudzonych« opierają się na konkretnej treści epizodów walki 1863 roku, jakkolwiek wszystkie apoteozie tej walki służą. Do tego rodzaju należy opowiadanie p. t. »Rozboje Moskwy«, wiersz poświęcony chwale żandarmów narodowych (»Żandarmy«), miły obrazek dziewczyny

u studni, którą polski ułan o wodę prosi (»Ułan«), smutna historya młodzieńca, którego narzeczona do boju, skąd nie wrócił, popchnęła (»Narzeczeni«) — wreszcie późniejszy wiersz p. t. »Carska psiarnia«, napisany pod wpływem nadchodzących z Litwy wieści o strasznych rządach Murawiewa.

Konkretnym wypadkom poświęcił autor wiersze następujące: w »Lelewelu« opisał czyny i bohaterską śmierć Marcina Borelowskiego, w »Jeńcu« opowiedział ujęcie w niewolę pod Unieckiem Kazimierza Wołskiego przez zmoskalonego Polaka Sierzputowskiego i rozstrzelanie jeńca, zdobyciu Sosnowiec poświęcił wiersz pod tymże napisem (»Sosnowce«) — a wreszcie, jakby umyślnie rytmem »Trzech Budrysów«:

»Szumi, szumi bór Litwy echem smutku, czy bitwy,
A od wieków ta sama brzmi nuta...«

powitał litewski hufiec Mackiewicza (»Poranek w borach Litwy«).

Końcowe wiersze zbiorku powstały zapewne w drugiej połowie 1863 roku: zwracając się z apostrofą do Rządu Narodowego, radzi nie tracić otuchy, skupić się, nie rozdzielać na partye (»Nie bądź biały, ni czerwony«) i zaprzestać oczekiwać pomocy od Zachodu (wiersz ma ogólną datę: w lecie 1863 roku).

Następująca apostrofa »Do Moskwy« jest pełnym siły zwrotem do »bożka o nogach z gliny«, pozorami świetności kryjącego próchno i zgniliznę wewnętrzną, która wróży rychły upadek.

Wiersz »Suum cuique« skierowany jest przeciw fałszowi i samolubstwu dyplomacyi europejskich mocarstw, dla których »*ultima ratio*« to wyłącznie własny interes.

Kończy zbiorek wiersz p. t. »Szubienica« — koniec symboliczny: szubienice na stokach cytadeli warszawskiej stanowiły tragiczne »*finale*« walki o wolność; narzędzie hańby uświęciło pięć ciał męczeńskich 5 sierpnia 1864 roku. — Uświęconemu stygmatem bohaterstwa drzewu męki poświęcił piewca 63-go roku ostatnią pieśń swojej hymnologii.

*
* *

Siłą faktu nasuwa się porównanie »Pieśni Zbudzonych« z »Pieśniami Janusza«: oba zbiorki wypłynęły wśród podobnych okoliczności, oba miały być w założeniu poetycką illustracyą toczącej się walki o wolność — nie dziw, że ton ich i ogólny charakter jest analogiczny. Jak »Pieśni Janusza«, tak i wiersze Anczyca mają przeważnie charakter liryków —w mniejszej części są to utwory opisowe (»W świętokrzyskim lesie«, »Rozboje Moskwy«, »Sosnowce«, »Poranek w borach Litwy«, »Do Rządu Narodowego«). Wspólny obu zbiorom ogólny nastrój: zadzierzystość tonu i owa filozofia barska, która rozumować wiele nie lubi i jedynie w torowanie drogi mieczem wierzy. Poza tą ogólną wspólnością tonu, spotyka się w treści tu i ówdzie i analogiczne motywy (por. »Rozboje Moskwy« z »Napadem«, »Narzeczeni« z »Pożegnaniem«, »Do Rządu Narodowego« z »Szlachtą na winie«) — a przedewszystkiem wspólną jest obu »pieśnioksięgom« nadzwyczajna rytmiczność formy, której w pierwszej linii zawdzięczają nieśmiertelność tak Pola »Krakusy« (»Grzmią pod Stoczkiem armaty«) i »Śpiew z mogiły« (»Leci liście z drzewa«) — jak Anczyca »Pieśń Strzelców« (jedyny wiersz — obok »W świętokrzyskim lesie« — znany z całego cyklu).

Ta wielka rytmiczność »Pieśni Zbudzonych« polega na symetrycznej kombinacyi jednorodnych miar w wierszu o przeważnie parzystej liczbie zgłosek. Najchętniej używa Anczyc krótkiego 8-zgłoskowego tetrametru trochaicznego z cezurą w połowie, zwyczajnie w kombinacyi z trimetrem tejże budowy:

— ⏑ | — ⏑ || — ⏑ | — ⏑
— ⏑ | — ⏑ | — ⏑

Wedle tego wzoru zbudowane są następujące pieśni: »Pieśń bojowa«, »W świętokrzyskim lesie«, »Lelewel«, »Ułan«. Jednolity tetrametr trochaiczny wykazuje »Śpiew kmieci polskich«, w którym pozatem dwa ostatnie wiersze każdej 6-cio wierszowej zwrotki, to dipodye amfibrachiczne: ⏑ — ⏑ | ⏑ — ⏑. Podobnąż kombinacyę trochaicznego tetrametru z amfibrachicznym dimetrem co drugi wiersz na przemiany ma »Śpiew rzemieślników polskich«. Wyłącznie trochaiczną budowę ma wiersz »Do Rządu Narodowego«, w którym po czterech tetrametrach trochaicznych w zwrotce, następują cztery dimetry trochaiczne, a zamykają zwrotkę znowu dwa tetrametry. Wiersz »Narzeczeni« kombinuje tetrametr trochaiczny z 7-mio zgłoskowcem trochaicznym (— ⏑ | — ⏑ | — ⏑ | —), »Carska psiarnia« takiż tetrameter z dipodyą 5-cio zgłoskową, w której pierwsza stopa jest amfibrachem, druga jambem (⏑ — ⏑ | ⏑ —).

W wierszach dłuższych przeważa 12-to zgłoskowiec o budowie amfibrachicznego tetrametru z cezurą w połowie: ⏑ — ⏑ | ⏑ — ⏑ || ⏑ — ⏑ | ⏑ — ⏑ (»Sosnowce«). Wzór ten kombinuje się z tripodyą amfibrachiczną (⏑ — ⏑ | ⏑ — ⏑ | ⏑ — ⏑) w wierszu »Do Ojczyzny« lub amfibrachiczno-trochaiczną

w »Burzy« (⌣ — ⌣ | ⌣ — ⌣ | — ⌣). Najdłuższym wierszem, 14-to i 10-cio zgłoskowym na przemian, pisany jest »Poranek w borach Litwy«, w którym wiersz dłuższy, to heksametr trochaiczno-amfibrachiczny z cezurą w połowie (— ⌣ | — ⌣ | ⌣ — ⌣ || — ⌣ | — ⌣ | — ⌣), krótszy zaś — tetrametr, z takichże miar złożony (— ⌣ | — ⌣ || ⌣ — ⌣ | ⌣ — ⌣). Przytem rytmikę tego wiersza podnosi rym wewnętrzny w heksametrze.

Z innych, szczególnie rytmicznych form w »Pieśniach zbudzonych« zasługuje na uwagę 10-cio zgłoskowy wiersz »Jeńca« o dwojakiej na przemian budowie: tetrametr z cezurą w połowie: — ⌣ | — ⌣ || ⌣ — ⌣ | ⌣ — ⌣ i pentametr trochaiczny z cezurą po drugiej stopie: — ⌣ | — ⌣ || — ⌣ | — ⌣ | — ⌣.

Wiersze »Rozboje Moskwy« i »Żandarmy« mają wspólny wzór 10-cio zgłoskowego tetrametru o symetrycznie ułożonych miarach amfibrachu i trochaju: ⌣ — ⌣ | — ⌣ || — ⌣ | ⌣ — ⌣, przyczem jednak pierwszy z nich kombinuje z tripodyą 8-mio zgłoskową: — ⌣ | ⌣ — ⌣ | ⌣ — ⌣, drugi zaś z 5-cio zgłoskową, w której ostatnia stopa jest jambiczna oraz rym męski: ⌣ — ⌣ | — ⌣ | ⌣ —.

Zmienione, nie mniej przeto symetryczne następstwo miar ma 10-cio zgłoskowy tetrametr »Zorzy wolności«: — ⌣ | ⌣ — ⌣ || ⌣ — ⌣ | — ⌣, kombinujący co drugi wiersz z 8-mio zgłoskową tripodyą: — ⌣ | ⌣ — ⌣ | ⌣ — ⌣.

11-to zgłoskowym wierszem napisane są »Hymn« i »Pieśń strzelców«, oba pentametry z cezurą po drugiej, z odmiennem jednak następstwem stóp; a mianowicie w »Hymnie« budowa rytmiczna jest następująca: ⌣ — ⌣ | — ⌣ || — ⌣ | — ⌣ | — ⌣, w »Pieśni strzel-

ców« zaś występują w arzie jamby: ‿ — | ‿ — | ‿ — ‿ | — ‿ | — ‿.

Śpiewność obu wierszy podnoszą refreny, o różnej zresztą budowie. W »Hymnie« występuje refren jednowierszowy o budowie: — ‿ ‿ | — ‿, w »Pieśni strzelców« zaś tworzą refren cztery wiersze o rymie męskim, z których pierwszy i trzeci ma formę jambicznej dipodyi: ‿ — | ‿ —, drugi zaś i czwarty takiejże tripodyi: ‿ — | ‿ — | ‿ —.

Ta przewaga miary jambicznej w »Pieśni strzelców« odróżnia ten wiersz od wszystkich innych w cyklu, nadając mu zgoła różny koloryt rytmiczny.

Widzimy przeto, że pod względem bogactwa rytmiki, śpiewności i sprawności tonicznej wiersza, przechodzącej, na ogół biorąc, o wiele ubóstwo rymu, nie ustępują »Pieśni zbudzonych« bynajmniej »Pieśniom Janusza«.

Ustępują im jednak niewątpliwie pod względem bezpośredniości odczucia i — co za tem idzie — barwności i plastyki w reprodukcyi.

Nie można bowiem o »Pieśniach zbudzonych« powiedzieć tego, co się mówi o »Pieśniach Janusza«: na bębnie obozowym wiersze Anczyca pisane nie były. Autor ich bowiem czynnego udziału w walce nie brał, zaczem wojenne pieśni jego nie były owocem bezpośredniego przeżycia.

O roli, jaką Anczyc odegrał w powstaniu styczniowem, dochowały się same mętne i niewyraźne wiadomości — w każdym razie nie była ona wielką, ni długotrwałą. Miał ponoś być zajętym w wydawnictwie tajnego organu Rządu Narodowego »Przyjdź Królestwo Twoje«, brał udział w tajnych zebraniach, popychany do łączenia się z ruchem zapewne i tem, że

brat rodzony Stanisław poszedł w lasy za innymi. Dnia 30 marca wyjechał nagle do Krakowa, gdzie do połowy kwietnia przebywał — później opowiadał synom, że schronił się przed aresztowaniem, które mu groziło. W zbiorze korrespondencyj dochowały się dwa ciekawe listy. Jeden z 4 kwietnia — drugi, za powtórnym przyjazdem do Krakowa, 23 maja 1863 roku — oba pisane dla zatarcia śladu umyślnie łamaną niemczyzną; pierwszy podpisany Lajos Jöskoly »*Stockungar — welcher kann nicht gut deutsch*« — drugi list nosi podpis: Franz Matysek. Na zapytanie przyjaciela, którego mianuje Karolem (Majewski?), donosi o aresztowaniach zbiegów i deportacyi ich do Ołomuńca i Igławy, o zorganizowaniu w Krakowie czterech biur »wywiadowczych« (sc. szpiegowskich), o rozbiciu na partye w obozie polskim, które się nawzajem paraliżują, o partyi Mierosławskiego, którą wini o sprowadzenie upadku Langiewicza, i o samym dyktatorze, który był dobrym żołnierzem, ale bardzo kiepskim politykiem — i wiele innych szczegółów, ciekawych dla historyi powstania styczniowego.

W każdym razie czynnego udziału w walce Anczyc nie brał, zmuszony uchodzić z Królestwa do Galicyi po odkryciu jego udziału w pracach organizacyjnych ruchu. Toteż »Pieśni zbudzonych« nie wyszły, jak »Pieśni Janusza«, bezpośrednio z atmosfery obozowej, przy wtórze strzałów działowych i okrzyków bitewnych i były pośredniem, dziennikarskiem rzekłbym odbiciem wrażeń i uniesień, jakie nadchodzące z pola walki wieści w bardziej zapalnych sercach budziły. W tem też tkwi zasadnicza różnica obu wojennych »śpiewników«, będących zresztą w treści odbiciem

jednakowego nastroju i kierunku myśli, w formie zaś wykazujących analogiczną sprawność muzyczną.

»Pieśni zbudzonych« były logicznem wysnuciem konsekwencyi ze stanowiska, zajętego w »Tyrteuszu« i »Uczcie Wyzwoleńca«. Myślowo utwory te uzupełniają się i tłómaczą wzajemnie. Formalnie z natury rzeczy są różne: Tyrteusz odkrył przyłbicę allegoryi, poza którą ukrył właściwą myśl i tendencyę — a za tem poszła i zmiana formy. Miejsce poematów o antycznym kolorycie i zaokrąglonych okresach retorycznych — zajęła krótka i grzmiąca pieśń bojowa. Tamte przemawiały do przewódców narodu, od których miało wyjść hasło — ta miała roznieść wici wojenne po chatach wieśniaczych i rzemieślniczych warstatach. Musiała być prostą przeto w pomyśle i jędrną w formie — i taką też przeważnie była. Tyrteusz musiał chlamydę greckiego piewcy zamienić na sukmanę Kazimierza Góralczyka, ażeby go rzesze rozumiały. Zaiste zdumiewająca też jest owa zdolność równoczesnego rozdwajania własnej indywidualności twórczej na dwie zgoła różne postaci, jakiemi są Anczyc-Tyrteusz i Anczyc-Góralczyk.

2: KAZIMIERZ GÓRALCZYK.

W pracy dla kmiotka. — Dziennikarka i publicystyka: ziarna i plewy. — Wydawnictwa popularne. — Koleje życia.

Cóż wspólnego mieć może formalnie Tyrteusz z — Kazimierzem Góralczykiem? Cóż twórca pieśni o potędze z kmiotkiem, który do swoich po swojemu

przemawia, a tak znakomicie w ich pogląd na świat się wczuwa, że niktby nie przypuścił, iż pod wieśniaczą sukmaną kryje się miejski tużurek? A to, co sermiężnej braci opowiada, jest takie zacne, takie dojrzałe, tak miłością ludu i dbałością o jego dobro tchnące — ale zarazem tak nic wspólnego z tyrtejskim wzlotem nie mające — iż zaprawdę tylko człowiek o iście proteuszowej organizacyi psychicznej mógł rozporządzać dwoma obliczami, w których ni jeden rys wspólny nie jest.

O ile »Tyrteusz« jest skończonym utworem sztuki, wzniosłym hymnem, dającym pełnię estetycznego zadowolenia — o tyle sześć roczników »Kmiotka« jest księgą, w której pulsuje życie szerokiej, szarej masy, życie szare, jak ów zagon-żywiciel, jak chłopska przyodziewa i jak owa chłopska — dola. A ponieważ w owe mroki wnosi »Kmiotek« prawdziwe promienie, zapala szczere, nie fałszowane tendencyą czy »partyą« światła — przeto jest dziełem społecznem, obywatelskim czynem — jak »Tyrteusz« jest natchnionym utworem poety.

*
* *

Wydawał był Orgelbrand pisemko ludowe pod mianem »Kmiotka« pomiędzy rokiem 1842—50. Pisemko, którego numer mieścił się na 4 stronicach in 4-to, redagował Leśniewski; nagłówek głosił — w nieszczególnej stylizacyi — że pismo obejmuje: Nauki religijno-moralne, przestrogi i objaśnienia, usuwające przesądy i zabobony, obowiązki i powinności względem panów i zwierzchności (oczywiście nie: usuwające), wiadomości i wyciągi z rozporządzeń i przepisów rządowych, tyczących się wszystkich mieszkańców

kraju, naukę zdrowia ludzi i zwierząt i łatwiejsze sposoby jego ratowania, naukę i przepisy dla różnych gałęzi wiejskiego i domowego gospodarstwa, wreszcie powieści i anegdoty i wiadomości nauczyć, zabawić i ciekawość ludzi zająć mogące i t. d.

Nie bez kozery przytoczyliśmy to *exposé* Leśniewskiego — obaczymy, że Anczyc w swoim »Kmiotku« wzorował się na tym programie.

Myśl wznowionego wydawania czasopisma ludowego podjął Glücksberg w 1860 roku; — pierwszy numer nowego »Kmiotka« ukazał się 1 lipca 1860 roku pod redakcyą Gregorowicza jako »pismo tygodniowe obrazkowe«, obejmujące na 8 stronicach in 4-to — obok ryciny tytułowej — wiele rycin w tekście. Było to więc wydawnictwo na szerszą skalę zakreślone. Artykuły były zszeregowane w następujące stałe rubryki: Opowiadania z Pisma św., Gospodarstwo wiejskie, Wiadomości z historyi naturalnej, Gawędy i Powiastki, Przysłowia i przypowieści polskie, Wiersze, Rozmaitości, Korrespondencye, Co się dzieje między ludźmi, Odpowiedzi i Zagadki.

W rubryce »Gawędy i Powiastki« wystąpił po raz pierwszy Anczyc pod pseudonimem Kazimierza Góralczyka. Artykuły te drukowano na osobnym łamie jako »Opowiadania Góralczyka« — a dodana rycina wyobrażała starego włościanina o kuli, wspierającego się laską; w drugiej ręce trzyma kurzącą się fajeczkę, a z w pół otwartych ust widać, że żywo prawi o czemś (str. 5, 29, 86, 125).

Nie wiele szerszej myśli w tych »opowiadaniach«. Góralczyk, to stary żołnierz napoleoński, który z bogatych wspomnień z czasów wojaczki po szerokim świecie czerpie treść do gawędy. Opowiada o zwadzie

w karczmie z piechurem, który na honor polskiego ułana nadeptał (str. 5), o ulubionych koniach, do których jak do dzieci własnych się przywiązał (str. 29), opisuje oblężenie Saragossy (str. 125). Czasem opowie gromadzie jakąś zmyśloną anegdotę, jak o owym psie, co to wlazł w moździerz i na bombie w szeregi nieprzyjaciół wjechał — a wtedy doda i moralną naukę, po której poznać twórcę Protazego, pokątnego pisarza: »nie idźcie do różnych obiboków wydrwigroszów o radę i tłómaczenie« — naucza — »co to na ustach nic u nich niema tylko pochlebstwo i potakiwanie; ale do tego, co ci często gęsto powie prawdę, wyłaje, wydonderuje, bo taki widać, że z prawdziwą dla ciebie jest przychylnością i nie pragnie zysku z ciebie, tylko twego dobra« (str. 86).

Wkrótce miał Góralczyk sposobność rozwinięcia programu, którego naczelnem hasłem było właśnie — dobro ludu.

Dwudziestego grudnia 1860 roku podpisał umowę z Michałem Glücksbergiem, właścicielem i wydawcą »Kmiotka«. Wedle tej dochowanej w papierach rodzinnych umowy, wydawca powierzał redakcyę pisma Anczycowi na przeciąg czasu od 1 stycznia 1861 roku do 1 stycznia 1862 roku za wynagrodzeniem w kwocie 450 rubli, płatne w ratach miesięcznych. Umowę tę odnawiał wydawca przez lat pięć — aż kiedy po upłynięciu pierwszego kwartału 1866 roku na numerze 13 (31 marca) z powodu zbyt małej liczby prenumeratorów był zmuszony wydawnictwo zawiesić.

Z prospektem pospieszył nowy redaktor dopiero po upłynięciu kwartału, kiedy już 13 numerów pisma rozeszło się pomiędzy czytających.

Prospekt ten, na ulotnej ćwiartce drukowany (egzemplarz w posiadaniu rodziny), wart dzisiaj przedruku; zawiera on *credo* redaktora »Kmiotka«, pierwszorzędnej wagi i dla Góralczyka — i dla sprawy włościańskiej wogóle — i dla peryodycznego czasopiśmiennictwa w szczególności.

Jasno i wyraźnie a po prostu, bez właściwego wszelkim prospektom bombastu i frazeologii, bez śladu jakiejkolwiek partyjnej kokieteryi — sformułował Kazimierz Góralczyk swoje stanowisko wobec sprawy ludowej, którą uważał za najżywotniejszą dla przyszłości całego narodu.

Przytoczymy ważniejsze ustępy orędzia: przedewszystkiem »edukcya światła« — stare hasło z wieku oświecenia — jest i tu zasadą naczelną.

»Światło tylko nauki, wniesione pod strzechy wiejskie może zrodzić poczucie godności osobiste człowieka, zamiłowania pracy, ono tylko może rozproszyć cienie przesądów i błędów, przełamać zakorzeniony upór i uprzedzenia.

Część tylko oświeceńsza narodu z korzyścią i wiadomością pracować może dla dobra kraju; człowieka ciemnego cóż obchodzi? Oprócz zaspokojenia potrzeb codziennych ciała nie zna on innych, a obojętnością swą stawia nieprzełamaną zaporę pracom około pomyślności ogólnej«.

Najwięcej sposobności do oświecania ludu mają ziemianie i duchowieństwo — a jednym z najlepszych środków do tego celu jest rozszerzanie odpowiednich pism pomiędzy ludem.

Jakiem powinno być pismo ludowe? — Pismo ludowe powinno zawierać »słowo prawdy« »napisane z uczuciem, zastosowane do pojęcia ludu, upowszech-

nione drukiem, przystrojone obrazkiem religijnym lub obyczajowym«.

Chcąc umysł ludu oświecać, »należy poczynać od serca« — a »przeto redakcya odłożywszy na czas późniejszy obszerniejsze traktowanie przedmiotów naukowych a nawet gospodarczych, uważa za najpilniejszą rzecz w obecnej chwili podnosić w ludzie wiejskim religijne i moralne uczucia, rozbierać i objaśniać przemianę stosunków rolnych« (— mowa o toczącej się kwestyi zniesienia pańszczyzny w Królestwie —), »usuwać wątpliwości, wiązać miłością chrześcijańską chaty z dworami, wytępiać nieufność, walczyć z fałszem i podżeganiami, budować a nie burzyć, nakoniec obudzać w włościanach miłość Kraju i bliźniego, chęć do pracy, zamiłowanie trzeźwości, porządku i oszczędności.

Gdziekolwiek zawita Kmiotek, wszędzie nieść będzie słowa pokoju, zgody i pociechy, zawsze w Imię Jezusa Chrystusa przemówi z miłością i pobłażaniem, przyjmijcież go z staropolską gościnnością«.

U dołu: Warszawa, dnia 2 kwietnia 1861 roku; podpisani: M. Glücksberg, wydawca i Władysław Ludwik Anczyc, redaktor. Data cenzury: 5 kwietnia 1861.

Wobec tak jasno postawionej kwestyi nie pozostaje nam nic innego, jak sprawdzić, czy »Kmiotek« pod redakcyą Anczyca trzymał się tego programu — boć na taki program każdy, szczerze swój naród miłujący, pisać się musi.

W podziale treści wzorował się Anczyc na dawnym »Kmiotku« Leśniewskiego, zmieniając rozkład Gregorowicza. Przez cały okres pod redakcyą Anczyca »Kmiotek« obejmował — z niewielkiemi zmianami — następujące działy: I. Część religijna, II. Nauki religijne

i moralne, III. Opowiadania Góralczyka z historyi polskiej (do połowy roku 1863 — potem przez dwa następne półrocza opowiadania z dziejów Litwy Janka Korabicza), IV. Rzeczy włościańskie, V. Historyjki i przypowieści, VI. Piękne przykłady, VII. Zwierzęta i drzewa, nie wszędzie pod tym nagłówkiem i nie we wszystkich rocznikach, VIII. Opisy miejsc, IX. Listy, X. Wiersze i bajki, XI. Różności.

Na pierwszym planie stanęła »Część religijna« w myśl prospektu, że »Kmiotek« przemawiać będzie w Imię Jezusa Chrystusa; wszak nie może być godniejszej i właściwszej drogi do rozpoczęcia gawędy z kmiotkiem, aniżeli pozdrowienie Imienia Syna Bożego.

W tej części umieszczał Anczyc artykuły treści czysto dewocyjnej, dewocyjno-dydaktycznej lub dewocyjno-egzegetycznej. Do pierwszych zaliczamy żywoty Świętych, które pośrednio oczywiście mają również cele dydaktyczne na oku, o ile zachęcają do naśladowania cnót lub odstręczają od występku. Czasem połączy Góralczyk wyraźnie opowieść z nauką moralną i opowiada np. »O pięciu świętych pustelnikach w Kazimierzu« (1861, półr. I, str. 33 — usiłuje wogóle jak najwięcej dać żywotopisów polskich świętych); — a ponieważ pośród słuchającej gromady znajduje się Franciszek, pogniewany ze szwagrem — więc Góralczyk potrafi tak opowieść nakierować, że obu wkońcu do zgody nakłoni.

Najwięcej tu jednak artykułów objaśniających: w sposób prosty i zrozumiały dla chłopskiego czytelnika objaśnia Góralczyk uroczystości kościelne w czasie Wielkiego Tygodnia, a każde objaśnienie kończy stosowna modlitwa (1861, I półr., str. 99) — tłómaczy

Zwiastowanie N. P. Maryi i nie zapomina dodać: »cześć Maryi nie na różańcach i koronce polega — ale na poczciwem życiu« (— str. 115) — wykłada znaczenie obrzędów kościelnych, (II półr. — według »Szkółki kościelnej«) cel święcenia niedzieli, treść obrzędów przy chrzcie św. (1864, półr. II), opowiadania z Pisma Św. (1865, półr. II). W tej części podał wiadomość i wezwał do westchnienia za dusze pięciu ofiar, poległych 27 lutego na ulicach Warszawy (1861, półr. I, str. 73 »Pogrzeb«). A choć mu nie wolno było mówić, za co polegli — przecież nie wahał się opisać pogrzebu, w którym stotysięczna masa odprowadzała trumny nad mogiłę, gdzie legli społem w zgodzie i braterstwie: dwaj dziedzice, student, rzemieślnik i wyrobnik.

»Nauki religijne i moralne« schodzą się często z artykułami pierwszego działu. Do takich należą »Rozmowy starego Wojciecha z ludem wiejskim« (1861, półr. II) — w których rozbiera po kolei dziesięcioro przykazań — oraz grzechy główne. Artykuły te mogą służyć za wzór dla każdego wiejskiego proboszcza, jak o tych rzeczach lud pouczać należy.

O treści »nauk moralnych« informują nagłówki: »Niech się bracia między sobą miłują« (1861, półr. I, str. 93), »Jak złe omijać« (1862, półr. I), »O męczeniu zwierząt« (1863, półr. I, str. 187). Zresztą myśli podobne napotykamy i na wielu innych miejscach w numerach »Kmiotka«. Każda historyjka lub przypowiastka (V. Historyjki i przypowieści) pisana jest w tendencyi etycznego podniesienia kmiotka; toteż wiele z nich obrało sobie za tytuł przysłowie, lub formę przysłowia: »Gdzie zgoda, tam Pan Bóg mieszka«, »Zgoda buduje a niezgoda rujnuje«, »Nie ukryje się szydło w worku« (1861, półr. I), »Kto pod kim dołki kopie...«, »Przestawaj na

swojem« (1861, półr. I), »Na kradzionem nikt nie tyje«, »Nie gardź stanem wieśniaczym«, »Kto się ze zwierzętami dobrze obchodzi, nigdy na tem nie traci« (1864, półr. I), »Jak ojcowie dzieci chowają, taką z nich potem pociechę mają«, »Póty dzban wodę nosi, póki się ucho nie urwie« (1865, półr. I), »Czcij ojca twego i matkę twoją«, »Kogo P. Bóg stworzy, tego głodem nie umorzy« (1865, półr. II) — i wiele innych przeciw kłamstwu, chciwości, nie przestawaniu na swojem i tym wszystkim wadom i przywarom, przed któremi przestrzega katechizm. Tutaj warto zanotować, że Góralczyk opowiedział gromadzie treść »Błażka opętanego«, którego pewno widział w mieście na scenie, jako że był człek bywały (»O Błażku parobku, który chciał się dyabłu zaprzedać, żeby być panem« — 1865, półr. II, str. 252 i 262, z dwoma rycinami).

Największego wroga dla wszelkiej akcyi, zdążającej do umoralnienia i uświadomienia ludu, upatrywał redaktor »Kmiotka« w alkoholiźmie, zgodnie ze stanowiskiem, zajętem od pierwszego scenicznego obrazka ludowego. Od pierwszych numerów »Kmiotka« rozpoczął kampanię przeciw temu najpotężniejszemu wrogowi — i trwał w niej wytrwale aż do końca. Wskazywał »do czego gorzałka nie doprowadzi« (1861, półr. I, str. 150) — i z ironią wołał »niech żyje gorzałka, czyli jaki z gorzałki pożytek dla ciała a jaki dla duszy« (1861, półr. II, str. 326, 334) — objaśniał »skąd się wzięła gorzałka« i opowiadał »historyjkę dla tych, co się w niej kochają a na zgubę ciało i duszę oddają« — wystawiał »okropne skutki pijaństwa« (1862, półr. I), straszył gadką o tem, »jak się pijanica Bartek za życia dostał do sieni piekielnej« — rozrzewniał powieścią »jako gorzałka zabiła sieroty, a ojca wyprowadziła na wy-

gnanie« (1862, półr. II). Pisał o tem do Walentego Kowalczyka w Lipnikach (1863, półrocze I): »Wojuję ja już trzeci rok z tą gorzałką, a nie mogę przecież jej zwyciężyć, rzecz to prosta, bo co od tylu lat nas męczy, to się od razu nie da stłumić«.

Tendencyę umoralniającą mają w »Kmiotku« »Wiersze i bajki«; są między nimi i takie, o których Góralczyk mawiał: »Bajki są jakby leśne jagody, ale niemi głodu nie nasycisz; kto się chce posilić, musi zjeść chleba, ziemniaków albo kapusty. Tak też próżnem bajaniem nie zasili się dusza, bo jej trzeba nauk prawdziwych i użytecznych. Bajką bawi się dziecko, człek stateczny prawdą« (1861, półr. I, na czele opowiadań z historyi polskiej).

Jednak mała tylko część rymów w »Kmiotku« jest tylko »próżnem bajaniem« jedynie gwoli zabawienia czytelnika. Większość ma wyraźny cel moralizatorski. Są to — wedle wyrażenia Góralczyka na innem miejscu (1861, półr. II, str. 409) — »różne wierszyki do składu, bajeczki i historyjki z obrazkami, co to niby dla wesołości i śmiechu, ale w każdej na spodku można znaleść jakąś dla człowieka naukę«.

Wśród wierszów — utwory Lenartowicza: »Zachwycenie« (1861, półr. II., str. 390), »Wiosna«, »Mazur«, »Błogosławiona« (1862, półr. I), »Jesień« (1862, półr. II), i wiele wierszy Góralczyka, wśród nich na pierwszem miejscu wspaniała w prostocie i podniosła w treści »Modlitwa kmieci« (1861, półr. I, str. 62).

To wszystko dążyło do wyrobienia ludzi uczciwych, do umoralnienia ludu, do podniesienia poziomu etycznego. To było wypełnieniem obietnicy, że redakcya będzie »podnosić w ludzie wiejskim religijne i moralne uczucia«.

Równie wielki nacisk kładł »Kmiotek« na oświatę, na rozwinięcie umysłowe ludowej rzeszy. Niemal na każdej stronnicy nawoływał »Kmiotek«: »Uczcie się bracia rolnicy«, »trzeba się uczyć czytać«. Na rozstaniu niemal napisał Góralczyk: »Niema nic szkodliwszego jak brak oświaty; człowiek, choćby najpracowitszy, jeżeli mu braknie jakiej takiej nauki, łatwo się da wywieść w pole pierwszemu lepszemu oszustowi, który ciągnie z niego jak pijawka i niszczy grosz, w pocie czoła zarobiony. Od samego początku, jak piszę Kmiotka, zawsze i zawsze wołałem do was »uczcie się bracia«. Wierzcie mi bracia, że to była największa nagroda za moją pracę i prawdziwą miłość dla was, kiedym widział, że słowo z serca wyszłe trafia do waszych serc, że nie nadaremnie pracuję i że powoli lud wiejski Polski wyjdzie z ciemnoty i nędzy, a będzie zamożny jak pobratymcy jego szlązcy i czescy włościanie... Kto wie, czy długo jeszcze do was przemawiać będę, ale dopóki jeszcze Kmiotek dochodzi do niektórych wsi, dopóki choć kilkuset ludzi go czyta, dopóty nie przestanę na was wołać: Uczcie się bracia! Uczcie dziatki wasze! i powtarzajcie słowa moje sąsiadom z innych wsi. Zaniechajcie gorzałki, kochajcie pracę, bądźcie pobożni i cnotliwi«.

Poza gorącem wezwaniem do nauki i propagowaniem myśli zakładania szkółek wiejskich — celom oświatowym służyły artykuły pomieszczane w działach »Zwierzęta i drzewa«, »Opisy miejsc«, »Opowiadania pod dębem«, które w drugiem półroczu 1864 r. zastąpiły miejsce »Nauk religijnych i moralnych« a obejmowały popularne wykłady o częściach świata, o Ziemi św.

i jej losach, o różnych krajach (»Krótkie opowiadania dziadka« (1864, półr. I), o ważniejszych wypadkach z historyi powszechnej i t. p.

Z historyą ojczystą zaznajamiał Góralczyk braci włościan w opowiadaniach, w których objął całość dziejów ojczystych, od Mieszka I, do Stanisława Augusta Poniatowskiego (1861, półrocze I. — 1863, półrocze I).

Osobny cykl stanowiły również artykuły, poświęcone sprawie uwłaszczenia włościan, która właśnie wówczas weszła w Królestwie na porządek dzienny. Sprawa była zawiła, komplikowała ją jeszcze więcej nieufność chłopa do wszelkich zmian zasadniczych (— wszak chłop z natury reprezentuje najbardziej konserwatywny element —), brak ściślejszego związku pomiędzy dworem a chatą, zrywanego w dodatku przez rozmaitego rodzaju indywidua, które zwyczajnie mnożą się w chwilach przełomowych i usiłują zmętnić wodę, celem chwytania ryb we własne więcierze; — a przytem Góralczyk patrzał zblizka na rok 48, na chłopską arystokracyę i całe zamieszanie wszelkich społecznych i ekonomicznych względów, jakie wywołało załatwienie tej sprawy pod zaborem austryackim.

Teraz stanął na stanowisku czasowego oczynszowania (6-letniego) i przemawiał w tej materyi z całą serdecznością, na jaką go stać było (dział IV. Rzeczy włościańskie: »Gawędy wiejskie o oczynszowaniu« 1861, półr. I., str. 57, 65, 81, 97, 99, 113, 137; »O pańszczyźnie, czynszu i opłacie za czynsz od św. Michała« 1861, półr. II). W gawędach tych starał się wypełnić to, co obiecał w programie — a więc »wiązać miłością chrześcijańską chaty z dworami, wytępiać nieufność, walczyć z fałszem i podżeganiami,

budować, a nie burzyć«. Więc powtarzał na wielu miejscach: »dwór potrzebuje gromady, a gromada dworu«, »niechaj was Bóg strzeże najmilsi bracia od złych podżegaczy, kochajcie się i miłujcie wzajem z dworem a dwór z wami, na tem tylko pozyskacie, bo gdzie zgoda, tam P. Bóg mieszka« i t. p.

Cele edukacyjne ma na oku również wiele »historyek i powiastek« — a co i tu się nie mieściło, umieszczał w »Różnościach«: więc tępił rozmaite zabobony, grasujące pomiędzy ludem, w powiastce »baby doktorki«, »Kociubina lekarką«, w »gawędach niedzielnych profesora szkółki wiejskiej z gromadą« (1862, półr. II) — na wielu miejscach występował przeciw różnego rodzaju »obibokom«, niepowołanym doradcom ludu, pokątnym pisarzom i t. p. — i któżby wyliczył te wszystkie wielce użyteczne wykłady o tem »jak się papier robi«, »jak szkło robią», »o morzu«, »wynalazek druku«, »skąd się wiatr bierze« — i wiele innych z najrozmaitszych dziedzin wiedzy, a wszystko zjawiska elementarne, napotykane codziennie, których przyczynę znać i rozumieć się godzi.

A również z tak ważnej dziedziny artykuły, jak z zakresu hygieny ciała, odzieży, pożywienia, mieszkania — rzeczy przerażająco zaniedbane pomiędzy ludem — zajmują nie ostatnie miejsce na łamach »Kmiotka«; — więc pouczenia »o mieszkaniach włościańskich«, »o porządku i czystości« — i »przestrogi dobrego przyjaciela« (1863, półr. II, w »Różnościach«) na temat chleba, mięsa, okrasy, owoców, grzybów, napojów, mieszkań wiejskich, powietrza, odzieży, ochędóstwa ciała i t. d. — i »jak poznać szkodliwe grzyby«, »jak ratować zmarzniętego«: — to wszystko dążyło do wyrobienia zdrowego ducha w zdrowem ciele.

A że mazowiecki chłopek znać powinien braci po innych ziemiach Rzeczypospolitej zamieszkałych — więc opowiadał mu Góralczyk o bracie z pod Skalmierza i Krakowa, o tatrzańskim góralu i hucule z wschodnich krańców — a przytem wywodził wymownie, jaki to zaszczytny jest stan włościański, jak każdy stan ten szanować winien.

A że pragnął, ażeby chłop polski był nie tylko uczciwym i oświeconym członkiem społeczeństwa — ale i zamożnym, więc projektował zakładanie kas pożyczkowych, dawał fachowe rady gospodarskie, »jak się obchodzić przy kupnie koni«, »jak można przechować jaja«, »jakie kury najlepsze« — pouczał o sadach, pszczołach — i pod nagłówkiem »Gospodarstwo na zagrodzie« ogłosił wskazówki księdza Stelmasiewicza w sprawie regulacyi gruntów, budowli gospodarskich, osuszania gruntów, hodowli koni i rogacizny (1863, półr. II) — i wiele innych wielce użytecznych nauk, zdążających do podniesienia włościańskich gospodarstw.

A że rozumiał znaczenie emulacyi w szeregach prostodusznej rzeszy, więc w dziale »Piękne przykłady« pomieszczał wiadomości »o ludziach poczciwych, zasługujących, aby o nich wszystkie gromady wiedziały«; — gdzie posłyszał o założeniu szkółki wiejskiej, ochronki dla dzieci, towarzystwa wstrzemięźliwości lub kasy pożyczkowej — zaraz drukował nazwiska inicyatorów lub gorliwych członków i stawiał ich za wzór innym braciom siermiężnym.

Pierwsze zwłaszcza roczniki »Kmiotka« wypełniał Góralczyk niemal wyłącznie własnemi siłami. Jak mało kto potrafił przemawiać do gromady i ani razu nie wypadł z roli Kazimierza Góralczyka, włościanina, który o wiele więcej wie od innych braci, ale który

formą swoich nauczań wydał im się swojakiem z krwi i kości. Obierał zwyczajnie formę dyalogu, rzadziej powiastki, gawędy lub swobodnego opowiadania — a zawsze potrafił utrzymać tok mowy prosty, wykład jasny i przystępny nawet w bardzo zawiłych sprawach, jak w sprawie oczynszowania włościan. Nie nużył czytelnika lub słuchacza, bo zawsze potrafił zręcznie wpleść przypowieść, przykrasić dowcipną anegdotką, a w dyalogu, który często przybierał formę dyskusyi, dobierał tak jasnych, tak oczywistych argumentów, że oponent, wkońcu przyparty do muru, musiał przyznawać słuszność Góralczykowi.

To też gromada kochała swojego brata, który zawsze tak szczerze i po bratersku do niej przemawiał, tak zawsze uderzał o to proste, dziecięce serce pod zgrzebną koszulą. Pisali do niego listy z różnych okolic kraju, zapytywali o rady i wyjaśnienia — a on to wszystko drukował w »Kmiotku« i chętnem sercem zawsze odpowiadał, radując się tem zaufaniem, jakie w szerokich masach zdobył.

W liście do K. Estreichera z 4 marca 1862 roku donosi, że w ciągu roku »podniósł Kmiotka z 1100 prenumeratorów na 3400« — do czytelników zaś swoich pisał: »O nic mi więcej nie idzie, jak tylko, żeby śród was była pobożność, praca, poczciwość, nauka i zgoda, dla tej myśli pracuję i proszę Pana Boga w Trójcy Św. Jedynego i Najświętszej Panienki, Królowej naszej, aby mi w tej pracy dopomógł«.

I doczekał się Góralczyk nagrody, która była chyba największą, o jakiej mógł zamarzyć. Pewnego dnia zapukała do drzwi gromadka włościan, dopytując się o Góralczyka, co pisze w »Kmiotku« — przyszli mu podziękować za wszystko poczciwe, czem ich darzy.

Najpiękniejszy dzień w życiu przeżył wtedy Kazimierz Góralczyk.

Tych pięć roczników »Kmiotka« — to nieprześcignięte do dzisiaj arcydzieło na polu peryodycznego czasopiśmiennictwa ludowego tak treścią, w której redaktor objął całego człowieka, omówił jego fizyczną i duchową stronę — jak i formą, w której dał wzorowy przykład, jak należy do ludu przemawiać, ażeby być rozumianym. Z tych pożółkłych kart wieje dzisiaj duch wielkiego umiłowania kmiotka, duch szczytnego altruizmu, który pragnął przygarnąć szarą gromadę w ciepłe ramiona i wyrobić w niej silne na duchu i ciele, ekonomicznie niezawisłe jednostki, wierząc silnie, że ona to właśnie ten, którego imię 44 — wzamian zaś zrzekał się nawet rodowego nazwiska, by tem łatwiej pod swojskiem brzmieniem przemawiać jak swój do swego.

»Kmiotek« Anczyca — to złota księga wielkiej, obywatelskiej a nierozgłośnej zasługi, to konkretny, zbożny a cichy czyn filantropa (= tego, który kocha ludzi), o którym się rychło zapomina, choć się o nim zapominać — nie godzi.

Rozumiemy, że przykro było Góralczykowi rozstawać się z bracią, do której lat szereg przemawiał; w ostatnim numerze żegna się z nią, a w żegnaniu owem łzy czuć i żal rozłąki.

»Przez pięć lat« — pisze — »starałem się zaszczepić w sercach waszych miłość Boga i ludzi, uczciwość, cnotę, chęć do pracy i do nauki, pogardę próżniactwa i obrzydłej gorzałki, trującej waszą pomyślność... — garnijmy się do nauki, pracy i trzeźwości ze wszystkich sił i nie dajmy się wyprzedzić żadnemu narodowi. Niech próżniactwo, ciemnota i pi-

jaństwo będą wypławione z pośród nas, jak nieużyteczny chwast z ogrodu, a niechaj zakwitnie pomyślność i szczęście«. A zebrawszy wszystko, co był przez te pięć lat w »Kmiotku« powiedział, w dziesięcioro jakoby przykazań włościańskich, które powinny się znaleźć w każdej izbie chłopskiej, przybite na ścianie obok świętych obrazów — tak żegna gromadę: »A teraz bywajcie zdrowi najmilsi braciszkowie, ze łzami i ściśnionem sercem żegnam się z wami. Niech was Bóg ma w swojej opiece, niech wam błogosławi na dzieciach i dobytku, niech wszystkie szczęście zleje na wasze głowy, oświeci rozum i pomyślność waszą ustali. Bywajcie zdrowi najukochańsi bracia Włościanie, a zostawcie choć mały zakątek w sercach waszych dla waszego brata i przyjaciela do śmierci«.

Takie były ostatnie słowa Kazimierza Góralczyka.

*
* *

Redagowanie »Kmiotka« nie wypełniało całej działalności Anczyca w Warszawie: jest tylko tej działalności częścią najbardziej cenną a przez jednolitość myśli i planowo pomyślaną akcyę obywatelską, jest jednym z kamieni węgielnych, na których winna się oprzeć wdzięczna pamięć u potomnych. Poza »Kmiotkiem« brał Anczyc żywy i nieprzerwany udział w życiu dziennikarskiem, zasilając artykułami inne peryodyczne wydawnictwa warszawskie; cała ta, obfita na ilość produkcya, wywołana koniecznością zarobkowania, nie wykazuje dosyć zasadniczych rysów, ażeby ją można ująć w systematyczne ramy. Znaczny jej procent można skreślić bez szkody, jako zbyt związany z chwilą produkt dziennikarza-fejletonisty; poza

tą jednak makulaturą, do której sam autor wagi pewnie nie przywiązywał, pozostaje wiele artykułów wierszem i prozą, o których dla zasadniczych względów pomówić się godzi.

Mimo objęcia redakcyi »Kmiotka« Anczyc pozostał nadal w gronie współpracowników »Tygodnika illustrowanego«.

Na łamach tego pisma pomieszczał w dalszym ciągu opisy miejscowości, zabytków i pomników historycznych; opowiadał o kościele P. Maryi w Krakowie (1862, t. V, str. 16), o zamku krakowskim (1862, t. V, str. 77, 87), kaplicy w Podhorcach (1862, t. V, str. 86) bramie w Częstochowie (1862, t. V, str. 224), pomnikach Jana III. i Michała Korybuta w katedrze wawelskiej — opisywał wygląd Krakowa w XVI w. (1862, t. VI, str. 36), kościół św. Barbary w Krakowie (1863, t. VII, str. 120), izbę pańską czyli radziecką w dawnym ratuszu krakowskim (1863, t. VII, str. 140), Swoszowice (1862, t. VI, str. 98) i Żółkiew (1863, t. VII, str. 187) — dawał historyczne i statystyczne wiadomości o krakowskiem przedmieściu Kazimierzu (1863, t. VIII, str. 280), zaopatrywał w tekst rycinę, wyobrażającą północną stronę Wawelu (1863, t. VIII, str. 296), opowiadał o grocie Łokietka w Ojcowie (1863, t. VIII, str. 448), o Wieliczce i Jaworzynie (1864, t. IX, str. 68), o wspaniałym rynku krakowskim (1865, t. XI, str. 95), klasztorze Norbertanek na Zwierzyńcu (1866, t. XIII, str. 16), Bielanach (1866, t. XIV, str. 229), Skałce (1867, t. XV, str. 124) i zabytkach archeologicznych w skarbcu krakowskim (1867, t. XVI, str. 186). Pisał o tych rzeczach ciepło, bo znał je dobrze, kochał i tęsknił.

Na czoło artykułów, pisanych prozą w »Tygodniku illustr.«, wysunąć należy cykl »Obrazów krakowskich«, drukowanych w 1862 r. (t. V), a mających niezaprzeczoną i trwałą wartość etnograficzną.

Najlepsze świadectwo wydał im Oskar Kolberg, odwołując się na nie w tej części dzieła, która mówi o krakowskim chłopie, i przedrukowując tamże bez zmiany opis krakowskiego wesela. »Obrazy krakowskie« dają pełne pojęcie, jak gruntownie znał autor lud krakowski, jego stronę zewnętrzną, ubiór, mieszkanie, zwyczaje i obrzędy — i jego wewnętrzne życie, jego psychologię. Zdumiewa wszechstronność, z jaką autor nakreślił te obrazy pod względem historycznym, topograficznym i ludoznawczym.

Zaznaczywszy we wstępie (str. 117) w pięknych słowach moc i siłę przywiązania do ziemi ojczystej, przypomniawszy sobie coroczne swoje wędrówki, podejmowane celem poznania wszystkich zakątów okręgu dawnej rzeczyposp. krakowskiej, wprowadza podział mieszkańców wsi krakowskich na: Ogrodniczan, Świątniczan i Prądniczan — podział przyjęty potem przez Kolberga. Motywuje swój podział różnicami charakterów, ubioru, obyczaju i zajęcia, opisuje chrzciny, zapusty, traczyk, szopkę, wesele w Czernichowie (str. 125), a opisy zdobią odpowiednie ryciny ołówka Kostrzewskiego.

Czasem wtrąca autor ważną i ciekawą wzmiankę dla biograficznych względów: i tak, kiedy opowiada o »ogrodnikach« (Łobzów i okolica), zaznacza, że przypatrywał się im na ich zbornym punkcie, na placu Szczepańskim, słynącym z targu doborowych jarzyn. 12 lat dziecinnego wieku spędził autor »Łobzowian« w jednej z kamienic na północnej stronie tego placu,

»skąd robił pierwsze spostrzeżenia psychologiczne nad życiem ogrodniczek«.

Dwa tylko »Obrazy krakowskie« nie zajmują się życiem wsi krakowskiej: jest to opis obchodu uroczystości 11 września w Krakowie (str. 191) — oraz święcony 10 maja obchód ustanowienia wolnego miasta z 1815 r.

Często musiał Anczyc zastępować Wacława Szymanowskiego i dostarczać »Kroniki tygodniowej«; żalił się w niej nieraz, że czytelnik żąda senzacyi, strawy jak najlżejszej i jakby z obawą przemycał pomiędzy brukowemi nowinkami myśli poważne, gromił lenistwo, lichwę, popieranie obcych wyrobów, frazesowiczostwo, napomykał często o potrzebie ludowej oświaty — trzymając się pięknie sformułowanej zasady: »Lepiej zawczasu wskazać, gdzie tkwi kolec, bo wtedy łatwo go uniknąć. Przejrzenie się tylko w czystem zwierciedle prawdy może wskazać plamkę na obliczu, którą zmyć trzeba« (1862, str. 3, »Kronika tygodniowa«).

Zdobył się nawet na większych rozmiarów nowelę, którą wydrukował p. t. »Eureka«, szkic szczęścia ziemskiego« — i po raz pierwszy skrył się pod pseudonimem: A. W. Lasota (1863, str. 470, 79, 91, 502). Jest to jedna z bardzo nielicznych w twórczości Anczyca prób poważnej powieści. W 19 rozdziałach zawarł autor historyę Zosi i Kazia, których połączyła miłość, zwalczając przeszkody, stawiane przez życie, którym na krótko zaświeciło promienne słońce szczęścia, ażeby tem mocniej odczuli chłód niedoli i poznali, że prawdziwe szczęście nie z tego świata.

»Szkic szczęścia ziemskiego« — jest próbą zu-

pełnie chybioną; melancholijnym patosem i ponurym nastrojem odbija rażąco od uśmiechniętej zwykle prozy Anczyca, która umiała być złośliwą lub czasem poważnie moralizującą, której jednak w masce Byrona nie było do twarzy. Ciekawą jest »Eureka« i z tego względu, że musiała być owocem duchowej depressyi, której autor rzadko się poddawał a jeszcze rzadziej szukał dla niej ujścia w wypowiedzeniu się słowem pisanem.

Nie skąpił Anczyc »Tygodnikowi« utworów rymowanych. Są to w przeważnej części utwory satyryczne, do których autor miał szczególne uzdolnienie. Trzymał się tutaj pewnego z góry przyjętego planu: w pierwszych numerach drukował »Tygodnik« cykl wierszy pod nagłówkiem »Wiek przeszły« i »Wiek teraźniejszy« — teraz nastąpiła serya »Illustrowanych przysłowi«. Plan był doskonały: przysłowia, ten Sezam zbiorowych maksym i wskazań, miały otrzymać dowcipną opowiastkę rymowaną i odpowiednią rycinę. Z zadania wywiązał się Anczyc mniej lub więcej udatnie. Należy jednak zaznaczyć, że wszędzie wskazywał »czyste zwierciadło prawdy«, nie owijając prawdy w bawełnę.

Do słabszych wierszy z cyklu »Illustrowane przysłowia« zaliczamy: Jaka praca, taka płaca (t. IX, str. 80), Głodnemu chleb na myśli (t. IX, str. 100), Mędrsze kurczęta od kokoszy (1864 r., str. 376), Która krowa wiele ryczy, mało mleka daje (1864 r., str. 473) — do lepszych: Kocioł garnkowi przygania a obydwa smolą (1863, str. 452), Każdy dudek ma swój czubek (1864, str. 296) — i doskonały: Modli się pod figurą a dyabła ma za skórą (1864, str. 248).

»Kocioł garnkowi przygania...« daje dwa wize-

runki: pana i chłopa. Pan siedzi w eleganckim gabinecie restauracyjnym i deliberuje smutno nad obdłużoną hipoteką, nad potrzebą szkółek dla chłopa i stosunkiem dworu do chaty — ostatecznie w dzisiejszych czasach lepiej chłopu, aniżeli panu:

Bo, co chłopu? co mu trzeba
Gdy ma parę kop w stodole,
Razowego kawał chleba
I zasiane zbożem pole?
U mnie długi i kredyta,
Hipoteki *et caetera*,
Chłop ma wódkę — to i kwita.
Garçon! flaszkę Roederera!

I »*garçon*« przerywa smutne medytacye obdłużonego pana, znosząc to nową butelczynę wina, to tuzin ostryg, to bażanta, to serów na zakąskę.

A równocześnie nie mniej smutno rozmyśla chłop: sparł się oburącz o stół w karczmie i pociąga z kwaterki, zakąsając sperką. Turbacyi i kłopotu ma bez liku: w domu bieda, brak chleba i rąk roboczych, bo dzieciska do szkoły żenią, za co nawet gospodarzowi nic zapłacić nie chcą. Niema to jak panu!

Co tam panu? jako w niebie
Siedzi w cieple, na kanapie,
Każdy prosi go do siebie,
Jak chce — pije, jak chce — chrapie.
A ty chłopie wciąż rób ino,
W domu bieda, zwady, sprzeczki,
A pan sobie spija wino.
Hej, karczmarzu, gorzałeczki!

Obaj kończą jednaką konkluzyą: pan sprzeda wioskę, a kupi w mieście kamienicę; chłop rzuci gospodarkę i pewnie wyemigruje, chociaż o tem dopiero po latach powie autor obszernie.

I pan — kocioł i chłop — garnek nie widzą, że nie przez szynk droga do poprawy stosunków ekonomicznych.

Zebrało się trzech maniaków — a każdy ma odrębny czubek: domorosły poeta, któremu »Tygodnik« nie chciał wydrukować wiersza, koniarz zapalony i — »wynalazca«. Każdy prawi z zapałem o swojej pasyi — a »poeta« rozwija nawet obszerniej swój »system«, swoją nowożytną »sztukę poetycką«:

Niby z wiersza są mozoły!
Gdy masz we łbie rym w porządku,
Spisuj go jak w płocie koły,
Potem dorób sens z początku
I płot stoi; krótki wykład:
Rymy rzędem z góry na dół
Popod sobą pisz. Naprzykład:
Jaśnie, gaśnie — zadął, padoł —
Stref, lew — bór, spór. W tym sposobie
Mam już rymy — reszta będzie,
Gdy z początku sens dorobię:
W poranku słońce wschodziło jaśnie,
Dlaczegoż teraz blask jego gaśnie?
Oto wicher straszny zadął
Strąca chmur nawałę w padoł
I zabrzmiał z górnych stref,
Rycząc jak w pustyni lew,
I w obłokach ponad bór
Z walką wichrów wiedzie spór.

Przyjaciele: koniarz i »wynalazca« z wielką uwagą słuchają wykładu »poety«, zdumiewając się nad prostotą tak uproszczonego wierszoróbstwa.

Głębią i powagą myśli wyróżnia się poetycka illustracya przysłowia: Modli się pod figurą, a dyabła ma za skórą. Gdy inne wiersze tego cyklu pod —

bardzo przejrzystą zresztą — ironią skrywały potępienie wad dostrzeżonych lub dowcipnie ośmiewały często napotykane słabostki ludzkie — ten zbywa się humoru, odrzuca półuśmiech satyryka — a silnem słowem godzi w tę największą zarazę ducha: hipokryzyę. Trzy typowe osobniki przywodzi poeta i zdziera z nich bezlitośnie maskę obłudy: panek, który koronkę odmawia i do Chrystusa często się modli i niedzielnego nabożeństwa by nie opuścił — a »słowom Jezusa wbrew czyni«, bo w głębi duszy ma epikurejskie »*odi profanum vulgus*«, bo dla tych maluczkich, najbardziej przez Syna Cieśli umiłowanych nie ma nic, prócz wzgardy i »rasowej« nienawiści, zaskorupiony, jak ślimak, w klasowym egotyźmie — i drugi okaz, ten najczęściej napotykany, baby-dewotki, jędzy i plotkarki w życiu — i trzeci, najciekawszy, poeta »co to przed laty

Ludzkość całą wydobyć chciał z brudu,
Pijał zdrowie i kmiotków i ludu« —

a dziś:

»Przelewa w pół-panków obronie,
Jeśli nie krew, to chociaż atrament,
To dla grosza, pieczonki, szampana,
Wietrzną biedak stał się chorągiewką«.

I kończy silnym zwrotem ogólnym przeciw obłudzie, jako jednemu z największych szkodników społecznych:

O jest takich tu wielu niestety,
Co pod maską ukrywszy oblicze,
W społeczeństwie wciąż ryjąc jak krety,
Sieją wkoło niesnaski, gorycze.
Hipokryzya ich sztandar zdradliwy.
Sprawy czarta pod twarzą anioła,
Każdy środek jest dla nich godziwy,
Jeśli tylko osiągnąć cel zdoła.

Czy głoszeniem swych zasług ogromnych,
Mędrek własną nikczemność zasłania;
Czy pomimo swych zasad niezłomnych,
Powierzony, sierocy grosz strwania;
Czy socyalnym frazesem ćmi ludzi,
Czy fanatyzm rozżarzyć zamierza —
W prawem sercu wstręt, wzgardę obudzi.
. . . .

Jest to wyjątkowy w literackiej spuściźnie Anczyca wiersz, w którym poeta przybrał ton kaznodziei, ciskającego z publicznej mównicy silne oskarżenie przeciw tym, którzy w życiu prywatnem i publicznem »słowom Jezusa wbrew czynią«.

Również poza ogólny zakres i charakter twórczości autora »Emigracyi chłopskiej«, występuje jedyna — zdaje się — ballada, jaką poeta w życiu napisał — ogłoszona pod napisem »Świadectwo nieboszczyka« (r. 1863, str. 252), a ozdobiona ryciną Kossaka.

Ballada *à la* Stefana Witwickiego, z ponurą hipertrofią romantycznego nastroju. Umarł stary kasztelan; jeszcze pogrzebowe dzwony nie przebrzmiały a już rozgościł się w zamku syn z kompanią wesołych towarzyszy i urządza im wesołą stypę. Wyciągnął z kąta starego, wiernego sługę i każe mu wyznać, gdzie zmarły chował pieniądze. A kiedy w skrzyni jeno różaniec i włosienicę odnalazł, zamknął starego w lochu a sam usiadł do biesiadnego stołu.

»Wtem się wstrzęsły zamkowe posady,
Światła zgasły, wieje grobów woń,
Tylko oknem miga księżyc blady...«

I zjawia się, jak duch Banka, cień kasztelana, ażeby przekląć wyrodnego syna.

»Ballada« Anczyca spóźniła się o kilka dziesiątków lat, w tem jej błąd zasadniczy. Ta forma literacka zwietrzała już dawno, jak dawno już przestano odczuwać dreszcze przy lekturze »Lenory«. Zawszeć to jednak ciekawy okaz w produkcyi Anczyca. Na mieliznach dziennikarskiego wyrobnictwa napotykamy tu i ówdzie takie intrygujące rafy; jakby autor »Tyrteusza« wziął do serca słowa Szymanowskiego: »Czemu ten, któremu Bóg zesłał taką siłę słowa marnuje ten dar Boży na drobiazgi, na płoche igraszki umysłu, na grę zręczności i dowcipu« — i szukał drogi, marzył o poważnych koncepcyach, próbował twórczego rozmachu — a fala fejletonowych robót zalewała go i konieczność rozmieniania się na drobne miedziaki odbierała tęgość ruchu, tłumiła w zarodku tajne nasiona twórczych natchnień i rozwiewała złote sny o tworach, krojonych nie na miarę krawca-dziennikarza.

*
* *

O współpracownictwie Anczyca w »Wędrowcu« wiemy tylko z zapisek w bilansie domowym; od grudnia 1862 r. do czerwca 1863 r. był zajęty w redakcyi »Wędrowca«. Artykułów jednak nie podpisywał, a stawianie hipotez na podstawie pokrewieństwa cech treści i formy i przysądzanie niektórych artykułów Anczycowi pozostałoby zawsze problematyczne i nie wzbogaciłoby względów psychognostycznych. Sądzimy, że wystarczy poprzestać na ogólnej wzmiance. Dla tejże samej racyi musimy poprzestać jedynie na ogólnem zauważeniu, że i w roczniku »Przeglądu« Krakowowej (1867) znajdują się artykuły pióra Anczyca.

Baczniejszej natomiast uwagi wymagają dwa inne czasopisma warszawskie, w których Anczyc współpracował wybitniej: »Bluszcz« — pismo dla kobiet i — jeszcze więcej — »Przyjaciel dzieci«. Jakkolwiek z góry obawiamy się zarzutu paradoksalności, to jednak nie możemy się powstrzymać od upatrywania pewnej kongenialnej podstawy pomiędzy pismem dla kmiotków, kobiet i dzieci. Zwłaszcza kmiotek i dziecko stykają się na punkcie intellektualnej prostoty i dają łatwe tłumaczenie, że ten, który umie przemawiać do dużego dziecka w siermiędze, potrafi łatwo znaleść drogę do serca »rosnącego« pokolenia.

W »Bluszczu« pisywał Anczyc pomiędy październikiem 1865 r. a lipcem 1866 r. W artykułach tych — niewiele ich — nie napotykamy nic zasługującego na bliższą uwagę. W numerze gwiazdkowym zawarł p. t. »Sen w wigilię Bożego Narodzenia« (str. 53) wspomnienie opłatka z lat dziecinnych, cały patryarchalny nastrój tej uroczystości dawniej i współczesne jej obniżenie, jako jeden z wyników ogólnego zdegenerowania. W »Siedmiu latach Faraonowych« (str. 101) nie szczędził gorżkich wyrzutów pod adresem rozrzutności na stroje i zabawy — a w »Wycieczkach zagranicznych« wystąpił przeciw rujnującej podróżomanii. Nadto przetłómaczył zgrabnie wierszyk Szillera p. t. »Skargi dziewczęce« (str. 45) — i ogłosił fragment »z sielanki krakowskiej« p. t. »Zielone Świątki« (str. 149). O Bielanach opowiedział prozą w »Tygodniku«. Tutaj dał urywek znowu niedokończonego poematu o szerszych rozmiarach. A sądząc z fragmentu należy żałować, że sielanki swojej nie dokończył. Temat jakby stworzony dla poety: wyjazd z miasta krakowskim wózkiem i przepiękne położenie klasztoru, do którego

częste urządzał wycieczki, zabawy w lesie, sobótki pod wieczór i na tle ognisk barwne kierezyje i przyśpiewki w krakowiaku — tożto rzeczy, w których rozkochany był autor »Flisaków«. Fragment »sielanki« pisany jest w wartkich dystychach, o rytmie, przypominającym Pola. Uderza wielkie bogactwo rymów, często wewnętrznych — zresztą niewyszukanych. W figurach poetyckich nierzadko powtarza się właściwa poetyce ludowej figura samorozmowy; naprzykład:

Czy to jakie wojsko liczne najeżdża Zwierzyniec,
Czy na wiece lud pospiesza z pod krakowskich włości,
Czy też Kraków podejmuje jakich wielkich gości?

Oj nie wojsko, ani wiece...

*
* *

Z redakcyi »Kmiotka« przeszedł Anczyc bezpośrednio do redakcyi »Przyjaciela dzieci, pisma tygodniowego, nauce i rozrywce młodzieży poświęconego«, które podpisywał od maja 1866 roku do 1 kwietnia 1867 roku. Artykuły, ogłoszone w »Przyjacielu dzieci«, zebrane razem, utworzyłyby spory tomik; znalazłyby się w nim artykuły dydaktyczne: więc życiorysy swoich i obcych, Kromera i Karnkowskiego (1865, str. 145, 169) — Mahometa, Archimedesa i Hannibala (1866, str. 37, 49, 93); opowiadania historyczne o »upadku cesarstwa Bizantyńskiego«, »zdobyciu Wejów«, »wojnie Rzymian z Pyrusem, królem Epiru«, »uroczystości tryumfu w Rzymie« (1865), o »drugiej wojnie punickiej«, »upadku Maurów w Hiszpanii« (1866) — i gawędy z nauk przyrodniczych o trzęsieniach ziemi, o wulkanach (1865), o królestwie pszczół, mrówek i termi-

tów — i opowiadania o Grecyi dawnej, wycieczce do Melsztyna, o Szkotach i Egipcyanach (1866) — i »opowiadanie szkolne« p. t. Eneida (1866, str. 254, 62, 71), w którem spotykamy znanych nam wisusów szkolnych, kolegów Władka, Olka i Cepusia — i na wzór »Snu« Andersena »Pamiętniki zapałki przez nią samą spisane« (1866, str. 111, 119). A nadewszystko bajeczek i powiastek wierszem bez liku, że ich ani wyliczyć sposób. Trzeba przeglądnąć niezliczoną masę powinszowań rymowanych, jakie Anczyc pisywał dla każdego z licznych członków swojej kochanej »hołotki« z racyi imienin mamy, babci, cioci, czy choćby kogoś z bliższych znajomych — ażeby zobaczyć, jak umiał utożsamiać się z dwuletnim Stasiem lub ośmioletnią Władzią i podszepnąć rymy, które każde z nich za swoje uznać musiało, takie były proste i szczerze dziecięce. Któż nie zna powiastki o »odważnym Cesiu«, który z tak zuchowatą miną wołał:

»Jedziem na wieś, na wieś Stachu!
Na wieś! skacząc woła Ceś« —

nie wszyscy jednak wiemy, że powiastkę tę, deklamowaną dziś zacięcie przez szerokie koła »najmłodszych Aryjczyków«, po raz pierwszy wydrukował warszawski »Przyjaciel dzieci« w 1866 roku (str. 80, 96, 104) — a rysunkami ozdobił nieśmiertelny Kostrzewski.

Na bliższą uwagę zasługują bajki, przeważnie nie oryginalne, przekłady Lafontaina (»Dwaj podróżni i ostryga«, »Skąpiec i małpa« — 1866, str. 152, 284) lub Fedra (»Wilk i żóraw« — 1866, str. 396, »Starzec i śmierć«, »Wilk, matka i dziecię« — 1867, str. 6) — ale przekłady znakomite, mogłyby śmiało ujść za ro-

botę Krasickiego; niedarmo »Przyjaciel dzieci« od lat najmłodszych zachwycał się bajkami księcia biskupa.

Oryginalną bajką-satyrą, nie bardzo nadającą się do »Przyjaciela dzieci«, jest niewielki wierszyk p. t. »Chłopczyk i wół« (1866, str. 372). Posłuchajmy: zapytuje chłopczyk:

O czem myślisz mój ty wole,
Że tak mądrą minkę masz,
Czy chcesz dzieci uczyć w szkole,
Jak Profesor nasz?

— Ej ja myślę mały zuchu
Nie o książkach, lecz o brzuchu;
Czyżbym mózgu miał troszeczkę,
Bym nad książką życie wiódł,
Żuć ja wolę sianko, sieczkę,
Przy nauce wnetbym schudł.

Tego pana poznalibyśmy, choćby go dodana rycina nie przedstawiła jako dwunożne »bydlę«, o wydatnym brzuchu, pięknie skrojonym tużurku a wolim pysku.

* * *

Na stronie 54 (1867 r.) rozpoczął »Przyjaciel dzieci« druk »komedyjki w 2 aktach wierszem do grania dla dzieci« p. t. »Meszty Abu Kazema«. Ta sceniczna przeróbka francuskiej opowiastki, opowiadająca o niepoprawnym chciwcu, na którego głowę stare, znoszone meszty ściągają szereg strat i niepowodzeń, nadaje się nie tylko »do grania dla dzieci«, ale stanowi wogóle cenny nabytek dla scen amatorskich; bądź co bądź intencya autora wzbogacenia ubogiego repertuaru scenicznych widowisk dla młodzieży zasługuje

na podkreślenie, zwłaszcza że schodzi się z marzeniem autora »Gorzałki« stworzenia sceny chłopskiej i charakteryzuje ogólny pogląd Anczyca na teatr jako na instytucyę ogólno-wychowawczą. Dla zręcznej inscenizacyi, potoczystego wiersza i zgrabnego dyalogu — komedyjka godna przedruku. Autor wydał ją w osobnej odbitce w tymże roku (Warszawa, w 16-ce, str. 45).

* * *

Obraz publicystycznej działalności Anczyca nie byłby zupełny, gdybyśmy pokryli milczeniem jego współpracownictwo w kalendarzach warszawskich. Wiadoma rzecz, że kalendarz często dociera tam, gdzie książka nie dotrze. Głównie współpracował Anczyc w kalendarzu Józefa Ungra, który sam redagował pomiędzy rokiem 1859—63.

Przyznać się godzi, że wydawnictwu temu nadać się starał charakter poważnej, zbiorowej księgi; artykułów dostarczali tacy ludzie, jak Michał Bałucki, Jul. Bartoszewicz, J. K. Gregorowicz, T. T. Jeż, Kaz. Kaszewski, J. Korzeniowski, Kraszewski, Lenartowicz, Syrokomla, Szujski, Zacharjasiewicz i w. i.

Redaktor kalendarza starał się o jak najlepszy dobór artykułów. W liście do K. Estreichera z dnia 28 sierpnia 1862 r. pisze: »Kalendarz drukuję, kalendarz nie czechowski, ale książkę, która w kilkunastu tysiącach egzemplarzy przedziera się w takie zakąty, gdzie prócz Złotego Ołtarza lub kantyczek nic więcej nie czytają«; w dalszym ciągu zaprasza do współpracownictwa Romanowskiego, Pajgerta, Kosteckiego (poezye), Widmana (»urywek jaki z historyi Lwowa«), Szedlera, Nowakowskiego (»co im się podoba«),

Dra Pilata (»co łaska«); »szanowny pan prof. Małecki może coś także, choć króciuchnego nadesłać«.

Sam Anczyc ogłosił niewiele: z »Tygodnika« powtórzył opis krakowskiego zamku (1862, str. 7), opowiedział o kościele Dominikanów w Krakowie (1863, str. 34 i n.) — wydrukował jeden z wierszy — nienajlepszych — p. t. »Wiek przeszły i teraźniejszy« (1659—1859), »niezamieszczony z powodów niezależnych od redakcyi w Tygodn. illustr.« (1862, str. 80, 81) — wreszcie dłuższe »przysłowie w jednym akcie a trzech scenach« p. t. »Nie kładź palca między drzwi« (1865, str. 17—19), oraz satyrę »Chłop i Błazen« (1866, str. 15).

Jakkolwiek dbał bardzo jako redaktor wydawnictwa o dobór artykułów — sam pomieścił rzeczy słabsze, nie wydrukowane w »Tygodniku«. »Illustrowane przysłowie« jest farsą, graną przez trzy osoby: majstra, majstrowę i kuma. Przy kieliszku podjudza kum majstra przeciw żonie, oskarżając ją o małżeńską niewierność; majster wraca do domu tęgo podchmielony z postanowieniem »wylania baby«. Ale »baba« potrafi przekonać swego o niewinności — a zjawiający się bardzo nie w porę kum otrzymuje od pogodzonej pary małżeńskiej namacalne upomnienie, iżby palca pomiędzy drzwi nie wkładał.

Wyjątkowo oryginalnością pomysłu, a przytem zgrabną formą odznacza się wiersz »Chłop i Błazen«.

Podczas igrzysk cyrkowych znudzony książę obiecuje kiesę złota w nagrodę temu, »kto mu nowy zmyśli koncept, nie jałowy«. Więc pana i zgromadzony tłum rozbawić usiłuje błazen; »nadmie gębę, przymknie oczy, sto dziwacznych stroi min — ale i tak ziewa gmin«. Więc: »na twarz pada, jakby namiot płaszcz

rozpuszcza, a z pod płaszcza prosię w kwik«. To podobało się wreszcie wszystkim — oprócz chłopa, który gdzieś w górze ziewnął głośno. Oburzyli się: »co? — gmin wrzaśnie, toć wyraźnie, ty drwisz sobie z błazna błaźnie«. Więc chłop obowiązuje się lepiej naśladować kwik prosięcia; — »i wnet chłop im wbija klin, kwik wydając przeraźliwy, istnie gdyby prosiak żywy«. Lecz gmin wrzeszczy: »gdzież natura« kwik twój lichy nie wart kłaka! A chłop: »ot sąd sprawiedliwy, toć to kwiczał prosiak żywy — i pokazał im prosiaka«.

Zakończył autor łatwą do rozwiązania zagadką:

Oj krytycy, recenzenci,
Powiedzcież mi, proszę ładnie,
Czy też który z was odgadnie,
Co w bajeczce tej się święci?

Artykuły Anczyca, pomieszczone w »Kalendarzu illustrowanym dla Polek« wyd. Dzwonkowskiego (1864), »Gwiazdce« (1865), »Kalendarzu polskim« wyd. Jaworskiego (1866), »Kalendarzu humorystycznym« (1866) i »Przewodniku dla niewiast« (1866) — pomijamy, jako nie zawierające nic znamiennego.

Jedynie krótką wzmiankę poświęcimy wierszowi p. n. »Brody krzyżackie«, ogłoszonemu w »Kalendarzu dla Polek« (str. 171). Wiersz o treści poważnej, opowiada o przygotowaniach, czynionych w Krakowie przed uroczystością zaślubin Zygmunta z Barbarą. Między cudzoziemskimi gośćmi znalazł się i przedstawiciel Zakonu Krzyżaków. W katedrze wawelskiej ujrzał zdobyczne na Tatarach buńczuki końskie — a zdawało mu się, że to brody braci zakonnych z pod Grunwaldu.

I wiersz poważny kończy się niespodzianie »*buffo*«. Oto Decyusz tłómaczy Krzyżakowi:

Pójdź i oglądaj, że to włosień koński,
Niech na wstyd własny staną ci dowody,
Niech świat się dowie, że rycerz teutoński
Wziął koński ogon za swych braci brody.

*
* *

W ten sposób wyczerpaliśmy to, co zdało nam się godnem wzmianki. Staraliśmy się wydzielić wszystko co nosi znamię publicystyki lub co dla względów artystycznych, bio- i psychognostycznych wydało się godnem otrzepania z kurzu niepamięci. Usiłowaliśmy nie uronić ani jednego szczegółu w obrazie 8-letniej działalności Anczyca-publicysty na warszawskim bruku. Racyom dokładności poświęciliśmy doraźny interes lektury, byle z rozmiarów i jakości tej działalności zdać sobie gruntownie sprawę.

Ex post stwierdzamy, że produkcya publicystyczna w tem 8-leciu jest na ilość bujna i bogata — a jakościowo wszechstronna i całokształt publicznego życia obejmująca. Niema chyba ważniejszej sprawy, w którejby Anczyc głosu nie zabierał, niema wady, czy błędu, któregoby w satyrze nie wychłostał lub w poważnym artykule wręcz nie zgromił. Pragnął wskazywać kolce i obnosić czyste zwierciadło prawdy, ażeby w niem każdy niepoczciwy człowiek snadno mógł się przejrzeć.

Ale najważniejszą sprawą, jaką najwszechstronniej i z rzadkim talentem omówił — to sprawa włościańska. »Kmiotek« pod jego redakcyą to jednolity i najwspanialszy pomnik Anczyca-publicysty, trwalszy od spiżu i wdzięcznej pamięci ze wszech miar godny.

Inna rzecz, jeżeli zapytamy, jak się przedstawia bilans artystyczny u końca tego okresu. Produkcya twórcza ucierpiała na publicystyce — »Tyrteusz«,

»Uczta Wyzwoleńca«, po części »Pieśni zbudzonych« sterczą jak samotne skały pośród mielizn pustynnych; talent poetycki, impulsywny, wystrzelił w nich w samotne, przepiękne kwiecie — i opadł szybko, ażeby już nigdy tej wyżyny nie dosięgnąć. W tym kierunku ewolucya twórcza była nie tylko przerwana — ale raz na zawsze zniweczona. Napotykaliśmy tu i ówdzie jakby podziemne drgnienia, jakby szarpania łańcucha, które wydają się gdyby szukania po omacku zgubionej nici Aryadny, mającej wprowadzić z powrotem w pałace Piękna i Tyrtejskiej pieśni.

Niestety — nici tej nie miał nigdy już odnaleść autor »Tyrteusza«.

Również i ewolucya dramaturga była przerwaną — w okresie tym autor »Chłopów arystokratów« nie stworzył nic, coby zaznaczało dalsze ogniwo w rozwoju ludowego dramatopisarza.

Na szczęście jednak w tym wypadku była to tylko przerwa w rozwoju — nie zaś jego zanik.

To, co w tym okresie wyszło osobno, jest uzupełnieniem pracy w »Kmiotku« i »Przyjacielu dzieci«. Więc trzy książeczki »Czytelni dla ludu wiejskiego« (Warszawa, 1862, w 16-ce, str. 101, 107 i 111), »Gorzałka, obrazek dramatyczny w jednym akcie, próbka teatralnego przedstawienia dla włościan« (Warszawa, 1862, w 8-ce, str. 19) — odbitka z »Kalendarza dla ludu na rok 1863« str. 49 i n. — »próbka« nie dlatego, jakoby mniej lub więcej nadawała się do przedstawienia dla włościan od innych sztuk ludowych Anczyca, jeno że ściśle związana z antialkoholiczną propagandą »Kmiotka«, z wyraźną intencyą autora pokazywania jej »kmiotkom« dla nauki i poprawy — a choć powtarzająca ze szczegółami i tak nieorygi-

nalny motyw »Błażka opętanego«: a więc rodzina, sołtys i gospodarze nie poznają nałogowego pijaka Walentego Kandorę, pragnąc weń wmówić, że to Pan Bóg przemienił go za karę — i w ten sposób obrzydzić mu wstrętny nałóg — ze względów pedagogicznych zawsze żywotna i dla teatrów włościańskich polecenia godna, tembardziej, że dla nich wszakże poświęcił autor »Gorzałkę«. Uczynił to w tytule oficyalnie w latach, kiedy w zasadzie negowano możliwość teatru włościańskiego, który jednak miał stać się faktem dokonanym w lat z górą cztery dziesiątki po napisaniu »Gorzałki«.

Też same cele na oku — propagandę antialkoholiczną — miało pisemko p. t. »Pijaństwo, zguba i nędza włościan« (Warszawa, 1867, w 8-ce, str. 86 — 2-gie wyd. Poznań 1869 — tłómaczenie ruskie A. J. Stefanowicza p. t. »Pijanstwo nieszczastie i pohibel naroda« — Lwów 1876, w 8-ce, str. 48).

Kmiotkom gwoli pisana również »Krótka nauka o ziemi i świecie, wiadomości popularne z nauk przyrodniczych« (Warszawa 1862, w 16-ce, str. 95 — wydanie drugie 1866 tamże — trzecie »przejrzane i znacznie pomnożone«, Kraków 1869, w 8-ce, str. VIII i 253) — i »dla wiejskich dziatek, które już elementarz skończyły« — »Pierwsza książeczka« (Warszawa 1862, w 12-ce, str. 201 — wydanie drugie, uzupełnione przez Janka z Bielca, Warszawa 1884, w 8ce, str. 132) — i Kazimierza Góralczyka »Dzieje Polski w 24 obrazkach, skreślone dla użytku braci włościan, ozdobione 24 drzeworytami kolor.« (Warszawa 1863, w 8-ce, str. 148 + VIII — rozszerzony przedruk artykułów »Kmiotka«, wyd. II, 1865, tamże). Jest to najpopularniejsze z dziełek ludowych Władysława Anczyca; wedle

cyfr, użyczonych nam łaskawie przez wydawców, nakład »Dziejów Polski« Góralczyka osiągnął imponującą liczbę **115.000** egzemplarzy.

Obok pism Kazimierza Góralczyka wychodziły również wydawnictwa »Przyjaciela dzieci«: wyszło pomnożone i poprawione drugie wydanie »Abecadlnika z historyi polskiej« układu i rysowania Adama Lerue (Warszawa 1861, w 16-ce, str. 88 i 24 obrazków — wyd. 3-cie, Kraków 1869, w 16-ce, str. 96) i »Elementarz dla dzieci polskich« (Warszawa 1862, w 16-ce, str. 95), a »dla tych, którzy już gładko czytają — ku zabawie i pożytkowi« »Mały zbiorek — wyjęty z różnych ksiąg« (Warszawa 1862, w 16-ce, str. 131). Dla dorastających wreszcie ułożył Anczyc doskonałą »Historyę polską — przez pytania i odpowiedzi« (Kraków 1864), »przejrzaną i poprawioną« w Krakowie 1870 r. (w 8ce, str. 254); w dodanej do tego wydania przedmowie wskazywał, że mądrze i pożytecznie pracować nad dźwiganiem Ojczyzny może tylko ten, kto pozna jej dzieje, kto wie, co w nich naśladowania godne, a czego na przyszłość unikać trzeba. Z miłością i zapałem przemawia do tych, w których nadzieja i zadatek przyszłości. Dla nich również przeznaczył »Księgę najpamiętniejszych odkryć geograficznych — podług najnowszych źródeł z wielu drzeworytami« (Warszawa 1865, w 8-ce, str. II i 278 — wyd. 2-gie, Warszawa 1870 — wyd. 3-cie, 1880 tamże) — oraz zebrał i ułożył »Opisy i przygody z podróży po różnych częściach świata« (Warszawa 1868, w 8-ce, str. 347 — wyd. 2-gie, Warszawa 1873, ogólna suma nakładu 8000 egz.).

A wreszcie opracowanie »Robinsona Kruzoe«, którym, dzieckiem będąc, sam się zachwycał, może

posłużyć za dowód, jak głęboko i poważnie pojmował zadanie i znaczenie lektury dla młodzieży.

»Przypadki Robinzona Kruzoe podług najlepszych źródeł dla dzieci polskich opracował Wł. L. Anczyc — z 10 rycinami i licznymi drzeworytami w tekście« — Warszawa, nakł. Gebethnera i Wolffa, 1868, w 8-ce, str. 351 — cztery wydania za życia: 2-gie wyd. 1870, 3-cie 1880, 4-te 1883 — wszystkie w Warszawie; razem 20.000 egz.). Jest to najlepsza polska przeróbka nieśmiertelnego dzieła Defoego. Wziął się Anczyc do niej, ponieważ — jak objaśnia w przedmowie do 1-go wydania — zalicza »Robinsona« do najlepszych książek dla młodzieży; autor »z łudzącem prawdopodobieństwem opowiada przygody nieszczęśliwego rozbitka, lecz zarazem ukrywa zręcznie zacną dążność obudzenia zamiłowania pracy i uczciwości, nie grzesząc wcale przeładowaniem morałami, jakimi często niezgrabni autorowie zniechęcają do czytania młode umysły, nie osiągając wcale zamierzonego celu«.

W opracowaniu swojem sprostował Anczyc przyrodnicze i geograficzne błędy, popełnione przez Defoego i starał się »połączyć żywość Defoego z celami pedagogicznymi tłómaczów niemieckich« (za podstawę przeróbki służyło Anczycowi zdaje się tłómaczenie niemieckie G. A. Graebnera).

*
*   *

Życie plotło się Anczycowi w tym okresie zmienną koleją. W listach dźwięczy zwyczajnie nuta wesoła, bo wesołość stała się drugą naturą autora »Błażka opętanego«. Wesołością tą ujmował i podbijał sobie ludzi; w redakcyi »Tygodnika« zaprzyjaźnił się serde-

cznie z Juliuszem Kossakiem, »landsmanem«, również z pod zaboru austryackiego pochodzącym.

Literat i malarz żartowali z siebie nawzajem bez miary, a źródłem niezliczonych konceptów było owo wspólne »austryackie« pochodzenie. Redakcya »Tygodnika« trzęsła się od śmiechu z figlów obu »Austryaków«. W liście do Trzcienieckiego (kwiecień 1862) daje Anczyc taki wesoły obrazek z życia dziennikarskiej cyganeryi owych czasów. Pisze:

Jest historya taka:
Z artystów naszych pewnie znasz Kossaka,
Jest to człek miły, porządny, poczciwy,
A co najlepsze — nasz *landsmann* prawdziwy.
Ilekroć razy w redakcyi siedziemy —
Zawsze obadwaj po wiedeńsku rżniemy;
A naprzód oba: *Servus! Servus!* zawsze
Witamy siebie, wnet rozmowy żwawsze:
Na! wie geht's, lieber Landsmann? et cetera,
Cała redakcya ze śmiechu umiera,
Szympfuje na nas, my na nich nawzajem,
My się szczycimy galicyjskim krajem,
Rezonirujem na *rebeliantki,*
Über Pollaken, ten *nation pofstancky,*
Oni nas wzajem zwą Austryakami!
Armes Gesindel! Bagażen! Czasami
Kiedym wesoły, najbardziej ich gniewam,
Gdy sobie śpiewam:
Es giebts nur a Kaaserstadt,
Es giebts nur a Wien,
Da muss ja herrlich sein,
Da muss ich hin!

A wobec zbliżających się imienin przyjaciela, umyślił mu Anczyc wypłatać figla; więc pisze:

Chciałbym mu wyrżnąć figla co się zowie —
Racz mi więc kupić w Krakowie, w Szczakowie,

Gdzie się da, czapkę urzędową z różą,
A notabene on ma głowę dużą.
A więc kup wielką *Amtskappel* echt naszą,
Niechaj cię zbytnie koszta nie ustraszą,
I ślij na ręce pana Nowackiego,
Kasyera warszawskiego.
Ja tu tymczasem znowu przysposobię
Ładne pudełko, wyłożone watą,
Opieczętuję, okleję i zrobię
Prezent Julkowi — zasługuje na to —
To mu przypomni *Vaterland,* kochanie,
A z śmiechu, ręczę, że kolek dostanie.

Malarz odcinał się — rysunkiem. Dochowała się w papierach znakomita karykatura: w urzędniczej bluzie, z pogiętą »*Amtskappel*« na głowie, jegomość o wydatnym nosie, długich włosach i nieporządnie utrzymanej brodzie (— zapuścił był wtedy Anczyc brodę —), z piórem, zatkniętem za ucho; jedna ręka w kieszeni, w drugiej »*Protokoll vom J. 1862*«. Naprzeciw portret cesarza, na stole i półkach porozrzucane protokoły. Na podłodze różne gatunki win austryackich, u spodu napis: »*Herr Ludwig v. Anschies k. k. wirklicher Redaktions-Sekretair der Warschauer Illustrirten-Zeitung — in seinem Element dargestellt*«.

Rozeszły się z czasem drogi obu, ale przyjaźń trwała dozgonnie, zachowując ten ton żartobliwy. Po latach, w dzień imienin, przysłał Anczyc takie życzenia przyjacielowi:

Namens-Wunsch für Hn. Julius Ritter v. Kossak.

Denkst du an den Tag, wo wir z'sammen sassen
Bei Maurers Flasche, Julius, im Sobecksloch.
Duftende Quargel, echt Olmützer assen
Und grüssen an, mit Ruf: Oesterreich leb' hoch!
Jetzt liebster Freund, du lebst in fremder Ferne,
Im Rebellionsnest, sehnend leb' ich hier!

O Camerad, wie möchte dein Freund gerne,
Ein Maas Grinzinger heute' ausleer'n mit dir.
Anderthalb Jahr, arme, sind wir geschieden,
Wie lebst du dort? mein trauter, gut'r Genoss?
Bist du denn doch von *Tigodnik* zufrieden?
O wie wohl wäre mir in deinem Schoss!
Wie soll ich Armer, fern so viele Meilen,
Zum Namenstag herzlichen schicken Gruss?
Durch Berg und Thal kann ich nicht zu dir eilen.
Himmelkreuzdonner! welche harte Nuss.
Glücklich möchst du Julius wie Prinz in Märchen,
Mit gnäd'ger Frau, beim deiner Ahnen Herd,
Hundert Jahr leb'n mit zwei schönen Töchterchen,
Mit braven Mimi, Stephan und Adalbert.
Mit allen Freunden, wie auf Feen Insel,
Dein Leben möcht strömen ruhig und mild
Und blitzenschnell dein bezaubernder Pinsel
Alltäglich schöpfen soll ein schönes Bild.

In Malers Glorie, wie im Dichten Schiller
Berühmter Freund, kann wünschen ich mir das,
Von unsern Maurern, Weindlingern, Nessmüllern
Du haben möchst ein Lerchenfelder Fass.
Verweise nicht noch einen schönen Wunsch:
Gold, Silber hab'n möchst wie Rotchild fescher Kerl,
Und alle Jahr zehn Mal speisen beim Munsch,
Und alle Jahr zehn Mal tanzen beim Sperl.

L. L. Ritt. v. Anschütz.

Do równie oryginalnych wyskoków humoru należy rymowany list do Trzcienieckiego, napisany w kształcie... puhara. Jakieś kłopoty miał Anczyc na granicy — ale za przyjazdem do Warszawy wszystko w żart obraca i do przyjaciela pisze list (bez daty) w kształcie kielicha.

Również wybierając się na letni wypoczynek do Żegiestowa (1861), który odtąd przez lat szereg był ulubionem letniskiem Anczyca, doznaje po drodze

kłopotów co niemiara — ale też ma nieprzebrany zasób niefrasobliwości i niezrównaną pogodę myśli. Więc też z humorem przedstawia swoje przygody:

...W ostatniej drodze
O mało własnej nie zgubiłem głowy.
Naprzód z Warszawy wyjeżdżając w Tatry,
Nie wziąłem, ślepiec, okularów z sobą.
W Szaflarach cybuch wzięły cztery wiatry,
A w Zakopanem serce znów żałobą
Okryło ładnej fajeczki stłuczenie.
I w Żegiestowie zaraz w pierwsze rano
Wyciekł mi rubel z dziurawej kieszeni.
W Sączu poduszkę zgubiłem skórzaną,
W Krakowie ojca świadectwo zostało
I sztuczka beżu na suknię dla siostry;
Nowe kłopoty, jeszcze tego mało,
W Trzebini przyszło znów na koniec ostry:
Drugiej siostrzyczki kapelusz z piórami
Zamiast pojechać do Maczek, w wagonie
Pozostał sobie z jakimiś Niemcami.

A jednak — nie brakowało trosk i zmartwień zbyt poważnych, ażeby je można było w żart obrócić. Z rozwiązaniem »Towarzystwa rolniczego« utracił Anczyc posadę, która mu zapewniała skromny, ale pewny dochód. 27 grudnia 1862 roku wybrał się z Ungrem w dalszą podróż do Niemiec w sprawach drukarnianych i wydawniczych. Krótkie »*itinerarium*« zapisał w podręcznej notatce: był w Berlinie, Lipsku, Dreźnie, Pradze, Monachium, Stuttgardzie, Augsburgu i Norymberdze — poczem na Lipsk, Drezno, Wrocław i Kraków powrócił do Warszawy, w której stanął 9 stycznia i zastał całą rodzinę chorą. »Boże daj dobry koniec tym nieszczęsnym chorobom, które mię wciąż prześladują«.

Szedł ciężki rok, naznaczony w domowym bilansie krzyżem, rok nieszczęść publicznych — i dolegliwych osobistych ciosów. 17 stycznia zmarł ukochany synek Stanisław, 11 listopada poległ brat pod Jurkowicami. W Warszawie robiło się coraz duszniej — z początkiem 1864 roku przeniósł Anczyc rodzinę do Krakowa; w liście do Roberta Wolffa z 24/III 1864 skarży się na chorobę żony, dla której wracać do Warszawy nie może, bo ją »niespokojności trwożą« — i na własne, fizyczne niedomagania i na materyalne kłopoty. »Ja tu żyję zupełnie zamknięty w domu, jak pustelnik« — pisze — »pisał do mnie Grossman, żeby mu operę skończyć, a mnie zupełnie usposobienia brakuje; piszę artykuły do Kmiotka, ale czasem i konceptu nie stanie«.

W Krakowie proponowano mu objęcie kroniki miejscowej przy redakcyi »Wieku« — odmówił, nie chcąc mieszać się do żadnych pism politycznych (list 18/IV 64 r. do Gebet. i Wolffa).

W innym liście (5 czerwca 64 r. do R. Wolffa) pisze: »ciężko mi i duszno w sercu, humor dziwnie zmieniony, wesołe usposobienie dawno gdzieś pierzchło, a smutek pierś ściska«. Nie często spotykamy podobnie bolesną skargą u tego, który nawet istotną przykrość zwykł był śmiechem pokrywać; w tymże liście donosi, że oprócz artykułów obowiązkowych dla Glücksberga nic nie pisze, »bo jakiś zamęt zupełnie go ogarnął«.

»Chciałem napisać jaki dramat, bo mam czas, ale atrament blednie i pióro kuleje przy dziwnem usposobieniu mojem« — a tymczasem zobowiązał się dostarczyć Grossmanowi *libretta*, więc się do napisania przymusza, choć fabrykowanie *libretta* z jego przeko-

naniem »nie bardzo się zgadza«. Skarży się na ogólny upadek ekonomiczny, na trudność znalezienia zarobku; zapytuje »jak stoi literatura, musi łokciami świecić. Podobno lepiej być szewcem jak poetą«.

W sierpniu wyjechał Anczyc, jak zwyczajnie, do Żegiestowa, skąd wrócił do Krakowa. Powrót do Warszawy odwlekał z dnia na dzień; z początkiem 1865 r. zaniemógł poważnie i był zmuszony poddać się operacyi. Donosi o tem w liście z 27 stycznia 1865 r. a pozatem zapytuje o operetkę Grossmana, do której *libretto* już był ukończył i przed dwoma miesiącami do Warszawy przesłał. Dla swojej muzykalności był Anczyc poszukiwanym librecistą; w tymże liście pisze, że oddawna prosił go o *libretto* Moniuszko — »a dziś słusznie się może gniewać, żem wprzódy posłał Grossmanowi — otóż gdy zobaczycie p. Stanisława powiedźcie mu, że dla niego (nb. jeżeli chce) piszę co innego. Dla Grossmana napisałem *buffo*, dla Moniuszki piszę heroiczną operę w 3 aktach p. n. Margier. Introdukcya już skończona — dla kompozytora sądzę będzie pole wielkie, gdyż dwie muzyki, krzyżacka i litewsko-pogańska, potężnie od siebie odbijać mogą. Układ odmienny jak w Margierze Kondratowicza, lubo niektóre osoby zatrzymałem — lecz intryga musiała być inną — pisać nie przestanę, gdyż studia porobione, plan ułożony — a gdyby pan Stanisław nie chciał, zostawię w tece i opera będzie czekać kompozytora«.

»Margier« Anczyca kompozytora się nie doczekał a i w tece go niema. Musiał go autor spalić przed śmiercią, wraz z wielką liczbą innych autografów.

Wreszcie 2 kwietnia stanął w Warszawie z powrotem, pozostawiwszy żonę i dzieci w Krakowie.

Lato 65 roku i — poraz ostatni — 66 roku spę-

dził w ulubionym Żegiestowie, skąd słał wesołe wiersze do przyjaciół, używając z pełnej piersi wczasów na łonie przyrody górskiej nad cudownym Popradem.

Zresztą wyjeżdżał często z Warszawy do Krakowa — a w listopadzie 1867 roku, znalazł się w Wiedniu, skąd do obu księgarzy warszawskich wysłał list rymowany (6 listopada 1867); niby tłómacząc powód swojego nagłego wyjazdu — pisał:

Już widzę zadziwienie wykwitłe na liczka,
Że *Kaiserstadt* ma w swoich wnętrznościach *Wladiczka,*
Co za dyabeł? cóż znowu, czy prawda, czy brednia,
Że ten urwisz poleciał koleją do Wiednia?
Po co? na co? dlaczego? gdzie, dokąd i zaczem?
Toż mu skrojemy kurtę, kiedy go zobaczem.

Za powód wyjazdu podaje chęć kupna... hyacentów, które w Krakowie są bardzo drogie; a zwiastując swój rychły powrót — kończy:

Gotujcie tam robotę, zarobki i zyski,
Bom już pióro zaostrzył, a powrót mój bliski,
Wracam do was z ogromną pomysłów kohortą
A za list poetyczny płaćcież sobie porto,
Bo ja go nie zapłacę na żaden wypadek.

Mit allertiefster Achtung
ergenbenster
Władek.

Trudno oznaczyć dokładną datę powrotnego przesiedlenia się Anczyca do Krakowa. W ostatnich latach tego okresu wyjeżdża Anczyc często do Krakowa, a pobyt jego w tem mieście przedłuża się nieraz na szereg miesięcy. W Krakowie prowadzi sprawy nakładowe firmy Gebethner i Wolff, o czem liczne wzmianki w korespondencyi. Wogóle stosunki z obu

właścicielami warszawskiej firmy księgarskiej, Gustawem Gebethnerem i Robertem Wolffem stawały się z biegiem czasu coraz bardziej zażyłe i przyjacielskie. Była to przyjaźń nie często spotykana, która przetrwała wszystkie burze życia, a wyrażała się od pierwszych chwil zawsze ochotną pomocą materyalną ze strony obu księgarzy warszawskich, ułatwianiem i popieraniem pracy zarobkowej literata, na którym żmudny ciężył obowiązek: walczenia piórem na chleb codzienny dla siebie i swoich. Czuł i rozumiał Anczyc dobrze — jak to niejednokrotnie w listach wyraził — jak wiele zawdzięcza poparciu i opiece obu warszawskich przyjaciół i starał się, jak mógł i umiał, odwzajemniać. Z przykrością też rozstawał się z tymi, których dom stał się jakby drugim domem Anczyca na gruncie warszawskim; czasy jednak w Królestwie stawały się coraz cięższe, reakcya po roku 1863 przybierała coraz ostrzejsze formy. To były powody, które ostatecznie skłoniły Anczyca do stałego powrotu na bruk krakowski. Na podstawie korrespondencyi oraz zapisek w podręcznej notatce przyjmujemy, że z końcem 67 roku Anczyc powrócił na stałe do Krakowa. W liście z tego czasu donosi o najmie mieszkania przy ul. Wolskiej dla siebie i rodziny, a wedle zapiski w »spisie podróży« w listopadzie 1867 roku opuścił Warszawę.

Następny list — z 24 lutego 1868 r. — pisany już z Krakowa, który — jak z treści listu wynika — stał się z powrotem stałem miejscem pobytu autora »Kościuszki pod Racławicami«.

III.

1: POWRÓT DO GNIAZDA.

Libretta, przekłady, broszury: »francuska kampania z losem«. — »Döllingeryada«, poemat heroi-komiczny. — Spekulacye i przedsiębiorstwa.

Pierwsze lata po powrotnem przesiedleniu się do Krakowa płynęły smutno i jałowo. Stale określonych zajęć Anczyc nie miał: występował w charakterze pełnomocnika firmy Gebethner i Wolff, załatwiał jej sprawy nakładowe, oceniał prace autorów w rękopisie i pośredniczył w ich zakupnie. Od czasu do czasu posyłał korespondencyę do »Kuryera warszawskiego« (pod znakiem *W.* wedle listu do Wolffa z 24 lutego 1868), który był własnością firmy warszawskiej, do »Tygodnika illustrowanego« i »Bluszczu«. Donosił o wypadkach chwili i senzacyach dnia: pisał o karnawale, strojach, resursach i kasynach krakowskich, pogodzie i teatrze. Zresztą czuł się »przygniecionym moralnie a fizycznie nie najzdrowszym« (list do Wolffa z 24 lutego 1868); w listach skarży się często na niezapewniony byt i niedostatek, który jak ciężka chmura wisiał nad całą, liczną rodziną. Biedny literat musiał utrzymywać oprócz żony i czworga

dzieci, także matkę i siostrę oraz sparaliżowanego teścia z żoną. O stałe zajęcie w jednem z pism krakowskich nie było łatwo; »Czas« napuszony, nieprzystępny nawet« — pisze do K. Estreichera 4 listopada 1868 — »Kalina« ledwie dyszy, »Przegląd« zamyka się w swej redakcyi, która niewiadomo kiedy bywa otwarta«. Ogromnie pakowny bilans potrzeb domowych łatał, jak mógł, głównie puszczając na scenę rzeczy, obliczone na »kasę«. W zacytowanym liście do K. Estreichera donosi o przygotowaniach do wystawienia w teatrze krakowskim »Dziesięciu cór«, które był spolszczył — a zarazem dodaje wesoło: »Wiekopomne to dzieło rzuci blask niesłychany na deski teatralne, lecz jednooka publiczność pewnie nie zdoła ocenić tego cudu sztuki dramatycznej, jej trzeba jakichś Szekspirów, Szyllerów i innych ckliwych bzdur, lecz nie 10 Cór«. Zaś na kilka dni przed premierą z tą samą swobodną autoironią dzieli się wiadomością z Wolffem: »10 Cór grają tu w sobotę... pierwszy raz po polsku w Krakowie, będę zbierał laury« — (w tem miejscu wyrysowana głowa w wieńcu laurowym, o uszach oślich — list z 13 listopada 1868 r.).

Jedynie do przekładu »Drahomiry«, 5-aktowej tragedyi Józefa Weilena, przykładał większą wagę. Kiedy starał się wprowadzić »Drahomirę« na scenę warszawską — pisał o tej pracy swojej do Gebethnera (17 grudnia 1870): — »Moje tłómaczenie nie jest zwykłem, bo każdy wiersz jest wypracowany, boć przecie musiałem przed przekładem zgłębić dzieje tej epoki w Czechach, poprawić mitologię słowiańską, o której Weilen miał tyle wiadomości, co ja o religii Harafuroson w Nowej Gwinei. Słyszał o bożku Radegaście i jechał na nim całą sztukę. Przecież mój wiersz

więcej nieco wart, jak tłómaczenie pierwszego lepszego rymarza, co najprzód nawbija rymów, jak kołków w płocie, a potem grodzi chrustem słów«.

Przekładem tragedyi Weilena mógł się istotnie chlubić; przekład prawdziwie piękny i staranny. Rolę Radegasta, na którym Weilen w samej rzeczy »całą sztukę jedzie« — rozdzielił tłómacz pomiędzy licznych bożków mitologii słowiańskiej, wprowadzając Czerńoboga, Chwosza, Nię, Harewita, Hama i i.

Do zasadniczych zmian w przekładzie należy, dosyć ubocznie zresztą zaznaczony moment, którego oczywiście nie mógł był wprowadzić czeski Niemiec: Drahomira Anczyca jest nie tylko przedstawicielką poganizmu, toczącego śmiertelne boje z wdzierającą się nową wiarą — ale zarazem reprezentuje żywioł tubylczy, słowiański, toczący walkę z »niemiecką« wiarą (w sc. 2 aktu I-go jeden z przewódców czeskiego ludu, Tras — w oryginale zwie się on Turzo — argumentuje o konieczności utrzymania na tronie księżny Drahomiry, jako »tamy przeciw Niemcom«).

Ten sympatyczny dla słowiańskiego widza lub czytelnika motyw, nieskończenie powiększa sympatyę dla heroiny tragedyi — szkoda tylko, że go Anczyc w dalszym toku szerzej nie rozwinął. Inne zmiany — drobne i nieznaczne (np. w przekładzie wypuszczona króciutka końcowa scena (7) aktu I. — O. Paweł i Tuman — scena 8, aktu IV. zawiera monolog Ludmiły, zastąpiony w przekładzie dyalogiem pomiędzy Wacławem a Tumanem).

Trudno pochwalić wybór poety: »Drahomira« Weilena zawiera zbyt wiele taniego i szybko blaknącego patosu, zbyt przeładowaną jest czczą deklamacyą, zbyt poznać w niej »przyprawianie szczudła« —

jak słusznie zauważył recenzent teatralny »Kaliny« (15/I 1869), iżby ją było warto przyswajać językowi polskiemu. Anczyca pociągać musiał pomysł sztuki (kraj słowiański w przełomowej dobie ścierania się dwu światów: pogańskiego i chrześcijańskiego) — i popisowa rola Drahomiry dla wielkiej, tragicznej artystki.

Autograf nosi dokładną datę rozpoczęcia i ukończenia przekładu: zaczęto 27 czerwca 1868 — ukończono 31 lipca 1868.

Wydrukował przekład »Bluszcz« (1868 w t. IV — i osobna odbitka Warszawa 1869, w 8-ce, str. 143). Po wyjściu odbitki, jako I-go tomiku »Biblioteki utworów dramatycznych oryginalnych i tłómaczonych«, wydawanej przez M. Glücksberga w Warszawie, pojawiła się recenzya w »Bibliotece warszawskiej« (1869, t. IV, str. 503), w której podniesiono niepospolitą piękność przekładu, który »dorównywa wartości pracy oryginalnej«.

Równocześnie starał się Anczyc usilnie i ze skutkiem o wprowadzenie na scenę krakowską »Błażka opętanego« i »Drahomiry«.

O »Błażku« pisze do K. Estreichera (w wymienionym liście): »Błażek jestto fraszka, ale publiczność bawi się na niej, główną tu rzeczą obsada ról — lecz nie mam nadziei, by do przedstawienia przyszło, chociaż niby mię artyści kochają, a reżyser za mną przepada«.

Te przewidywania nie spełniły się: — »Błażka« scena krakowska wystawiła przy kilkakrotnie nabitej widowni. Pod koniec roku 1869 wystawiono »Błażka« w Warszawie; recenzye gazet warszawskich nie wypadły po myśli autora »farsy«, który na głosy krytyki

był bardzo wrażliwy. »Gazety warszawskie« — pisał wtedy do Wolffa (13/XII 1869) — »chwyciły się jak opętane — »Opętanego Błażka«; zdaje im się, że to dzieło dramatyczne, do którego autor przywiązuje wielkie znaczenie, sądzą, ścinają i wieszają — przypisują jakieś tendencye, o których się biednemu autorowi ani nie śniło — fujary!«

W dalszym ciągu opisuje sposób, w jaki powstała komedyjka. O »Drahomirę« dopytuje się bardzo gorliwie — prosi o przysłanie numeru »Biblioteki warszawskiej« z recenzyą o przekładzie sztuki Weilena, a marzeniem jego ujrzeć w roli czeskiej bohaterki Modrzejewską, której rozwijający się talent w Krakowie śledził z niekłamanym zachwytem. Z Modrzejewską łączyły Anczyca bliższe stosunki; dla niej tłómaczył i do Warszawy na jej ręce posłał »Fedrę«, tragedyę w 5 aktach G. Conrada*) (list do Wolffa 13 czerwca 1871) — jej, jeden z pierwszych, wróżył wielką i rozgłośną przyszłość.

»Drahomirę« wystawił teatr krakowski po raz pierwszy dnia 2 stycznia 1869 — a dochowany »Raport kassy« wykazuje czysty dochód z przedstawienia w wysokości 344·80 złr.; pragnieniom poety stało się zadość: rolę »Drahomiry« odegrała na swój benefis Modrzejewska.

W liście do Wolffa z 13/X 1868 r. donosi, że »siedzi nad jakąś ramotą«. Może nią jest dochowany fragment komedyi, niewielki rozmiarami, ledwie kilka dyalogów obejmujący, pisany z ogromną werwą

---

*) Piękny przekład »Fedry« wydrukowały »Kłosy« w 1872 r. (t. 14) — Modrzejewska obrała »Fedrę« na swój benefis w marcu tegoż roku (recenzya z przekładu i przedstawienia w »Kłosach« t. 14, str. 192).

iście fredrowskim wierszem; — ułamek ten, jak z treści widać, musiał powstać w dobie szczękania oręży w Europie, więc około roku 1866, lub przed wojną prusko-francuską. »Ramotą« tą jednakże może być również powiastka p. t. »Skrzypki cygańskie«, o której posłaniu Glücksbergowi w liście z 21/XI 1868 wspomina.

Musiał jednak zamiar swój, wraz z tytułem, odmienić, bo w liście, dwa dni później pisanym do Gebethnera, donosi o »Skrzypkach przeklętych«, które posłał Jenikemu.

Zresztą zajmował się głównie nowemi edycyami swoich dziełek ludowych, których nakład objęło krakowskie »Towarzystwo Przyjaciół oświaty ludowej« — lub pisał nowe.

W »Czytelni dla ludu« wyszedł życiorys księdza Augustyna Kordeckiego (dział I, część 2, z 5 obrazkami, Kraków 1869, w 16-ce, str. 72) — zaś cudowne odkrycie popiołów Kazimierza Wielkiego w katedrze wawelskiej zniewoliło Kazimierza Góralczyka do podzielenia się z »Kmiotkiem« tą wiadomością. Wyszła więc w tejże »Czytelni dla ludu« — »Pamiątka odkrycia zwłok Kazimierza Wielkiego z dodaniem wiadomości z życia tego króla, spisanych dla ludu przez Kazimierza Góralczyka« — (z 7 obrazkami — dwa wydania w 1869 r.: pierwsze w 16-ce, str. XVIII i 46; drugie w 16-ce, str. XIX i 38) — oraz »Pogadanka włościan o pogrzebie Kazimierza Wielkiego wierszem napisana przez K. Góralczyka« — Kraków 1869. Przy obchodzie, poświęconym pamięci »króla chłopków«, godziło się zabrać głos Kazimierzowi Góralczykowi, co też znakomicie, zwłaszcza w »pogadance« — wierszowanym dyalogu pomiędzy Mateuszem a Markiem — uczynił.

Z książek dla dzieci z tego czasu wspomnieć wypada znakomity w ujęciu i wykładzie przedmiotu elementarz, wydany pierwszy raz p. t. »A B C, pierwsza nauka dla dzieci« Warszawa 1871, w 8-ce, s. 143 — cztery wydania za życia autora w liczbie 44.200 egz.

Pozatem brał Anczyc udział w wydawaniu encyklopedyi rolniczej, wydawanej staraniem »Tow. Przyj. Ośw. lud.«, zasilał artykułami kalendarze »Czytelni ludowej«, był jednem słowem niezmordowanym służebnikiem sprawy ludowej. To wszystko jednało mu rychłą popularność na bruku krakowskim: wszedł do wydziału »Tow. Przyj. Ośw. lud.«, został wiceprezesem Kółka literacko-artystycznego (list do Wolffa z 22/I 1869), a przy wyborach do Sejmu postawiono jego kandydaturę, która miała wszelkie widoki przejścia. W liście do Wolffa (z 15 lipca 1870) donosi, że się od tego zaszczytu wymówił, ponieważ do polityki się nie miesza a nadto brak mu wymowy i finansowej niezależności.

W papierach pośmiertnych pozostał jedyny ślad tego epizodu z życia Władysława Anczyca: kartka, na której wielkiemi literami wydrukowano: Niech żyją Posłowie M. Krakowa: Chrzanowski Leon, Dr. Samelson Szymon, Anczyc Władysław Ludwik.

Gorąco zajmował się Anczyc wyborami do Sejmu na Śląsku; wydał nawet bezimiennie agitacyjny wierszyk p. t. »Krakowiak o wyborach do Sejmu Szląskiego« (8-vo, str. 4, Kraków, drukarnia Uniwers. 1870 — jeden egzemplarz, ofiarowany przez autora wierszyka, w zbiorach jeżewskich p. Zygmunta Glogera), w którym gorąco występuje przeciw popieraniu niemieckich kandydatów — mówiąc:

»Niech w pierwotnych już wyborach wszędzie tylko taki
Wybran będzie, który kocha narodowe znaki;
A zaś posłem niech zostanie ten, co bronić będzie
Naszej drogiej mowy w szkole, w kościele, w urzędzie«.

Mimo wszystko na atmosferę galicyjską, na »galileizm i sobkostwo« niejednokrotnie się uskarżał a za Warszawą tęsknił. W liście do Gebethnera (23 listopada 1868) pisał:

»Radbym zwiedzić najgoręcej
Dom na ulicy Książęcej,
Kędym pędził czas najmilej,
Gdzie mi wszyscy radzi byli.

Gdziem uznojony ciężkim skwarem w mieście,
Zrana popełniał zniszczenia w agreście,
A po obiedzie, gniotąc cielskiem trawki,
Zjadał truskawki«.

Myśl o niepewnym bycie była najcięższą troską. Anczyc nie zaniedbywał też starań celem usunięcia tej zmory i rozbicia wreszcie domowego namiotu na stałej podwalinie. W tymże liście donosi Gebethnerowi, że ubiega się o budowę kolei »ale idzie okrutnie leniwo i nie wiem, czy co z tego będzie«. W sprawie tej, którą prowadził Bank Galicyjski, jeździł niedawno do Wiednia i w Sanockie — wszystkie te jednak projekta »w łeb wzięły« (5 marca 1870 r.).

Tymczasem jednak zdołał wynaleść odpowiedniejsze dla swoich zdolności zajęcie: dnia 2 marca 1869 r. podpisał umowę z wydawcami nowo założonego dziennika »Kraj«, w której zobowiązał się »redagować i dostarczać rękopisu do Rozmaitości, być gospodarzem działu naukowego i dawać do niego trzy artykuły na jeden numer miesięcznie«.

Z redakcyi »Kraju« jednak ustąpił już 1 listopada tegoż roku, po przejściu dziennika w inne ręce.

Po ustąpieniu z »Kraju« redagował jakiś czas »Przewodnik ekonomiczny«, wydawany przez Bank Galicyjski, opowiadał w sposób popularny »Dzieje narodu węgierskiego« (Kraków w 8-ce, str. 70), »męczył« »Odkrycie Ameryki« — a zresztą prowadził dalej nieszczęśliwą — jak pisał — »francuską kampanię z losem« (26/XI 1870 r.).

»Odkrycie Ameryki«, kompilacya Campego, Rajnala i i. sprawiało mu wiele trudów i mozołu — a w rezultacie pozostał ogromny, rękopiśmienny fragment, obejmujący 22 arkusze in folio bitego pisma.

Zachęcony przekładem »Drahomiry« — tłumaczył lub projektował przekłady: 5 marca 70 roku donosił Wolffowi o ukończonem tłumaczeniu »uwieńczonej tragedyi Izabelli Orsini, którąby się mogła wybornie do Bluszczu przydać«, projektował przekład »Märchen und Sagen« Grimma (15 lipca 1870), spolszczył »Ducha puszczy« Birda (list do Wolffa z 8/IV 72 — wyd. w Warszawie 1872, w 8-ce, str. 252) przerobił z francuskiego »Zwierzęta mówiące« (Warszawa, w 8-ce, str. 193).

Do osobistych kłopotów — przybyła troska natury ogólnej: niepowodzenie oręża francuskiego w wojnie z Prusami zgnębiło go i rozdrażniło do ostatecznych granic: jak daleko patrzył w przyszłość, jak rozumnie pojmował dalekonośne skutki Sedanu — niech świadczy ustęp z listu do Wolffa (11 sierpnia 1870 r.), tak świeży i aktualny dzisiaj:

»Element pruski to idea rozboju i grabienia cudzej własności. Gdy podbije (o czem dziś nie wątpię) chwilowo Francyę, rozsiędzie się jak pająk na środku

Europy i będzie zagarniał wszystko. Hollandya, Dania, Szwajcarya, znaczna część Austryi stanie się jego łupem, a gdy się wzmocni, tedy zagarnie Królestwo po Wisłę i Niemen dla zaokrąglenia granic, zdobywszy wprzódy prowincye bałtyckie. Wtedy nikt nie będzie bezpieczny przed rozbójnikiem, który na naszej krzywdzie i głupocie urósł. Polska pozwalając mu, nie już wzrastać, ale żyć, istnieć, wyrządziła całej Europie niepowetowaną krzywdę...

Tak jestem zmordowany tą historyą, że nie mam odwagi czytać gazet — ostatnia potęga duchowa Europy zagrożona — brzydki materyalizm pruski i wojskowy despotyzm górą. Co z tego będzie«.

Smutny jest ten list — jeden z najsmutniejszych, jakie się dochowały. »Gryzę wszystko w sobie« — pisze w dalszym ciągu — »na twarzy spokój, w głębi duszy ból niezagojony«. Wreszcie cicha rezygnacya, do jakiej tylko bardzo czyste dusze są zdolne: »cóż robić — tak się Bogu podoba — niech Mu będzie chwała — widać, że tak być musi i musi być dobrze, kiedy tak jest«.

Tymczasem »francuska kampania z losem« zmuszała do ciągłych ustępstw na rzecz — operetki. 26 listopada 1870 roku donosi o napisaniu operetki p. t. »Żaki z końca XVII wieku«; »tu ogromnie się podoba« — dodaje. Data cenzury na rękopisie: 9 listopada 1870 — tytuł: »Żaki — operetka komiczna w 2 aktach, pierwotny szkic St. Dobrzańskiego. Libretto W. L. Anczyca — Muzyka K. Hoffmana«.

Pomysł »Żaków« musiały zrodzić »Bursze«, operetka Suppego, którą w tłumaczeniu Anczyca wystawił teatr krakowski 15 maja 1869 roku.

Libretto »Żaków« mogłoby być zajmujące, jako

libretto »polskiej« operetki. Wistocie, nie gorsze od wyzywających wszelkie prawidła logiki i zdrowego sensu wodewilów niemieckich; — mimo jednak obiecującego tytułu nie wiele w niem rodzimych elementów a i logiczne powiązanie treści nie na bardzo silnych stoi nogach. Muzyka ponoś nie była zbyt oryginalna — mimo to wszystko publiczność chodziła tłumnie na »Żaków«, bawiąc się niewyszukaną komiką zatargów bakałarza, »dominusa Hyacynta«, z żakami.

Przed zarzutami krytyki po wystawieniu operetki w Warszawie (we wrześniu 1871 r.) — bronił się autor libretta w liście do Wolffa (23/X 1871), podnosząc słusznie zresztą, że »Żaki« — »to nie jest tak płaska rzecz, jak »10 cór« — zaś »bakałarz komiczny, ale z sytuacyi a nie z konceptu«.

W liście do Wolffa z 13 grudnia 1869 roku napotykamy taką wiadomość: »Donoszę ci Robertku, że tutejsi ultrakatolicy zawiązali stowarzyszenie ultramontańskie pod nazwą »Warownia krzyża« i jak tylko na soborze ogłoszoną zostanie nieomylność papieża, zaraz się wezmą do pieczenia na stosie heretyków — zdaje mi się, że i w Warszawie na takich głupcach, jak nasi »Krzyżacy« nie braknie. Ręczę, że i tam znajdzie się niejeden, coby z przyjemnością Dietla na rożnie upiekł«.

Głośna to była sprawa owego czasu, powód gorszącej wojny domowej w katolickiej społeczności, w której i Kraków wziął udział, a to tem gorętszy, że do sprawy natury ogólnej przyplątała się czysto lokalna zwada.

Do najzagorzalszych przeciwników nieomylności papieża należał ks. Döllinger z Monachium, obłożony zato klątwą przez papieża. Kraków podzielił się na

dwa obozy: jedni opowiedzieli się za zasadą, głoszoną przez Döllingera — inni przeciw. Na czele pierwszych stanął lekarz, profesor uniwersytetu krakowskiego, który wystosował do Döllingera pochwalny adres, podpisany również przez wielu słuchaczów wszechnicy jagiellońskiej. To dało powód do ostrej kampanii z kazalnic, szpalt klerykalnych dzienników, armii »Krzyżaków« — zakończonej ordynarną burdą uliczną po nabożeństwie majowem na Kleparzu.

W maju (22) 1871 r. ukazał się na łamach krakowskiego »Dyabła« »poemat bohaterski« p. t. »Döllingerjada«. Pomysł poematu miał dać Karol Estreicher — wykonanie jest dziełem Anczyca.

Alluzye »*ad personam*«, których nie brak w tym utworze — zwietrzały już dzisiaj; — natomiast wiele szczegółów nic nie straciło na świeżości. Jako całość, jest ten »poemat«, znakomitą satyrą, wyszłą z najlepszej szkoły twórcy »Monachomachii«. Każda zwrotka skrzy się od dowcipu i werwy: na zaściankowość, głupotę, zacietrzewienie koteryjne, wszelakie ducha wstecznictwo padają nieodparte, szybkie jak błyskawica razy.

»Poemat«, podzielony na siedem pieśni, rozpoczyna klasyczna inwokacya do »muzy pogańskiej«; autor skreśliwszy krótko, ale dobitnie, zsiadłą atmosferę krakowskiego grodu — przerywa ją nagłą pobudką wojenną, która stanowi wstęp do dalszych pieśni, osnutych na tle »wojny« obu obozów, obfitującej w tragikomiczne epizody.

Pod koniec porzuca sarkazm, zmienia ton — i z tak poważną admonicyą zwraca się do narodu:

»Żarty na stronę. — O, biedny narodzie!
Na toż ci przyszło, że zamiast żyć z sobą

W miłości bratniej i serdecznej zgodzie
Na biednej ziemi okrytej żałobą —
Kiedy cię lada podjudzi człeczyna,
W bratobójczego zmieniasz się Kaina!

Ultramontanie, Stańczyki, Prusacy,
I demokraci i arystokraci
I liberały i... wiedzą ich kaci!
A wszystko wrogi, choć wszystko Polacy.
A wstyd, doprawdy, na ten naród cały,
Że aż mu Dyabeł musi pleść morały,

Któżby nie uznał racyi tej przygany; czy jednak straciła ona dzisiaj na aktualności?... Niestety!

* * *

Długoletnie starania Anczyca zostały wreszcie uwieńczone pomyślnym skutkiem: znalazł wreszcie posadę, która, przynajmniej na czas niejaki, zjednała mu byt niezależny od chimerycznego sposobu zarobkowania piórem. List do Wolffa z 4 stycznia 1872 r., pisany na blankiecie »Galicyjskiego Towarzystwa parcelacyi i budowy«, podpisał jako »sekretarz Towarzystwa«.

Na chwilę zbył się trosk i kłopotów: z posadą związana była stała płaca w wysokości 1200 fl. rocznie oraz procent od dokonanych transakcyi. Również wystawiony w Krakowie w kwietniu tegoż roku »Robert i Bertrand« (napisany w 1871 roku) — »robił kasę« i przyczyniał się znakomicie do zwiększania dochodów »sekretarza galic. Tow. parcel. i budowy«. Anczyc mógł sobie pozwolić na dobrze zasłużony odpoczynek i wyjechał w sierpniu do Zakopanego, dokąd potem przez szereg lat udawał się na letnie wczasy.

Z początkiem 1873 roku zajął się wydaniem »Wisły, księgi zbiorowej ku uczczeniu 25-letniej rocznicy pracy na polu dziennikarskiem Pawła Stalmacha« (Kraków 1873), do której napisał wstęp (I—XXVI z datą: czerwiec 1873), zawierający treściwy, w ciepłych słowach skreślony życiorys zasłużonego redaktora »Gwiazdki Cieszyńskiej«.

Podnosząc nieocenione zasługi budziciela samowiedzy narodowej wśród śląskiego ludu — powtórzył dobitnie to, co już nieraz jako Kazimierz Góralczyk zaznaczał: »Zamiast bezsilnych szamotań się i marnowania sił lub zgubniejszej jeszcze apatyi i wstecznictwa — nieść oświatę i zdrową radę naszemu ludowi miejskiemu i wiejskiemu. — Gdybyśmy od czasów pierwszego rozbioru szli tą drogą, nie zmarnowalibyśmy stu lat w bezowocnych zapasach, nie mielibyśmy strasznego wspomnienia z r. 1846, a ilu ludzi mówi ojczystym językiem na ziemi polskiej, tylu byłoby gorliwych w niej narodowców, broniących praw swoich i umiejących wytrwale stać przy nich«.

Jeszcze jedno jasne sprecyzowanie korzyści, wypływających z »pracy organicznej«, której pojęcie nie było dla Władysława Anczyca czczym frazesem, ale istotną ideą życia i »leitmotywem« czynu.

Tej idei służyć miała również znakomita w swoim rodzaju książeczka: »Najnowszy i najprawdziwszy wykład snów czyli sennik oraz najnieomylniejszy sposób wygrania na każdej loteryi — spisał dla pożytku grających w loteryę Kazimierz Góralczyk« (wyd. w Krakowie 1875, str. 149, in 8-vo).

Tytuł był zachęcający; najzagorzalszy gracz skwapliwie pragnął się dowiedzieć, jaki jest »najnieomylniejszy sposób wygrania na każdej loteryi«. W ksią-

żeczce Góralczyka znajdywał u wstępu »dokładne tłómaczenie snów i marzeń nocnych«. Dowiadywał się w alfabetycznym porządku, że jeżeli przyśni się adwokat, to sen taki ostrzega, »aby w spory z sąsiadami o lada co nie wchodzić, a procesów unikać jak ognia, gdyż najczęściej w nich dwie strony niszczą się na stemple i koszta, a tylko adwokaci zyskują«. Do 300 snów, w ten sposób objaśnionych, może przynieść ogromne korzyści dla każdego, kto we śnie upatruje nadprzyrodzoną wskazówkę losu.

A po takim wykładzie snów następowało kilka historyjek, objaśniających popularnie niedorzeczność i zgubny wpływ loteryi — wraz z pouczającą »tabelą amb i tern, mieszczących się w 90 numerach«, która objaśnia, że szansa wyciągnięcia terna ma się jak 1 : 117480.

»Sennik« Góralczyka jest ze względu na poruszoną kwestyę i ogromnie zręczny sposób jej przedstawienia prawdziwie użytecznym, obywatelskim czynem.

W marcu 1874 roku parcelacya została wcielona do Banku — zaś jej »sekretarz« otrzymał teraz szumny tytuł »gubernatora 12 budujących się domów« — ale zarazem stałą płacę zastąpił niestały udział w zyskach z czynszów. Trzeba było na nowo rozglądać się za jakąś stałą posadą; Anczyc starał się o uzyskanie administracyi drukarni, którą bank miał nabyć na własność — projekt ten jednak nie doszedł do skutku. Nabył więc dla Gebethnera i Wolffa księgarnię po Jaworskim (pod firmą: G. Gebethner i Spółka), do której wszedł jako spólnik i którą przez dłuższy czas prowadził — a równocześnie czynił starania, celem nabycia do spółki z firmą warszawską drukarni

Gumplowicza. Kłopotów z tem i mozołów miał co niemiara. Miłą dystrakcyę stanowił obchód 25-letniej rocznicy pierwszego przedstawienia w Krakowie »Chłopów arystokratów«, urządzony w teatrze 29 grudnia 1874 roku.

Było to 114 z rzędu wystawienie »Chłopów« na scenie krakowskiej: najlepsi artyści sceny rozebrali pomiędzy siebie role. Kogucinę grała Hoffmanowa, Marcinka — Benda, Moszka — Eker, Stanisława — Szymański, Marysię — Ćwiklińska i i.

Teatr był przepełniony — już przed południem zabrakło biletów. Po odegraniu dwu sztuczek francuskich: »Deszcz i pogoda« i »Bukiet« — rozpoczęto grać »Chłopów« przy hucznych oklaskach publiczności. Po ukończeniu widowiska sala trzęsła się od oklasków i przywoływań autora. Dyrektor (Koźmian), przemówiwszy stosownie, wręczył autorowi pierścień z brylantem.

W maju 1875 roku dokonano kupna drukarni Gumplowicza. Zdawało się, że po długich, szarych latach borykania się z losem — nastaną dni jasne wypoczynku. Stało się przeciwnie: Anczyc był — literatem i mimo od najmłodszych lat objawiającej się ochoty do przemysłowych przedsiębiorstw, nie miał do tego odpowiednich kwalifikacyj. Drukarnia nabyta znajdowała się w opłakanym stanie: materyał po większej części nie do użytku, maszyny popsute, lokal, położony poza rogatkami miasta, nieodpowiedni, brak kapitału wreszcie (drobna kwota, jaką posiadał, starczyła ledwie na zapłacenie pierwszej raty kupna) — to wszystko wtrąciło współwłaściciela drukarni (na której się zupełnie nie znał) w prawdziwą otchłań trosk i zgryzot.

Pierwszego lipca ustąpił z banku, żonę i dzieci zawiózł do Szczawnicy — sam zaś udał się do Cieszyna w poszukiwaniach za maszynistą do nowo nabytej drukarni, którą przeprowadzono do miasta i ulokowano w domu przy ul. Starowiślnej l. 79 (dziś nr. 3).

W połowie sierpnia wywieszono szyld, który informował przechodniów, że w tym domu mieści się:

»DRUKARNIA WŁ. L. ANCZYCA I SP.«

Powoli ułożyły się jakoś sprawy nowego przedsiębiorstwa; 15 grudnia donosił Anczyc Wolffowi: »Zacząłem tu nocami pisać na konkurs Biblioteki Warszawskiej (219 Rs, któreby się mi bardzo, bardzo przydały), lecz mimo chęci skończyć nie mogę — a rzecz sądzę dobra« — zaś w liście do obu spólników z dnia 17 stycznia 1876, pisał: »Głęboko jestem zmartwiony, żem nie zdążył skończyć mej książki na konkurs — lecz trudno«. Zdążył jednak ukończyć przed 15 lutym, to jest przed ostatecznym terminem nadsyłania prac na konkurs krakowski, który miał »Emigracyę chłopską« uwieńczyć nagrodą.

Kiedy wybierał się w maju do Warszawy zawiózł ze sobą uwieńczony utwór i sprzedał go za 200 Rs, z których 150 miał otrzymać po przejściu cenzury — resztę zaś po 10 przedstawieniach (list do Wolffa z 18 lipca).

Tedy grudzień 1875 — luty 1876 to okres, w którym powstała »Emigracya chłopska«.

2: DRAMAT SPOŁECZNY.

»Emigracya chłopska«. — Nieznana sztuka w 5 aktach p. t. »Rozbitki«. — Udział w życiu publicznem. — Przekłady dramatyczne.

Jest w papierach Władysława Anczyca oryginalny list chłopa, pisany z Ameryki, z którego wyjątki pozwolimy sobie przytoczyć, w niczem nie zmieniając pisowni.

List, obejmujący dwa arkusze pisma, nosi datę: »8 srpnia 1875« — pisze go: »Andrzij Paprocki z Colombus, Nebraska Plot kąti nort amerika«. List, pisany do »kumosta« w Łękach, rozpoczyna się — po zwyczajnem »pokwaleniu« — następującemi słowy:

»W samem pocotku lystu mego pozdrawiam was kochani kumosto i dowiaduje się o waszem miłem zdrowiu i pytam się was co was tak dugo zatrzymuje w tych mizernych łękach cemu wy kochani kumowie do ameryki niespeszycie coby wos mogło trafić dobre szcześće« — a udzieliwszy kumom różnych rad i wskazówek, tyczących się odbycia dalekiej podróży, w ten sposób zachęca ich do przybycia: »ja uważam som posobie i jak ja opstaje i co ja posiadam to przecie mam wiecy majotku jak wgalycyi mam 5 szut bydła mam nacynie ružne mam maszyne sam sobie zboża siekę i mam trzy razy wiecy zboza jak w łekach... i jeszcze se kupie wiecy roly drugie 80 morguw tosie płaci na lata przes 10 lat po 40 talarów a rola iuż moja na wieki... Prawda że ja jokgem do ameryki przyjechał tom dość był smutny bomsie nawt niewiedzioł gdzie sie nawet obrucić a nawetdem utracił dos piniedzy żem nimioł świado-

mych ludzi łoszukały najakie sto talaruw... ale pisze jeszcze raz iże przyizdejcie bomi podziekujeće bo nawszyto lepszy dochut bo krowy wiela lepi dojo jedna krowa wiecy mlyka daje jak w łekach 4 a jaja to moze jeść wiecy jak w łekach zimnokuw bo jeh chowają po 100 i po 200 a co ma miesa jeden gospodaz tam nima ani pon bo wszytko ma dobre zycie to wszytko chodzy spasne bo tylo zboza co samo chce a korcy jeszcze wiecy bo sie bardzo rodzi bo z iednego morga to ma 40 i 50 korcy a kazdy sadzi duzo... a nawet wam kochani kumowie tego wszystkjego wyrazić nie mogę jak tylko jednem słowem jest w ameryce dobrze lepi być nimoze... ja iuz Bogu dzeki jest wolny i zato dziekuję Bogu zeme stamtom wybowił...«

Jakież wrażenie musiał wywierać taki list od swojaka w Łękach? Czyż kumów nie musiała zbierać ochota korzystać z uprzejmych zaprosin i udać się do tego kraju, mlekiem płynącego? A listów takich chyba wiele musiało do kraju napływać i szerzyć groźną agitacyę, z którą trudno niesłychanie walczyć, bo przedstawiała sprawę po chłopsku, z chłopskiego stanowiska i chłopskim argumentem. Ten kum Jędrzej chwali sobie tak bez zastrzeżeń życie na nowej ziemi, z takim westchnieniem ulgi raduje się, że jest »wolny«, że się »stamtąd wydobył« — jakże mu nie wierzyć! Wszak to ten sam Jędrzej, z którym pobiło się i podpiło nieraz, naradowało w karczmie i nagłodziło w przednowek. A teraz — jak mu tam dobrze w tej Ameryce, ile to »gruntu« ma i bydła i kur — i jakie sobie tam »spasne« życie prowadzi, na mleku, jajach i mięsie!

Ni śladu jakowejś tęsknoty w tym liście za ma-

cierzystą ziemią — ni cienia chęci powrotu pod ojczystą strzechę, jakiejś nostalgii za dawną siedzibą. Syn tego Jędrzeja, urodzony na »ameryckiej« ziemi, już będzie miał bardzo mętne pojęcie o pochodzeniu ojca — a wnuk pewnie będzie ciałem i duszą amerykańskim gentlemenem.

A cóż z opuszczoną ziemią w kraju się stanie, kto zyska na tej całej sprawie, na czyją korzyść wyjdzie to niewątpliwe osłabienie żywiołu polskiego?

Wczuwamy się w tok myśli Kazimierza Góralczyka, kiedy wpadł mu w ręce ten list z za morza. Nie wesołe musiały być te myśli — tyle lat pracował nad wyrobieniem w »kmiotku« obywatelskich poczuć, nad wiązaniem chaty z dworem, nad podniesieniem kulturalnem i ekonomicznem wsi polskiej. I wszystko na nic — po tylowiecznem prawnem »przywiązaniu do gleby« z chwilą, kiedy odstali od niej, nie poczuwają się więcej do żadnych zobowiązań i spieszą tam, gdzie się im lepsza uśmiecha dola.

Tu trzeba coś radzić, trzeba ostrzec społeczeństwo przed straszną katastrofą: wywłaszczeniem polskiego żywiołu.

Jakie są przyczyny tego kataklizmu, który nadciąga? Wskażmy je a i lekarstwo się znajdzie — więc naprzód powtórzmy jeszcze raz z całą siłą tragicznej grozy to, cośmy już w »Chłopach arystokratach« zaznaczyli, przeciw czemu toczyliśmy zaciętą walkę w »Kmiotku« i w dziełkach dla ludu: karczma, siedziba opilstwa, niezgody, powolnego ubożenia — za szynkwasem tajemniczo uśmiechnięty Mendel Silberstein chwyta jak pająk w nastawione sieci lichwy ogłupiałych wódką i brakiem wszelkiej oświaty chłopów. Mendel, z tego samego pokolenia co Mośko

z »Chłopów« i Chaim z »Flisaków« — tylko nieskończenie przewyższa swoich braci w szerokości planów i rafinadzie środków, którymi się posługuje. Jemu nie idzie o zagarnięcie jednego gospodarstwa chłopskiego. On pragnie całą wieś zagarnąć i w dworze osiąść a w osiągnięciu tego celu dopomaga mu cały spryt oszusta i bezczelność wytrawnego złodzieja.

W karczmie pijatyka i kłótnia: Mendel podwójną kredą znaczy należytość za napoje, gorliwie spijane zwłaszcza przez wójta, figury doskonale w kilku rysach naszkicowanej (nadęty jak pęcherz swoją urzędową rolą naczelnika gromady — wistocie ciemny i stale podpity) — a kiedy kłótnia przybiera zbyt ostre formy, Mendel — największy wróg włościan — występuje w roli rozjemcy: »Moi kochani gospodarze« — powiada — »na co taki krzyki? Mało to macie kłopot ze dworem o pastwisko? Mało to biedy z Polakami, co zasiadają w sejmie we Lwowie, zeby na was podatki wimyślić, zeby ślachta nie płaciła, a wy jesce sobie kłócicie? Aj, waj, jakie wy głupie!«

Tę właśnie głupotę wyzyskuje Mendel, na ciemnocie gra, na wrodzonym a tępym konserwatyźmie chłopa, który na każdą zmianę podejrzliwie patrzy, w każdej upatruje ukryte a przeciw sobie skierowane ostrze — i łatwo daje ucha wszelakim podszeptom takiego Mendla, któremu utrzymanie niezgody pomiędzy małą a wielką własnością, nieufności do wszelkich innowacyj, zdążających do zmiany na lepsze — służy jako jeden z walnych środków do osiągnięcia celu. Na innem miejscu (akt I, sc. 5) mówi Mendel do Antka: »Tu przez te sejmy, rady powiatowe, sądy przysięgłe, podatki i cuszlagi wszyscy skapiejemy. Kto może, niech umyka z Galicyi«.

Z temi wszystkiemi urządzeniami konstytucyjnemi chłop nie zdążył się jeszcze oswoić, istoty ich nie pojmował, łatwo było podsycać w nim podejrzliwość, zwłaszcza, że doraźnych korzyści nie dostrzegał, a do znacznych opłat i zobowiązań go zmuszano. W panach widział odwiecznych wrogów, knujących ciągłe zamachy na przywrócenie pańszczyzny — a podejrzenia jego potwierdzono w 1846 roku z »urzędu«.

Teraz w dalszym ciągu podjął się tego Mendel — jakże przeciwdziałać temu, jak przełamać te lody, dzielące dwa stany na wrogie obozy, skoro dzięki zabiegom takich Mendlów wszelka próba zbliżenia się, wszelkie wyciągnięcie ręki po bratersku bywa tłómaczone na opak? Pojechał Matus na sejm do Lwowa i widział, »ze, tych nasych włościańskich posłów to ci na równi trzymają choćby z największymi panami«. I zaraz rodzi się podejrzenie, że w takiem obejściu tkwi podstęp, chęć skaptowania przedstawicieli włościańskich, iżby szli panom w ich egoistycznych planach na rękę.

Tutaj Mendel miał nieskończenie ułatwioną rolę: dopomagały mu dzieje, tradycya...; tyle wieków nie troszczono się o tego kmiotka, uważano go nieledwie za część inwentarza — jakże miał pozbyć się rychło, przez wieki wkorzenionej nieufności?

Tu Nemezis dziejowa popierała sprawę Mendla.

Jakież są postulaty gromady do sejmu? Oczywiście takie, jakie mogła podyktować ciemnota i podszept Mendla: a więc 1) przyczynienie pastwisk i lasów — wrodzona, prosta chęć wzbogacenia się, podsycana naturalną chęcią wydobycia się z gniotącej nędzy i nasuwająca bezkrytycznie ten zupełnie prymitywny, żadnych wysiłków czy zaparć nie żądający środek:

darowizny, uszczuplenia większej posiadłości na rzecz małej.

Ta krótkowzroczność, nie umiejąca dalej ni głębiej spojrzeć, jest źródłem innych żądań: 2) zniesienia rad powiatowych, »co tyla nam pieniędzy wyciągają«, 3) szkół, »bo co chłopu po škole« i 4) przeniesienia prawa propinacyi na gromadę »bo przecie panowie nie chodzą do karcmy i nie piją, tylko ludzie wsiowi, a kto pije, ten powinien mieć dochód z propinacyje«.

Wszystkie te żądania mają swoją racyę, o którą rozbije się każde rozumowanie o szerszej perspektywie, bo ono nie zmieści się w ciasnym obrębie myśli, nie umiejącej dojrzeć owoców za płotem, korzyści idealnych, wartości nie konkretnych: ciemnota, nieufność, obawa przed wszystkiem, co nowe i niezrozumiałe, rzucają grubą zasłonę na oczy tego chłopka-analfabety, zadłużonego po uszy u Mendla, który, posiłkowany gorzałką i szelmoskim sprytem, rewindykuje sobie rolę moralnego przewódcy i doradcy gromady.

Nie jeden Mendel jest tym pasożytem, toczącym ciało i duszę chłopa, ażeby, wyrzuciwszy go za morze, ziemię po nim zagarnąć. Tego *genus* przedstawicieli mamy w »Emigracyi« kollekcyę wcale liczną i wcale dobraną. Spojrzmy tylko na ten właściwy królestwu Galicyi i Lodomeryi obrazek: na jednokonnym wózku, przez wynędzniałą szkapinę ciągnionym, wjeżdżają panowie z innych »wsiów« (akt V, sc. 2): oprócz Mendla — Jankiel, Chaim, Szmul, Icek, Lajbuś. Będą licytowali dziedzica i chłopa; smutna ironia — w cóż obraca się złoty sen poety! — »z szlachtą polską polski lud«, połączył się wspólną dolą przy licytacyjnym stole — chłop i pan pójdą na żebry, a ziemią zawładną te różne Mendle, którzy tak pewnie myślą, jak

ten mały Laibel, mówiący do ojca (akt I, sc. 2): »My mieli Kanaan, tak my wsistkie miasta i ziemie i bidlo zabierali Kanaanitom. Nu, tam teraz panują Terken, a Izrael niema ani wojsko, ani okrętów, żeby im odbierać. Adonaj nas kocha, to nam za Kanaan daje Galicyę. Żid wojsko nie ma, ale ma Geld — to lepsze jak wojsko. My za ten Geld będziemy Galicyanom zabrać i wsiów i miastów i gruntów i lasów jak Kanaanitom i tu jest dla nas *das gelobte Land*«.

Uderzająca jest ta pewność siebie wszystkich tych pejsatych pijawek. Mendel, który nie jedną zbrodnię ma na sumieniu, przyparty do muru, nie traci rezonu, nawet — obraża się: »Co pan sobie miśli« — woła (akt. V, sc. 9) — »że to dawnych czasów, co wolno było lada katolikowi Żyda wimiślać? Tych czasów już się skończyło... Teraz ja taki dobry jak pan... ja będę pana skarżyć do sąd karny za obrazę honoru«.

To już jest stanowczy postęp — takiego tonu nie użyłby z pewnością Mośko z »Chłopów«; »obrazę honoru« potrafił odczuć dopiero jego wnuk Mendel, który pojął już całą donioslość konstytucyjnego równouprawnienia.

Z tej samej rasy, co Mendel Silberstetn, pochodzi i Jankiel Diamandstein — ale reprezentuje on już produkt, stojący na wyższym szczeblu rozwojowym. Choć występuje tylko epizodycznie w scenie licytacyi, różnica zarysowuje się wyraźnie. Przypuszczamy, że z umysłu zaznaczył ją autor już w samem nazwisku — a i wyglądem zewnętrznym, przypominającym Edelsteina z »Flisaków« (same »szlachetne« kamienie), wyróżnia się on na pierwszy rzut oka z pośród innych Steinów. On jeden chodzi w długim surducie i palo-

nych butach, a włosy i brodę podstrzyga; on też, przewyższając sprytem Mendla, zasiądzie w dworku Starżów pod portretami przodków-senatorów. W przyszłości uzyska zapewne tytuł barona a córkę wyda za zblazowanego i gołego hrabiego.

Młode pokolenie reprezentuje Lajbel, szlachetna latorośl Silbersteinów. On jest tym, który odsłania rąbek przyszłości: a przyszłość ta straszna, jeżeli miejsce Mendlów zajmą w karczmach tacy Lajbele, a stosunki oświatowe na wsi nie poprawią się znacznie.

Lajbuś jest chlubą ojca, który w głębi duszy musi uznać, że jedynak przewyższa go w sprycie i zachłanności. W znakomitej scenie 3-ciej aktu I-go Lajbel pokazuje czem będzie, kiedy dorośnie. Scena familijna u Silbersteinów: Lajbel poucza ojca, że »goja« nie trzeba wciagać do interesu, wygłaszając taką zasadę: »Tatele, gojowi nie trzeba dać zarobek — tylkie wtedy, jeżeli Żyd przy tem tysiąc procent zarobi na goju« — a kiedy ojciec daje do poznania, że ma w tem ukryte cele, Lajbel objawia ochotę »być do kompanii w ten *Geschäft*«, rozporządzając sumą »*drajundfünfzig rajnisch*«. — »Nu dawaj« — mówi Mendel, na co młody *Geschäftsmann* — »Będę dać, ale powiedz przódy, jaki to *Geschäft*«. Ojciec zachwycony jest tym rozsądkiem syna: »Ryfke! *kikste!*« — woła do żony — »jakie to mądry szajgec — on swojego tate nie wierzy. On będzie miał całe wieś, on tu będzie dziedzic«. Lajbel jest pełen poczucia rasowej wspólności; »Joj tatele!« — mówi — »wsistkich chalup i gruntów i lasów będzie nasie — zidowskie!« »Wszystkich gojów powipędzasz Lajbele — potwierdza matka. Lecz Lajbel inaczej myśli: »Nie mame« — mówi — »oni będą zostać«. »*Wie hajst?!*« — pyta

zdziwiona Ryfka — »a na co tobie gojów?« »One będą mnie robić pańszczyznę« — objaśnia pociecha rodu — »oni będą u mnie koniów, *Lastvieh!*« Takie są marzenia młodego Lajbele — a stary, doświadczony Mendel nie widzi w nich nic niewykonalnego.

»*Hast Recht*, Lajbele« — mówi do syna — »już w Krakowie, we Lwowie, w Tarnowie, większa część domów nasze, w male miasteczki wszistko nasze. Po wsiach mamy już dużo dworów i chłopskich gospodarstw — goje i resztę przehulają, przepiją. Trzeba żeby nie mieli jeden dom, jeden mórg ziemi. I tak będzie, bo my mamy *Geld*, a oni *Dalles*«.

Straszne słowa, tem straszniejsze, bo w nich maluje się nie tylko chciwość jednostki, ale hasło rasowej, eksterminacyjnej walki na śmierć i życie, świadomie podnoszone przez starego i młodego Silbersteina, który wprawia się do tej »misyi«, prowadząc drobne interesy na własną rękę i ściągając, na wzór ojca, lichwiarskie procenta w postaci gęsi i kradzionego, pańskiego owsa. On pewny jest, że wieś z dworem do niego należeć będzie — a kiedy widzi, jak jego ojciec dał się podejść przez Jankla, mówi z wielką wiarą we własne siły: »Ja nie będę taki *Esel*, jak mój tate. Jak wyrosnę to i Jankiele stąd wipędzę«.

Ciemnota, opilstwo i demoralizacya — to są środki, jakich Mendel dla osiągnięcia zamierzonego celu używa. Wirtuoz to w wygrywaniu na najniższych instynktach chłopów, którzy »nie są z natury źli« — jak objaśnia Jędrzej (sc. 5, akt III) — »jeno źli ludzie w głowie im przewracają«. Taki Bartek Kozica, wysłużony wojak, zdegenerowany okaz z familii pyszałkowatych urlopników Sceponków, ma niewątpliwą skłonność do podpalań, kradzieży i innych zbrodni-

czych czynów — ale też skłonność tę troskliwie pielęgnuje i podsyca Mendel, używając Bartka za narzędzie do przeprowadzenia swoich ciemnych zamysłów. On to podmawia Bartka do podpalenia chałupy Jędrzeja i zrabowania pieniędzy, ukrytych przez niego pod kominem. Jędrzej jeden nie idzie na lep słówek Mendla, obiecującego gromadzie złote góry za morzem. Chłop światły, bywały, o jakim marzył Kazimierz Góralczyk: był w Krakowie, Lublinie, Częstochowie i Warszawie, »nie pije wódki ani haraku«, pozostaje w serdecznej zażyłości z dworem, pojmując wspólność niebezpieczeństwa, którego grozy i doniosłości najzupełniej jest świadom.

»Tak wszyscy kapiejemy« — mówi do Mendla (sc. 2-ga aktu I-go) — »a za piętnaście lat, to już ani jednego gospodarza we wsi nie będzie, jeno wszyćkie grunta przejdą do żydów«.

Ten też wyidealizowany z umysłu dla kontrastu kmiotek, wyraża imieniem autora zastrzeżenie przeciw zarzutowi płytkiego żydożerstwa, jak to już był stary flisak we »Flisakach« uczynił.

Autor zwraca swoje oskarżenie przeciw temu plugawemu tałatajstwu, co jak smrodliwe robactwo obległo wieś polską, żerując na jej duchowem i fizycznem dobru — a przeciwstawia mu uczciwych Żydów po miastach, pozbawionych plemiennej i wyznaniowej nienawiści.

Nie występuje w sztuce pisarz pokątny w rodzaju Protazego; nie jakoby już ten okaz był na wymarciu — i w »Emigracyi« słyszymy o pisarzu gromadzkim Sroczce, »co ci na wszyćkie strony umie wykręcać, kieby jadwokat«; — ale w akcyi głównej udziału nie bierze. Miejsce jego zajęło znacznie

groźniejsze widmo, zrodzone w myśli autora w godzinach smutnych rozmyślań nad rozprawą sedańską, w której zwyciężył »element pruski — idea rozboju i grabienia cudzej własności«.

W »Emigracyi chłopskiej« ideę tę reprezentuje Herr Schultze, agent tow. handlowego wywozu emigrantów.

W pełnej tragicznej grozy scenie 4-tej aktu I-go spotykają się te dwie siły, zwisające nad biedną ziemią polską jak ponure zwały chmur, z których zabójczy piorun ma wypaść: Schultze i Mendel, potęgi, które wspólność celu łączy — zresztą wszystko różni. Oto dwie hyeny zbiegły się w przewidywaniu rychłej śmierci »chorego człowieka«. Nie może tu być mowy o podziale łupów — każda chce sama zagarnąć zdobycz; chwilowo złączyła je konieczność wspólnego działania — więc zawierają nieświęte przymierze, czekając tylko sposobnej chwili, kiedy się nawzajem oszukać będą mogły.

Pan Schultze, pruski »kulturträger«, przebył szkołę praktyczną w Poznańskiem, przybywa do Galicyi, w której bezcenne skarby: nafta, węgiel, żelazo, czekają »na pracowitą niemiecką rękę, na niemiecką wytrwałość, niemiecki przemysł, niemiecki rozum, na nasz *kultur;* tu wszystko musi być nasze« — woła trochę niedelikatnie wobec wspólnika, co mu ten nie bez szyderskiego uśmiechu przyświadcza.

Pan Schultze przywiózł z sobą — obok napęczniałej kabzy — pełne poczucie wszechniemieckich ideałów; pan Schultze przybył do wsi polskiej z godnie pojętem hasłem »*Drang nach Osten*«, z korzenno-pruskiem przeświadczeniem wyższości germańskiego elementu, którego przeznaczeniem rządzić światem,

czemu nie zdoła się oprzeć »slawenska... barbarska, próżniacka, pijacka, zabobonna rasa«.

Pan Schultze jednak, godny spadkobierca wielkich tradycyj radcy pruskiego z pierwszych lat XIX. stulecia Triebenfelda — ma i swój własny interesik na oku — czego nie omieszkał zauważyć mało dyskretny, ale i bardziej pozytywny spólnik — mówiąc: »Pan Schultze wielki niemiecki *patriot*, większy jak *prinz*-Bismarck, pan musi wiele zarobić przy ten *Transatlantische-Dampfer-Transport-Gesellschaft*, kiedy tak pracuje dla niemiecki element... Nu, *Vaterland* dobry, ale *Geld* jeszcze lepszy«.

Pozatem jednak Mendel najzupełniej respektuje pangermańskie uczucia wspólnika; on — w tym wypadku — jest wielki niemiecki przyjaciel, on sam — na razie — Niemiec...

W realizacyi zamiarów przeszkadzają wspólnikom chłop i ksiądz.

»*Och, diese verdammte Pfaffen*« — woła pruski patryota — »ten czarny *international*, ich najprzód trzeba zgnieść, a jak świat będzie bezwyznaniowy, to nasz element zwycięży«.

Walne poparcie znajdują plany spółki Mendel i Schultze w liście z Ameryki, ułożonym na wzór oryginalnego listu Jędrzeja Paprockiego, który, jak wiemy, zrodził pomysł »Emigracyi chłopskiej«. List, odczytany gromadzie w karczmie, wywiera silne wrażenie, którego nie są w stanie zatrzeć słowa Jędrzeja, apelującego do poczucia przywiązania do wsi rodzinnej, ojcowizny, kościoła i religii. Wrażenie a z niem ochota do emigracyi wzrasta, kiedy przywołany Schultze objaśnia, że w Ameryce niema ani podatków, ani służby wojskowej, ani rad powiatowych, ani szlachty —

a za to łatwa sposobność rychłego zbogacenia się i podróż »prawie« darmo.

Na tem kończy się rola Schultza w starym świecie, gdzie tokiem wypadków kieruje dalej Mendel, który znacznie przewyższa sprytem i złodziejską dyplomacyą kolegę pruskiego; jemu też sądzone w myśl intencyi autora zwycięstwo w zdobyciu ziemi polskiej na gruncie galicyjskim. Gdzieindziej oczywiście spryt ustąpić musi przed siłą pięści.

Jeszcze raz na krótko spotykamy Schultza w scenie 9-tej (akt I.), kiedy w myśl uknutej przez Mendla intrygi wręcza Jędrzejowi znaczną sumę pieniędzy, niby od brata w Ameryce — potem zejdziemy się z nim dopiero w »nowym świecie«, w którym już bez obsłonek rozwija bardziej pozytywne momenta akcyi pruskiego »kulturträgera«.

Gdzież dziedzic rozumny, gdzie ksiądz, mądry pasterz, gdzie szerzyciele oświaty i ci wszyscy, którym dobro chłopa, dobro i przyszłość ziemi polskiej na sercu leżeć powinny?

Niema ich w chwili, w której ważą się losy wsi polskiej, nie znać ich wpływu, a jeżeli kiedy który z gromady o nich napomknie, to zawsze z podełba, z nieufnością. Oczywiście, że taki nastrój ma źródło w szczątkowych, tradycyjnych uprzedzeniach, że podtrzymują go co sił Mendle i Schultze — ale to właśnie nad wyraz tragiczne, że nie widać żadnych prób, zdążających do sparaliżowania zakusów eksploatorów skóry chłopskiej, żadnej konkretnej i energicznej kontragitacyi. Jędrzej, ten idealny typ chłopa-obywatela, czyni, co może — ale sam pozostaje w szponach lichwiarskich Mendla, który go całkowicie ubezwładnia, spaliwszy mu za pośrednictwem Bartka obejście,

zabrawszy złoto od »brata« i pokazując telegram od Niemca, w którym ten donosi, że złoto owo zostało mu ukradzione.

Zabrał wreszcie i ksiądz głos, odradzając z kazalnicy jechanie do Ameryki — ale uczynił to za późno, kiedy już większa część gospodarzy wysprzedała grunta — zjawia się wreszcie i dziedzic, Tadeusz Starża, ale dopiero w chwili, kiedy chłopi, gotowi do drogi, na wóz siadają. Przyszedł... pożegnać się. Pan dobry, łagodny, »do rany przyłożyć« — jakże jednak po słowiańsku niedołężny, jak w tem niedołęstwie swojem karygodny!

Prawda, że sam nie w najlepszych stosunkach majątkowych, sam w długach u Mendla — ale też jakże lekkomyślnie nie w porę wybrał się z odradzaniem odjazdu, kiedy chłopi już na wozach siedzą. Oświadcza się przed »sąsiadami« z miłością i braterską życzliwością, nie zważając, że go Matusowa raz i drugi ofuknęła — próbuje obudzić w nich żal za strzechą rodzinną, zastanowienie, że tę biedną ziemię w cudze a nieprzyjazne oddają ręce — jakby to można w paru minutach, »na wsiadaniu«, nauczyć i wpoić w myśl ciemną miłość ideału. Więc też mu krótko odpowiada Matusowa: »Pan ma i rolę i dwór i las i krowy i konie, a ja ani dziesiątej części tego. Co mi tam za kraj taki, co w nim nijakiej sprawiedliwości niema, jeden ma za dużo, a drugi mało, albo i nic«.

Na ten argument, zapożyczony od pani Kogucińskiej z »Chłopów arystokratów«, odpowiada Starża stwierdzeniem konieczności socyalnych różnic, odpowiada, że wpierw-by chłopi-gospodarze musieli poobdzielać komorników, jeżeli chcą, ażeby wszystkim było »po równu« — jednem słowem rozwija zasadniczą

myśl »Chłopów arystokratów«, co wszystko zupełnie słusznie charakteryzuje Matusowa, jako »bajanie po próżnicy«.

W istocie — co ten Starża zrobił, ażeby odsunąć chłopa od Mendli *et consortes,* ażeby zdobyć jego zaufanie, polepszyć jego byt, oświecić i nauczyć przywiązania do ojczystej ziemi — a w ten sposób zatrzymać w kraju, nie dopuścić do wywłaszczenia polskiego żywiołu? Pomagał w biedzie, ratował w potrzebie — ale nie uczynił zasadniczo nic, coby »sąsiadów« ochroniło od konieczności zaciągania lichwiarskich długów u Mendla — ani też nie usiłował podjąć żadnej planowej i celowej pracy nad ich duszą.

W tem też tkwi ten niewypowiedziany tragizm sztuki Anczyca, ten niemy wyrzut, skierowany przeciw zaniedbaniu mądrej pracy nad duszą chłopską ze strony tych, którzy powinni się do tego obowiązku poczuwać. I jeżeli przyczyna emigracyi i, co za tem idzie, wywłaszczenia ziemi polskiej tkwi właściwie nie w duszy chłopów, — »bo oni nie są źli« — nie od nich jest zależną i uwarunkowaną — ale w tych, którzy tę ciemnotę i niemowlęctwo myśli wyzyskują — to równie winowajcami są tu »powołani«, którzy z obowiązków swoich wobec społeczeństwa nie wywiązują się i tej duszy chłopskiej na złe wpływy odporną uczynić nie potrafią.

Powiedzmy jeszcze słów parę o tym »materyale« chłopskim, na którym Mendel i spółka wiwisekcyi dokonują. Przeważnie statyści — kilka tylko figur, zarysowanych dobitniej: znany nam już Benedykt Cepura, wójt; Bartek Kozica, prawe ramię Mośka, nałogowy złodziej i podpalacz, »czarny charakter«, niezupełnie jednak czarny, bo wkońcu ze złej drogi schodzi.

Więcej podatny dla złych wpływów, więc też ulega im łatwo, choć w głębi duszy grunt czysty, skoro potrafił uznać wkońcu winy swoje i okazał gotowość pokuty — Jędrzej, wyjątek, »uświadomiony chłop«, i w tem właśnie wyidealizowaniu mało realna postać — najbardziej do niego zbliżony Paweł Kruk i jego żona, najwięcej skrupułów do opuszczenia ziemi ojczystej mają, najwięcej też za nią za morzem tęsknią — wreszcie Matus Kuśmierz i Matusowa, ta ostatnia »*alter ego*« Koguciny z »Chłopów«, jeszcze więcej może względem panów od tamtej kostyczna, nieufna, w języku niepowściągliwa, w postanowieniu szybka i rezolutna, przykrywa, jak tamta, wybitną swoją osobowością męża, którego trzyma krótko i mocno w ryzach.

Dla wszystkich tych postaci nie trudno odnaleść prototypy w poprzednich sztukach ludowych Anczyca — tylko w »Emigracyi« rysy dociągnięte, czasem przeciągnięte (Sceponek — Bartek), na ogół pełniejsze i dobitniejsze.

Na trzech pierwszych aktach mogłaby się sztuka zakończyć; przeważna część mieszkańców wioski wyemigrowała. Pozostało niewielu: Jędrzej pogorzelec, pod zarzutem kradzieży, dziedzic, zagrożony licytacyą, kilku gospodarzy i na pół trzeźwy wójt. Mendel czyni obrachunek zysków: Piętnaście morgów od Matusa, jedenaście od Skorupy, dziewięć od Cepury — własnych szesnaście i — w niedalekiej perspektywie pańskie grunta wraz z dworem.

Przez dodanie dwu jeszcze aktów zasadniczo nie wiele się zmienia: cudowne ocalenie ziemi dziedzica i szlachetnego Jędrzeja nie oznacza zasadniczej zmiany w stosunkach rolnych, ani nie osłabia grozy położenia opuszczonej ziemi. Dobro prywatne zwycięża —

dobro ogólne, los ziemi polskiej pozostaje zarówno zagrożony.

Więcej ogólno-pedagogiczne cele ma akt IV-ty: pokazać opłakany los emigrantów za morzem, obrazem ich smutnej doli dać wstrząsającą przestrogę tym, którym roztropne rady Jędrzeja nie wystarczą.

Ameryka na scenie — eksperyment trochę ryzykowny, zwłaszcza dla pisarza, który życie na drugiej półkuli znał tylko z książki. Znał pewnie komedyę Sardou »Wuj Sam« — a założywszy sobie, że przedstawi wyłącznie smutne położenie wychodźców polskich za morzem, uniknął zręcznie zagrażającego, nienaturalnego egzotyzmu. Pisał do Łęk Jędrzej Paprocki, jak go to »łoszukały najakie sto talaruw« i jak to »dość był smutny, bo nawet niewiedzioł, gdzie się obrucić«.

Ofiarą też oszustwa na wielką skalę padają polscy emigranci.

Pan Schultze, pruski patryota, uprawia wielki handel ludźmi. I w nowym świecie nie porzucił płaszczyka patryotycznej frazeologii: — porzucił on wielką niemiecką ojczyznę, ażeby nieść niemiecką kulturę i niemiecką cnotę na drugą półkulę, utrzymując jednocześnie, że gdzie dobrze, tam ojczyzna. Kolonizuje on w Ameryce Aryzon, posługując się fałszem i oszukaństwem i zdzierając »słone płaty« z ochotników. W Aryzonie klimat boski, wieczysta wiosna, jeden akr ziemi wydaje trzysta buszli pszenicy, kura dwa razy na dzień niesie, krowa się trzy razy do roku ociela, a grunt cały przerosły złotem. Buduje się w tej Arkadyi »Germania-City«, cudowne miasto nad miastami, »z wyjątkiem naszego wspaniałego Berlina«.

Nic łatwiejszego, jak wzbogacić się w niesłychanie krótkim czasie w tej cudownej krainie.

»Oto żywe świadki« — woła — »*Master Schimek* — *Miss Kaschka*« (tu przedstawia zgromadzonym obywatelom znajomą nam parę galicyjskich głodomorów, przybraną w jedwabie, kwiaty i pióra, odfotografowaną »bezinteresownie«, ażeby potem rozsyłać fotografie do »kumów galicyjskich« i zachęcać w ten sposób do wyemigrowania).

»Patrzcie« — ciągnie Schultze — »tych dwóch ludzi pochodzi z kraju barbarskiego, zwanego *Poland*. W domu mieszkali w jamach ziemnych i żywili się chrabąszczami... Przyszli oni boso z Europy, odziani skórami niedźwiedzi, a dziś, po trzech miesiącach pobytu w Aryzonie, nakopali tyle złota, że zostali dżentelmenami. Patrzcie na nich, jakie tłuste gęby — jakie grube ramiona — jakie bary...«

Tak agituje pan Schultze — a za wypożyczenie pięknej garderoby musi się para »dżentelmenów« wysługiwać Schultzemu po dniach i nocach, znosić bicie i niedostatek.

Równie smutne losy innych wychodźców: Wojtek okradziony dwukrotnie i zbity, ledwo dycha. Trudu samobójstwa oszczędza mu zbłąkana kula Schultzego, który, broniąc się przed konkurencyą innego agenta, trafia Wojtka.

Umiera chłopek polski na obcej ziemi, do której tak nieopatrznie się wybrał. Scena iście rzewna i wzruszająca. W przedśmiertnej chwili prosta, gorąco wierząca natura, wydziera się zrozpaczoną myślą do swoich, do wioski rodzinnej, do katolickiego księdza — a pragnienia te muszą pozostać niewysłuchane.

Uniknął autor jednostronności — dopuścił możliwość wzbogacenia się za morzem przy ciężkiej pracy i wytrwałości. Dorobili się Matusowie, ci najbogatsi gospodarze, którzy 15 morgów sprzedali Mendlowi. Dopomogła im pewnie większa gotówka, szczęśliwsze okoliczności. »No jest ci chleb« — powiada Matus — »ale tak się cni... tak markotno... ze mi juz wsyćko zbrzydło...«

Autor nie mógł przypuścić, ażeby Jędrzej Paprocki nie odczuwał w głębi duszy takiego »cnienia« za ojczystym zagonem. Zbyt odmienne są warunki i formy życia w nowym świecie, ażeby chłopek polski potrafił rychło zżyć się z niemi. A zwłaszcza »cnienie« owo wzrasta niepomiernie, kiedy zbliża się chwila jakiegoś tradycyjnego obchodu, która urokiem swoim, atawistyczną siłą tkwiącym w duszy polskiej, obudzić musi szereg tęsknych myśli, krążących około męki pańskiej przy »polskiej« drodze i słomą krytej chałupy.

Polska wigilia w amerykańskiej farmie, leżącej na odludziu, wystawionej każdej chwili na groźne niebezpieczeństwa.

Pod białym rańtuchem położono siano, w kątach izby cztery pęki słomy, na stole barszcz z grochem, pszenica z miodem i kluski z makiem. Pawłowie przynieśli kołacza, suszonych gruszek i — to najdroższe, najserdeczniejsze danie — opłatek Boży.

A teraz wypatrują przez okno, kiedy pierwsza gwiazdka na niebie zaświeci — tak samo jak tam, w tym biednym a tak ukochanym, tak w tej chwili utęsknionym kraju, gdzie i izba mniejsza i podłoga nie taka i okienka, szybeczki mizerne — gdzie jednak pozostali ludzie, z którymi po ludzku rozmówić się można i ta biała przyodziewa, co to dziady i pradziady

w niej chodzili — i to całe inne zgoła, swojskie, kochane życie!

»Teraz wiem« — mówi Matus — »ze wsędzie pracować trzeba, a tu jesce cięzej jak u nas... teraz wiem, ze u nas wsyćko inakse, i naród scersy, i ziemia kochana, i obycaj milsy, i jakieś piękniejse słonecko«.

Jakże w takiej wigilijnej chwili, kiedy opłatek biały łączy i godzi najbardziej zwaśnionych, kiedy się dusza ludzka nakształt tego poświęcanego chleba wybiela, z brudów oczyszcza i myślą bieży ku betleemskiej stajence »kolendować małemu« — jakże w takiej chwili nie miał skruszyć się Bartek, który w przebraniu przyszedł mordować braci w porozumieniu z szajką amerykańskich zbirów.

Prawdziwą poezyą tchnie cała scena — jest w niej ten prosty, naturalny urok i rzewność, który niepodobna ażeby nie wywarł wrażenia na duszy polskiego widza, czy czytelnika.

Wewnętrzny proces odradzania się Bartka przedstawiony po prostu a z ogromną naturalnością. Pomysł i przeprowadzenie jest dziełem prawdziwego poety, który umie trafić do polskiej wyobraźni, bo wie dobrze i odczuwa subjektywnie, co podbić ją i wzruszyć potrafi.

Chłopów polskich ratuje od zguby w amerykańskiej puszczy Juliusz Starża, syn Tadeusza, który przebywał w Ameryce celem wyprocesowania schedy po stryju.

Oczywiście taki sposób ocalenia nie można nazwać naturalnym. Przypuszczamy, że miał tutaj autor zamiar ukryty: chłopi polscy, którzy nie usłuchali rady dobrego dziedzica, nie doceniali dobrych jego chęci —

zagrożeni na obcej ziemi — i uratowani przez syna tego dziedzica, który już przedtem ochronił od nędzy tułającego się Antka i z nim do kraju powraca.

Akt ostatni: Jędrzej i Starża, połączeni w nieszczęściu, pociechy szukają we wspólnem źródle — wierze. Obaj, mimo uczciwości i rozumu, w szponach Mendla. Dlaczego i ci ostatni Mohikanie, skazani na niedobrowolne wydziedziczenie?— dlaczego nie ocaliło ich to, co zbywało innym: oświecona myśl i czyste życie? Nie wyjaśnia nam tego autor, a nie chcemy przypuszczać, ażeby w myśl intencyi autora los ziemi polskiej był i wtedy zagrożony, kiedyby chłopi stanęli na moralnym i umysłowym poziomie Jędrzeja.

»Podajcie mi rękę, Jędrzeju« — mówi Starża — »i szlachcic i chłop pójdą ze swego dziedzictwa odwiecznego z torbami«.

Kto winien? — nie tylko ci »harendaze, lichwiaze i spekulanci wsiowi«, którzy są »jakoby śmiertelne pijawki, co jak przycepi, to nie puści, jaze ostatnią kropelkę krwi wyssie« — ale i panowie, którzy im karczmy puszczają pod pozorem, że sami uczciwie je prowadząc, nie mieliby ani w połowie takich zysków. »Za te kilka setek, co dziedzic więcej weźmie« — oskarża wręcz Jędrzej — »to sobie i chłopom na kilka tysięcy krzywdy zrobi. Kieby panowie nie puscali im karcem, toby harendaze musieli się wziąć do innej pracy, nasby nie gubili, a ucciwym zydom nie robili wstydu«.

I musi wkońcu Starża przyznać słuszność Jędrzejowi.

»Prawdę mówicie... i myśmy dużo zawinili« — mówi, sprowadzając rzecz na szersze tory. — »Wyrzekamy na żydów, złorzeczymy im, że nas gubią...

na nich zwalamy przyczynę naszego upadku, a nie umiemy sobie radzić i zabiegać, jak oni — nie umiemy kochać się i wspierać, jak oni... Gdyby między nami była taka jedność i miłość, nie zeszlibyśmy dziś na taką biedę«.

Zbliżamy się szybkim krokiem do zakończenia sztuki: w doskonałej w swoim tragikomiźmie scenie rozpoczyna się licytacya chłopa i pana — licytacya, przerwana zjawieniem się Juliusza Starży, który przywozi z Ameryki spadek po stryju, spłaca wierzycieli i ratuje ojca i Jędrzeja. Z Juliuszem zjawia się Antek z Basią, już pobrani, i Bartek, który przejrzał.

Mendel, przyparty do muru, ma do trzech dni zabrać się z wioski.

Do zgromadzonych gospodarzy, którzy nie wyemigrowali, przemawia Juliusz: »U nas znowu nie tak źle, jak wyrzekają. Wszędzie pracować trzeba, ażeby dojść do czego, ale tam ciężej, bo między obcymi. Oby tylko ustało po wsiach pijaństwo. Obyśmy wszyscy byli rządniejsi, pracowitsi i oszczędniejsi, a ziemia ta kochana wyżywi i nas i naszych potomków«. Zaś Jędrzej dodaje: »Dobrze pan mówią — gdzie kogo Pan Bóg osadził, tam powinien zyć i umierać, a nie sukać lepsego, zeby gorsego nie nalozł. Tam tylko będzie mu Pan Bóg błogosławił, skoro mu tam na świat przyjść kazał«.

W słowach młodego dziedzica i światłego gospodarza zawarł autor kwintesencyę nauki na przyszłość — i określił naturalne, przez Boga wpojone poczucie przywiązania do ojczystego zagonu.

Dziedzic i część gromady ocalona: do Ameryki prawdopodobnie nie wyemigrują, pozostałej ziemi z rąk nie wypuszczą.

Wszystko to dzięki cudownej interwencyi Juliusza Starży, który zjawia się oto w samą porę z ratunkiem. Takię rozwiązanie sprawy nie jest jej załatwieniem. Ze stanowiska wymagań sztuki nie można nazwać go zręcznem; tłómaczenie Stanisława Koźmiana, że *Deus ex machina* jest dopuszczalny w sztuce ludowej, ponieważ wypływa z psychologii ludu wierzącego w Opatrzność i jej bezpośrednią interwencyę w sprawach ludzkich — jest wygodne, ale i zupełnie niewystarczające, ponieważ nie idzie w tym wypadku o psychologię ludu, tylko o psychologię akcyi dramatycznej, o naturalne i psychologicznie dające się umotywować rozwiązanie dramatycznego węzła, które nie powinno uciekać się do starych kruczków klasycznej tragedyi. Z drugiej zaś strony upatrywanie w Juliuszu Starży usymbolizowania staropolskiego »jakoś to będzie«, jest bardzo powabnem podsuwaniem autorowi myśli, do której sam utwór żadnych uprawnień nie daje i która być musi policzona na karb czysto subjektywnej interpretacyi szanownego krytyka.

Co się zaś tyczy rozwiązania sprawy włościańskiej wogóle, to jest to i dzisiaj kwestya przyszłości. Jeżeli przypadkowa interwencya Juliusza Starży zamieni się w celową, mądrą akcyę, zmierzającą do zrealizowania tych życzeń, jakie pod koniec utworu wypowiada — wieś polska uratowana. W bezwzględnie szczerem przedstawieniu stanu rzeczy, we wskazaniu tego, co złe, co trzeba koniecznie zmienić i poprawić — tkwi wielka, społeczna zasługa utworu. Tu niema czasu do namysłu — *periculum in mora* — tu trzeba natychmiast brać się do roboty, inaczej »szlachcic i chłop pójdą ze swego dziedzictwa od-

wiecznego z torbami«, a ziemia polska przejdzie w obce, nieprzyjazne ręce.

Tu jest faktycznie *Kampf um Dasein*, rzecz godzi w egzystencyę, w byt narodowy. Tu trzeba spieszyć, ani chwili nie można zmarnować, ażeby nie było zapóźno — cały utwór jest takiem rozgłośnem wzywaniem do pracy, do energicznego chwycenia się pomp ratunkowych na okręcie, do którego woda się wdziera. Głos ten woła silnie i gorąco — stać go na tragiczny ton tego, któremu rabusie wydzierają coś bardzo drogiego, bardzo essencyonalnego — nie brak mu słów jędrnych i lapidarnie chwytających rzecz za jądro — potrafi wydobyć rzewny i szczerze liryczny nastrój obrazka.

Są pewne usterki i niezręczności w prowadzeniu akcyi — zakończenie aktu pierwszego, spalenie Jędrzeja i zrabowanie mu pieniędzy przez Bartka, niesceniczny podział aktu IV-go na dwa rozdziały, przypadkowa interwencya Juliusza Starży — co wszystko jednak okupują sowicie, pełne ruchu i życia, sceny zbiorowe chłopów, mówiących swoim językiem, z pośród których na pierwszy plan wybijają się nie szablonowe, wyraźnie różniące się między sobą indywidua, pyszne sylwetki szwargocących żydków, pruski *Kulturträger*, akcya rozwijająca się żywo i zajmująco.

Jest »Emigracya chłopska« syntezą pisarskiej działalności ludowej Władysława Anczyca; — nie trudno wyróżnić w niej wątki i motywy poprzednich jego sztuk ludowych tak w prowadzeniu akcyi, jak i charakterystyce osób. Tylko to, co w poprzednich utworach było fragmentaryczne, jednostronne, niedopowiedziane — to wszystko znajduje swój pełny i dojrzały wyraz w »Emigracyi chłopskiej«. Tutaj dał

autor najpełniejszy obraz tego, co grozi chłopu, wskazał przyczyny zła, jego źródła i sprzyjające warunki, wśród których rozrasta i krzewi się bujnie, na czyją korzyść to się dzieje, komu i z jakich powodów to na rękę, kto zysk ma w tem, a kto traci. Szkodę ponosi naród, społeczeństwo, — szkodę nie bylejaką, ranę, która się nie zgoi, bo jest wyrwą w jego podwalinach, zabraniem części stałego lądu, na którym stoi: osłabienie żywiołu polskiego, tracenie ziemi, która jest podstawą życia zbiorowego, jednem słowem zmniejszanie stanu posiadania w Galicyi — na to wskazał w sposób wstrząsający Kazimierz Góralczyk w »Emigracyi chłopskiej«, która nie przestanie być nigdy pomnikiem zasługi tego, który dostrzegł pożar, przyczyny jego dociekł i zrozumiał, na alarm zadzwonił, mądry i skuteczny sposób ratunku obmyślił i doradził.

*
* *

»Emigracyę chłopską« przesłał autor komisyi konkursowej, zbierającej się na dorocznej sesyi w Krakowie i rozdzielającej nagrody autorom najlepszych sztuk z pośród nadesłanych. Dzięki ofiarności kilku osób prywatnych, wyznaczono nagrodę za najlepszy utwór sceniczny w wysokości 600 złr. — i drugą, za najlepszą sztukę ludową, w wysokości 300 złr. Do składu komisyi w roku 1876 należeli: St. Koźmian, dyrektor teatru krakowskiego, hr. St. Tarnowski, Karol Estreicher, Lucyan Siemieński, Henryk Lisicki, Maryan Sokołowski, Aleksander Szukiewicz i reżyser Podwyszyński.

Z pomiędzy 7-miu sztuk ludowych, nadesłanych na konkurs, jednogłośnie przyznano nagrodę »Emi-

gracyi chłopskiej«, zaznaczając, że w sztuce tej są żyjące typy charakterystyczne i z naszych stosunków wzięte — jest wiele pięknie obmyślonych sytuacyi np. sceny chłopskie w akcie pierwszym, pobyt Polaków w Ameryce, obchód wilii, licytacya. »Cała dążność sztuki wysoce szlachetna, głębszej myśli, sięgającej rdzenia sytuacyi kraju«.

»Ta jedna sztuka pozyskana dla teatru« — czytamy w sprawozdaniu (»Sprawozdanie Komisyi konkursowej co do nadgród za utwory sceniczne w roku 1876«. Kraków 1876, 8-vo str. 24 — na str. 22) — »świadczy, iż konkurs i w tym roku był użytecznym i że prace członków komisyi nie były daremne, bo wydobyły na jaw utwór, który bez reklam sztucznych przyniesie scenie korzyść rzeczywistą«.

Po raz pierwszy wystawił »Emigracyę« krakowski teatr dnia 3 czerwca 1876 roku; w Warszawie ukazała się premiera na scenie teatru ogródkowego Tivoli 21 sierpnia 1876 roku. Posłuchajmy, co mówi o warszawskiej premierze autor w liście do Wolffa (8 września), zażywającego wczasów letnich w Norderney: »15-go (sierpnia) pojechałem do Warszawy Emigracyę przedstawić, 24-go wróciłem, doznawszy stokroć większego przyjęcia od kochanej publiczności, niż od dzienników nawet. Wywoływali mię bez końca tak, że wciąż zmuszony byłem włazić i złazić z krzesła, przy wyjściu publiczność robiła szpalery i ręce mi podawała. Krzyczeli: »Niech żyje Anczyc! dziękujemy ci bracie, Bóg ci zapłać za Emigracyę i t. d. i t. d«. Tylko Cenzura, jeżeli mi się nie uda części chociaż przywrócić na wielką scenę, to mię zgrobuje *(sic)*. W październiku przyjadę, a ty powróciwszy, może jako ułagodzisz prezesa tym pozorem, że to

przecież publiczność oświeceńsza jak w ogródkach; między publiczność trzeba będzie puścić radę, żeby braw nie dawała, bo każdą kwestyę, okrytą oklaskami, wymazywano«.

Istotnie entuzyazm, z jakim przyjęto sztukę Anczyca, był niebywały: oklaskom i wywoływaniom autora nie było końca, jak stwierdzają zgodnie gazety warszawskie, do czego przyczyniła się również wyborna gra towarzystwa artystów poznańskich. Byli ponoś tacy, który po przedstawieniu biegli na dworzec kolejowy, chcąc zatrzymać chłopów, jadących do Ameryki (»Słowo« Warszawa, 1883, w nekrologu). Dzienniki miejscowe podnosiły wartość społeczną sztuki, wyrażały się o niej, jako o niezwykłem w literaturze zjawisku, znakomite na ogół wykończenie, głęboką znajomość stosunków krajowych i ludu, »przejrzenie nawskróś jego charakteru«, werwę w charakteryzowaniu każdej postaci, »bogactwo pięknych myśli, śmiało i w właściwem miejscu wypowiedzianych o wzajemnym stosunku zwaśnionych warstw społecznych z chaty i ze dworu« (»Gazeta Polska« 22/VIII 1876).

»Emigracyę chłopską«, w której Anczyc poruszył po raz pierwszy temat, podejmowany potem przez najznakomitsze pióra (Sienkiewicz »Za chlebem«, Konopnicka »Pan Balcer«), której niewątpliwy wpływ dojrzeć można w sztukach ludowych Galasiewicza i Staszczyka — uznano za kwintesencyę talentu ludowego pisarza, za najbardziej wykończoną pod względem artystycznym i najwięcej ważką w pomyśle i tendencyi syntezę jego ludopisarskiej działalności.

Dowcipnie a serdecznie podziękował autorowi po przedstawieniu »Kuryer Świąteczny«:

»Panie Anczyc, chwat z Waszeci!
Chwat, powtarzam znów w zapale,
Chwat, powtarzam po raz trzeci
I nie cofam tego wcale.

Z chłopków ciemnych jak tabaka;
Z których kilku się uwzięło
Za granicę dać drapaka,
Tyś nam stworzył arcydzieło.

Bóg ci zapłać, mistrzu słowa,
Za rozkoszną w życiu chwilę,
Niech krytyka w kąt się schowa,
Na nią wcale się nie silę.

Wyznać bowiem muszę szczerze,
Iż mam przesąd z łaski losu:
Że gdzie serce głos zabierze,
Tam już pióro nie ma głosu«.

Wyjazd do Warszawy na premierę »Emigracyi chłopskiej«, był krótkiem wytchnieniem wśród nawału pracy, jaka zwaliła się na barki Anczyca po zakupie drukarni. Odwiózłszy rodzinę do Szczawnicy, sam musiał powrócić na spalony letnim skwarem i wyludniony bruk krakowski. »Mój Boże« — pisał w liście z 8 września 1876 — »w tym roku tatrzańscy koledzy jak Pawlikowski, Świerz, Asnyk chodzili na Gerlach, na Ganek, na Żelazne Wrota — a ja po ulicach oddychałem wonią kanałów«.

We wrześniu pojechał po żonę i dzieci do Szczawnicy, potem w sprawach handlowych do Iwonicza, Lwowa i Przemyśla.

Żalił się na Ungra (list z 20 września 1876), który »wydał haniebnie Emigracyę« — i dopytywał żywo, czy Bogusławski wystawi nową sztukę. Podjął

się gruntownego przerobienia »Krótkiego rysu dziejów narodu polskiego« (3-cie wydanie), zasięgając w tym względzie doświadczonej porady Szujskiego, z którym serdeczniejsze łączyły go stosunki (w tymże liście).

Zajęcia około ciągle powikłanych interesów odrywały go od pracy literackiej. Skąpo też przedstawia się pokłosie z owych lat: wydawnictwa dla dzieci i młodzieży (przekłady Fr. Hoffmana: »Bóg nie opuści, kto się nań spuści« Warszawa 1877, w 16-ce, str. 103 — i »Czas to pieniądz« Warszawa 1877, w 16-ce, str. 188 — oraz »Trzy baśnie: Mądry kot, Księżniczka z głogu, Kopciuszek — Warszawa 1878, w 4-ce, str. 36), *libretto* do opery komicznej Grossmanna »Duch wojewody« (Kraków 1878, w 16-ce, str. 94), »Przygody Krakowianina na wystawie lwowskiej r. 1877« — osobne odbicie z »Gazety Narodowej«, wydane bezimiennie (Lwów 1878, w 16-ce, str. 24), wreszcie »Wspomnienia z Tatr« w Pamiętniku Towarzystwa Tatrzańskiego« (tom III, str. 85—103).

»Duch wojewody« doczekał się za życia autora przekładu niemieckiego *) i wystawienia na kilku scenach niemieckich.

Towarzystwa Tatrzańskiego był Anczyc gorliwym członkiem od chwili założenia (sierpień 1873) — przez szereg lat zasiadał w wydziale, w 1877 r. piastował godność wiceprezesa Towarzystwa. Zasiadał w komitecie redakcyjnym »Pamiętnika« (zaczął wychodzić w 1876 r.) i ozdobił go u wstępu (t. I, str. 6) pięknym wierszem p. t. »W Tatry«. Z tego też czasu pochodzi

---

*) »Arien und Gesänge aus *dem Geist des Wojewoden.* Komische Oper in 3 Acten (Nach dem Polnischen des W. Lad. Anczyc) von Anton Langer — wyd. Gustaw Lewy we Wiedniu bez roku.

śliczny wierszyk, do dziś utrzymujący się na estradzie koncertowej — p. t. »Drapieżne ptaszę«, wydrukowany w »Bluszczu« (1878, str. 161).

* * *

Z wiosną 1878 roku zabrał się Anczyc do większej, samodzielnej pracy; »trzeba ci wiedzieć« — pisze w liście do Wolffa z 30 kwietnia 1878 r. — »że napisałem sztukę na obecny konkurs (czy otrzyma *praemium* nie wiem i dlatego nikomu o tem nie mówię)«

Sztuka *praemium* nie uzyskała, co ogromnie zmartwiło i oburzyło autora, który nosił się z zamiarem wystosowania pisemnego protestu przeciw składowi komisyi konkursowej i trybowi obrad. Po dojrzalszej rozwadze zaniechał tej myśli, której realny ślad pozostał w papierach w koncepcie przerwanego w połowie zdania protestu.

We wspomnieniach pośmiertnych o Anczycu napotykamy kilka wzmianek o owej niewydanej sztuce. Najobszerniej informuje o niej St. Koźmian (»Przegląd polski« 1883, t. III, str. 508—13), któremu autor dał sztukę do oceny.

»Kiedy socyalizm nie był jeszcze ani przeniesionym do nas« — czytamy — »ani bliskim nas, Anczyc odczuł już i przeczuł niebezpieczeństwa, które z jego strony mogły nam kiedyś grozić. Napisał wtedy utwór sceniczny, w którym z niesłychanem przeczuciem i ręką mistrza przedstawił, jak i którędy socyalizm będzie się starał do Polski wcisnąć. Z tym trafnym sądem, którym się odznaczał w sprawach społecznych, ograniczył rzecz do ludności miejskiej, z wykluczeniem ludu wiejskiego. Dwa pierwsze akta były w swoim

rodzaju arcydziełem, trzy dalsze niesłychanie słabe, niegodne Anczyca; dlatego odradziłem mu wystawić lub ogłosić tę rzecz. Uznał słuszność moich uwag z wrodzoną skromnością a łaskawością dla mojego zdania. Utwór ten jednak znajdować się musi w jego papierach, a dwa pierwsze akta należałoby wydrukować, aby pokazać, jak Anczyc umiał odczuwać wszystkie niebezpieczeństwa, grożące ludowej sprawie i całokształtowi narodowemu. Te dwa akta oświetliłyby procesa socyalistyczne, którymi byliśmy nawiedzeni, i zgromadzenia socyalistyczne, bezkarnie odbywające się teraz«.

Również »Kłosy« (t. XXXVII, str. 81) w nekrologu Anczyca doniosły, że po zmarłym »pozostały w rękopisach sztuki, w których zwraca uwagę na propagandę socyalistyczną i na inne zjawiska rozległej społecznej doniosłości«.

Wreszcie Andrzej Zaleski w fejletonie, ogłoszonym w warszawskiem »Słowie« z okazyi zgonu twórcy »Kościuszki pod Racławicami«, zanotował tytuł sztuki o tak »frapującej« treści — pisząc: »Nosił się z myślą dramatu, w którym miał poruszyć agitacyę socyalistyczną i plagę loteryi liczbowej... dramat ten miał się nazywać »Rozbitki« — podobno już on cały gotowy, ale autor z dzieła tego niezadowolony, chciał go przerobić — ale na to zabrakło już czasu«.

Mamy w ręku kopię autografu sztuki, o której w swoim czasie tyle wieści krążyło. Kopia ta dokonaną była z polecenia autora, który nie chciał się zdradzić charakterem pisma przed komisyą konkursową (list z 30 kwietnia 1878 r.). Sztuka nosi napis: »Rozbitki — obraz ludowy w pięciu aktach«; u dołu motto:

...Już ledwie ostatki,
Kędy spojrzysz, rudera, pustka i zniszczenie.

Rękopis zawiera 208 stron bitego pisma in 4-to. W tytule sprostować trzeba określenie: »obraz ludowy«; — sztuka osnuta jest na tle stosunków małomiejskich — jest to tragedya wyłącznie mieszczańska, odbywająca się »w jednem z mniejszych miast galicyjskich«.

Nie łatwo podać zwięzłą treść utworu; składa się na nią kilka luźnie biegnących akcyi, niespójnych wątków, które słabo wiąże myśl naczelna: wywłaszczenie żywiołu polskiego z miasta.

Ta bowiem idea stanowi kościec sztuki. Uderzający ten parallelizm do zasadniczej myśli »Emigracyi chłopskiej« objaśnia łatwo genezę pomysłu »Rozbitków«. W »Emigracyi« wskazał autor, co grozi wsi polskiej — w »Rozbitkach« zapragnął zwrócić uwagę, że i miasto jest zarówno zagrożone.

Rozbitkami — przedstawiciele polskiego mieszczaństwa: Bandażewski, szewc, Pantarkiewicz, kupiec, Ciemiernicki, piekarz, Kościński, blacharz, Puczkowski, stolarz — wszyscy radni miejscy, na ich czele Zawalski, przedsiębiorca budowli. Toczy się sprawa o wybór burmistrza: przeciw Żarskiemu kandyduje adwokat, na pół Niemiec, oszust i kubaniarz. Posiłkują go żydzi, Lejzer Goldsand, dzierżawca propinacyi zamiejskiej, i Icek Perlmutter; kontrkandydat pomaga sobie czapką, papką i solą, kolejką szampana, szerokim gestem filantropa i serdecznego przyjaciela mieszczaństwa. Mieszczanie idą na lep: łatwowierni, chętni do wypitki, w długach u żyda, wolą włóczyć się po knajpach »*pro publico bono*«, aniżeli pilnować sklepu, czy warsztatu.

Przyczyna »rozbicia« nie tylko tkwi na zewnątrz nich — ale i w nich samych.

Socyalizmowi przypisał Koźmian o wiele większą rolę w sztuce Anczyca, aniżeli ta, którą on tam istotnie odgrywa. Z karykaturą programu socyalnej demokracyi spotykamy się jedynie w warsztacie Bandażewskiego, dokąd idee Marxa przeszczepił jeden z czeladników, który wyjechał do Niemiec Wojciechem, a wrócił Albertem, śpiewającym »*Verbandlied*«, propagującym pomiędzy miejscową czeladzią bezwyznaniowość i komunę. Za jego to sprawą czeladź porzuca robotę u Bandażewskiego i przyczynia się w części do jego finansowej ruiny. Ale pozatem winien i sam majster, nie pilnujący roboty, uprawiający z zamiłowania politykę i strategię, ogarnięty wreszcie nieszczęsną manią loteryjną, która go ostatecznie do zguby prowadzi. Pozatem jednak motyw ten nie odgrywa zasadniczej roli w utworze, a »ojciec miasta« Kościński, nie chodzący do kościoła i wymyślający na księży — może być co najwyżej za »sympatyka« nowych (oczywiście względnie nowych) prądów socyalnych uznany.

U końca sztuki pozostają — rozbitki: Zawalski, okradziony przez spólnika i niegodziwego syna, Bandażewski, obłąkany po stracie żony i córki, która z domu uciekła, oraz majątku, przegranego w loteryę — inni, zlicytowani przez żyda. Na stolcu burmistrzowskim zasiada obcy przybysz, uprawiający nieczyste tranzakcye na szkodę miasta i mieszkańców. Kończy morał, wypowiedziany przez Zawalskiego: »I padniem wszyscy, jeżeli sobie rąk nie podamy. Praca i oszczędność, cnota i uczciwość, zgoda i miłość mogą nas ocalić. Rozbitki! pomagajmy sobie, a Bóg nam pomoże«.

W pobok głównego toku biegną luźnie uboczne

akcye i motywy: historya dwu młodych par, egzaltowanej Salci Bandażewskiej i uwodziciela Antosia, dobrej Maryi Zawalskiej i szlachetnego Adasia Bandażewskiego, satyryczny obrazek sądu przysięgłych, panosząca się dorobkiewiczowa Zawalska, która nie chce dać córki za syna szewca, życiem nad stan rujnuje męża i toleruje niegodziwości syna.

Opracowanie artystyczne tych wszystkich pomysłów musimy uznać za zupełnie chybione; nie podzielamy pod tym względem zachwytu Koźmiana co do dwu pierwszych aktów, jakkolwiek, przyznajemy, lepsze one stosunkowo od trzech następnych, całkiem nieudanych aktów.

Zamiar autora był jak najpiękniejszy — wykonanie zawiodło. Treść nieskonsolidowana plącze się, gmatwa i urywa co krok, prawidłowy rozwój akcyi tamuje zbyt grubo podkreślona tendencya, która też z osób działających czyni albo bezwzględnie złe, albo idealnie dobre indywidua. Jeden Bandażewski jest zupełnie udatnie z życia pochwyconą figurą — z epizodycznie zaś występujących osób doskonały Paciewicz, cyrulik, zawsze uśmiechnięty i ugrzeczniony, zawsze za większością idący.

*
* *

W przygotowaniach do obchodu jubileuszu Kraszewskiego brał Anczyc żywy udział. Dzień jubileuszowy (3 października 1878) powitał wierszem, poświęconym »Józefowi Ignacemu Kraszewskiemu (w dzień jubileuszowy)«, (drukowanym w »Przewodniku bibliograficznym« Wisłockiego, 1879, tom II, str. 149) — w wakacye zaś przewodniczył z ramienia Towarzystwa

Tatrzańskiego poświęceniu »Bramy Kraszewskiego« w Dolinie Kościeliskiej (14 sierpnia). Tekst przemówienia, wygłoszonego z tej okazyi, dochował się w papierach pośmiertnych.

Tocząca się podówczas sprawa budowy nowego gmachu teatralnego w Krakowie znalazła w Władysławie Anczycu gorącego poplecznika. Nie dziw: scena krakowska była drugim domem dla autora »Chłopów arystokratów«, była kolebką jego talentu dramatycznego, a wspomnienie zmarłego ojca, któremu dzieckiem będąc przypatrywał się tyle razy na wąskich deskach scenki w gmachu na placu Szczepańskim, musiało kłaść mu szczególnie na sercu jej rozwój i rozkwit.

W zwołanej przez prezydyum miasta ankiecie, mającej zająć się ułożeniem programu budowy teatru, zasiadł i Anczyc — a pogląd swój na tę sprawę streścił w broszurze p. t. »Czy potrzebny nowy teatr w Krakowie« (wydana łącznie z rozprawą W. Rzewuskiego p. t. »Ze względu na stan majątkowy miasta Krakowa w r. 1879, co budować wprzódy, teatr czy wodociągi« — Kraków 1879, w 8ce, str. 114, z 2 drzeworytami).

Potrzebę budowy nowego teatru uzasadniał Anczyc w swojej rozprawie bardzo obszernie: z zapałem podnosił znaczenie kulturalne teatru, jego wpływ na rozwój etyczny i intellektualny społeczeństwa, określał jego posłanniczą misyę, jako szkoły, która rozumnym doborem sztuk kształcić ma i rozwijać myśl obywatelską, porównywał teatr starożytny i nowoczesny, wykazywał szkodliwość wpływu dramatycznej literatury francuskiej na polski dramat i konieczność zajęcia się i czuwania nad sceną polską.

Toteż pierwsza, ogólna część rozprawki Anczyca warta jest uwagi. W niej określił jasno swoje stanowisko wobec zadań sceny, która ma być jednym z nieposlednich czynników w pracy edukacyjnej, ogólno-społecznej. Teorya szła tu zgodnie w parze z praktyczną działalnością dramato-pisarza.

Działalność pisarska Anczyca w owych latach skierowała się głównie w stronę zbogacenia lektury dla młodzieży.

Poza przekładem dziełka Fr. Bonna p. t. »Uwieńczone nagrodą złote myśli i zdania dla ochrony zwierząt, które każdy uczciwy człowiek powinien mieć w myśli i w sercu« (Monachium 1879, wielki arkusz chromolitogr.) — wydał przekład Verne'a »Przygody trzech Rosyan i trzech Anglików w południowej Afryce« (Warszawa 1879, w 8-ce, str. 335), zabawę towarzyską »Portrety cieniowe królów polskich« (Warszawa 1879, w 8-ce, str. 40), »Dwie róże, powiastkę historyczną z dziejów Anglii z XV wieku dla młodzieży przez F. Henninga« (Warszawa 1880, w 16-ce, str. 172) i tegoż przekład »Gabor Hunyad Berenyi, powiastka historyczna z dziejów Węgier XV. wieku« (Warszawa 1880, w 16-ce, str. 162) — również tłómaczone opowiadanie dla młodzieży Fr. Hoffmanna »Kręte drogi« (Warszawa 1880, w 16-ce, str. 173) i tegoż »Pierwszy błąd« (Warszawa 1880, w 16-ce, str. 160).

Prawdziwie artystyczną wartość mają dwa przekłady z tego czasu: Wiktora Hugo »Ruy Blas«, dramat w 5 aktach — i tłómaczenie pięknej (— najlepszej jaką napisał —) 5-aktowej tragedyi Ottona Ludwiga »Machabeusze«.

Oba przekłady dochowały się w autografach,

oznaczonych dokładną datą: przekład dramatu Hugo'a ukończony 30 września 1879 — sztuka Ludwiga — (posiadamy dwa autografy tego przekładu) poświęcona »moim synom na pamiątkę« — nosi datę 23 kwietnia 1880 r. Przekłady, dokonane pięknym wierszem, zachowują wszystkie piękności oryginału i przynoszą chlubę tłómaczowi. Znaczniejszych odstąpień od oryginałów nie dostrzegliśmy — z wyjątkiem dodanego chóru dziewic w scenie X, aktu trzeciego »Machabeuszów«, którego w oryginale niema, który jednak podnosi uroczysty patos sceny, bynajmniej jej nie osłabiając.

Fizycznie nie czuł się Anczyc dobrze; Wolffowi donosi listownie (20 czerwca 1880): »mam jakieś nieregularności w krążeniu krwi, rozszerzenie żył, zapalenie krtani, zatykanie gruczołów limfatycznych«.

Siła złego... Lekarze doradzili kuracyę hydropatyczną w zakładzie Dra Piaseckiego w Zakopanem. Hydropatya jednak nie odniosła pożądanych skutków; w Zakopanem czuł się Anczyc gorzej jeszcze, co fatalnie wpływało na jego humor. »Jestem tak zniechęcony« — pisał 9 sierpnia — »że wątpię, ażebym kiedy w życiu już tutaj przyjechał. Szewczyk (lekarz) mi radzi jechać do Karlsbadu, ale mnie się zdawało, że jakbym tam pojechał, toby była ostatnia moja podróż«.

Wróciwszy jednak pod koniec sierpnia do Krakowa, zdecydował się odbyć tę »ostatnią podróż« — i w pierwszych dniach września czekał już posłusznie z kubkiem w ręku, choć nie z wielką wiarą w skuteczność, na swoją kolej u źródła w »Karolowych warach« (list z 15 września 1880 z Karlsbadu).

3: NA POLU CHWAŁY.

»Kościuszko pod Racławicami«. — »Jan III-ci pod Wiedniem«. — Ostatnie pisma. — Choroba i śmierć.

Kościuszko pod Racławicami!... Któż z nas nie poczuł łzy wzruszenia w oku na widok przysięgi Naczelnika na rynku krakowskim, komuż nie grała pobudką czynu rzeź w Kozubowie, kto nie ubawił się serdecznie spotkaniem Lichockiego z Katkowem opodal widowni racławickich zapasów?

Jest w tym utworze coś, co mu nieśmiertelność zapewnia, co czyni z niego sztukę, która bodaj największą liczbę z polskich przedstawień osiągła, a zawsze jednako wzrusza i rozrzewnia, zapala i podnosi, w słoneczny dzień przeszłości myśl nawraca i samorzutną projekcyą w przyszłość patrzeć każe, warunkując dobę, która przyjść ma, tę, w której owe rzędowickie chłopy zdobycznych armat dwanaście przywiedli przed Naczelnika, na wzgórzu stojącego w sukmanie śnieżnej, symbolu Jutra, radością wielką rozpromienionego, że oto sen się iści, któremu Bartosz Głowacki na imię. I jeżeliby nam przyszło odpowiedzieć wprost na pytanie: co zapewnia »Kościuszce pod Racławicami« nieśmiertelność — rzeklibyśmy: ukazanie nam za pośrednictwem obrazu z przeszłości, skreślonego z niesłychanie jasnym, promiennym, serdecznym, wprost za duszę chwytającym idealizmem — przyszłości, której każde polskie serce pragnąć musi.

Utwór poświęcony Teofilowi Lenartowiczowi, którego, wedle wyznania autora, »śliczny poemat Bitwa Racławicka dał pierwszą myśl napisania tego obrazu«. Dedykacyę tę uzupełnia list do Lenartowicza,

z datą 28 września 1881, list, który — nie wiemy z jakich powodów — prawdopodobnie »go nie doszedł«, ponieważ przerwany jest w połowie myśli i zdania. »Bóg zapłać za słowo zachęty« — pisze autor »Kościuszki« — »ale do dedykacyi, którą Ci w najżywszej wdzięczności i za śliczną Bitwę Racławicką i za myśl napisania Kościuszki mimo twej wiedzy złożyłem — pozwól, niech Ci opiszę wrażenie publiczności.

Kiedy przed kilku laty przedstawiano Konfederatów Barskich, ułamek tłómaczony przez Olizarowskiego — był tłok w teatrze i podczas kazania księdza Marka ludzie podeszlejsi płakali — młodzież ziewała! a po skończeniu wychodząc wyrzekała na odgrzebywanie zapleśniałego patryotyzmu! Pewny więc byłem, że i Kościuszkę starsze tylko pokolenie odczuje sercem. Ale dzięki Bogu zawiodłem się — zdawało się, że najwięcej kilka przedstawień wytrzyma — w niedzielę przyszłą 34-te!« — (premiera 26 grudnia 1880 r: Kościuszkę grał Żelazowski, Abrahama — Fiszer, Bartosza — Werner, Lichockiego — Wojdałowicz).

»Kiedy po raz pierwszy grano Kościuszkę, to zrazu pierwszą połowę oddziału pierwszego przyjęto z zajęciem, lecz chłodno — ale gdy pojawiły się na rynku krakowskim tłumy zbrojnych rzemieślników, poczciwi szewcy i rzeźnicy, zapał się począł budzić, a podczas przysięgi Kościuszki ogarnęło tłumy wzruszenie niewysłowione. Nie mówię o drugim oddziale, w którym dziki śpiew i rozpasanie Moskali grozą przejęło publikę — ale pragnąbym, abyś mógł być świadkiem płaczu i łkania i starych i młodych, gdy Jan lirnik, przy akompaniamencie muzyki, Twój przecudny deklamuje ustęp.

...Cisza, połykają każde słowo, a tylko łzy spływają po twarzach. Jakie zaś wzruszenie, niech Ci to posłuży za dowód, że gdym na pierwszem przedstawieniu poszedł podziękować aktorowi za prześliczne wypowiedzenie tego ustępu — zastałem go ryczącego spazmatycznym płaczem i nie mogącego przyjść do siebie, tak był do głębi duszy przejęty. O gdybyś słyszał ze sceny potęgę własnego słowa i widział topniejące we łzach serca publiczności! Ja stary — dziś już się ostrzelałem, ale na pierwszych przedstawieniach płakałem jak dziecko. Obraz cudowny: pod lipą starzec, otoczony kobietami i dziećmi — dokoła gromada chłopów, krakusów w białych sukmanach, w czerwonych czapkach, połykających każde słowo a na czele Bartosz Głowacki — taki, jakiegobyś sobie tylko mógł życzyć, pełen dziarskości i ognia; a kiedy zawoła »Dalej ludu wiejski! chwytaj cepy i kosy — Jezus Maryja! do broni! do broni!« to dreszcz przejmuje publiczność i grzmot oklasków wstrząsa salą — jak gdyby to była rzeczywistość.

Błogosławieństwo wychodzących na wojnę kosynierów, przy kościelnym śpiewie chylących się do ziemi, także wzrusza do głębi. Zdobycie bateryi i zakończenie sztuki niewypowiedziane budzi ciepło.

Na przedstawienia zjeżdżają się z odległych okolic, z Królestwa przekradają się, a i Moskale przyjeżdżali, naturalnie srodze zirytowani. Poczciwi studenci na pamięć całą sztukę umieją — ta młodzież, ziewająca na Konfederatach, rozgrzała się szlachetnym ogniem patryotyzmu. Rozkosz patrzeć nie na scenę, ale na publikę. Żydzi pysznią się Abrahamem — a gdy raz kilkudziesięciu chłopów z okolicy zwieziono i parter czerwienił się chłopskiemi czapkami »jakby nasiał

naku« — to trudno opisać wrażenie, jakie na nich wywarła sztuka. Całość ich nie ogarnęła, ale Kościuszko i Bartosz — za każdem wejściem walili im brawo i w głos uwagi robili. Jakiś zaś gospodarz o trzy mile przyjechał z żoną, a gdy mu powiedziano, że już biletów niema, zawołał: O panie, mnie ta nie idzie o pieniądze — jà dàm i po papierku od osoby, ale musiwa widzieć Bartosa, bo juz o nim takie cuda opowiadają we wsi, ze się nie ruszę stąd, aż mię puścicie!

Ale dość tego, wcale nie piszę, aby mi się zdawało, żem coś nadzwyczajnego utworzył, ale abym się z Tobą podzielił tą wielką radością, że mimo gwałtownego tępienia cieplejszych uczuć — mimo nowoczesnych naszych historyków, plwających na naszą przeszłość, mimo materyalizmu, ogarniającego dzisiejsze społeczeństwo — szlachetna i święta miłość Ojczyzny goreje w sercach narodu — poczciwe uczucia nie wygasły — a postać Kościuszki, niby jakaś święta, legendowa, unosi się nad rozszarpanym narodem i zlewa nań promienie ciepła.

Kiedy czytałem pierwszy raz Twoją Bitwę Racławicką rozpłakałem się i mówiłem: cóżby to za cudowna rzecz była, gdyby można ją odczytywać ludowi żywem i ciepłem słowem. Używam też teraz w pełni tej rozkoszy, patrząc na twarze wzruszonych słuchaczy...

Gdybyś to mógł słyszeć, nie wytrzymałbyś i płakałbyś, własnych słów słuchając tak jak ja, jak wszyscy, nad naszą nędzą i sieroctwem płaczą«.

»Kościuszko«, wystawiony we Lwowie (14 maja 1881 r.), został przyjęty bez porównania chłodniej, aniżeli w Krakowie, tak, że nawet nie wahano się

czynić publiczności lwowskiej zarzutów braku patryotyzmu. W obronie tej publiczności wystąpił sam autor w artykule, wydrukowanym w »Gazecie narodowej« (1881, nr. 125), zawierającym wiele pierwszorzędnych objaśnień dla poznania genezy utworu.

»Jeszcze przed 10 czy 11 laty« — pisze między innemi A. W. Lasota — »na prośbę p. Miłaszewskiego, dyrektora sceny lwowskiej, napisaliśmy Kościuszkę, do czego nam impuls dał śliczny poemat Lenartowicza »Bitwa racławicka«. P. M. nabył prawo przedstawienia tego obrazu pod swoją dyrekcyą. Ówczesna cenzura nie przepuściła tej sztuki. W końcu zeszłego roku zamiadomił nas p. Rychter, że mu p. Miłaszewski zrobił propozycyę nabycia Kościuszki (?!), że jednak dowiedziawszy się, kto jest autorem, udaje się do nas z zapytaniem, jak się ma rzecz z własnością; wyjaśniliśmy p. Rychterowi, że p. M. ma prawo przedstawiania Kościuszki pod swoją dyrekcyą, ale własność, jak zwykle, jest naszą. P. Rychter zażądał od nas Kościuszki i zawarł z nami układ. Kiedyśmy przeczytali egzemplarz, uznaliśmy, zbogaceni dziesięcioletniem doświadczeniem, że Kościuszki, tak jak był pierwotnie napisanym, przedstawiać niepodobna, że niejednolitość, zbyteczna długość, nie zapewniłyby mu powodzenia. Przerobiliśmy więc utwór ten zupełnie... Kościuszko z muzyką skomponowaną wedle życzeń autora, doznał niesłychanego dotąd w Krakowie powodzenia. We Lwowie natomiast grał Miłaszewski »Kościuszkę« wedle pierwotnego zarysu, samowolnie upstrzonego własnymi dodatkami *(sic!)* z nieodpowiednio dobraną muzyką — przedstawienie zakończyło się około północy pozostawiając po sobie wrażenie nudy i rozwlekłości«

Oczywiście takie postąpienie dyrekcyi teatru

wowskiego musiało w najwyższym stopniu rozdrażnić autora — zwłaszcza, kiedy w obronie Miłaszewskiego wystąpił »Dziennik Polski« (nr. 127), zarzucając, że autor nie będąc sam świadkiem przedstawienia, oparł swoje oskarżenie na plotkach.

Wtedy Anczyc wybrał się sam na przedstawienie do Lwowa — a wrażenia swoje opisał w słowie wstępnem do wydania Kościuszki, którego edycya (Kraków 1881, w 8-ce, str. 156 i śpiewy) miała właśnie na celu okazanie, o ile wystawiony na scenie lwowskiej »Kościuszko« różnił się od ostatecznego opracowania sztuki.

»Przyjechaliśmy... umyślnie na przedstawienie do Lwowa« — czytamy — »i zobaczyliśmy na scenie — jasełka! O ile bowiem pierwotna sztuka jest rozwlekłą i nudną, tło historyczne niedokładnie nakreślone, oddziały niepołączone z sobą jednolitą nicią — o tyle jeszcze wystawa, niepojęcie ducha i fatalny układ sceniczny, a nakoniec muzyka przez dyrekcyę lwowską nieodpowiednio dobrana, potęgują te usterki dawnego utworu«.

»...Zachowując pierwotną myśl i układ sceniczny, usiłowaliśmy streszczeniem, wyrzuceniem niepotrzebnych, zbyt wyegzaltowanych, a więc nieprawdopodobnych porywów, mianowicie u ludu, budzącego się zaledwie do życia, prawdziwiej nakreślić epokę powstania kościuszkowskiego«.

Opierając się na tych rewelacyach samego autora, rekapitulujemy w krótkości sprawę genezy »Kościuszki pod Racławicami«: istniała pierwotna redakcya »Kościuszki«, pochodząca z czasów około roku 1870.

Ulubionem miejscem przechadzek Anczyca była góra św. Bronisławy: tu, w pobliżu kościółka Salwatora

(— gdzie pragnął być pochowanym —), siadywał w odwieczerz, spoglądając na kopiec Kościuszki, który na myśl tyle wspomnień o Naczelniku w sukmanie nawodzi. Lektura »Bitwy Racławickiej« była ostatecznym impulsem do skreślenia scenicznego obrazu. Płakał, czytając po raz pierwszy poemat — a równocześnie, z wrodzoną Kazimierzowi Góralczykowi gorącą chęcią służenia sprawie, oceniał, jakieby dobroczynne skutki być mogły, »gdyby można ją odczytywać po wsiach ludowi, żywem i ciepłem słowem«.

Czyż może żywe słowo działać silniej, aniżeli ze sceny?

Postanowił napisać »obraz historyczno-ludowy«, a w nim umieścić ślepego starca-lirnika, takiego, jaki widnieje na okładzince »Wyboru poezyj Teofila Lenartowicza« (drukowany u Anczyca w 1876 roku — »Bitwa Racławicka« na czele tomu III-go), którýby, opasany jak na owym wizerunku sznurem wiejskich słuchaczy, opodal kościółka wiejskiego opowiadał, jak to należy »kochać Polskę nie połową, ale całą duszą«, któryby wiastował radosną ewangelię obudzenia się »marzącego w śnie olbrzyma« i nakazywał ogniście »puszczać kosy na te chwasty, co nam pola głuszą«.

Jakieżby wielmożne wrażenie wywarł w scenicznej illustracyi ten przepiękny obraz w poemacie:

»Murowany kościół stoi,
Wrota modrzewiowe,
Nasz Dobrodziej do narodu
Powiedział przemowę« —

i jak potem Dobrodziej żegna lud złocistą patyną, ten lud, kornie schylony przed boskim majestatem, osrebrzony połyskiem kos, w których różane blaski nieci Przedświt, o którym marzył poeta.

Nie wiemy, jaki był pierwotny zarys utworu; w tym względzie oprzeć się musimy na tem, co napisał autor w przedmowie do wydania, która jest niezrównanym komentarzem dla ideowego i rzeczowego objaśnienia sztuki.

Pierwotnie pragnął dać autor tylko »sympatyczny obraz dziejowy«. Obraz ten był, wedle opinii samego autora, rozwlekły, tło historyczne niedokładnie w nim nakreślone, intryga miłosna niejednolita, a odmienne zakończenia każdego aktu nie wywierały pożądanego wrażenia.

Pod koniec roku 1880 (w jesieni, skoro już 26 grudnia zmieniona sztuka ujrzała światła kinkietów sceny krakowskiej) zwraca się dyrektor teatru krakowskiego Rychter do Anczyca z propozycyą wystawienia »Kościuszki«, napisanego przed 10-ciu (czy 11-tu) laty. Anczyc, »zbogacony dziesięcioletniem doświadczeniem«, osądza, że w tej formie utworu na scenę puścić nie można. Po pierwsze — ze stanowiska artystycznego trzeba pousuwać usterki kompozycyjne, ażeby sztuka zatraciła charakter — jasełek, — powtóre i ważniejsze, czasy się zmieniły.

»Od czasu jej napisania jakież smutne zaszły zmiany w naszem społeczeństwie!« — mówi w przedmowie.

»Potępianie krwawych, stuletnich wysileń narodu« — pisze dalej — »bezowocnych wprawdzie, lecz szlachetnych, spotęgowane jeszcze kierunkiem nowoczesnego dziejopisarstwa, odzierającego przeszłość z wszelkiego uroku, budzi w młodocianych umysłach pogardę ku niej, zobojętnia miłość ku tak lichej ojczyźnie, ale zarazem otwiera szeroko wrota materyalizmowi, kosmopolityzmowi i teoryom prze-

wrotu, niedostępnym dotąd uczuciom Polaka. Cóż może być potężniejszą bronią przeciw tym zgubnym dążnościom, jak rozbudzanie miłości ojczyzny, jak przedstawienie w żywej akcyi wzniosłej, nieskalanej i jednej z najczystszych postaci — Kościuszki?«

Anczyc przez całe życie pozostał szlachetnym idealistą — wszelki pozytywizm i materyalizm był mu obcy i nienawistny. Pomiędzy pierwszą a drugą redakcyą »Kościuszki« ten wrogi organizacyi psychicznej autora »Pieśni zbudzonych« prąd myślowy wzmógł się i mętną falą zalał cały obszar polskiego intellektu. »Smutne zaszły zmiany w naszem społeczeństwie! Czysty, szlachetny patryotyzm nie rozbudza się w ludzie mimo nadanych swobód: studzony zaś w sercach młodzieży przez znane stronnictwo, upatrujące w każdem drgnięciu życia narodowego widmo powstania, krzepnie w sercach młodzieży«.

»Kościuszko« — ukazujący się na scenie po dziesięciu latach, miał być z jednej strony protestem przeciw materyalizmowi, przeciw tym, którzy »plwają na naszą przeszłość« — z drugiej zaś przeciw kosmopolityzmowi i hasłom socyalnego przewrotu. Należało sztukę pogłębić.

Stronnictwo, przeciw któremu Anczyc tak niedwuznacznie wystąpił w przedmowie do »Kościuszki«, zaliczało go i zalicza w swoje szeregi. Uczynił to oficyalnie jeden z poważnych jego przedstawicieli w studyum o »Emigracyi chłopskiej«. Anczyc politykiem nigdy nie był: w pierwszym okresie życia wyznawał zasady skrajnie radykalne, pod koniec założył przeciwko tendencyom »Teki Stańczyka«, przeciw historyografii z pod znaku Walewskiego, Kalinki i Szujskiego, otwarte i kategoryczne »*veto*« w »Kościuszce

pod Racławicami«. Jego służba publiczna nie nosiła nigdy cechy partyjnej, a jego *credo* streszczało się w programie lirnika mazowieckiego: »kochać Polskę nie połową, ale całą duszą«. Co owo kochanie mogło osłabić, co nakazywało je rozdzielać na połowę — przeciw temu działał. Stąd niechęć przeciw doktrynom socyalistycznym — stąd również niechęć przeciwko »gasicielom ognia«.

»Kościuszko« z roku 1880 miał rozbudzić uczucie patryotyczne, co nie może »z pewnością nikogo pobudzić do porywów szkodliwych narodowej sprawie«.

Należało wskazać »ideał włościanom w Głowackim, żydom w Abrahamie, kobietom w Starościnie« — »należało o ile możności sztukę uczynić zajmującą, zatem wyrzucić z niej wszystko, co się bez szkody dla całości usunąć dało, a obok tego naszkicować prawdziwe tło epoki. Znaną niechęć właścicieli większych dla powstania Kościuszkowskiego, którzy, oburzeni odrywaniem chłopa od roli, albo rekruta nie dostarczali lub tłumnie za kordon austryacki zbiegali — przedstawia Starosta; wyznawców materyalizmu i miłośników, za jaką bądź cenę, pokoju — Lichocki; zachcianki francuskie Kołłątajczyków — Dzianotty i Sztummer; zastarzałe przesądy — Filomena; chęć oddania życia za oswobodzenie kraju, pomimo podeszłego wieku — Nicefor i Onufry; rodzące się u ludu uczucie miłości Ojczyzny — Głowacki, Świstacki i Grzegorz z pod Racławic. Należało wreszcie dla zrobienia sztuki bardziej zajmującą przesnuć jednolitszą intrygę miłosną, co staraliśmy się osiągnąć przeprowadzeniem ról Lichockiej, Anny i Krzyckiego przez całą sztukę« — wreszcie zmienić zakończenie aktów.

Posiadamy autograf, którego treść nie wiele różni się od edycyi książkowej — na podstawie jednak wskazówek, udzielonych przez autora, spróbujemy zrekonstruować szkielet pierwotnej postaci utworu, wskazując z pewnem prawdopodobieństwem sceny dodane później.

Oddział I: Przysięga — w dwu odsłonach; pierwsza u Lichockich: zawiązanie »intrygi miłosnej«. Lichocki, »materyalista« w życiu prywatnem i publicznem, scharakteryzowany odrazu w pierwszej scenie jasno i dobitnie — Lichocka i Anna, figury blade, takiemi pozostają do końca.

Obie chronią się przed rewolucyą do Krakowa — pomysł dodany w zmienionem opracowaniu celem »przesnucia jednolitej intrygi miłosnej« i »przeprowadzenia ról Lichockiej, Anny i Krzyckiego przez całą sztukę«.

Ta »intryga miłosna« jest »piętą Achillesową« utworu; nie łączy się ona ściśle, nie zestraja z ogólnym podniosłym nastrojem dziejowych zdarzeń — robi wrażenie sztucznie doczepionej nici, na szczęście rzadko wysuwającej się na plan bliższy.

Odsłona druga: przysięga na rynku krakowskim. W scenie pierwszej tłum, pełen życia i ruchu. W tłumie — Brandyska, przekupka. Już raz spotkaliśmy to nazwisko. Przed 42 laty odwiedziła Brandyska Olka, kominiarza — już wtedy polityka nie była jej obca, kiedy na niegościnnego gospodarza wołała: »a ty synu Metternicha«.

Młodociany autor wierszyka »Goście u Olka« przeszedł od tego czasu wiele burz i utrapień — posiwiał i stanął u drugiej krawędzi życia. Brandyska, wiecznie młoda, nie opuścił jej animusz — na rynku

krakowskim rej między przekupkami wiedzie — a potem na wojenkę pociągnie jako markietanka, racławickiej wiktoryi świadkiem będzie.

Tłum wre i kipi: odcinają się z niego trybuni uliczni, wymowny i cięty Dutkiewicz, rzeźnik, nieobrotny w języku, ale ochotny do czynu szewc Sikorski, domorosły polityk, kupiec Krauze (pod tym względem podobny do Bandażewskiego z »Rozbitków«) — i chłop Świstacki, który — jak mniemamy — pierwotnie w tej odsłonie głosu nie zabierał, a teraz wprowadził go autor, ażeby reprezentował lud, »budzący się zaledwie do życia«, nie dowierzający, ażeby się na co przydało »mieszać pomiędzy panów«.

Na scenie jawi się — Kościuszko: nadał tej postaci autor pewną nieruchomość marmurowego posągu, o idealnie czystym i szlachetnym tonie. Postać koturnowa — której patos jednak nie przechodzi właściwej miary i nie razi.

Objęcie ramieniem Świstackiego i ciepłe słowa, skierowane do chłopskiej gromadki — to pierwszy jego czyn w sztuce, illustrujący zasadniczą ideę i historycznej wartości wystąpienie racławickiego zwycięscy — a oraz myśl naczelną sztuki, która sobie wzięła za *motto* czterowiersz Krasińskiego:

»Ogrom leży a bez czucia.
Jeszcze trzeba iskry z nieba
A nie z ziemi — do rozkucia
Marzącego w śnie olbrzyma«.

Drugim uczynkiem Naczelnika, to obdarzenie wolnością zagrożónego szubienicą szpiega rosyjskiego Katkowa, który w autografie i nawet na afiszu teatralnym pierwszego przedstawienia nazywa się: Łunin.

Wreszcie końcowa scena, przysięga, wzorowana na obrazie Stachowicza, która już sama w sobie nie może przejść bez wrażenia.

Akt (oddział) II: Rzeź w Kozubowie: przepowiednie wojny w charakterze ludowym, w tym wypadku jednak naśladowane raczej z »Bitwy Racławickiej« (bębnienie w lesie, które słyszy stary Jędrzej — walka trzech orłów na niebie [w »Kościuszce« dwu wojsk] — przedwczesna wiosna — i ta najzwyklejsza: rodzenie się samych chłopców we wsi), — postać Abrahama, który wyjątkowo w tym wypadku nie przedstawia elementu wrogiego, przed którym chronić się trzeba, bezlitośnie agressywnego i bez żadnych poczuć polonofilskich — ale jakby dla kontrastu nakreślony z ogromnym idealizmem, działający czynnie dla dobra sprawy narodowej, którą za swoją uważa.

Z tego samego pokolenia on, co Jankiel-cymbalista: obaj przedstawiają ten idealny typ polskiego żyda-patryoty, z którym się częściej w literaturze, aniżeli w życiu spotkać można.

Zjawienie się Lichockiej i Anny w Kozubowie uważamy za wtręt późniejszy; wpadnięcie ich pod koniec w ręce kozaków potęguje tragizm sceny, w której wiele silnego, dramatycznego napięcia.

Akt (oddział) III: Bartosz Głowacki (każdy »oddział« oznaczony odpowiednią nazwą, może na wzór niedawno tłómaczonego »Ruy Blas'a«) — najwięcej w nim poetyckiego uroku i rzewnych, podnoszących serca nastrojów, dzięki zręcznemu zużytkowaniu pomysłów »Bitwy Racławickiej«: deklamacyi lirnika w scenie III-ciej — i końcowego błogosławieństwa pod kościołem.

Lud występuje na widownię w idealnem oświe-

tleniu serdecznych pragnień i marzeń autora. Jeszcze go słowem Jan-ślepiec nie zagrzał, a on już kosę sposobi w osobie Bartosza, w którym chciał autor »wskazać ideał włościanom«. Wszyscy bez wahania porzucają ziemię i dążą za Naczelnikiem, a »wyegzaltowane i zbyt nieprawdopodobne porywy u ludu« pozostały chyba w tym akcie nietknięte. Żal musiało być Kazimierzowi Góralczykowi kazić jasne, idealne tło nastroju myśli ludowej refleksyą, wahaniem, czy nierozumieniem. Zyskałaby może prawda historyczna, prawdopodobieństwo psychiczne — straciłby na piękności urok fikcyi, osłabłoby wrażenie obrazu na szerokie, siermiężne masy, a wszakże im poświęcony był utwór i wzgląd w tym kierunku musiał przeważać wszelkie inne względy.

Z innych postaci tego obrazu z wielką »*vis comica*« kreowana stara panna, Filomena — i doskonali dwaj starzy rezydenci, konfederaci barscy, Nicefor i Onufry, z wielkim animuszem, młodzieńczą werwą i staropolskim humorem wybierający się na »śliwki i kapustę«.

Akt (oddział) IV: Racławice — najmniej jednolity, rozbity na słabo powiązane sceny i epizody: ustępy, malujące demokratyczny i antiszlachecki nastrój pewnych żywiołów w obozie Kościuszki (scena II i IV) — uważamy za późniejsze. Swary z tego powodu godzi z tem sympatycznem dla serc naszych nieprawdopodobieństwem Bartosz, któremu autor w usta wkłada prostą a przecież — niedość prostą zasadę: »Jak będziewa wsyscy w jedności, i ślachta, i miastowi, i chłopi, to będzie Polska wolna!«

Po rzewnym dyalogu Kościuszki z Abrahamem (scena VI) — scena komiczna, spotkanie Lichockiego

z Katkowem, scena żywcem przeniesiona ze »Swatów królewskich«.

Zakończenie aktu, zdobycie armat przez kosynierów, zastąpione na scenie ze względów natury technicznej żywym obrazem.

Akt ostatni »Nobilitacya« — tworzy harmonijne zakończenie dramatu historycznego i rozwikłanie »intrygi miłosnej«.

Akt, grzeszący nieco rozwlekłością w pierwszej części — na scenie bywa zazwyczaj skracany.

Wypuszcza się scenę VIII-mą, której pochodzenie uważamy za późniejsze. Scena ta ma podkreślić jedną z zasadniczych myśli utworu: wnoszą ciężko rannego pana Onufrego, który, ratując zagrożonego Dzianottego, omal życiem tego nie przypłacił. W ogniu walki za ojczyznę wyrównała się różnica przekonań: »w boju dopiero przekonali się, że wszyscy dobrzy, gdy idzie o ojczyznę«.

Zakończenie — słoneczna chwila: rozgrzane racławicką wiktoryą dusze kojarzą się w serdecznem zbrataniu. Karmazyn-starosta z chlebem i solą spieszy witać Naczelnika i chłopów-zwycięzców, których zrazu nie chciał puścić na wezwanie Wodza — wita mieszczan i rzemieślników, co tak walnie sprawili się w racławickich zapasach; — żyd, Abraham, przez Kościuszkę po bratersku przywitany i wobec wszystkich wywyższony; — i wreszcie Bartosz, szlachectwem obdarzony, nie, jakoby stan włościański był nikczemny, ale iżby »cały naród wiedział o tem, że kto szlachetnie służy ojczyźnie, ten jest prawdziwym szlachcicem«.

A nakoniec okrzyk Bartosza na cześć Naczelnika w sukmanie: »Niech zyje ten, co pierwsy uznał, ze chłop polski moze kochać Ojcyznę i potrafi za nią

ginąć« — na co Kościuszko uroczyście, wznosząc oczy do nieba:

»Bóg z nami!«

*
* *

Impuls do napisania »Kościuszki pod Racławicami« dał — wedle osobistego zeznania Anczyca — poemat Lenartowicza. Było to jednak tylko źródło ogólnej podniety twórczej, skierowanie myśli w stronę pełnej gloryi chwili dziejowej, tembardziej pociągającej myśl redaktora »Kmiotka«, że pozwalała wyprowadzić na jaśnię chłopa-bohatera; ze źródła tego wyrósł bezpośrednio pomysł wprowadzenia do akcyi, zresztą ubocznie, postaci lirnika z wstawką deklamacyjną, dekoracyjny obraz modlitwy kosynierów przed pójściem w bój i kilka małoważnych momentów, na które staraliśmy się zwrócić uwagę. Poza tem głównem korytem biegnie akcya historyczna, konstrukcya i wątek wypadków, będących bardzo ścisłem i wiernem odbiciem dziejowych zdarzeń pomiędzy 24-tym marca a 4-tym kwietnia 1794-ego roku.

Skąd czerpał Anczyc tło historyczne? — potrafimy odpowiedzieć na to z całą ścisłością: w oddziale I-ym (»Przysięga«), II-gim (»Rzeź w Kozubowie«) i IV-tym oparł się o pamiętnik Filipa Lichockiego — osnowę do oddziału III-ego (»Bartosz Głowacki«) i V-ego (»Nobilitacya«) zaczerpnął z opowiadania Józefa Szujskiego p. t. »Ostatnia Nobilitacya«.

Z tych dwu źródeł korzystał Anczyc bardzo wiernie i bardzo szczegółowo, wprowadzając tylko miejscami bardzo nieznaczne zmiany w konstrukcyi faktów.

Opowiadanie Szujskiego, z którym podówczas w bardzo zażyłych pozostawał stosunkach, wyczytał Anczyc w łamach »Dziennika literackiego« w 1860 r. (w nr. 61—65, osobno w wydaniu zbiorowem dzieł Szujskiego, Kraków 1888, serya I, tom VI, str. 3—27). Opowiadanie Szujskiego, charakterystykę osób i typów, nawet dyalog, o ile go Szujski użył, przeniósł Anczyc w oddziale III-cim i V-tym na scenę, rozprowadzając szerzej i podkreślając to, co uważał za bardziej znamienne, skracając zaś lub pomijając zwłaszcza to, co poza bieg akcyi poprzednich wykraczało. I tak w akcie III-cim następujące sceny i postaci wziął z opowiadania Szujskiego: scena V, dyalog starościny i Bartosza, w scenie VI-tej niechętne stanowisko Starosty wobec ruchu Kościuszki zaakcentował Anczyc znacznie silniej, w scenie VII charakterystykę typów konfederatów-rezydentów, Onufrego (Abgarowicza) i Nicefora (Bajbuza), znakomicie pogłębił, podkreślając sympatyczną gorączkowość staroszlacheckiego animuszu. Oczywiście nie omieszkał wyzyskać romantycznej miłości »dojrzałej« pary: Nicefora i Filomeny (w scenie X-tej — u Szujskiego garderobiana Filonia), o czem Szujski krótko napomknął: »W garderobie odbyła się tragiczna scena pożegnania Nicefora z Filonią, ku której go dawny afekt serca ciągnął. Mężnie stawiła się romantycznego nazwiska garderobiana i w odznakę sympatyi dla rycerskiego animuszu adoratora, udarowała go pozwoleniem ucałowania rączki« (str. 11, 12). Dalszą informacyę Szujskiego o śmierci pana Nicefora pod Szczekocinami od pruskiej kuli, o czem panna Filonia dowiedziawszy się »płakała serdecznie... i co wieczór modliła się za jego duszę, gdy na Anioł pań-

ski dzwoniono« (str. 12) — wyzyskał Anczyc z pewną permutacyą w akcie ostatnim.

Oddział V-ty »Nobilitacya«, już samą nazwą wskazuje źródło: scena I-sza opiera się aż do szczegółów (kabała Filomeny) na Szujskim; II-ga (Starościna — Katkow) jest rozwinięciem wzmianki Szujskiego o zachowaniu się oficerów rosyjskich w pierwszych dniach po wybuchu insurrekcyi (»...przestrach odebrał im nawet zwykłą dokuczliwość — bo wstępujący oficerowie byli grzeczni i zmieszani...« str. 12). Wreszcie zakończenie aktu, uroczystość nobilitacyi Bartosza Głowackiego, jest wierną inscenizacyą opowiadania Szujskiego.

Dodajmy z naciskiem, że w tymże samym roczniku »Dziennika literackiego (w nr. 11—13) ukazała się »Bitwa Racławicka« Lenartowicza jako fragment poematu p. t. »Kościuszko« — a zobaczymy, że pierwszy impuls poetycki połączył się jednocześnie z konkretnym pomysłem konstrukcyjnym dwu aktów zamierzonej sztuki, który urósł do miary pierwszej zapewne redakcyi »Kościuszki pod Racławicami« w dwa lata później, po wyjściu pamiętników Lichockiego; te ostatnie dostarczyły materyału historyczno-anegdotycznego dla pozostałych trzech aktów.

Pamiętnik Filipa Nereusza Lichockiego, obojga praw doktora, od dnia 4 marca 1793, stołecznego miasta Krakowa prezydenta, wydano poraz pierwszy w Poznaniu w 1862-im roku, jako tom II-gi »Pamiętników XVIII-ego wieku«, z dołączeniem objaśnień historycznych oraz trzema planami bitw: racławickiej, szczekocińskiej i maciejowickiej.

Nie przypuszczał zapewne pan Nereusz, że opisując epokę powstania w Krakowie »nie historycznie,

ani eleganter, ale jak najrzetelniej, najprawdziwiej i bardziej żałośnie« znajdzie pisarza, który na wspomnieniach jego się oprze i wzamian go — unieśmiertelni. I tak: część pierwsza aktu I-ego, w domu Lichockich, jest wiernem podaniem na scenę wstępnej części opowiadania Lichockiego, z zatrzymaniem osób i nazwisk, z wyjątkiem siostrzenicy Anny i jej stosunku do Krzyckiego, co już w całości jest fikcyą Anczyca. Nawet charakterystyka samego autora pamiętnika jest ścisłem wyciągnięciem konsekwencyi z tego, do czego sam niejednokrotnie się przyznaje, począwszy od wstępnego określenia przyczyny, dla której wziął się do opisania »epoki powstania« — »bo w czasie jej na zdrowiu i majątku wiele ucierpiał«.

Część druga aktu I-ego opiera się również na relacyi Lichockiego, z wyjątkiem epizodu ze Świstackim, który autor ze względów ideowych od siebie dołączył; akt, czytany przez Wodzickiego, jest skrótem »aktu powstania obywatelów, mieszkańców województwa krakowskiego«, dodanym w przypisach do pamiętnika — jak również i rota przysięgi Kościuszki dosłownie w tychże przypisach jest pomieszczona (str. 46—53).

Opis bitwy pod Kozubowem znalazł Anczyc również w tychże przypisach (str. 43—6); osobistą własnością Anczyca jest, jak wspomniano, udział w akcyi Lichockiej i Anny — oraz postać Abrahama, wyrosła zupełnie samodzielnie z fantazyi Anczyca.

Wreszcie scena I-sza oddziału IV-ego opiera się również na opowiadaniu Lichockiego: w szczególności rewolucyjny nastrój ochotników w obozie Kościuszki oraz postać Lichockiego, znajdującego się po niewoli w ich szeregach, są skreślone na podstawie pamię-

tnika prezydenta Krakowa, ze zmianą jedynie okoliczności zewnętrznych. A mianowicie Lichocki nie wydalał się z Krakowa, tylko na miejscu zmuszono go bez względu na godność i reumatyzm do kopania okopów i mustry pod komendą rzeźnika Dutkiewicza, choć protestował przeciw temu »żeby go, prezydenta, rzeźnik, prosty chłop, czytać, pisać nie umiejący miał mustry uczyć« (Lich. op. c. str. 29).

Dodajmy dla ścisłości, że i pieśń kosynierów (»Dalej chłopcy, dalej żywo«), śpiewana w sztuce w akcie III-im i IV-ym znajduje się w przypisach do pamiętnika Lichockiego (na str. 73).

Takie były źródła historyczne, z których czerpał autor; pozostała bezsprzecznie jego własnością, obok poszczególnych rysów i momentów oraz konstrukcyjnego związania całości — idea naczelna utworu: Bóg i Ojczyzna — podniesienie chłopa na piedestał chwały — zrównanie stanów, przekonań i wyznań wobec wspólnej Matki w nieszczęściu; — to były zasadnicze farby, któremi autor wymalował swój obraz w słońcu. Nie szukać w nim dalekiej perspektywy, subtelnych nuanców i załamań światła — prosty w nim rysunek, obliczony na zajęcie myśli jak najszerszej masy. W słońcu gorącego idealizmu i serdecznego entuzyazmu dla sprawy malowany, nie może zblaknąć ni spełznąć, bo z serca wyszedł i do serca przemawia — a to mu zapewnia świeżość nieśmiertelną.

* *
*

Nie wiele czasu pozostawało autorowi »Kościuszki« do kresu doczesnej wędrówki. Choroba go nurtowała; czuł, że chwil niewiele pozostaje, pragnął wy-

zyskać je jak najobficiej, ale pochłaniające go zajęcia w drukarni mało czasu pozostawiały dla literackiej pracy.

Pociągała go od lat postać mistrza Twardowskiego, ta wieczna pokusa dla twórców polskich, takim legendarnym urokiem owiana — a tak trudna do zaklęcia w słowny wyraz; pracował nad dramatem na tej legendzie opartym, przerabiał go mozolnie, zmieniał układ, porzucał rymy dla prozy — i napowrót do nich powracał — aż i roboty, ledwie rozpoczętej, odbieżeć musiał.

Chciał pozostawić synom w spadku moralne wskązania, z własnego życia i doświadczeń wysnute, i rozpoczął pisać dla nich »Pamiątkę po Ojcu« — ale i tego nie było mu danem doprowadzić do końca. Chodził około ponownych edycyj »Kościuszki pod Racławicami« (1882), »Pereł« (1882), »Ducha puszczy« (1883) — doczekał się wreszcie pierwszej, osobnej edycyi »Tyrteusza« (Kraków 1883, w 8-ce, str. 11), którego rok przedtem ogłoszono powtórnie w »Kwiatach rodzinnych« (wybór poezyi polskiej ułożony przez Narcyzę Żmichowską — Warszawa 1882, str. 89 i n.).

Z racyi śmierci Ignacego Łukasiewicza, kolegi-farmaceuty, twórcy galicyjskiego przemysłu naftowego, napisał o nim wspomnienie pośmiertne — i ogłosił je w »Kłosach« (1882, tom 24, str. 206, 222, 229). Mimo osłabienia chorobą rwał się do literackiej pracy i żalił w listach, że zbyt pochłonięty drukarnią, nie ma kiedy pisać i »że tylko ten krzyżyk mu dokucza«. »Chciałbym bowiem« — pisze do Wolffa (7 kwietnia 1881 roku) — »trochę więcej po sobie zostawić, bo to już podobno nie długo mi na tym świecie«.

Żywo zajmując się zawsze sprawami miasta

i kraju, ułożył i drukiem wydał »Oraczyję Bonifaczego Piszcałki, organiszty parafije Pędzichowskiej, wypowiedziana na fesztynie, wydanym przez miasto Kraków na cześć Mikołaja Zyblikiewicza, b. prezydenta miasta Krakowa, marszałka krajowego d. 28 stycznia 1881 r.« (Kraków 1881).

Na trzynastu półarkuszach do nalepiania w rulon wydrukowana, świadczy »oracya« pana Piszczałki, że jej autor werwy i humoru nie zatracił, choć niedalekim był już kresu doczesnej wędrówki. Pan Piszczałka, na czele kuligu, składa życzenia Zyblikiewiczowi, który ze stolca prezydenta miasta został powołany na stanowisko marszałka kraju. Oczywiście oracya nosi wszystkie typowe cechy swady »miechodmuchów«.

Zniewolony namową dyrektora teatru Koźmiana, i zbliżającą się rocznicą odsieczy wiedeńskiej, raz jeszcze spróbował powrócić myślą »na pole chwały« i udramatyzować wiekopomne zwycięstwo polskiego oręża.

Obraz dramatyczny »Jan III-ci pod Wiedniem« jest pogrobowem dziełem Władysława Anczyca. Wystawiono je na scenie krakowskiej już po zgonie autora, dnia 12 września 1883 roku. Utwór ten miał napisać Anczyc z gorączkowym pośpiechem w przeciągu 9-ciu dni, chory ciężko i beznadziejnie. Jan III-ci, odznaczony nagrodą na konkursie, miał przyczynić się do uświetnienia jubileuszu odsieczy wiedeńskiej. Autograf sztuki zaginął — natomiast udało się odszukać w rękopiśmiennych zbiorach, pochodzących ze starej biblioteki teatru krakowskiego, kopię ostatniego utworu Władysława Anczyca. Pełny tytuł sztuki opiewa: »Jan III pod Wiedniem — szkic historyczny w 6 aktach, za-

kończony obrazem: Przesłanie chorągwi Mahometa do Rzymu«. Na końcu umieszczona informacya co do układu obrazu — oraz dopisek autora: »Obraz ten ułoży pan Kossak, nie kto inny«.

»Jan III pod Wiedniem« urodził się wśród najniekorzystniejszych warunków: wywołała go nie inspiracya twórcza, ale potrzeba chwili, skreśliła ręka drżąca w przedśmiertną niemal godzinę. Toteż »Jan III« jest mozolnie wypracowanem, nużącem często rozwlekłością akcyi, opowiadaniem historycznem, w formie dramatycznej, w którem autor nie miał nawet czasu poczynić ostatecznych poprawek, skupić iześrodkować akcyi na kilka najważniejszych momentów, wyrzuciwszy psujący zarys całości balast masy tłoczących się faktów i figur historycznych.

Wyprawę Jana III-go na »pole chwały« ujął autor w 6 obrazów scenicznych, którym jednak przeważnie zbywa właśnie na »obrazowości«, którą w takiej mierze posiadają »oddziały« »Kościuszki pod Racławicami«. Obrazom tym dał nazwy: I. Za wiarę, II. Oblężenie, III. Sprzymierzeni, IV. Kara Mustafa, V. Przed bitwą, VI. Po bitwie.

Obraz pierwszy kreśli chwilę w przeddzień wyprawy na dworze królewskim w Willanowie: nastrój w otoczeniu królewskiem, intrygi posła francuskiego, umiejącego zręcznie wyzyskać wpływ królowej Marysieńki na króla-mściciela, rozbicie na partye pośród członków rady koronnej — i ostateczna decyzya zwycięzcy z pod Żórawna pospieszenia z pomocą zagrożonej stolicy cesarskiego sprzymierzeńca, w bój »za wiarę«.

Akt drugi opowiada o rozpaczliwem położeniu oblężonego Wiednia, wystawionego nie tylko na

szturmy nieprzyjaciół zewnątrz, ale i na gotującą się wewnątrz zdradę. Pewną dygresyę w monotonnie biegnącej akcyi stanowią groteskowe figury milicyi rzemieślniczej, mimo smutnego położenia miasta pełnej wiedeńskiego humoru i beztroski, zwłaszcza gdy na stole ukazał się »Grinzinger«, a Nani, córka oberżysty, zanuciła walca o »błękitnym Dunaju«.

Akt następny opowiada o połączeniu sprzymierzonych i przygotowaniach do walki z Turkami — obraz »Kara Mustafa« kreśli położenie w obozie tureckim i popłoch, jaki padł na szeregi najezdców, skoro rozeszła się pogłoska o przybyciu króla Jana z odsieczą.

»Przed bitwą« rozkazuje król odprawić Mszę św. na szczycie Kalenbergu w imię zasady, kto z Bogiem, Bóg z nim. Kończy obraz tryumfalnego wjazdu zwycięzców do oswobodzonego grodu, z tryumfatorem, Sobieskim na czele.

Monotonię akcyi chciał autor ożywić przez połączenie równoległe z dramatem historycznym romansu kochającej się pary, jak to już był w »Kościuszce« uczynił. W obozie tureckim znajduje się porwana przez Tatarów Zosia Zaleska, narzeczona dzielnego rotmistrza hussarskich chorągwi, Romana Ruszczyca: dzięki poświęceniu Staszka, parobczaka i sprytowi osiadłego w Wiedniu polskiego kupca Kulczyckiego — udaje się wydobyć porwaną z niewoli tatarskiej.

Motywu tego jednak nie udało się połączyć konsekwentnie z przebiegiem faktów historycznych — a i samo przeprowadzenie jego nie jest wolne od nienaturalności i sztuczności (pomysł przebrania Staszka za dziewczynę i wymienienia go w zamian za narzeczoną Ruszczyca).

Wprowadził autor również i lud do sztuki, który jednak, z wyjątkiem owego Staszka »z pod Krakowa« we wspomnianym epizodzie, odgrywa rolę podrzędną. Tu i ówdzie plączą się reminiscencye z dawniejszych utworów, pomysły już raz zużyte (rozmowa ochotników w akcie II-gim — por. rozmowę tłumu na rynku krakowskim w II-gim akcie »Kościuszki«), zwłaszcza gdzie pokrewieństwo tematu tembardziej takie reminiscencye nasuwało (król, łączący Ruszczyca z Zaleską, obóz turecki, zwłaszcza rada wojenna dowódców tureckich — por. »Swaty królewskie«).

Z tem wszystkiem sztuka Władysława Anczyca, z której usterek sam autor dokładnie zdawał sobie sprawę, powinna spotkać się z »*succés d'estime*«, jako ostatni utwór twórcy »Kościuszki pod Racławicami«.

Dochowany fragment »Twardowskiego«, o którym wspomnieliśmy wyżej, zawiera w całości rymowany prolog, początek aktu I-go w kilku odmiankach prozą i wierszem — oraz dwie, różniące się dyspozycye: dyspozycyę dwu pierwszych aktów i początkowych scen aktu trzeciego — i obszerniejszą dyspozycyę aktu pierwszego. Pierwszy z wymienionych układów uważamy za wcześniejszy: częścią na podstawie punktów aktu pierwszego w tej dyspozycyi autor ułożył prolog — częścią zmienił je albo odrzucił; drugiej dyspozycyi aktu pierwszego odpowiadają w zupełności dochowane fragmenty.

Prolog wzorowany na »Fauście«: w sklepionej i ponurej komnacie, pochylony nad księgami siedzi mistrz Twardowski. Chór niewidzialnych duchów napełnia myśl jego troską i goryczą — Salomonowe »*vanitas vanitatum*« dźwięczy mu w uchu — dolatu-

jąca z kościoła pieśń »Zacznijcie wargi nasze chwalić Pannę świętą«, którą miał w latach młodzieńczych ułożyć, przywodzi mu na pamięć dobre lata dziecięcej, bezgranicznej wiary. Ale zjawiający się dyabeł nie daje mu o tem myśleć, usiłując nakłonić mistrza do podjęcia fatalnej do Rzymu wyprawy — co mu się na razie nie udaje.

Po dyalogu z Maćkiem, sługą i powiernikiem mistrza, zjawia się cyganka Dziedzilia, szukając przed pościgiem motłochu, posądzającego ją o czary, schronienia.

Oczywiście dyabła w tem sprawka, że urocza cyganka potrafi rozpalić miłość w sercu sędziwego czarodzieja.

Twardowski postanawia, jak się zdaje, w porozumieniu z Maćkiem dokonać procesu odmłodzenia — dyabeł tryumfuje.

Na tem, przypuszczamy, kończył się prolog, przepisany na czysto na dużych, zszytych razem ćwiartkach papieru.

Wedle dyspozycyi akt pierwszy miał zawierać następujące sceny: »Maciek przy grobie na cmentarzu czeka oznaczonej godziny na odkopanie mistrza. Rozmaite pokusy usiłują go odciągnąć. — Najprzód Dyabeł w postaci gwarka olkuskiego ofiaruje mu znaczną ilość złota za wskazanie mu drogi do miasta. — Dalej Dziubina, stara żebraczka, ciągnie go do karczmy na wódkę — wreszcie Dziedzilia zalotnością kusi — Maciek opiera się wytrwale — burza, błyskawica, piorun, strachy przeszkadzają odkopywaniu, skoro jednak wydobył trumienkę, wypogadza się, a Maciek wydobywa mistrza w postaci małego chłopczyny, który mu w oczach wyrasta na młodzieńca.

Pojawia się kasztelanka, uchodząca przed zgrają żebraków, którzy ją napastują — on jej się przedstawia jako pan litewski« (u góry napisano: Prolog gotowy).

W dochowanych fragmentach mamy sceny początkowe aż po dyalog pomiędzy Maćkiem a żebraczką Dziubilią.

W tem miejscu urywa się rękopis; zdaje się, że autor pracy nie kontynuował. Szła mu ona dosyć niesporo: kreślił wiele i zmieniał, porzucił formę wiązaną dla niewiązanej, sądząc zapewne, że to posłuży do przyspieszenia tempa pracy. Jakkolwiek czuł się chorym, nie chciał słuchać rady odsunięcia się od zajęć i położenia do łóżka.

Z początkiem 82 roku jeździł do Lwowa w sprawie zakładającej się Macierzy szkolnej (list z 21 lutego 1882) — potem był w Warszawie, skąd powróciwszy, dostał silnego ataku duszności, który był zapowiedzią całego szeregu innych, coraz silniejszych. Ciężka choroba i śmierć teściowej (z wiosną 1882), która po zmarłej żonie objęła ster gospodarstwa domowego, przewlekła słabość zamężnej córki, która do Krakowa po poradę lekarską zjechała — to wszystko burzyło spokój domowy, którego chory bardzo potrzebował.

Budująca jest równowaga ducha i rezygnacya, z jaką poddawał się smutnej konieczności. Siódmego grudnia 1882 r. pisał do Warszawy o coraz silniejszych i częstszych atakach duszności — i dodawał, jakby w parantezie: »powiadają, że to jest rozdęcie płuc i że takie ataki będą się ponawiać do końca życia«. Męczyła go jedynie troska o los dzieci. I kiedy 1 marca donosił o zrobieniu testamentu, w którym opiekę nad małoletnimi poruczał Robertowi Wolffowi i Władysła-

wowi Schmidtowi (zięć) — pocieszał się myślą: »może Bóg da, że jeszcze nie kłapnę... — abym moich chłopców na ludzi mógł wyprowadzić«.

Ostatni list, adresowany do obu warszawskich spólników, nosi datę 12 marca. Pisze, że czuje się lepiej, że ma nadzieję wyzdrowienia i zamiar przyjazdu w maju do Warszawy. Chciał wyjechać do Zakopanego, sądził, że w ulubionem letnisku odzyska zdrowie — musiał nawrócić w lipcu ze Starego Sącza w stanie groźnym.

Umierał spokojnie, z poddaniem się woli Bożej: po przyjęciu Ostatnich Sakramentów pożegnał się z rodziną, jednemu z przyjaciół polecił uściskać artystów i oznajmić pani Hoffmanowej, że w ostatniej chwili myślał o niej.

W sobotę dnia 28 lipca o godzinie 4½ po południu skończył na anewryzm serca.

*

* *

W dwa dni potem odbył się pogrzeb. Trumnę zanieśli z domu (Kanoniczna l. 9) członkowie »Koła literacko-artystycznego« do kościoła św. Piotra, w którym odprawiono egzekwie.

Kondukt prowadzili kanonicy Serwatowski i Polkowski, osobisty przyjaciel zmarłego. Na trumnie złożono, między innymi, wieniec od »rodaków« — »dobrze zasłużonemu synowi Ojczyzny« — i wieniec krakowskiej kolonii czeskiej, z napisem: »Slavetnemu spisovateli Přiteli národa českého«.

Na cmentarzu pożegnał zwłoki ks. Polkowski, Emil Schwarc, redaktor »Gazety krakowskiej« i Skalski, imieniem artystów sceny lwowskiej.

W dwa dni potem otworzono testament, w którym zmarły wyraził życzenie, ażeby pochowano go na cmentarzu parafialnym przy kościółku św. Salwatora na Zwierzyńcu.

Walery Rzewuski zaprojektował wmurowanie pamiątkowej tablicy w kościółku, iżby choć w części zadośćuczynić ostatniej woli autora »Kościuszki pod Racławicami«.

Z wiosną 1886 roku składki osiągnęły wymaganą wysokość. Wykonana tablica jest dziełem trzech artystów: Władysława Chruśnikiewicza, Józefa Przebindowskiego i Kopaczyńskiego. Pierwszy dokonał obramowania tablicy z białego kamienia, zdobiąc je godłami wiary i miłości (krzyż na środku, dwie urny, w których ogień goreje, po bokach).

Medalion z portretem Anczyca, oparty na emblematach pisarskich, modelował Przebindowski, zaś z bronzu odlał Kopaczyński. Na tablicy napis:

WŁADYSŁAWOWI LUDWIKOWI

ANCZYCOWI

AUTOROWI »TYRTEUSZA«

DRAMATURGOWI I PISARZOWI LUDOWEMU

† 1883

PRZYJACIELE.

Uroczystość odsłonięcia i poświęcenia tablicy odbyła się 12 czerwca 1886 r. O godzinie 10 rano zebrały się korporacye i cechy z chorągwiami przed kościołem PP. Norbertanek na Zwierzyńcu, skąd wyruszono ku kościołowi św. Salwatora. Przed rozpoczęciem nabożeństwa uczestnicy wpisali swoje nazwiska na pergaminie, który wmurowano w puszce za pa-

miątkową tablicą. Po nabożeństwie przemówił ks. Stanisław Załęski T. J.; ks. kanonik Pelczar poświęcił tablicę — poczem rozdano wszystkim broszurę p. t. »Upominek z uroczystości odsłonięcia i poświęcenia tablicy pamiątkowej ś. p. Wł. L. Anczyca, odbytej w kościółku św. Salwatora na Zwierzyńcu pod Krakowem dnia 12 czerwca 1886 r.« — oraz widok kościoła i tablicy pamiątkowej.

Uroczystość zakończyło dane tegoż dnia przedstawienie w teatrze, w którem, po odegraniu »Halki«, nastąpił żywy obraz, ułożony przez Juliusza Kossaka z głównych postaci utworów dramatycznych Władysława Anczyca.

* * *

W gęstych mrokach przeszłości ginie początek kościółka św. Salwatora. Ponoś ze świątyni pogańskiej bożka Lelum Polelum przywrócił go św. Wojciech ku czci Bożej, nawracając z kamiennej, do dzisiaj dochowanej kazalnicy pogan jasnowłosych i niebieskookich.

Legenda usiadła na progu kościółka, który jakby zadumany w zielonej otoczy drzew stoi i w przeszłość zapatrzony, skąd tatarskie okrzyki dochodzą i barwne poczty pańskie na koronacyę do grodu rozgłośnie dążą — i postać świętej Bronisławy w modlitewnej ekstazie na szczycie Sikornika widnieje.

W legendę przeszłości wsłuchany stoi kościółek św. Salwatora — cmentarzyk się do niego przytulił wiejski, pełen zieleni i ptaków świegotania w lecie, przytulny i do odpoczynku zapraszający.

Przed oczyma dal kilkumilowa: Błonia, Powiśle, miasto...

* * *

Była cicha i piękna odwieczerz we wczesnej jesieni, kiedy po raz pierwszy znalazłem się w kościółku św. Salwatora. Mrok wyłaził z kątów, przekradając się trwożnie popod łuki i wnęki. Po lewej stronie głównej nawy obraz, na którym Chrystus w sukience o złotych brzegach i złoconych trzewikach kona na krzyżu... U stóp krzyża grajek na skrzypcach przygrywa, czyniąc Panu śmierć mniej bolesną — za co mu, jakby w nagrodę, jeden z Chrystusowych trzewików do rąk spada.

Opodal wmurowana tablica Anczyca: — całe życie wygrywał melodye, które mu dyktowała miłość kraju i narodu, piosenki o prostem a szlachetnem brzmieniu i nieskomplikowanej harmonii, w której czystość tonów nie plami się żadnym dysonansem. Po śmierci pragnął w nagrodę spocząć na wzgórzu pod kościółkiem św. Salwatora, ażeby »duchem swoim módz patrzeć na ukochany Kraków...«



Władysław Ludwik Anczyc pisał wiele i wielostronnie: był poetą, dramaturgiem, satyrykiem, publicystą, dziennikarzem, tłómaczem, popularyzatorem nauk historycznych i przyrodniczych — a rozbieżne te kierunki jednoczył wspólny, wybitny wyraz społecznej tendencyi. Anczyc był już społecznikiem w 15-tym roku życia, w pierwszym, znanym wierszyku — pozostał nim przez całe życie. »Tyrteusz«, »Uczta Wyzwoleńca«, próby historycznego dramatu — to *rari nantes in gurgite vasto*. Niezbyt szeroki zakres myśli, brak systematycznych studyów humanistycznych, ciężkie warunki życia — a przedewszystkiem

wewnętrzna dyspozycya — to wszystko razem wstrzymało rozwój w kierunku »czystej« sztuki, która mogłaby być sama sobie celem.

Celem stało się dla Anczyca — dobro społeczne; glebą, na której najwięcej pozostaje do zrobienia — ludowa Psyche; środkiem — słowo pisane. Program był prosty — sformułował go w prospekcie »Kmiotka«: oświecać, umoralniać, podnosić ekonomicznie — budować, nie burzyć.

Tego trzymał się wiernie, od »Chłopów arystokratów« począwszy — aż po apoteozę chłopa w »Kościuszce po Racławicami«.

Co stworzył Anczyc *sub specie aeternitatis?* »Tyrteusza«, poemat stojący na wyżynach Piękna, tak mało dziś znany (— bo i niewydany dotąd krytycznie —) — a takie skarby wzniosłości i szlachetności tonu zawierający — »Ucztę Wyzwoleńca«, utwór w tym samym marmurze kuty, choć niezupełnie z tym samym rozmachem.

Stworzył Anczyc dramat ludowy: od szkiców i obrazków z życia ludu, od rozpatrywania tej lub owej właściwości jego usposobienia, tej lub owej wady charakteru, którą rozwija i ochrania czynnik zewnętrzny — nie waha się Anczyc po imieniu go nazwać — aż po »Emigracyę chłopską«, w której pozbierał rozrzucone myśli i spostrzeżenia w jeden, syntetyczny wyraz i zamknął go w groźny obraz zbliżającego się orkanu, w Hamletowskie »być — albo nie być« pod adresem społeczeństwa.

Wbrew teoryom, do dzisiaj nie przestarzałym, jakoby ludowy dramat był w zasadzie niemożliwy, ponieważ opiera się na elemencie zbyt mało złożonym, który nie potrafi dostarczyć koniecznych dla sceni-

cznej osnowy powikłań psychologicznych i dramatycznego konfliktu — potrafił Anczyc wydobyć z tego materyału konieczne dla scenicznego opracowania składniki: stworzył szereg postaci o twarzach żywych i charakterystycznych, odtworzył ich odrębną psychologię i odrębny język, wydobył z nich i *vim comicam* — a z wewnętrznych dyspozycyj i zewnętrznych warunków życia i środowiska, wśród którego los je osadził — potrafił wycisnąć tragizm sytuacyi i w sposób naturalny zawiązać dramatyczny węzeł.

Był dobrym nauczycielem i wychowawcą: w tym celu posługiwał się sztuką, gazetką, broszurą. Popularyzował wiadomości z historyi powszechnej i polskiej, z nauk przyrodniczych i fizyki, z hygieny ciała, z postępów na polu gospodarstwa domowego i małorolnego; tępił wkorzenione wady i nałogi, lenistwo, pijaństwo, nieopatrzność w korzystaniu z lichwiarskiego kredytu, gusła i zabobony.

Był dobrym ojcem i wychowawcą własnych dzieci — pragnął przyczynić się do wyrobienia zdrowych myśli i czystych serc w całem młodem pokoleniu. Dochowała się próbka systemu, w jaki chciał rozwijać intellekt w dziecku; możnaby go nazwać systemem odśrodkowym. Począwszy od pojęć najbliższych, konkretnych i dotykalnych, od sprzętów domowych, pokoju i domu, od rodziców i krewnych — postępuje w swoim schemacie do pojęć coraz dalszych i szerszych, do pojęcia miasta, kraju i ziemi, narodu i ludzkości — i najwyższej, kierującej wszystkiem siły — Boga.

Sam, idealista z urodzenia, trzymający się ściśle zasady: przez serce do rozumu — stosował ją konsekwentnie w pedagogicznej działalności nad ludem

i młodzieżą. Panujący pozytywizm potępiał i odrzucał, jako szkodliwy dla rozwoju idei miłości kraju i narodu, wysuszający mózgi i tamujący wszelkie senzytywne porywy, którym rozumowo i historycznie mógł odmawiać namacalnej racyi i korzyści — ale nie chciał na nie rzucać grzmiącego *anatema,* bo umiał dopatrzeć się w nich czuciowych racyj i idealnych zysków, niewidocznych *a priori* dla przedstawicieli stronnictwa, które go w swoje szeregi zaliczyć chciało.

Miał serce i patrzał w serce: — »Kościuszko pod Racławicami«, ten świetlany transparent wzniosłego idealizmu twórcy, rzucający na zakończenie blask młodzieńczego iście entuzyazmu na całą przebytą drogę i cały dorobek zbożnej pracy — miał być w myśl intencyi autora odpowiedzią serca na racye rozumu.

»Kościuszko« do dziś nie zeszedł ze sceny — serce w nim mówi.

* * *

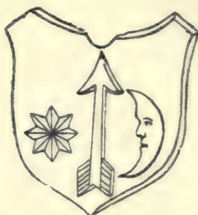
Życie i działalność Władysława Ludwika Anczyca jest budującą szkołą dla każdego, komu dobro sprawy narodowej leży na sercu. Z tego stanowiska założyliśmy sobie tę postać oświetlić i jako wzór dla bieżących i przyszłych pokoleń wskazać.

Oby zechciały z tego wzoru korzystać.



UZUPEŁNIENIA.

(Do str. 2). Herb Ancuta: biała tarcza, w środku strzała, ostrzem do góry, po prawej rożek księżyca, po lewej gwiazda; nad tarczą przyłbica w koronie, dwa miecze i dwie włócznie; z boku cztery chorągwie. Tarcza spoczywa na trzech kulach armatnich i lufie armatniej.



Jan Anschütz, w roku 1816 skarbnik brzeski, jak świadczy skarga, wniesiona 8-go czerwca 1816 roku do aktów grodzkich województwa mińskiego, o niewypłacenie sumy, lokowanej na dobrach starościny Szymańskiej: Zwirzdowskie i Zaranki.

Synowie Jana: Jan Zygmunt i Grzegorz, Wilhelm, Karol stają 13-go grudnia 1819 roku przed komisyą do przyjmowania i rozstrząsania wywodów szlacheckich pod prezydencyą Mikołaja Abramowicza, marszałka wileńskiego, kamerjunkra dworu cesarskiego. Na podstawie dokumentów wywód zapisuje Zygmunta i Karola Anczyców wraz z ich potomstwem do ksiąg szlachty polskiej pierwszej klasy gubernii litewsko-wileńskiej. Młodszy, Karol, pozostawał w służbie wojsk austryackich i dosłużył się rangi chorążego; w 1810 r. wziął dymisyę; od 1817 r. dzierżawił od Jacentego Maćkiewicza folwark Maćkiewicze w powiecie trockim.

Rodzeństwo Władysława Ludwika Anczyca: W notesie, w którym Władysław Anczyc, obok przepisów farmaceutycznych i technicznych, wpisał wiele szczegółów autobiograficznych pierwszorzędnej wagi, znajduje się na odwrotnej stronie

zapiska, zrobiona 20 maja 1858 roku, w której autor wpisał, ile dni przeżył do owej daty, ile przeżyła żona, daty urodzin dzieci, rodziców i rodzeństwa. Wedle tej zapiski najstarszy syn Zygmunta Anczyca, ożenionego z Barbarą Hrehorowiczówną 19 stycznia 1819 roku, również imieniem Zygmunt, urodził się i zmarł w roku 1820. Drugim z rzędu synem był Władysław Ludwik (ur. 1823) — potem cztery z rzędu córki: Emilia (ur. 28 maja 1828, zm. 7 stycznia 1829), Helena (ur. 20 stycznia 1829), Joanna ur. 17 sierpnia 1830, zm. 1909 r.) i Aniela (ur. 24 paźdź. 1833, zm. 11 lutego 1838); wreszcie syn, Stanisław (ur. 24 stycznia 1840, zginął 11 listop. 1863 pod Jurkowicami); Władysław Ludwik był tedy aż po rok 1840 jedynym, najstarszym synem.

(Do str. 3). Przypuszczenie, że Władysław Anczyc urodził się w domu przy ul. Dominikańskiej pod l. 429, opieram na testamencie ojca, Zygmunta Anczyca, sporządzonym w Kaliszu dnia 23 sierpnia 1837 r., w którym trzecią część wzmiankowanego domu, prawem dziedzictwa (po matce) mu przynależną, zapisuje żonie i dzieciom; prawdopodobnie mieszkał w Wilnie w owym domu, którego części był właścicielem, i tu też ujrzał światło dzienne Władysław Ludwik.

Autograf »Pamiątki po Ojcu« mieści się na 8 kartach, częściowo po jednej stronie liczbowanych. Papier, bez znaków wodnych, dwojakiego rodzaju: pięć kart koloru żółtawego o wymiarze 289×228 mm. — trzy białe, nieco mniejsze (284×221 mm.). Pismo równe, bardzo czytelne — kreśleń i dopisków niewiele. Poniżej podajemy przedruk fragmentu, jako cennego materyału biograficznego, opatrując go w myśl intencyi autora nagłówkiem: Pamiątka po Ojcu.

»PAMIĄTKA PO OJCU«.

I. Wstęp.

Wypytujecie mię nieraz, moi drodzy synkowie, o rozmaite szczegóły z czasów mojej młodości; prosicie mię, abym Wam opowiadał o domu rodzinnym, o mych rodzicach, o dawnych szkołach, życiu studenckiem, naukach, zabawach i rozrywkach ówczesnych, o przygodach, jakich doświadczałem, profesorach, którzy mi nauk udzielali, o współuczniach moich.

Uważałem, że gdy w godzinie wolnej od pracy czynię zadosyć Waszej prośbie, słuchacie tych opowiadań z wielką ciekawością, żywem zajęciem i zarzucacie mię tysiącznemi zapytaniami: ale wkrótce już może zabraknie mnie pośród Was i pogadanki nasze na zawsze się skończą. Z tego powodu postanowiłem te moje opowiadania zebrać w jedną całość, spisać je i Wam w braku innej spuścizny pozostawić »pamiątkę po Ojcu«.

Mniemałem, że pamiątka ta będzie dla Was zajmującą. W opowiadaniach moich znajdziecie niejedno wydarzenie podobne do tych, jakie Was spotykają, niejeden błąd lub zaniedbanie się, jakie wy popełniacie, niejeden chwalebny postępek, jakim się pochlubić możecie. I nic dziwnego: młodzież zawsze była, jest i będzie sobie podobną: pomimo najlepszego serca, skłonna do pustot i figlów; pomimo chęci do nauki, często nie umiejąca w niej wytrwać. Tak samo robili jej ojcowie i dziadowie, będąc młodymi, ale przypatrując się ich zaletom i błędom, możecie niejedno naśladować, niejednego uniknąć, a z doświadczenia starszych skorzystać.

Mimo tego podobieństwa w charakterze i usposobieniu młodzieży, o wiele znajdziecie czasy dawniejsze od dzisiejszych różnymi. Zwyczaje, obyczaje, sposób udzielania nauki i postępowania z uczniami, wielkim od owego czasu uległy zmianom. Za moich czasów surowa karność panowała w domu i w szkole. Uszanowanie dla starszych, posłuszeństwo dla nauczycieli, były głęboko wszczepione w serca młodzieży: ostro karano najlżejsze przewinienie w obyczajach i zaniedbywanie się w nauce. Dzisiaj macie daleko więcej swobody, postępowanie uczniów w szkole nie ulega takiemu, jak dawniej, nadzorowi: nauki stoją wprawdzie daleko wyżej, ale za to nauczyciele nie zmuszają do nich studentów, zostawiając im po największej części do woli uczyć się lub nie. Za to, kto się zaniedbuje w pracy, dotkliwszą i cięższą niż dawniej odnosi karę, bo jak plewę od zdrowego ziarna, tak jego wydalają ze szkoły, zagradzając mu drogę do dalszego kształcenia się.

Inna jeszcze pomiędzy dawniejszą a dzisiejszą szkołą zachodzi różnica. Za moich czasów nierównie mniej młodzieży do niej uczęszczało. Synowie tylko zamożniejszych i wykształceńszych rodziców kończyli wyższe szkoły i przechodzili do uniwersytetu. Dziś przeciwnie ogromna liczba pobiera nauki w wyższych

szkołach. Gromadzą się w nich chłopcy wszelkich stanów, począwszy od syna najuboższego wyrobnika, ciemnego chłopa, aż do dzieci najbogatszych i najarystokratyczniejszych rodzin. Śród takiego mnóstwa znachodzą się studenci najrozmaitszego wychowania. Jedni, zepsuci pieszczotami i miękkiem wychowaniem, grymaśni, mający o sobie przesadzone wyobrażenia, zaopatrzeni we wszystko do zbytku; drudzy, nie mający najmniejszego domowego wychowania, walczący na każdym kroku z nędzą, zaniedbani, szorstcy, zuchwali, inni znów przez rodziców starannie wychowani, z pięknymi obyczajami, zamiłowaniem cnoty i chęcią do nauki.

Wpośród takiego różnorodnego zbiorowiska, przy wielkiej swobodzie w uczeniu się, a zachowaniu się poza szkołą, jakże trudno młodemu, niedoświadczonemu chłopcu iść dobrą drogą, jak trudno wytrwać w pilności i dobrych obyczajach, a jak jeszcze trudniej unikać złych, a naśladować dobre przykłady, i wreszcie samemu stać się wzorem dla współuczniów.

Może też »Pamiątka« moja, którą Wam zostawiam, pomoże Wam do zwalczania tych trudności, może czytając ją i rozstrząsając błędy i dobre postępki tego, co Was tak serdecznie kocha, nabierzecie siły do wytrwania w dobrem i do takiego postępowania, ażebyście, jeżeli kiedyś Bóg Wam dozwoli zostać ojcami rodziny, mogli lepszą i więcej naśladowania godną zostawić pamiątkę Waszym dziatkom.

II. Słówko o grodzie rodzinnym.

Piękne to miasto, w którem urodziliście się moi Synowie. Srebrzysta wstęga Wisły otacza je z południa: na wyniosłem jej brzegu wznosi się odwieczny zamek, jakoby strażnik nad bezpieczeństwem jego czuwający: wyniosłe wieże wieńczą go niby koroną: mur, poszczerbiony zębem czasu, opasuje go wkoło, jak zbroica rycerza, którego nieraz w złej doli bronił i zasłaniał. Na samym przodzie od strony miasta wznosi się przybytek Pański, starożytna katedra, pod której sklepieniami spoczywają prochy mężów, wsławionych cnotą, męstwem i zasługami.

Kiedy staniecie na wzgórzu, dźwigającem zamek, to w którąkolwiek stronę wzrok skierujecie, oko wasze prześliczny napotka widok. Tu las wieżyc i wyniosłych szczytów kościelnych szkar-

łatem strzela po nad białych domów gromadę: tam piękne wzgórza rozlicznych kształtów pokryte lasami: piętrzą się coraz wyżej, odbiegają od miasta coraz dalej, błękitnieją, szarzeją, aż na krańcu widnokręgu wystrzela z poza nich ściana zębatych iglic, śniegiem bielejących. Po drugiej stronie roztoczyły się naprzemian, to faliste wzgórza, szachownicą zbóż podzielone, to wdzięczne równiny, pyszną zielonością, lub łąki, różnobarwnem kwieciem pokryte. Środkiem nich przerzyna się Wisła, a zabrawszy hołdowne rzeczki, niknie gdzieś poza odwieczną mogiłą w oddaleniu.

Podczas uroczej wiosny, w młodziuchnym Maju, przy promieniach wschodzącego słońca widok ten zachwyca oko, porywa duszę i budzi w niej wzniosłe uczucia. Patrząc na tę szatę strojną, którą Stwórca oblókł Wasze rodzinne miasto — czyż nie uczuwacie głębokiej dla niego wdzięczności? Czyż nie podziwiacie potęgi i dobroci, wszechmocności i łaski Tego, który tak prześliczny świat stworzył? Czyż nie przychodzi Wam na myśl, że na tak pięknym świecie, człowiek, najpierwsze z Jego stworzeń, dobrym i zacnym być powinien.

Dziatki moje, ile razy myśl niedobra zrodzi się w duszy Waszej i zechce pociągnąć Was ku złemu, niechaj ten uroczy obraz jako anioł stróż stanie Wam w pamięci — niech złą myśl daleko od Was odpędzi, a szlachetniejszem uczuciem serca Wasze napełni. Pamiętajcie, że piękny ten gród rodzinny, że piękna ta ziemia, która go piastuje, przeszłością swą zasłużyły na to, aby im synowie i córy nie wstyd i hańbę, ale zaszczyt i chlubę przynosili. Jeżeli je ukochacie, zacnymi ludźmi będziecie, bo niepodobną jest rzeczą, ażeby człowiek złego charakteru kraj swój miłował, a jeszcze niepodobniejszą, aby miłujący go mógł być złym i występnym człowiekiem.

Dziwne i zmienne są losy ludzkie — nikt nie jest w stanie przewidzieć, w którą stronę świata go popchną: może i Wy zdala od rodzinnego miasta przepędziwszy swój żywot, w obcej spoczniecie ziemi. Ale gdziekolwiek wola Boża Was przeniesie, pamiętajcie zawsze o miejscu, o ziemi Waszej rodzinnej, o krainie, w której przepędziliście najmilsze chwile życia — młodość Waszą.

Niechaj wspomnienie to ogrzewa Was i ożywia — w każdej przeciwności i smutku — w każdem nieszczęściu podwaja siłę i odwagę — w każdem pokuszeniu stanie zaporą złemu i do cnotliwego zachęca życia.

Wspominajcież często ten domek, w którym dziecinne spędziliście lata, rodziców, którzy Was z taką miłością pielęgnowali, a starali się w sercach Waszych ugruntować wiarę, cnotę i uczciwość — Rodzeństwo, które Was szczerze a bezinteresownie kochało. I ten kościół, w którym niewinne Wasze serduszka pierwsze modlitwy zasyłały do Pana Zastępów — i tę szkołę, w której pierwsze pobieraliście nauki — i tych młodziuchnych współuczniów z którymi pierwszą, a może najtrwalszą zawiązaliście przyjaźń; a wreszcie przechadzki, wycieczki i zabawy, do których tyle uroczych wiąże się wspomnień.

Ubiegną szybko lata — przeminie młodość — zejdzie wiek dojrzały. Czas popruszy włosy wasze siwizną a Was ku ziemi pochyli — a wówczas coraz częściej obraz, który roztaczam dziś przed Wami, w całej świeżości pojawiać się będzie przed Wami. I przypomnicie sobie słowa Ojca, oddawna spoczywającego już w grobie — lata dziecinne, lata wdzięcznej niewinnności i swobody, dni uroczej młodości w cudnej szacie, w całym blasku staną przed Wami; i myśl Wasza, skołatana życiem, uciekać będzie chętnie w tę krainę wspomnień, a łza rozrzewnienia spłynie po Waszej pomarszczonej twarzy.

Jeżeli życie Wasze było czyste i zacne, wspomnienie to napełni serca Wasze błogą pociechą, że pięknie spędziliście żywot, że nie przynieśliście wstydu grodowi, który Was wydał; z otuchą gotować się będziecie do wieczystej pielgrzymki, do zdania rachunku Stwórcy z darów, którymi Was obdarzył. Lecz biada Wam dziatki moje, jeżeli nieszczęściem złą pójdziecie drogą. O wtedy, chociażbyście wszystkie zaszczyty i bogactwa tej ziemi posiedli — wspomnienie przeszłości smutkiem i goryczą zatruje ostatek dni Waszych. Obraz młodości będzie Wam wyrzutem sumienia. Zaszczyty, bogactwa i pochlebcy opuszczą Was przy grobie: zagasła wiara buchnie płomieniem trwogi i rozpaczy, a gdy staniecie przed sprawiedliwym Sędzią cóż Mu powiecie, gdy od Was rachunku z zmarnowanych zażąda darów?

I w rodzinnym grodzie pamięć Wasza pójdzie w pogardę i poniewierkę: dobrzy rodzice przykładem Waszym odstraszać będą swe dziatki od złych postępków!

Boże mój! nie racz dopuścić, aby się tak stać miało.

III. Dziecinne lata.

Maleńką dzieciną wywieźli mię rodzice ze starego grodu nad Wilią, gdzie przyszedłem na świat: towarzyszyła im moja mamka (Katarzyna), wdowa po szlachcicu czynszowym z witebskiej gubernii: przywiązała się ona do moich rodziców, a najbardziej do mnie i przez lat ośm, aż do swej śmierci u nas zostawała.

Parę lat rodzice przemieszkali w Warszawie: z pobytu w tem mieście pozostały mi jakieś zamglone wspomnienia: jedno utkwiło mi w pamięci, że raz jakiś tęgi wiarus z żółtym kołnierzem niósł mię na ręku ze spaceru, a ja bawiłem się z jego ogromnemi wąsami. Zapamiętałem także melodyę wygrywaną przy zaciąganiu warty i biciu w bębny. Przypomnienie melodyi tej po kilkunastu latach do łez mię rozrzewniło.

Do piątego roku życia byłem bardzo słabowity i większą część tych lat spędziłem w łóżku: wiele bezsennych nocy matka moja wraz z Katarzyną przeczuwała nademną, nieraz już prawie konający byłem i tylko nadzwyczajne starania rodziców i lekarzy, a łaska Boska utrzymały mię przy życiu. Rodzice zatrwożeni ofiarowali mię Najświętszej Pannie na Jasnej Górze, gdzie, skoro odzyskałem zdrowie, udaliśmy się dla dopełnienia ślubu.

Podróż do Częstochowy, pierwsza*) w mojem życiu, niezmiernie mię zajmowała. Przybywszy na miejsce ojciec natychmiast udał się do klasztoru zamówić nabożeństwo. Nazajutrz, przy rzęsistem oświetleniu i towarzyszeniu muzyki kościelnej, odbyła się uroczysta wotywa przed Matką Boską, po skończeniu której obleczono mię w maleńki habit pauliński, umyślnie dla mnie zrobiony, z zachowaniem wszelkich ceremonii, jakie się odbywają przy obłóczynach prawdziwych. Kapłan celebrujący odczytał nademną błogosławieństwo i polecił mię opiece Najświętszej Panny. Kiedy po skończonem nabożeństwie wyprowadzono mię z kościoła, klęczące niewiasty miejskie i wiejskie całowały szkaplerz mojego habitu, obsypując mię błogosławieństwami: pamiętam, że szedłem z wielką powagą, krok za krokiem, przejęty okazywanemi mi oznakami uszanowania, a zdawało mi się, że jestem prawdziwym księdzem.

---

*) Autor zapomina o podróży z Wilna do Warszawy.

Taka to była głęboka a piękna wiara i ufność bez granic w Bogu u ludzi dawniejszych: nie zaniedbując pomocy lekarskiej i starań, szukali przedewszystkiem pomocy Najwyższego lekarza, który w swem ręku życie ludzkie trzyma. Do niego udawali się w każdej potrzebie, ucisku i strapieniu: znosili mężnie wszelkie przeciwności, wierząc mocno, że wszystko, co człowieka dotyka, pochodzi z Boskiego dopuszczenia, a człowiekowi na dobre jest obmyślane: wierzyli, że bez woli Stwórcy włos z głowy nikomu nie spadnie i z pokorą przyjmowali niezbadane wyroki Opatrzności.

A jednak, kochani moi, sam doznałem cudu wyraźnego na sobie, bo od czasu owych obłóczyn stan zdrowia mego zupełnie się odmienił: odzyskałem rzeźkość i zdrowie i do dnia dzisiejszego, prócz pomniejszych słabości, nigdy cięższej nieuległem chorobie: co większa, raz w strasznem niebezpieczeństwie, zagrożony nieuchronną śmiercią, wspomniałem sobie ofiarowanie mnie i serdecznie westchnąłem do mojej Opiekunki: z piętnastu moich towarzyszy sam tylko pozostałem nietknięty — trzynastu ich straciło życie: czternasty, po czteromiesięcznej chorobie, odzyskał zdrowie.

Wierzę mocno, że ta najwyższa opieka ocaliła mię. Dziatki moje! w dzisiejszych czasach małej wiary, a wygórowanej ufności w własny rozum, znajdzie się nie jeden mędrek, któremu gdy powtórzycie, co Wam stary Wasz ojciec opowiada, wyśmieje i jego i pobożnych rodziców, ofiarujących dziecię Bogu. Niechaj jednak te drwinki nie zachwieją w Was wiary, którą od lat dziecinnych staraliśmy się z matką wpoić w Wasze serduszka. Odwróćcie je od nieszczęsnego szydercy, który bez wiary smutne życie wieść będzie a przy ciężkiem cierpieniu, nie mając religijnej pociechy, upadnie na duchu. Wierzcie zawsze z ufnością w dobroć i miłosierdzie Boże: wierzcie, że wciąż czuwa nad Wami Jego święta opieka, a spokojnie i poczciwie przebędziecie żywot na ziemi, łatwo zniesiecie chociażby najcięższe przeciwności, wsparci tą wiarą i ufnością. Pamiętajcie na to, że kiedy człowiek najbardziej jest uciśniony, wtedy pomoc Boża najbliższa: pamiętajcie, że kto wzywa Boga w utrapieniu, tego On wyrwie z nieszczęścia.

Nie należy jednak opuszczać rąk w złej chwili, a spuszczać się na pomoc niebieską. Powiedziano: »Pracuj człowiecze a ja

ci dopomogę«. Kiedy więc zaskoczy Was w życiu jaka wielka przeciwność, podwójcie wtedy waszą energię, weźcie się gorąco do zwalczenia tej przeciwności, lecz zarazem wezwijcie pomocy Ojca Wszechmocnego, ażeby Was wsparł w tej walce, a niezawodnie zwycięzko z niej wyjdziecie.

Lecz ja zboczyłem od mojego opowiadania, wracam więc do niego.

Z powodu owych częstych słabości matka chowała mię zanadto miękko. Przy najmniejszej zmianie powietrza nie wolno było mi z pokoju wychodzić. Gdy nadeszła zima, ubierano mię od stóp do głów w flanelę, pakowano czapkę ciepłą na uszy, papucie na nogi i nieraz całe dnie przepędzałem siedząc na sofie z kamionką, napełnioną wodą gorącą. Do siódmego roku życia nie znałem co to mróz, deszcz i śnieg i całą zimę spędzałem w ciepłej izbie. Takie wychowanie bardzo źle wpłynęło na moje dalsze życie, bo i dzisiaj na zmiany powietrza, na słoty i mrozy nie jestem wytrwały i łatwo ulegam zaziębieniu.

To właśnie jest powodem, że Was moi chłopcy inaczej chowałem, że starałem się przyzwyczaić Was do znoszenia niepogód i mrozów: a pozwalałem ślizgać się i bawić w śnieżki. Wy używacie także od najmłodszych lat rzecznych kąpieli, których ja do dziesiątego roku życia wcale nie znałem, zmuszony poprzestawać na kąpaniu się w wannie.

Taki sposób życia jest bardzo niekorzystny dla młodego chłopca: nie powinien on być wychuchanym niewieściuchem, któremu lada co zaszkodzić może, bo kto wie, jakie go czekają koleje: może będzie zmuszony do znoszenia wielkich trudów i niewygód, może będzie służyć w wojsku, odbywać wojny i kampanie długie, gdzie nie tylko bić się mężnie potrzeba, ale wytrzymać głód, znosić zimno, sypiać na gołej ziemi, nieraz pośród błota i deszczu, albo stać i maszerować w czasie kilkunastostopniowego mrozu. Jakież to okropne położenie dla wypieszczonego papinka, przyzwyczajonego do ciepłego pokoju, do miękkiej pościeli, do wykwintnych przysmaczków. Wybornie postępowali naddziadowie nasi, hartując z młodu swych synów i przyswajając ich do znoszenia niewygód wszelkiego rodzaju. Młody chłopiec, ledwie, że jak to mówią, odrósł od ziemi, już musiał dosiadać konia, wprawiać się w robieniu bronią, znosić głód, słoty i mrozy, a później towarzyszyć ojcu na łowy, wreszcie i na wojnę:

nic też dziwnego, że nasi przodkowie byli waleczni i wytrwali, w największem niebezpieczeństwie nie tracili serca i nie znali, co trwoga. Przykład ich miejcie zawsze przed oczyma i starajcie się go naśladować, abyście im i sobie wstydu nie robili. Ile razy znów ujrzycie wymokłego papinka, lękającego się, żeby sobie nóżek nie zamoczył, nie mogącego znieść twardego posłania, ratujcie go, bo to bardzo nieszczęśliwa istota, ale strzeżcie się, ażebyście mu podobnymi nie byli.

Ojciec mój, starym obyczajem surowo chowany przez swoich rodziców, podobnież i mnie wychowywał. Był on bardzo dobrym i o mnie troskliwym, pamiętał o najmniejszej mojej potrzebie; jednakże pomimo tej troskliwości nigdy mi jawnie nie okazywał swojego przywiązania i nigdy, wyjąwszy gdy byłem bardzo chory, nie pocałował mię ani popieścił. Kiedy był w domu, musiałem się zachowywać jak najciszej, bawić najspokojniej, bo najmniejszy hałas niecierpliwił go i gniewał. Wprawdzie nie bił mnie jak inni rodzice, gdyż trzeba Wam wiedzieć, że wówczas za najmniejsze przewinienie sypano dzieciom rózgi, ale dosyć było jednego groźnego spojrzenia, ażeby mi potężnego napędzić strachu. Czasami, kiedy w istocie coś zawiniłem, wpadał w gniew i zaczynał mię strofować. W takim razie starałem się zejść mu jak najprędzej z oczu. Wciśnięty w kąt drżałem ze strachu, ażeby mię nie dostrzegł i całemi godzinami nie śmiałem opuścić swej kryjówki. Jeżeli wyszedł z domu, oddychałem swobodniej, a matka zachęcała mię i ośmielała, ażebym za powrotem, upatrzywszy lepszy humor, upadł mu do nóg i starał się przeprosić: kiedy mi powiedziano, że ojciec już śpi, wysuwałem się z kąta i skradając się ostrożnie na palcach dostawałem się wreszcie z bijącem sercem do mojego łóżeczka, które stało tuż obok łóżka ojca. Przeprosiny szły bardzo trudno, nieraz i godzinę namyślałem się, zanim nabrałem odwagi upaść ojcu do nóg: z rzewnym płaczem oblewałem je łzami i całowałem, obiecując poprawę. Kończyło się na tem, że ojciec zrazu niby nieprzebłagany, wkońcu dawał się przebłagać, podnosił z ziemi i całował w głowę na znak przebaczenia; wówczas doznawałem nieopisanej radości i z wilgotnemi jeszcze od płaczu oczyma, dzieliłem się z matką i Brzozosią tą wesołą nowiną.

Nie było znów dla mnie większego szczęścia, jak wówczas, gdy ojciec będąc w dobrym humorze zawołał mię do siebie

i kazawszy usiąść rozpoczynał gawędę. Zazwyczaj opowiadał mi rozmaite ciekawe rzeczy, to o zjawiskach natury, o trzęsieniach ziemi, wybuchach wulkanów, to historyę dawną kraju rodzinnego i różne piękne czyny naszych przodków, to znowu przygody różnych podróżników, albo swoje własne, których wiele doświadczył. Obok historyi, która mię tak mocno zajmowała, że mając zaledwie lat pięć potrafiłem wyliczyć wszystkich naszych królów w porządku, jak po sobie następowali i opowiedzieć najważniejsze zdarzenia, najbardziej mię zajmowały opowiadania z Iliady, którą ojciec bardzo lubił i z historyi starożytnej Grecyi. Zapalałem się do takich bohaterów, jak Achilles, Ajax, Milcyades, Leonidas. Cóżbym był dał za to, żebym mógł podobnych, jak oni, czynów dokazać. Dziś żydzi paryscy starają się ośmieszyć te piękne postacie, wydrwiwając je na teatrach, a to dlatego, ażeby w sercach ludzkich osłabić i wyszydzić wszelkie szlachetne uczucia i serca te usposobić do przyjęcia ich przewrotnych zasad. Kochani moi synowie nie dajcie się ułudzić tym zabawnym może, ale nędznym i przewrotnym kuglarzom. Pamiętajcie, że co było pięknem i wzniosłem, na wieki niem pozostanie: nikczemny tylko umysł może smakować w tych nędznych konceptach: zacny i światły człowiek odwróci się od nich z pogardą.

Innego rodzaju opowiadaniami zajmowała mię moja kochana matka. Uczyła mię ona zasad świętej naszej wiary: codzień zrana i wieczór odmawiałem z nią modlitwy, a gdy przy nogach zajętej robotą matki usiadłem, opowiadała mi historyę biblijną, albo żywot Pana Jezusa. Ileż łez wylałem nad nieszczęśliwym Ablem, nad zaprzedanym przez własnych braci Józefem — nie mogło mi się pomieścić w młodej głowie, ażeby mogli być tacy źli bracia: ale męka Zbawiciela najboleśniejsze na mnie robiła wrażenie: drażliwy niezmiernie z powodu tylu przebytych chorób, ze drżeniem słuchałem opowiadania o boleściach i ranach Pana Jezusa, czułem każdą nieomal ranę Jego, a gdy sam zostałem w pokoju, padałem na kolana przed wizerunkiem Ukrzyżowanego i z płaczem wpatrywałem się w święte oblicze. Pamiętam, iż raz powiedziała mi matka, że każdy nasz grzech nową zadaje Zbawicielowi ranę: słowa te utkwiły mi w pamięci i od niejednego złego uchroniły postępku: ile razy bowiem brała mię chętka zrobić jakiego psikusa, skłamać, lub zjeść coś pokryjomu, na-

tychmiast przypominałem sobie, że przez ten postępek zadam nową ranę Panu Jezusowi i cofałem się z trwogą.

Innego rodzaju opowiadaniami raczyła mię Brzozosia. Urodzona w głębokiej Litwie, wychowana na Białorusi, w tej ojczyźnie najdziwaczniejszych baśni, umiała ich niezliczone mnóstwo: rozpowiadała mi więc o zaklętych księżniczkach, o królewicach zaczarowanych w skórę węża, o złośliwych czarnoksiężnikach i potężnych czarownicach, o żmijach ogniem ziejących, o rozbójnikach i okropnych straszydłach. Historye te zajmowały mię niezmiernie, ale zarazem nabawiały niewypowiedzianej trwogi: słuchając ich, drżałem z bojaźni i oglądałem się po wszystkich kątach, upatrując, czy z którego nie wysunie się jakie widmo, a do ciemnego pokoju nie poszedłbym sam za wszystkie skarby świata.

Ojciec nie chcąc, ażeby mi nabijano głowę baśniami i strachami, surowo zakazywał tych opowiadań, ale Brzozosia umiała wyłamywać się z pod zakazu i gdy rodziców czasami nie było w domu, przez cały wieczór opowiadała różne dziwactwa i usypiała mię niemi. Jeżeli ojciec był w domu i pracował przy biórku, wkradała się potajemnie do jego pokoju i pełznąc na czworakach wkradała się poza moje łóżeczko i szeptała mi do ucha cichuteńko swoje historye, dopóki znużony snem nie usnąłem.

Samotnie upływały mi lata dziecinne, nie mając rówieśników, z którymi mógłbym dzielić igraszki, gdyż rodzice lękając się, aby mię nie popsuto, wzbraniali surowo, abym się z innemi dziećmi, mieszkającemi w tym samym domu, nie bawił. Miałem wprawdzie dosyć zabawek, ale bawiąc się sam, stałem się odludkiem i gdy czasami rodzice wzięli mię do znajomych, gdzie były dzieci, nie wiedziałem co robić, co mówić i zwykle uciekałem do matki. Hałaśliwa zabawa, gonitwy, ciuciubabka i inne gry wcale mię nie bawiły, bo przyzwyczajony do cichego sprawowania się nabrałem wstrętu do głośnych rozrywek i tęskniłem za domową samotnością i ciszą.

IV. Pierwsza nauka.

Kiedy ukończyłem lat cztery matka zaczęła mię uczyć poznawania liter, a następnie sylabizowania. Nauka wtenczas była bardzo długa a nudna: trzeba było uczyć się kilkunastu stronic

sylabizować na wszelkie sposoby: po trzech dopiero miesiącach nauczyłem się tyle, że mogłem przesylabizować pamiętny ów wiersz, zamieszczony na końcu elementarza:

»Różczką Duch święty dziateczki bić radzi,
Różczka bynajmniej zdrowiu nie zawadzi,
Różczka popędza rozumu do głowy i t. d.

Przyznam się Wam moje dziatki, że mię wcale nie zbudowała ta poezya na cześć rózgi; pamiętam, że przeczytawszy dwa następne wiersze:

»Błogosław Boże bory te i lasy,
Gdzie różczki rosną w jak najdłuższe czasy« —

życzyłem im serdecznie, ażeby się popaliły i śladu z nich nie pozostało: znałem ja, co to za przysmaczek, bo chociaż ojciec dotąd nigdy mię nie obił, a Brzozosia zawsze broniła mię, ile razy matka chciała rózgą oćwiczyć, to przecież raz dostało mi się niezgorzej. Nie pamiętam, o co Brzozosia mię wobec matki wyburczała, za co ja odwdzięczyłem się pokazaniem języka, a że i matce coś także zawiniłem, więc moja ochmistrzyni sama przyniosła rózgę i podała matce, która też wsypała mi ich z tuzin. Od tego czasu ze strachem spoglądałem na groźne to narzędzie, zatknięte za lustrem w pokoju jadalnym i z całej duszy życzyłem brzozowym lasom, aby się popaliły.

Pierwszą książką, która mi się po elementarzu dostała w ręce, były bajki Krasickiego. Nieocenione te bajki bardzo polubiłem: każda z nich tworzyła mi świat odrębny. Każde zdarzenie żywo sobie wyobrażałem, czy to chłopców, bijących żaby kamieniami, czy myszy, radzące nad pozbyciem się kota, czy szczura na ołtarzu podczas nabożeństwa, lub biednego psa, którego za wszystko bito. I nieraz kiedy się wydarzyło, że niezasłużenie oberwałem burę, porównywałem się z ową biedną psiną i płakałem nad wspólnym naszym losem.

W owym czasie bardzo mało było książek dla dzieci, nie tak jak dzisiaj, gdy ich macie tak wiele, że niewiadomo, której dać pierwszeństwo, a jedna piękniejsza od drugiej a każda prawie ładnymi obrazkami ozdobiona. Obfitość ta jest powodem, że nie czytacie książek z takiem zajęciem, jak my niegdyś czytaliśmy: nieraz widzę z żalem, jak dzieci piękną książeczkę rzucają

niedbale. Ozdobna jej okładka powalana, obrazki zniszczone lub pobabrane, karty powydzierane; o ileż my lepiej obchodziliśmy się z książkami.

Na imieniny zwykle otrzymywałem dość podarunków: raz na wiązanie dostałem od matki pudełko ślicznych ołowianych żołnierzy, od Brzozosi półmisek wisien, od znajomych pudełko cukierków, piękny bacik, wiatraczek, domki do ustawiania i szabelkę, ale nic mię tak nie ucieszyło, jak Robinson, którego mi podarował ojciec. Książeczkę tę czytałem kilkakrotnie od początku do końca, a dla początkującego, więc nie biegłego w czytaniu, była to rzecz wcale nie łatwa. Nie rozstawałem się ani na chwilę z moim kochanym Robinsonem: idąc spać kładłem go pod poduszkę, wstając, zaraz po przeżegnaniu się, sięgałem ręką dla przekonania się, czy jest przy mnie. Nudziłem Brzozosię nieustannem opowiadaniem jego przygód i w czasie, wolnym od lekcyi, bawiłem się w Robinsona. Książeczka ta bardzo zbawiennie na mnie wpływała, przestrzegając od nieposłuszeństwa rodzicom, które tyloletnią karę ściągnęło na Robinsona. Kochałem go serdecznie, zwłaszcza odtąd, gdy poprawiwszy się stał się dobrym, pracowitym i pobożnym. Śmierć Piętaszka za każdym razem opłakiwałem i nie pamiętam, ażeby kiedykolwiek później jaka książka tak silne na mnie wywarła wrażenie.

Po Robinsonie dostałem Małego Henrysia, potem Odkrycie Ameryki, podróże kapitana Gulliwera w różne dalekie kraje i nakoniec podróż kapitana Behrensa do Szpitzbergu. Książki te rozbudzały we mnie imaginacyę: jak niegdyś do Greków, tak teraz zapaliłem się do morskich podróży i nic nikomu nie mówiąc postanowiłem zostać marynarzem. Zapytywany przezemnie Ojciec, czy to trudno być marynarzem, objaśnił mię, że do tego potrzeba pilnej nauki, mianowicie też wielkich postępów w matematyce i astronomii. Zacząłem się więc pilniej przykładać do nauki w nadziei, że kiedyś będę mógł zostać kapitanem okrętu, a może jaki nieznany kraj odkryję. Okrucieństwa przez Hiszpanów na biednych Indyanach po odkryciu Ameryki popełniane, napełniały mię wstrętem i odrazą. Postanowiłem, że w krajach, które odkryję, noga Hiszpana nie postanie, a moi Indyanie, nawróceni na religię katolicką, będą ludem najszczęśliwszym na kuli ziemskiej.

Odtąd rysowałem wciąż okręty, lub budowałem floty z łupin orzechów włoskich, fregaty z tureckich, a szalupy z laskowych.

Floty te naturalnie potrzebowały osady, ale na nieszczęście nie miałem tak maleńkich majtków, ażeby się mogli zmieścić na moje statki i pływać po morzu, reprezentowanem przez miednicę, napełnioną wodą. Przyszło mi na myśl użyć much, ale cóż kiedy skrzydlatych majtków nie można było zmusić do pozostawania na flocie. Aby ich uwięzić na okrętach zacząłem im obrywać skrzydła, gdy raz niespodziewanie nadeszła matka i ujrzawszy tę okrutną zabawkę zestrofowała mię srodze. »Kto się pastwi nad stworzeniami Bożemi ten ma złe serce i może wyjść na okrutnego zbrodniarza, na zbójcę: męczenie zwierząt oswaja z męczeniem ludzi — mówiła kochana matka — czyś im dał skrzydła, czy potrafisz choć jedno skrzydełko biednej muszce przyprawić w miejsce oderwanego? — a cóżbyś robił, gdyby ci jaki okrutnik uciął nogi? Pamiętaj moje dziecko o tem, że »co tobie nie miło, nie czyń drugiemu«.

Nauczkę tę zapamiętałem dobrze; dopuszczając się okrucieństwa na biednych muszkach nie wiedziałem nawet, ile złego wyrządzam, dopiero mi uwaga matki poznać je dała. Od tego też czasu miejsce majtków zastąpiły ziarnka grochu, reprezentujące białych i ziarnka pieprzu, przedstawiające Indyan, lub niewolników murzynów — od tego także czasu zwracałem szczególną uwagę na to, ażeby żadnemu stworzeniu nic złego nie uczynić, lękając się, ażebym nie został zbójcą.

V.

Miałem lat pięć, gdy przybył do nas ze szkół pinczowskich dziesięcioletni synowiec mojego Ojca. Miał na sobie niebieski mundurek, obszywany na kołnierzu białą wypustką, a na guzikach napis »Szkoła Wojewódzka«. Ubiór ten bardzo mi się podobał, a w moim bracie stryjecznym widziałem jakby dorosłego człowieka, który już do szkół publicznych uczęszczał. Nie bawił on się ze mną, bo znowu uważał mię za dzieciucha, nieodpowiedniego do jego kompanii. Było to jakoś przed świętami Bożego Narodzenia: przyjechał w celu chodzenia do szkół u nas — zrazu nie wiedziałem dla czego, ale później doszło do mojej wiadomości, że się w Pinczowie źle uczył i z tego powodu odesłano go do Krakowa.

Było to, jak mówię, przed Bożem Narodzeniem; przypomnienie to nasuwa mi myśl opowiedzenia Wam kochani moi synowie, jak to za dawniejszych czasów święta u nas obchodzono.

Przez cały Adwent co niedziela rodzice wstawali o godzinie w pół do szóstej z rana i szli na roraty, lecz pomimo gorących próśb z powodu zimnej pory nie brali mię z sobą. W dzień wigilii Bożego Narodzenia, oprócz czystej herbaty z kawałkiem chleba na śniadanie i śledzia w południe, nic nie jedliśmy — o zmierzchu rozścielano cieniuchno na stole siano, a na niem dopiero kładziono obrus i ustawiano talerze: na każdym półmisku z potrawą kładziono kawałeczek święconego opłatka, potem czekaliśmy, rychło pierwsza gwiazdka ukaże się na niebie. Gwiazdki tej niecierpliwie upatrywałem, wybiegając co chwilę do okna, a gdym ją dojrzał, dawałem znać rodzicom. Naówczas ojciec brał opłatek, łamał się nim z matką, życząc pomyślności i doczekania w zdrowiu roku przyszłego, potem oboje łamali się ze mną, a następnie z Brzozosią i służącą. Szły dawnym zwyczajem rozmaite a liczne potrawy jedna po drugiej, począwszy od śledzia, a kończąc na niezbędnych kluskach z makiem i miodem. Po skończonej wigilii ojciec brał kantyczki i intonował naprzód pieśń »Anioł pasterzom mówił« potem »Bóg się rodzi« a wszyscy wtórowali mu z wielką pobożnością. Po skończeniu tych dwóch pieśni zaczynały się wesołe kolendy o rozmaitych przygodach pastuszków, spieszących do szopy, pomiędzy któremi niezbędną była pieśń o ptakach i zwierzętach, dążących powitać nowonarodzonego Zbawiciela. Kolenda ta najbardziej mię ze wszystkich zajmowała i z niej dowiedziałem się o nazwiskach różnych stworzeń. Byłto pierwszy kurs zoologii dla mnie.

Przez cały post, we środy, piątki i soboty pościliśmy, oprócz tego cały pierwszy i ostatni tydzień. W Wielki Czwartek, po spożyciu Wieczerzy Pańskiej, aż do wielkiej niedzieli czysta herbata, śledzie i pieczone ziemniaki stanowiły nasz posiłek: śpiewano także pieśni o męce Pańskiej, które mi łzy wyciskały. Podczas ostatniego tygodnia, a mianowicie zaś w Wielki Piątek i Sobotę było w domu bardzo smutno, a wszyscy musieli mówić cicho i chodzić na palcach. W piątek popołudniu szliśmy z ojcem odwiedzać groby i co najmniej siedm obchodziliśmy kościołów. W domu wszystkie obrazy świętych były czarną osłonione krepą, a inne pozdejmowane ze ściany. Dopiero gdy rodzice powrócili z rezurekcyi i oj-

ciec wyrzekł uroczyście: »Alleluja«, smutek ustawał i następowała powszechna radość.

W Wielką Niedzielę z rana szliśmy wszyscy do kościoła a mieszkanie zamykano. Po powrocie następowało spożycie święconego jajka i wzajemne życzenia rodziny i domowników. Później rodzice oczekiwali przybycia przyjaciół i znajomych, z którymi dopiero spożywaliśmy święcone; jedzono zwłaszcza z początku z wielką powagą i stojąc, jakby dopełniając jakiegoś obrzędu religijnego. Odwiedziny trwały przez całe pierwsze święto, dopiero na drugi dzień rodzice, zabrawszy mię z sobą, wybierali się na obchodzenie znajomych. Trzeba było pamiętać o wszystkich i nikogo nie pominąć, bo o pominięcie bardzo się obrażano. Obchody te przeciągały się zwykle aż do kwietnej niedzieli, w który to dzień ostatecznie święcone sprzątano i wszystko wracało do zwykłego trybu życia.

Jak długo kuzynek mój był u nas powiedzieć nie umiem, zaszło jednak zdarzenie, które utkwiło mi na zawsze w pamięci i stało się odstraszającym przykładem. Zepsuty przez złe towarzystwo w pińczowskich szkołach, braciszek począł dopuszczać się małych szacherek. Pożyczył np. od sąsiadki złotówkę, niby to dla zapłacenia kobiecie za śmietankę, pod pozorem, że moja matka nie ma drobnych: wydało się to po kilku dniach, ale matka, lękając się obudzić gniewu ojca, ukryła to przed nim i poprzestała na skarceniu kuzynka. Wkrótce potem ojciec, powróciwszy późno do domu, zostawił drobne pieniądze na stole. Na drugi dzień okazał się brak piętnastu groszy. Ponieważ służąca była wypróbowanej wierności, podejrzenie więc padło na kuzynka. Ojciec wziął go na indagacye, skutkiem czego przyznał się i powrócił pieniądze, ukryte za obiciem kanapy: wówczas i matka opowiedziała o owej złotówce. Dla odstraszenia panicza od szkaradnych postępków związano mu ręce w tył powrozem i postawiono na środku pokoju, udając, że się poszle po wartę, ażeby go wzięła do więzienia.

— Patrz nieszczęśliwy, co zrobiłeś, mówił ojciec, ukradłeś pieniądze, a czy wiesz, jak się taki nazywa, co kradnie?! nazywa się złodziejem. Czy wiesz co robią ze złodziejami? biorą ich do więzienia, sądzą, wydają wyrok na śmierć, a potem wobec tysięcy ludzi wiesza go kat na szubienicy. Gdybyś to pierwszy raz popełnił, gdybyś odrazu przyznał się i żałował za ten

szkaradny postępek, byłbym ci przebaczył — teraz już trudno, zabrnąłeś za daleko — niechaj cię ludzie sądzą! Idźcie po wartę!

Kuzynek drżał ze strachu, płakał, prosił, obiecywał, że już nigdy nic takiego nie zrobi, a ja, chociaż nic nie zawiniłem, nie mniej byłem przerażony, widząc go skrępowanego jak złoczyńcę, a za każdem skrzypnięciem drzwi wchodowych zdawało mi się, że już idzie po niego kat z żołnierzami. Któż atoli zdoła opisać mój przestrach, gdy nagle ujrzałem wchodzącego kapitana w mundurze, przy szpadzie. Byłem pewny, że przyszedł zabrać mego kuzynka i przemógłszy bojaźń rozgniewania ojca, rzuciłem mu się do nóg, prosząc z płaczem, ażeby przebaczył.

Kapitan byłto przyjaciel mojego ojca i przyszedł go odwiedzić przypadkowo. Ojciec skorzystał z tego i opowiedziawszy mu po cichu rzecz całą, poprowadził do obwinionego. — Zbieraj się i pójdź ze mną, żołnierze czekają na dole, zawołał groźno kapitan. Wtedy moja matka zaczęła niby bardzo gorąco się wstawiać, a ja okrywając pocałunkami nogi ojca, prosiłem za kuzynkiem. Ojciec, udając zmiękczonego naszemi prośbami, darował mu wreszcie winę i z swej strony wstawiał się do kapitana, żeby go nie aresztował. Długo kapitan udawał niewzruszonego i tłumaczył się, że musi aresztować kuzynka, bo nadaremnie nie wolno przyprowadzać żołnierzy, wreszcie wkońcu ustąpił jedynie niby dla ojca, ale odchodząc zapowiedział mu (?) uroczyście, że jeżeli kiedykolwiek poważy się coś podobnego zrobić, żadna moc ludzka nie zdoła uchronić go od więzienia.

Dzień ten przeszedł bardzo smutno. Kuzynek siedział w kącie i płakał ciągle ze wstydu i upokorzenia, a nikt do niego nie przemówił ani słowa. Ja, przerażony do najwyższego stopnia, nie śmiałem się bawić, lecz stałem zamyślony przy moim stoliczku. Widząc to ojciec zawołał mnie do siebie i rzekł:

— Patrz jakie to okropne skutki wynikają z niezachowywania Boskich przykazań; wszak umiesz dziesięcioro?

— Umiem — szepnąłem.

— Jakież jest siódme? zapytał ojciec.

— Nie kradnij.

— Otóż widzisz, on tego przykazania nie zachował, ruszył rzecz cudzą, a teraz ciężko pokutuje. Wprawdzie uratowałem go od więzienia, ale już sam wstyd jest dla niego okropną karą: siedzi w kącie, nie śmie na nikogo oczu podnieść, do nikogo nie

waży się odezwać. Gdyby był się zastanowił nad tem, co go spotka, pewnie nie byłby dotknął pieniędzy: gdyby wiedział, że zasłuży na szkaradne przezwisko złodzieja, że wszyscy odwracać się będą od niego, byłby tego nie uczynił. Bierzże przykład z tego nieszczęścia twojego stryjecznego brata i pamiętaj przez całe życie, że kto cudzą rzecz sobie przywłaszcza, ten kradnie, ten jest złodziejem. A nie tylko wzięcie cudzych pieniędzy jest kradzieżą: kto bez pozwolenia rodziców zje coś, kto pokryjomu weźmie pióro, ołówek, kawałek papieru, słowem najmniejszą bagatelkę, ten także jest złodziejem. Najwięksi zbrodniarze zaczynali od zjadania potajemnie przysmaczków, od przywłaszczania sobie kryjomo małych rzeczy, a potem, gdy im to uchodziło bezkarnie, posuwali się do brania coraz większych i wkońcu doszli do szubienicy. Ztąd też pochodzi polskie stare przysłowie: od łyczka do rzemyczka, od rzemyczka do koniczka, aż nakońcu szubieniczka.

Zdarza się czasami, mówił dalej, że kradzież się nie wyda zaraz, że nikt nie widzi złodzieja, kiedy kradnie, ale widzi go Bóg wszędzie obecny i zbrodnia z czasem wyjdzie na wierzch, jak oliwa. . . . .

. . . .

Na tem urywa się pamiętnik.

(Do str. 4). »Spis odbytych podróży« prowadzony jest do r. 1847 — dalej, aż po rok 1876, prowadził Anczyc spis ten w innym notesie, obok znajdujących się tamże przepisów farmaceutycznych. Autor z niezwykłą u niego pedanteryą zapisuje każdą podróż (często skraca nazwę miejscowości, tak że uniemożliwia odczytanie), wciągając w osobne rubryki ilość mil oraz wiadomość, czy drogę odbył pieszo, wozem czy koleją. Wedle tej, jedynej w swoim rodzaju statystyki, od r. 1825—1867 przebył 18.197 mil.

(Do str. 9). Zygmunt Anczyc przekładał utwory drugorzędnych autorów niemieckich: Nestroya, Rajmunda, Raupacha i i.

Podaję spis tych przekładów za nekrologiem pióra K. Estreichera w »Nowinach« (1855 r., nr. 83): 50000 talarów* — Ulicznik paryski — Jedna godzina w Krzeszowicach — Wolny strzelec, opera — Kocia muzyka czyli akademicy wiedeńscy* — Grenadyery — Kordillak łupiezca i morderca — Kartusz rozbójnik — Śmierć i dzierżawca — Na dole i na pierwszem piętrze — Wesoły

Frycek — Marnotrawca — Hinko — Dwie uczty — Poznanie się na plantacyach — Arseniusz, nieprzyjaciel kobiet — Dwóch lunatyków — Cztery temperamenta — Mieszkanie do najęcia — Napoleon w Brienne — Wilcza studnia, melodr. w 3 akt. — Malarz z miłości, dr. w 2 a. — Hrabia Ory, op. w 3 a. — Córka pułku, op. w 2 a. — Belizar, op. w 3 a. — Synowie Hajmona*, op. w 3 a. — Zamek w Loch Leven, dr. w 3 a. — Pokrywacz dachów, kom. w 1 a. — Kasper Hauser, dr. w 3 a. — Centofolia, królowa geniuszów, melodr. — Powóz emigranta, dr. w 4 a. — Szpieg Bonapartego, kom. — Lekarze królowej Bony, dr. w 3 a. — Dolina czarów, kom. w 4 a. — Lord, kupiec i włóczęga, kom. w 3 a. — Car i powroźnik, kom. w 3 a. — Król karowy czyli grabarze i gracze, dr. — nadto przerobił »Tymona« Szekspira, dając mu tytuł »Dwie uczty«.

Z oryginalnych utworów znany jest tytuł sztuki »Bóg z nami czyli powrót niewolników polskich«*, oraz »Republikanin, czyli wolność, równość, braterstwo« — obie z 1848 r. Utworów swoich nie drukował; oznaczone powyżej gwiazdką odnalazłem w teatralnej bibliotece rękopiśmiennej, pozostającej obecnie w posiadaniu towarzystwa »Oświaty ludowej« w Krakowie.

Co do atmosfery religijnej, panującej w domu Anczyców, por. ust. »Pamiątki«, opisujący święcenie adwentu i wielkiego postu.

(Do str. 12). Dochowane świadectwo egzaminu z klasy I. opiewa:

Prorektor liceum krakowskiego ś. Anny wydaje niniejsze świadectwo z Akt szkolnych Liceum tutejszego wyjęte, że Uczący się prywatnie Anczyc Władysław złożył Examen z przedmiotów na klasę pierwszą przepisanych, jak Prot. Exam. pryw. N. 55 dnia 27 Lipca spisany dowodzi. W Naukach uczynił postępek następujący:

w Nauce Religii i Moralności	Dobry
w Języku Polskim	Dobry
w Języku Łacińskim	Dobry
w Matematyce	Dobry
w Historyi	Dobry
w Jeografii	Dobry
w Wypełnieniu obowiązków był pilny	
Obyczaje	Dobre zachował

Zdaniem ogólnem zasłużył na Promocyę do Klassy drugiej.

Dano w Krakowie dnia 3 Miesiąca Sierpnia 1836 roku.

podpis: Mikołaj Tyrchowski
Stan. Pogonowski
Sekr. Lic. ś. Anny.

Odpis świadectwa za klasę IV. brzmi: Prorektor Liceum Krakowskiego S. Anny wydaje niniejszem świadectwo z akt szkolnych wyjęte, że Anczyc Władysław w latach $18\frac{35}{36}$, $18\frac{36}{37}$, $18\frac{37}{38}$ i $18\frac{38}{39}$ ukończył klassę I, II, III i IV-tą w Liceum tutejszem, a mianowicie w r. $18\frac{38}{39}$ ukończył klassę czwartą i w przedmiotach Naukowych na tę klassę przepisanych w naukach następujący uczynił postęp:

w Nauce { Religii / Moralności }	Dobry
w Języku Polskim	Dobry
w Języku Łacińskim	Dobry
w Języku Greckim	Dobry
w Matematyce	Dobry
w Języku Niemieckim	Dobry
w Naukach Fizycznych	Dobry
w Obowiązkach był	pilnym
Uczęszczał do szkoły	regularnie
Obyczaje zachował	Dobre

Zdaniem ogólnem zasłużył na promocyę do Klassy piątej.

Dano w Krakowie dnia 24 Miesiąca Stycznia 1844 roku.

podpis: Mikołaj Tyrchowski
S. Pogonowski Sekr. L. A.

(Do str. 13). Dochował się w posiadaniu rodziny dekret gremium aptekarzy z dnia 3 lutego 1844 roku, z którego czerpię wiadomość o 4-ro letniej praktyce aptekarskiej i przyjęciu do gremium w r. 1844 Anczyca; dopiero po 4-ro letniej praktyce i egzaminie dojrzałości wpisał się Anczyc w poczet słuchaczów wydziału medycznego i złożył po roku egzamin z farmaceutyki.

Wiadomości o tem podaje również »Liber practicantium P. Cracoviensium«, przechowany w archiwum gremium aptekarzy w Krakowie (prowadzona od 1803 roku do 22/7 1875 roku, zrazu po niemiecku). Tutaj zapisano: Anczyc Władysław, u Wgo Reddyka,

Wilno, Litwa, 16 lat, ewang., dzień przyjęcia do nauki: 1 lutego 1840. Nazwiska obecnych w czasie przyjęcia: Bugajski, Dąbkowski, Sawiczewski, Alexander Reddik. Dzień ukończenia nauki: 3 lutego 1844. Nazwiska examinatorów: Bugajski, Dąbkowski, Sawiczewski, Alex. Reddik.

W »Liber subiectorum C. C. P. Cracoviensium« (prowadz. od 1803 do 18/10 1894) podano: Anczyc Władysław, u Wgo Redyka, Wilno, lat 20, ewang., przyjęty: d. 3 lutego 1864 — odebrał Diplom.

Podaję odpis świadectwa maturalnego zaznaczając, że wiadomość o zdawaniu matury Anczyca była dotąd zupełnie nieznaną — oraz świadectwo egzaminu z I-go roku farmaceutyki.

1) Prorector et professores Lycei cracoviensis ad S. Annam lec. sal.

Juvenis Anczyc Vladislaus, oriundus Vilna in Lituania, pietate in Deum et moribus Bonis commendandus, Religionis Rom. Cathol. annum eatatis agens 18, cursu studiorum in Lyceo peracto, de profectu in litteris explorandum se dedit: ac primum quidem themata a Professoribus proposita ex lingua Polonica, Latina et ex Mathesi sub oculis eorum a nemine adjutus elaboravit; deinde omnibus, quorum intererat audientibus coram, rigorose examinatus est. Unde patuit cum fecisse progressum:

in Doctrina { Religionis, Morum }	Bonum
in Lingua Polonica	Bonum
in Lingua Latina	Bonum
in Lingua Graeca	Bonum
in Mathematicis	Bonum
in Physicis	Eminentem
in Historicis	Eminentem
in Geographia	Bonum

Quapropter hunc juvenem studiis academicis maturum Declaramus.

Datum Cracoviae die 1-a Mensis Octobris Anno 1845.

podpis: Director Lycei — Prorektor Lycei
Dr. Stephanus Ludovicus Kuczyński — Nikolaus Tyrchowski

Secretarius Lycei
Stan. Pogonowski Prof. Math. et Phys.

2) Nos Decanus et Prorector Ordininis Medicorum in Alma Universitate Jagellonica Cracoviensi.

Adolescentem ingenuum Anczyc Vladislaum, oriundum Vilna, civem Universitatis nostrae et alumnum disciplinae pharmaceuticae anni primi, scholas publicas pharmaceuticas per utrumque semestrium diligenter frequentasse et classes profectus has retulisse:

Ex psychologia et logica	in examine	publico	eminentem
» physica	»	»	eminentem
» physiographia generali	»	»	primam

moresque legibus academicis conformes exhibuisse his litteris testamur.

Datum Cracoviae die 24 Mensis Julii Anno 1845.

podpis: Dr. Skobel
h. t. Ordinis Medicorum Decanus.
Prorector et professores Lycei cracoviensis ad S.

(Do str. 14—16). Wiadomości o konspiracyach w Galicyi i Krakowie podaję za książką Henryka Lisickiego: Antoni Zygmunt Helcel, Lwów 1882 — i J. Krajewskiego: Tajne związki polityczne w Galicyi od r. 1833—1841.

(Do str. 17). Przemowę hrabiego Spork w dniu proklamowania konstytucyi w Krakowie podaje Antoni Tessarczyk w książce p. t. »Rzeczpospolita krakowska, wolna, niepodległa i ściśle neutralna...« Kraków 1863.

(Do str. 19). Przemowę Dra Hammera przełożył i wydał w r. 1848 Juliusz Przyjemski p. t. Bürokracia w Galicij.

Na sejmie lwowskim ponawiają się wnioski o zniesienie pańszczyzny w r. 1842, 43 i 44.

(Do str. 20—1). Udział biurokracyi galicyjskiej w rzezi roku 46 jest rzeczą notorycznie znaną: o starostach Breinlu i Berncie, o kwieskowanym urzędniku Krynickim, wiodącym chłopów na Gdów — mówi dr. Bron. Łoziński w artykule p. t. »Dwa upiory historyczne — gen. Benedek i starosta Breinl« Bibl. Warsz. 1902, t. 2, str. 213 i n.

Sylwetkę hofrata Milbachera podaje broszura p. t. »Hofrat Milbacher, starosta i na pensyi, ułamek z dziejów biurokratycznego Absolutyzmu — w Galicyi« Lwów 1848. O innych wspominają Lisicki op. c., Krajewski op. c., »Kronika rewolucyi krakowskiej w roku 1846« spisana przez Józefa Wawel-Louis, Kraków 1898 — i wielu innych, oraz czasopisma polskie i obce, zwłaszcza z 1848 roku; pozatem wiele powiedziećby mogły protokoły policyjne z owych lat, do których dostęp jest zamknięty.

(Do str. 21). O »ciemnocie w Galicyi w świetle cyfr i faktów 1772—1902« informuje Światłomir; wedle jego wykazów było w Galicyi w r. 1841 szkół ludowych 1946, uczęszczało do nich uczniów 70135. Jedna szkoła przypadała na 3973 km², a jeden uczeń na 63 mieszkańców; między rokiem 1846—57 liczba szkółek zmniejszyła się jeszcze o 90, mimo pracy założonego we Lwowie w 1849 »Towarzystwa rozszerzania oświaty« i krakowskiego »Towarzystwa naukowego«.

(Do str. 22). Słowa Mierosławskiego przytaczam z książki jego p. t. »Histoire de la révolution de Pologne« Paris 1838.

»Katechizm demokratyczny czyli opowiadanie słowa ludowego« Paryż 1845; autorem był Henryk Kamieński. Znane jest wrażenie, jakie ta broszura wywarła na Krasińskim i jak wpłynęła na genezę »Psalmów«.

(Do str. 23). O zajściu w Szczepanowicach opowiada J. Krajewski l. c.

(Do str. 24 i n.). O rewolucyi krakowskiej opowiadam za Hilarym Meciszewskim (»Noc z dnia 25 na 26 lutego 1846 r. w Krakowie, ustęp historyczny z pamiętników Hilar. Mecisz. w dzienniku »Polska« nr. 17; tu wiadomość o ciągłych zmianach w naczelnictwie i o zamachu stanu prof. Wiszniewskiego) — oraz za Lisickim l. c. i Louis-Wawelem l. c. Wspomniane rozporządzenia dyktatora drukował »Dziennik rządowy Rzeczyposp. Polsk.« w nr. 2, 3 i 5.

(Do str. 26—30). O procesyi podgórskiej i aresztowaniu W. Anczyca mówi Louis-Wawel l. c. str. 169—179; tenże opo-

wiada o »Komisyi kryminalnej« (str. 199 i n.) oraz cytuje opowiadanie Anczyca i Bogackiego o poszukiwaniu trupa Dembowskiego (na str. 197 i 198).

Podajemy brzmienie raportu o aresztowaniu Władysława Anczyca z archiwum aktów ziemskich i grodzkich we Lwowie, l. 61.

Kraków dnia 7 maja 1846 r.
o godz. 11 zrana.

RAPORT O PRZYARESZTOWANIU.

Imię i nazwisko — Anczyc Władysław
Miejsce urodzenia i ojczyzna — Litwa
Mieszkanie — pod L. 349 G. III.
Zatrudnienie — Kandydat farmacyi.
Przyczyna aresztowania — Za udział w Rokoszu, zaco z Podgórza nadesłany.
Obecnie jest w aresztach Gmachu Kryminalnego.

OPIS
aresztowanego

wzrost	—	średni
oczy	—	piwne
włosy	—	blond
twarz	—	pociągła
nos	—	dto
lat	—	21

(podpis nieczytelny)

Wyżej opisany aresztowany przyjętym został do aresztu o godz. 6 zrana.

Kraków dnia 7. V. 1846.

Orzeczenie dyrekcyi policyi: Wł. Anczyc, uczeń farmacyi, jest spisem tutejszo-krajowym pod L. 349 G. III objętym, że jest rodem z Polski, tu od 1826 r. i na liście poddanych Król. Polskiego zamieszczonym jest *(sic)*.

15/5 846 (podpis nieczytelny).

Vidi (podpis nieczytelny).

Na stronie 4-tej:

Uchwalono jednogłośnie, że chociaż Władysław Anczyc tak z zeznania swego jako też i z dotychczasowych dochodzeń Komissyi Śledczej o udział w ostatnim Rokoszu w niczem nie jest poszlakowany i Komissya uważając takowego za niewinnego tegoż by na wolną nogę wypuściła, jednakowoż gdy tenże o uczestnictwo w processyi do Podgórza przez Rząd Rewolucyjny zarządzonej jest obwinionym, lubo dowodu niema, iż tam się znajdował zbrojną ręką, stosownie do Instrukcyi tegoż Władysława Anczyc

jako poddanego Król. Polskiego roku 1836 tutaj wraz z ojcem zamieszkałego i na liście poddanych Polskich tutaj stale osiedlić się chcących umieszczonego dla dotychczas nie nadeszłej tej listy potwierdzenia Rządowi Królestwa Polskiego wydać.

Kraków d. 16 maja 1846.

(Następuje 9 podpisów — po prawej stronie rubrum: Nro 7106 d. 7 maja 1846. Podano d. 16 maja 1846. N. 692).

(Do str. 32—3). List Helcla do Wielopolskiego cytuje H. Lisicki op. c. na str. 164.

(Do str. 35). Odezwę p. t. »Co się stało we Lwowie« napisał Jul. Alex. Kamiński, redaktor »Przyjaciela ludu«; zaczyna »Bracia i siostry!« — mówi o adresie podanym do tronu, o zapowiedzi konstytucyi dla Galicyi — wzywa do powagi i spokoju. Odezwa nosi datę: 27 marca 1848.

Tenże jest autorem pisemka »Co to jest konstytucya« z 29 marca tegoż roku.

»Pogadankę chłopską czyli rozmowę wójta ze swymi sąsiadami o dzisiejszych zdarzeniach i o dawnych dziejach na świecie, co każdy wiedzieć powinien« napisał i wydał w Wiedniu 1848 Mikołaj Kański. Jest to dobra próba popularyzowania politycznych zagadnień bieżących; u wójta schodzą się każdej niedzieli: urlopnik Jacek, flisak Janek, Tomek Litwin, dezerter wojsk rosyjskich, Maciek, organista, Wasyl, Jędrzej, Hrehory — Wójt, bywalec, żyjący z proboszczem i dziedzicem niemal w przyjaźni, poucza ich o »dawnych dziejach i dzisiejszych zdarzeniach«.

Wedle dochowanego dyplomu dokonał Anczyc chemicznej analizy: *Lytlae vesicatoriae et Pulvisculi flavi;* przy egzaminie ustnym odpowiadał »egregie«.

(Do str. 36). O genezie pierwszego wiersza Władysława Anczyca »Goście u Olka« opowiadam na podstawie informacyi pana Wacława Anczyca, który, małym chłopcem będąc, wiele się od ojca o owym Olku nasłuchał i odpis wiersza sporządził. Autograf wiersza, sporządzony zdaje się w późniejszych latach, nosi tytuł: »Goście u Olka, fantazya kominiarska z r. 1838«; obejmuje 14 wierszy początkowych.

(Do str. 38). W zbiorach rękopiśmiennych Biblioteki Jagiellońskiej, pod nr. inw. 3688, znajduje się ciekawy zbiorek wierszy p. t.: Zbiór Wierszy z wypadkami roku 1846 związek mających, które w tymże roku po Krakowie krążyły. — W zbiorku tym znajduje się 22 wierszy — między tymi »Chorał« Ujejskiego — oraz utwór sceniczny p. t. »Gawęda więźniów przy herbacie«.

(Do str. 41—43). O rewolucyi krakowskiej w 48 roku opowiada bardzo dokładnie K. Majeranowski w książce: »Kronika 40 dni Krakowa 1848 roku, poprzedzona prologiem dziejów Polski i Krakowa w 10 obrazach i epilogiem wypadków po dniu 26 kwietnia zakończona«. Kraków 1848. Nadto o »Bombardowaniu miasta Krakowa na dniu 26 kwietnia 1848« mówi H. Meciszewski w «Dzienniku narodowym Krak.« nr. 22.

Wedle zapiski K. Estreichera zastrzelono Zajączkowskiego d. 4 listopada 1847 roku w teatrze podczas 4-ego aktu »Izabelli d'Ayamontez«; wedle innej wersyi zginął od kuli na plantach krakowskich.

(Do str. 44). »Stowarzyszenie ziemiańskie« zawiązało się 3 maja 1848 r. we Lwowie, z siedzibą w gmachu hr. Skarbka; statut podpisali: Kazimierz Badeni, Agenor Gołuchowski, dwu Krasickich, Tad. Łoś, Gwalb. Pawlikowski.

(Do str. 52). Poniżej podajemy »Odpowiedź na wiersz do autora Golgoty«:

Daj mi twych myśli słońca promieni,
Dosięgnę — trącę piersią glob ziemi,
Wysadzę — stopię góry Karpatu —
Na zgliszczu świata starego siędę —
Zagrzmię w kość Ojców młodemu światu
I naszym wnukom snów widmem będę.
Niby kometa z ognistą grzywą
Powitam ziemię wolną — szczęśliwą,
Świeżą i młodą w uroków wianku
Uczuć poranku.
Gardzi złotemi Uralu góry,
Kto buja myśli złotemi pióry,
Z potęgi świata — skarbów kwituje,
Gdy słońcem prawdy wiekom steruje.

Lecz ja nie dzierżę twojej myśli skrzydeł,
Ni wieszcza Litwy myśli malowideł,
A cóż mam z wami — nad obłokami,
Szumieć laurów moich liściami
I targać szkielet sto(pami?)
Orkanem zemsty . . . .
Co . . . . *)

Wiosny skowronki, wy dzwońcie sobie,
A jeśli o mnie — to na mym grobie.
Bo w nieśmiertelność wtedy uwierzę,
Gdy w Archanioła trąbę uderzę.
Teraz moich stron trącać się boję,
Bym szatańskiemi pieśni nie strwożył,
Kiedyś jak upiór groźny nie ożył,
Wołał o swoje.

O! czemuż, czemu nie znałem ciebie,
Nie zrywał wieńców w twych uczuć niebie,
Co wiosną tchnie,
Tam nie śnię?
O! bo tu dla mnie śmiertelne grzechy
Słyszeć brzęk kajdan — szatanów śmiechy,
Śnić krwawe widma naszej przeszłości,
Trąbić i trąbić w naddziadów kości
I wywoływać wielkie imiona
Z mogiły wieków, gdy wielkość kona.
A nie dowodzić wielkości czynem,
Żeśmy jej godni szumieć wawrzynem
I bujać w niebie — na kwiatów pyle
Naszych snów złotych śnić rajskie chwile.

Organ towarzystwa »Polska«, założony głównie staraniem Gwalb. Pawlikowskiego, wychodził 2 razy na tydzień we Lwowie; Nr. I. ukazał się 1 sierpnia 1848.

(Do str. 53 i n. passim). Wiadomości o scenie krakowskiej w owych latach podaję głównie na podstawie książki K. Estreichera p. t. »Teatra w Polsce«, Kraków 1876, tom I i II — oraz niewydanych materyałów rękopiśmiennych.

*) W tem miejscu tekst popsuty.

»Bóg z nami czyli powrót niewolników polskich do ojczyzny r. 1848«, komedya w 3 aktach, wystawiona była, wedle zapisek K. Estreichera, w maju 1848 r.

Na scenie amatorskiej grała, wedle tegoż źródła, panna Bronisława Anczycówna, która już jako ośmioletnie dziecko wystąpiła na benefis Zygmunta Anczyca 12 kwietnia 1839 w jednoaktówce »Jak sędzia czyli nowy sąd Parysa«; o występie tym zapisał Estreicher: »cudnie ujmujący talent ośmioletniej Bronisi Anczycównej w roli Antosia. Publiczność z wrzawą ją przyjmowała«.

Z. Anczyca »Republikanie czyli wolność, równość, braterstwo«, sztukę w 3 aktach, wystawiono 30 listopada 1848 roku. — »Biurokracya czyli młockarnia wiedeńska«, pierwszy, znany z tytułu utwór sceniczny Władysława Anczyca, wystawiony został 22 paźdź. 1848 roku; przedstawienie zakończył obraz, na który złożyły się postaci historyczne: Konarski, Pułaski, Kościuszko, ks. Józef Poniatowski, Wiśniewski, Dębowski, Bartosz Głowacki (Estreicher, Materyały).

(Do str. 55). Opinia Wielkopolanina o Krakowie po rewolucyi pojawiła się w »Listach o Krakowie« (przez Pęcławskiego), Poznań 1850; książka ta narobiła wiele wrzawy z powodu ostrej krytyki ogółu mieszkańców, jak i poszczególnych, znanych osobistości w Krakowie.

(Do str. 56). Dochowało się świadectwo prof. Sawiczewskiego, który w niem stwierdza, że Władysław Anczyc był adjunktem przy katedrze chemii i farmacyi od 1 paźdź. 1848 r. do 30 września 1849 r. — »*und während der Zeit Liebe für das Studium dieser Gegenstände und praktische Fertigkeit an den Tag gelegt hat*«. Zachowało się ponadto poświadczenie rektora, wystawione dla podjęcia pensyi adjunkta — oraz Index scholarum za rok 48, w którym na str. 8 czytamy; Vladislaus Anczyc, Pharm. Mag. Adj. Prof. Chemiae.

(Do str. 75). Drugie przedstawienie »Chłopów arystokratów«, zapowiedziane na 23/XII 49 r., odwołano z powodu zakazu cenzury; odbyło się dopiero przy tłumnym udziale publiczności i 3-krotnem wywołaniu autora 26 tegoż miesiąca (Estreicher, Materyały).

(Do str. 107). »Łobzowianie« utrzymali się na scenie krakowskiej lat 45: ostatnie przedstawienie odbyło się 6 maja 1900 r.

(Do str. 109). Obok »Flisaków« grano »Przyjaciółki« i »Wojna z kobietą«: »autor zgiełklliwie i jednogłośnie wywołany« (Estreicher, Materyały).

(Do str. 123). »Arystokracyę na Kleparzu« grano na scenie krakowskiej — wedle zapiski Estreichera — 4 maja 1856 roku.

(Do str. 125—6). W podręcznej notatce umieścił Anczyc pod dniem 20 maja 1858 r. spis dat urodzin i śmierci dzieci — a spis ten prowadził potem aż do roku 1863. Podajemy spis ten *in extenso:*

Władzio * 6 czerwca 1854 † 24 sierpnia 1856 — »anioł mój kochany osierocił nas nieszczęsnych«.

Zosia * 11 stycznia 1856.

Władzia * 27 czerwca 1857.

Wanda * 14 kwietnia 1858 † 3 stycznia 1859.

Stanisław * 7 maja 1861 † 17 stycznia 1863 — »umarł na ospę z straszną rozpaczą nieszczęśliwych rodziców, gdyż była to dziecina rozkoszniejsza nad wszelki wyraz. Śliczna, mądra — bez niego pusto i głucho w domu, łzy tylko i boleść szarpie serce«.

Po roku 1864 przyszło jeszcze na świat czterech synów: Wacław i Stanisław i dwóch Kazimierzów, młodo zmarłych.

(Do str. 138). O sekretarstwie Anczyca w trupie Ładnowskiego wiemy z opowiadania pani Wolskiej, córki ś. p. Ładnowskiego, artystki teatru krakowskiego. Pani Wolska wchodziła w skład trupy, która spodziewała się uzyskać dzierżawę krakowskiej sceny a zorganizowana była na wielkie rozmiary znacznym sumptem i staraniem radcy sądowego Antoniego Gubarzewskiego.

(Do str. 139). Wzmiankę o »Rymowanych listach Anczyca« zamieścił i kilka z nich zacytował w »Tygodniku illustrowanym« 1905, str. 72 i 91, G(omulicki).

Również wiele listów, pisanych do Gustawa Gebethnera i Roberta Wolffa, pisanych jest mową wiązaną; w znacznej części tej wesołej korespondencyi trudno napotkać usterkę w rymie albo rytmie.

(Do str. 236). Z listów rymowanych W. L. Anczyca.

LIST — PUHAR.

Jam
Sam
Winien niemało,
Że się tak stało
O pało!
A ty zacny, ukochany,
Chciałeś leczyć moje rany,
A jam został zrujnowany.
Pal cię sześć, niedowiarku, coś poniszczył paczki,
Ja i tak nie przepadnę, a ty pójdziesz w kaczki.
I za mą krzywdę i Maksowy smutek
Padniesz ofiarą warszawskich dewotek.
Tym mężom, których miłością się szczycę,
Racz rzeknąć Maksiu, że gdy na granicę
Kiedyś przyjadę w deszcz albo w pogodę,
Powiem im cudną, powitalną odę,
Ale pod pewną, nową kondycyją,
Że mi znów w Maczkach nocować nie każą,
Bo mię te figle cokolwieczek rażą.
I szczerze ci powiadam, umyślnie czy trafem,
Wcale bracie nie lubię mówić telegrafem.
I choć te wynalazki niezmiernie mię cieszą,
Z telegraficzną igrać nie lubię depeszą.
Sama myśl o tem już mię z nóżek ścina,
Pogadać sobie, łyknąć kielich wina,
Ot taki kielich, jako ów rysunek,
Który ci tutaj mój kiepski wiersz kréśli.
Zacny to i dobry trunek,
Budzi serce, wznosi myśli.
Jednem słowem,
Gdyby w owém
Pokoiku
W hoteliku
Na górze
Jak róże,
Młodzież zebrana
U pana
W koło
Wesoło
Z chrzcin okazyi
Starej małmazyi —
Radbym należeć do grona owego
I wyciąć odę dla Maksia młodego.
Tymczasem racz oświadczyć me uszanowanie
Wszystkim znajomym przy waszym szlabanie.

(Do str. 246). »Drahomirę« grano po raz pierwszy w Krakowie 2 stycznia 1869 roku na benefis Modrzejewskiej.

(Do str. 254). Przeróbka Anczyca »Dwaj złodzieje: Robert i Bertrand« z muzyką Hoffmana była wystawiona na scenie krakowskiej pierwszy raz 1 kwietnia 1872 roku.

(Do str. 288). Do wiersza Anczyca »Drapieżne ptaszę« dorobiło muzykę aż dwu kompozytorów: Bohdan Borkowski w zbiorze »Lira, zbiór śpiewów polskich i obcych kompozytorów«, Warszawa 1898 (dedyk. Józefie Szlezygier) — i Józef Mikulski »Utwory do śpiewu na jeden głos z towarzyszeniem fortepianu«, Warszawa 1898, nr. 6.

SKOROWIDZ NAZWISK.

BIBLIOGRAFIA.

Bibliografię pism Anczyca sporządził za czas od 1848 roku do 1884 roku Maurycy Stankiewicz w »Upominku z uroczystości odsłonięcia i poświęcenia tablicy pamiątkowej ś. p. Władysława Ludwika Anczyca« — Kraków 1886 na str. 35 i n.; zestawienie to objęło obok pism Władysława Anczyca również i niektóre wydawnictwa zbiorowe i czasopisma, redagowane przez Anczyca — a nadto pewną ilość tytułów utworów, niewydanych drukiem. Zestawienie nasze, prostując faktyczne omyłki bibliografii Stankiewicza, obejmuje zasadniczo jedynie utwory wydane drukiem w osobnych odbiciach, rozszerzając nadto swój zakres aż po niniejsze wydanie jubileuszowe wyłącznie t. j. aż po rok **1908.** Nadto zestawienie nasze grupujemy odmiennie: wprowadzamy dla względów rzeczowych podział na dwie grupy: A. utwory oryginalne — B. utwory nieoryginalne, wyliczając je w obrębie każdej z tych grup w porządku chronologiczno-abecadłowym. Miarodajnym dla nas jest rok wyjścia drukiem, nie zaś czas powstania utworu, o czem — jak również o publicystyce i znanych z rękopisu lub z nazwy jedynie pismach — opowiadamy na swojem miejscu w monografii.

A. Utwory oryginalne.

Emisaryusz — b. m. i b. r. w. **(1848)**, 8-vo, str. 3.
Śmierć Republikanów dnia 24 Czerwca 1848 r. — w Krakowie 1848, 8-vo, str. 3.
Wiersz do Króla Pruskiego, napisany przy zdobyciu arsenału dnia 14 Czerwca 1848 w Berlinie — w Krakowie 1848, 8-vo, str. 4.
Zbój galicyjski z r. 1846 — w Krakowie, b. r. w. (1848), 8-vo, str. 4.

Chłopi arystokraci, szkic dramatyczny w jednej odsłonie ze śpiewkami — w Krakowie, **1850,** w 16-ce, str. 89.
Toż, wyd. II. w Krakowie 1851, w 16-ce, str. 67.
Toż, wyd. III. w Krakowie 1862, w 12-ce, str. 93.

Toż, w »Teatrze amatorskim« nr. 66, Warszawa—Kraków 1902, Gebethner i Wolff, 8-vo, str. 64.
Toż, w »Teatrze amatorskim« nr. 66 *bis,* Warszawa 1907, Gebethner i Wolff, z muzyką Wł. Rzepki, 8-vo, str. 32.
Toż, w »Teatrze amatorskim« nr. 66, Warszawa 1908, Gebethner i Wolff, 8-vo, 71.
(Śpiewy i muzykę na fortepian do »Chłopów arystokratów« wydał A. Cybulski — Poznań 1896).

Łobzowianie, obrazek dramatyczny ze śpiewkami w jednym akcie, napisany oryginalnie — Warszawa **1854**, 8-vo, str. 55.
Toż, w »Teatrze amatorskim« nr. 67, Warszawa Gebethner i Wolff, 1902, 8-vo, str. 49.

Czytelnia dla ludu wiejskiego, trzy książeczki — Warszawa **1862**, w 16-ce, str. 101, 107 i 111.
Elementarz dla dzieci polskich — Warszawa **1862**, w 16-ce, str. 95.
Gorzałka, obrazek dramatyczny w jednym akcie, próbka teatralnego przedstawienia dla włościan (odb. z Kalendarza ludowego) — Warszawa **1862**, 8-vo, str. 16.
Toż — Lwów 1908, 8-vo, str. 15. »Biblioteka teatrów włościańskich« tomik 2.
Krótka nauka o ziemi i świecie, wiadomości popularne z nauk przyrodniczych — Warszawa **1862**, 8-vo, str. 94.
Toż — wyd. II. Warszawa 1866, w 16-ce, str. 95.
Toż — z objaśnieniem najważniejszych zjawisk napowietrznych — przez Wł. L. Anczyca, magistra farmacyi, byłego redaktora »Kmiotka« i »Przyjaciela dzieci« w Warszawie; wyd. III. przejrzane i znacznie pomnożone, Kraków 1869, 8-vo, str. VIII + 253.
Pierwsza książeczka dla wiejskich dziatek, które już elementarz skończyły — Warszawa **1862**, w 12-ce, str. 202.
Toż — wyd. II. przejrzane i uzupełnione przez Janka z Bielca, nakł. M. Arcta, Lublin 1884, w 16-ce, str. 132.

Dzieje Polski w dwudziestu czterech obrazkach, skreślone dla użytku braci włościan — Warsz. **1863**, w 12-ce, str. 148 + IV.
Toż — wyd. II. — Warszawa 1865, 8-vo, str. 148 + VIII.
Toż — wyd. III. »Macierz polska« nr. 54 — Lwów 1891, 8-vo, str. 218, opracował dr. Fryderyk Papée.

Toż — wyd. nowe — Warszawa 1898, 8-vo, str. 183 + IV.
Toż — wyd. nowe przejrzane i poprawione — Warszawa 1907, 8-vo, str. 183.
Trzech Moskali, opowiadanie Walentego Kurka, kosyniera z pod Bodzentyna, spisał W. K. C. — Kraków **1863**, 8-vo, str. 13.

Pijaństwo, zguba i nędza włościan. Warszawa **1867**, 8-vo, str. 86.
Toż — wyd. II. Poznań 1869, 8-vo, str. 98.

Ksiądz Augustyn Kordecki, przeor Paulinów, obrońca klasztoru Częstochowskiego — Kraków **1869**, w 16-ce, str. 72 — w »Czytelni dla ludu« dział I., cz. 2.
Toż — Kraków 1875, w 16-ce, str. 67.
Pamiątka odkrycia zwłok Kazimierza Wielkiego, z dodaniem wiadomości o życiu tego króla, spisanych dla ludu, oraz chronologii wszystkich czynów i wypadków za jego panowania — Kraków **1869**, w 16-ce, str. XXIII + 46.
Toż — wyd. II. Kraków 1869, w 16-ce, str. XIX + 38.
Pogadanka włościan o pogrzebie Kazimierza Wielkiego, wierszem napisana — Kraków **1869**, w 16-ce, str. 15.
Praca, książeczka obrazkowa dla dzieci ułożona, z rysunkami Fr. Kostrzewskiego — Naumburg **1869**, w 4-ce, str. 21.

Dzieje narodu węgierskiego, popularnie napisał — wyd. »Czytelnia ludowa« — Kraków **1870**, 8-vo, str. 70.
Krakowiak o wyborach do Sejmu Szląskiego — Kraków **1870**, 1 ćwiartka (bezimiennie).
Wiadomość o ludach słowiańskich, zamieszkujących Węgry — Kraków **1870**, 8-vo, str. 47 (odb. z »Kalendarza illustr.« za r. 1869).
A B C, pierwsza nauka dla dzieci — Warszawa **1870**, 8-vo, str. 143.
Toż — wyd. II. Warszawa 1876, 8-vo, str. IX + 141.
Toż — wyd. III. Warszawa 1881, 8-vo, str. 141.
Toż — wyd. IV. Warszawa 1883, 8-vo, str. 141.
Toż — wyd. V. Warszawa 1887, 8-vo, str. 141.
Toż — wyd. VI. Warszawa 1890, 8-vo, str. 141.
Toż — wyd. VII. Warszawa 1894, 8-vo, str. 141.
Toż — wyd. VIII. Warszawa 1897, 8-vo, str. 141.
Toż — wyd. IX. Warszawa 1901, 8-vo, str. 141.
Toż — wyd. nowe (X.) przejrzane i powiększone — Warszawa 1907, 8-vo, str. 167.

Doellingeriada, poemat bohaterski (odb. z »Dyabła«) — Kraków **1871,** str. 16.

Sprawozdanie z projektu uporządkowania miasta Krakowa i pożyczki na ten cel proponowanej, wypracowane przez Komitet, wydelegowany z koła obywateli krakowskich — Kraków **1871,** 8-vo, str. 24.

Najłaskawsi Panowie! (wiersz z powinszowaniem Nowego Roku w imieniu Antoniego Słowika, woźnego »Przewodnika ekonomicznego«) — Kraków **1872,** 1 ćwiartka.

Obrazki dramatyczne ludowe: Chłopi arystokraci, Łobzowianie, Błażek opętany, Flisacy — Kraków **1873,** 8-vo, str. 3 + 289.

Toż — wyd. nowe, Kraków, 1894, 8-vo, str. 239.

Najnowszy i najprawdziwszy wykład snów czyli sennik oraz najnieomylniejszy sposób wygrania na każdej loteryi, spisał dla pożytku grających w loteryę — Kraków 1875, 8-vo, str. XXI + 149, wyd. »Czytelnia ludowa« książka I.

Toż — nowymi dodatkami opatrzony a nieomylną wskazówką pomyślności i szczęścia będący — Raciąż 1890, w 16-ce, str. 59.

Emigracya chłopska, obraz dramatyczny ludowy w pięciu aktach, uwieńczony nagrodą ludową na konkursie krakowskim 1870 r. — Warszawa **1877** (»Biblioteka teatralna«), 8-vo, str. 135.

Toż — wyd. II. Warszawa 1879, 8-vo, str. 136.

Toż — wyd. III. Warszawa 1907, 8-vo, str. 151.

Duch Wojewody, opera komiczna w trzech aktach — muzyka Ludwika Grossmana — Kraków **1878,** w 12-ce, str. 94.

Przygody Krakowianina na wystawie lwowskiej r. 1877 — Lwów **1878,** w 16-ce, str. 24 (odb. z »Gazety narodowej« — wydane bezimiennie).

Trzy baśnie: Mądry kot, Księżniczka z głogu, Kopciuszek — Warszawa **1878,** w 4-ce, str. 36.

Portrety cieniowe królów polskich. Zabawa towarzyska z tekstem — Warszawa **1879,** 8-vo, str. 40 (wyd. zabawek i gier pedagogicznych).

Na przyjazd do Galicyi Najj. Cesarza Austryi, Franciszka Józefa I., miłościwie nam panującego króla naszego i pana — Kra-

ków **1880**, w 4-ce, 1 karta (odb. z »Przewodnika bibliograficznego«).

Wiersz, który miał być wypowiedziany w gimnazyum św. Anny podczas bytności tamże Najj. Pana w dniu 3 września 1880 r. w Krakowie — Kraków **1880**, 8-vo, 1 karta.

Kościuszko pod Racławicami, obraz historyczno-ludowy w 5-ciu oddziałach — Kraków **1881**, 8-vo, str. VI + 156.

Toż — wyd. II. z muzyką — Kraków 1882, 8-vo, str. 156.

Toż — wyd. III. » — Kraków 1894, 8-vo, str. 182.

Toż — wyd. IV. » — Kraków 1907, 8-vo, str. 174.

Oraczyja Bonifaczego Piszcałki, organiszty parafije Pędzichowskiej, wypowiedziana na fesztynie, wydanym przez miasto Kraków na cześć Mikołaja Zyblikiewicza, b. prezydenta m. Krakowa, marszałka krajowego, d. 28 stycznia 1881 r. — Kraków **1881**, fol., 13 półarkuszy, drukowanych po jednej stronie do nalepiania w rulon.

»*Na krakowskim brzegu* śliczne kwiatki wiosną I śliczne dziewuchy w starym grodzie rosną« etc. — Kraków, b. r. w. (**1882**), 1 ćwiartka.

Tyrteusz — Kraków **1883**, 8-vo, str. 11.

Na pamiątkę obchodu dwóchsetletniej rocznicy zwycięstwa Jana Sobieskiego nad Turkami pod Wiedniem 1683 — Kraków **1883**, 8-vo, str. 4.

Do Wal. Rzewuskiego — Kraków **1886**, 8-vo, str. nl. 1 (dwa wiersze z r. 1865 — drukowano jako rękopis).

Błażek opętany, krotochwila w 1 akcie ze śpiewami — Warszawa **1902**, 8-vo, str. 48. »Teatr amatorski« nr. 68.

Flisacy, obrazek ludowy w 1 akcie ze śpiewkami — Warszawa **1902**, 8-vo, str. 50. »Teatr amatorski« nr. 69.

B. Utwory nieoryginalne.

Abecadlnik z historyi polskiej, ułożony i rysowany przez Adama Lerue, wyd. 2-gie, poprawione i znacznie pomnożone (przez Wł. Anczyca) — Warszawa **1861**, w 16-ce, str. 88 i 24 obrazków. (Pierwsze wydanie wyszło w 1860 roku z tekstem L. Rogalskiego).

Toż — wyd. III. Lwów 1869, w 16-ce, str. 96.
Toż — wyd. IV. Lwów 1880, 8-vo, str. 96.
Toż — wyd. V. poprawione i znacznie powiększone — Lwów 1908, 8-vo, str. 89.

Mały zbiorek ku zabawie i pożytkowi tych, którzy już gładko czytają, wyjęte z różnych ksiąg — Warszawa **1862**, 8-vo, str. 131 + III.

Dziesięć cór na wydaniu, komiczna operetka w jednym akcie, z muzyką F. Suppé'go — Warszawa **1865**, w 16-ce, str. 80.

Księga najpamiętniejszych odkryć geograficznych, przeznaczona dla dorastającej młodzieży, podług najnowszych źródeł, z wielu drzeworytami — Warszawa **1865**, 8-vo, str. II + 278.
Toż — wyd. II. Warszawa 1870, 8-vo, str. 272.
Toż — wyd. III. Warszawa 1880, 8-vo, str. 253.
Toż — wyd. IV. przejrzał i uzupełnił Wład. Umiński, Warszawa 1897, str. 433 + V + 2 nl.

Meszty Abu Kazema, komedyjka w dwóch aktach, napisana wierszem do grania dla dzieci (z francuskiej powiastki) — Warszawa **1867**, w 16-ce, str. 40.

Opisy i przygody z podróży po różnych częściach świata, zebrał i wydał — Warszawa **1868**, w 12-ce, str. 347.
Toż — wyd. II. Warszawa 1873, 8-vo, str. 348.
Toż — wyd. III. Warszawa 1891, 8-vo, str. 354.
Toż — wyd. IV. Warszawa 1900, 8-vo, str. 335.
Toż — wyd. V. Warszawa 1908, 8-vo, str. IV + 325.

Przypadki Robinzona Kruzoe podług najlepszych źródeł dla dzieci polskich opracował — Warszawa **1868**, 8-vo, str. III + 343.
Toż — wyd. II. Warszawa 1870, 8-vo, str. III + 349.
Toż — wyd. III. » 1880, 8-vo, str. IV + 355.
Toż — wyd. IV. » 1883, 8-vo, str. 355.
Toż — wyd. V. » 1890, 8-vo, str. VIII + 355.
Toż — wyd. VI. » 1894, 8-vo, str. VIII + 357.
Toż — wyd. VII. » 1899, 8-vo, str. VIII + 357.
Toż — wyd. VIII. » 1903, 8-vo, str. 357.
Toż — wyd. IX. » 1908, 8-vo, str. VIII + 375.

Drahomira, tragedya w pięciu aktach Józefa Weilena (odbitka z »Bluszczu«) — Warszawa **1869**, 8-vo, str. 143.

Historya polska, doprowadzona do ostatnich czasów, ułożona przez pytania i odpowiedzi dla początkujących, przejrzana i poprawiona przez Wł. Anczyca — wyd. II. Kraków **1870,** 8-vo, str. 254 + II (wyd. I. Kraków 1864).
Toż — wyd. III. zupełnie przerobione p. t. »Krótki rys dziejów narodu polskiego dla niższych zakładów naukowych treściwie ułożony« — Kraków 1877, 8-vo, str. 268 + II.
Toż — Kraków 1888, 8-vo, str. 268 + II.
Przygody prawdziwe żeglarzy i podróżników pośród dzikich ludów kuli ziemskiej zebrał — Warszawa **1870,** 8-vo, str. 305.
Toż — wyd. II. Warszawa 1877, w 16-ce, str. 299.
Toż — wyd. nowe, Warszawa 1893, 8-vo, str. 320 + 1 nl.
Toż — wyd. nowe, Warszawa 1907, 8-vo, str. 325.
Rozbitki na wyspie Jan Mayen — Żegluga na bryle lodu (z »Przygód prawdziwych żeglarzy i podróżników«) — Warszawa 1908, 8-vo, str. 27. »Biblioteczka młodzieży szkolnej« nr. 62.
Perły, zbiór celniejszych powieści z literatury angielskiej dla młodocianego wieku, wolny przekład — Warszawa **1871,** 8-vo, str. 250.
Toż — wyd. II. Warszawa 1882, 8-vo, str. 258.
Toż — wyd. III. Warszawa 1896, 8-vo, str. 275 + 1 nl.
Toż — wyd. IV. Warszawa 1907, 8-vo, str. IV + 274.
Daleka podróż dwóch piesków pokojowych (z »Pereł«) — Warszawa 1908, 8-vo, str. 21. »Biblioteczka młodzieży szkolnej« nr. 60.
Motyl i Gąsienica — Wiatr i Kwiaty (z »Pereł«) — Warszawa 1908, 8-vo, str. 21. »Biblioteczka młodzieży szkolnej« nr. 94.
Świerszcze — Błędny ognik (z »Pereł«) — Warszawa 1908, 8-vo, str. 20. »Biblioteczka młodzieży szkolnej« nr. 61.
Żółw i Makolągwa (z »Pereł«) — Warszawa 1908, 8-vo, str. 28. »Biblioteczka młodzieży szkolnej« nr. 1.
Duch puszczy, opowiadanie z amerykańskich borów, według dra Birda przełożył i obrobił — Warszawa **1872,** 8-vo, str. 252.
Toż — wyd. II. Warszawa 1883, 8-vo, str. 281.
Toż — wyd. III. » 1892, 8-vo, str. 280.
Toż — wyd. IV. » 1899, 8-vo, str. 277 + 1 nl.
Toż — wyd. V. » 1906, 8-vo, str. 273.
Zwierzęta mówiące, z francuskiego przerobił i pomnożył — Warszawa **1873,** 8-vo, str. 193.
Toż — wyd. II. Warszawa, 8-vo, str. 202 + II.

Bóg nie opuści, kto się nań spuści, opowiadanie dla młodzieży Fr. Hoffmana wolno przełożone — Warszawa **1877**, w 16-ce, str. 103.

Toż — wyd. II. Warszawa 1880, w 16-ce, str. 177.

Toż — wyd. III. Warszawa 1897, w 16-ce, str. 175. »Biblioteczka dla młodzieży« tom I.

Toż — wyd. IV. Warszawa 1907, w 16-ce, str. 175. »Biblioteczka dla młodzieży« tom I.

Czas to pieniądz, opowiadanie dla młodzieży Fr. Hoffmana, wolno przełożył — Warszawa **1877**, w 16-ce, str. 188.

Toż — wyd. II. Warszawa 1880, w 16-ce, str. 188.

Toż — wyd. III. Warszawa 1899, w 16-ce, str. 195. »Biblioteczka dla młodzieży« t. II.

Toż — wyd. III (?). Warszawa 1908, str. 195.

Uwieńczone nagrodą złote myśli i zdania dla ochrony zwierząt, które każdy uczciwy człowiek powinien mieć w myśli i w sercu, podług Fr. Bonna przełożył — Monachium **1879**, wielki arkusz chromolitogr.

Przygody trzech Rosyan i trzech Anglików w południowej Afryce, ozdobione 50-ciu rycinami. Dzieło uwieńczone przez Akademię francuską przez J. Verne'a, przełożył — Warszawa **1879**, 8-vo, str. 335.

Dwie róże, powiastka historyczna z dziejów Anglii z XV wieku dla młodzieży przez F. Henninga, przekład — Warszawa **1880**, w 16-ce, str. 172.

Gabor Hunyad Berenyi, powiastka historyczna z dziejów Węgier XV w. dla młodzieży przez F. Henninga, przekład — Warszawa **1880**, w 16-ce, str. 162.

Kręte drogi, opowiadanie dla młodzieży Fr. Hoffmanna, wolny przekład — Warszawa **1880**, w 16-ce, str. 173.

Toż — wyd. II. Warszawa 1904.

Pierwszy błąd, opowiadanie dla młodzieży Fr. Hoffmanna, wolny przekład — Warszawa **1880**, w 16-ee, str. 160.

Toż — wyd. II. Warszawa 1907.

Polowanie na wieloryby, przez Maine-Reida, przełożył z francuskiego — Warszawa **1884**, 8-vo, str. 143.

SPIS RZECZY.

I.

III.

0